

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 7-8/2022

PL ISSN 1233-0930 30 zł (VAT 8%)

Przez sieć do świata Str. 32-50



30 FORUM AKADEMICKIE LAT

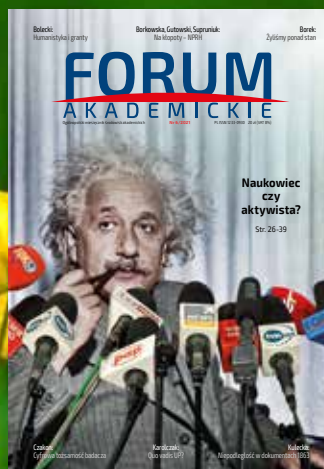
„Forum Akademickie” towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali

ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objaśniamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.

Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2022 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2022 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;

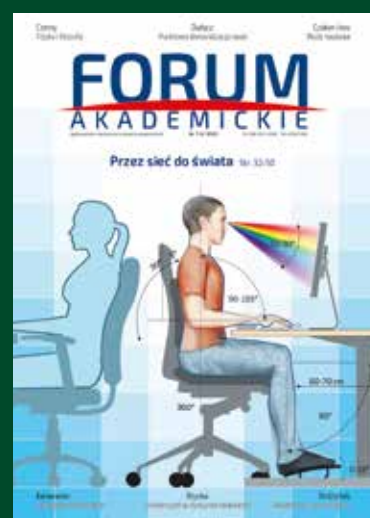
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,

w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok

i 86 zł za pół roku.

Redakcja



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Subwencja 2022+ – Piotr Kieraciński	6
Inaczej niż w algorytmie – Dariusz Surowik	7
Od września nowa Akademia	7
Dyscypliny 3.0 – Piotr Kieraciński	8
Dyscypliny interdyscyplinarne – Piotr Kieraciński	9
Wraca nowe... – Przemysław Wojtaszek	10
Czy potrzebna jest dyscyplina „ochrona dziedzictwa i konserwacja zabytków”? – Sylwester Czopek	10
Raport pełnoletni – Mirosław Gornowicz, Mirosław Szreder	12
Euroewaluacja – Piotr Stec, Adam Warsiński	15
Kwantowe idee powstają w Europie – Anna Korzekwa-Józefowicz	16
Sąd nie rozstrzyga o prawdzie naukowej – Grzegorz Węgrzyn	18
Plagiatowe problemy na UP w Lublinie – Marek Wroński	19
Głos młodych – Andrzej Katunin, Jacek Łukasz Kolanowski	20
Za granicę, ale nie aż na rok	22
Na krótko – Marcin Pałys	22
Akademia WSB 25 + 2 – materiał sponsorowany	23
Uczelniane place budów – Mariusz Karwowski	24
Nie ma na nich mocnych – Mariusz Karwowski	26
2 x TAK	28

ROZMOWA FORUM

Rozpięte płótno Wszechświata – rozmowa z prof. Bożeną Czerny z Centrum Fizyki Teoretycznej PAN	29
---	----

BADANIA PRZEZ INTERNET

Zasoby naukowe w internecie – Sabina Cisek	32
Z perspektywy przestrzennej – Krzysztof Janc	36
Badania sondażowe w sieci – Magdalena Szpunar	40
Psychologia on line – Jakub Kuś	44
Internet w służbie nauki – Adam Szpotański	48

ŻYCIE NAUKOWE

Zapiski z trudnych dni – Aneta Zawadzka	51
Korelacja ujemna – Joanna Wolszczak-Derlacz i in.	52
Punktowa demoralizacja nauki – Tadeusz Dudycz	56

Z archiwum nieuczciwości naukowej (191)

Uniwersytet Zielonogórski od 3 lat „wyjaśnia” plagiat – Marek Wroński	59
--	----

MODY NAUKOWE

Być modnym badaczem w naukach o zarządzaniu – Wojciech Czakon	64
Między modą a tradycją – Ewelina Woźniak-Wrzesińska	68
Złamana kość kultury – rozmowa z prof. Romanem Kubickim, dziekanem Wydziału Filozoficznego UAM	72
Modna historia sztuki – Juliusz Gałkowski	76

ŻYCIE AKADEMICKIE

Przepis na sukces w nauce – Zbigniew Drozdowicz	79
Artyści i inżynierowie – rozmowa z prof. Januszem Stankowskim z PŚ	82
Na celowniku – Mariusz Karwowski	87
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	90

Publikuj lub giń

Czy jest pan Polakiem? – Marek Misiak	91
--	----

Z LABORATORIÓW

Inteligentna siła kolektywu – Mariusz Karwowski	94
Czym jest jakość kształcenia akademickiego? – Justyna M. Bugaj	97
Uniwersytet jaki jest, każdy widzi... po swojemu – Aleksandra Rzyśka	101

W STRONĘ HISTORII

Kartki z dziejów nauki w Polsce (250)

Postscriptum – Piotr Hübner	105
--------------------------------	-----

OKOLICE NAUKI

Uniwersytet, polityka i gra w kości – Mateusz Stróżyński	108
Przyroda i zdrowie psychiczne – Piotr Tryjanowski i in.	113

Książki

Książki nadesłane	66, 70
Tylko rzeczywistość jest ciekawa – Marek Misiak	117
Rozgrzać marmur ciepłem dłoni – Aneta Zawadzka	117
W labiryncie Boga – Jacek Hnidiuk	118
Kliodynamika – Bogdan Bernat	118
O Nowosielskim wiemy coraz więcej – Juliusz Gałkowski	119
Słowacki czytany w XIX wieku – Marcin Lutomiński	119

FELIETONY

Szkiełko w oku

Na emeryturę, czyli do likwidacji – Piotr Müldner-Nieckowski	116
---	-----

Na marginesach nauki

Cywilizowane życie w dziczy – Leszek Szaruga	120
---	-----

Projekt okładki – Sławomir Makal	
----------------------------------	--

FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich Rok XXIX Nr 7-8 (344-345) Lipiec-Sierpień 2022

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr. hab. inż. Jan Sznidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźniak – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacja, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Dofinansowano z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki.

Otochirurg na czele RGIB

WARSZAWA Prof. Henryk Skarżyński, od 1996 roku dyrektor Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu, został wybrany na nowego przewodniczącą Rady Głównej Instytutów Badawczych. Zastąpi prof. Leszka Rafalskiego, który sprawował tę funkcję od 15 lat. Nowy szef RGIB to światowej sławy otochirurg i specjalista otorynolaryngologii, otolaryngologii dziecięcej, audiologii i foniatrii. Jako pierwszy w Polsce wykonał operację wszczepienia implantów ślimakowych w leczeniu głuchoty u dzieci i dorosłych. Jest światowym pionierem operacji częściowej głuchoty. Wykonał dotychczas prawie 220 tys. procedur chirurgicznych.

Wprowadził do codziennej praktyki lekarskiej ponad 150 nowych rozwiązań klinicznych. RGIB, powołana w 1992 roku, reprezentuje 91 instytutów badawczych (w tym 26 tworzących Sieć Badawczą Łukasiewicza), które prowadzą badania na rzecz gospodarki, infrastruktury, środowiska, rolnictwa, medycyny oraz szeroko rozumianego bezpieczeństwa i nauk humanistycznych.



Fot. IFiPS

Zmiana za sterami NZS

WARSZAWA Karolina Grzesiak z Uniwersytetu Warszawskiego została nową przewodniczącą Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Zastąpiła na tym stanowisku Alicję Książek. W NZS działa od początku studiów.

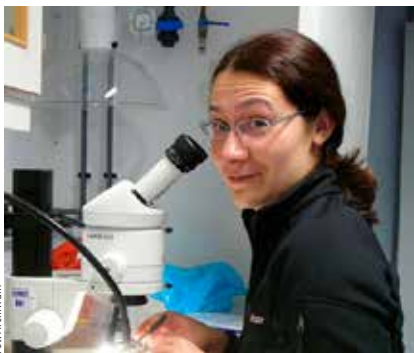


Fot. Arch. prywatne

W poprzedniej kadencji pełniła funkcję wiceprzewodniczącej Zarządu Krajowego ds. studenckich. Koordynowała prace nad raportem *Mobbing na uczelniach wyższych* i współorganizowała Ogólnopolską Konferencję Zdrowia Psychicznego *Zdrowie w Twojej Głowie*. Jest studentką IV roku psychologii (jednolite magisterskie) i III roku filologii polskiej (I stopnia). To czwarta osoba stojąca na czele NZS wywodząca się z UW (po Pawle Piskorskim, Piotrze Sulimie i Michale Moskalu) i dwudziesta dziewiąta w ponad 40-letniej historii organizacji. NZS działa obecnie w 29 uczelniach. Skupia około 1,5 tys. członków, a tysiąc kolejnych osób jest sympatykami.

Polski debiut we władzach GYA

HALLE/SOPOT Dr hab. Monika Kędra z Zakładu Ekologii Morza Instytutu Oceanologii PAN została wybrana do Komitetu Wykonawczego Global Young Academy. Jest pierwszą osobą z Polski we władzach międzynarodowej sieci zrzeszającej młodych naukowców. Współtworzyła, a następnie była jedną z przewodniczących pan-arktycznej sieci Arctic in Rapid Transition (ART), która zrzesza młodych naukowców zajmujących się Arktyką. Swoje badania dotyczące wpływu zmiany klimatu i sezonowości na bioróżnorodność i dynamikę populacji bentosowych prowadzi głównie w Oceanie Arktycznym oraz Morzu Bałtyckim. GYA powstała w 2010 roku. Wśród około 200 członków z 69 krajów jest troje Polaków: prof. Dominika Latusek-Jurczak z Akademii Leona Koźmińskiego i dr Rafał Majka z Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego (od 2022 roku) i M. Kędra (od 2018).



Fot. Archiwum

Kwartet w ELLIS Society

WARSZAWA Dwóch badaczy z IDEAS NCBR, ośrodka badawczo-rozwojowego działającego w obszarze sztucznej inteligencji i ekonomii cyfrowej, zostało przyjętych do European Laboratory for Learning and Intelligent Systems. To prestiżowe europejskie stowarzyszenie skupiające ponad 900 ekspertów w dziedzinie AI. Dołączyli do nich: dr hab. Piotr Sankowski, prezes IDEAS NCBR i pierwszy Polak, który otrzymał 3 granty ERC (StG 2010, PoC 2015, CoG 2017) oraz dr Tomasz P. Michalak, lider zespołu badawczego w IDEAS NCBR i wykładowca na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego. Już wcześniej członkami ELLIS Society zostali: dr hab. Ewa Szczurek z Instytutu Informatyki Uniwersytetu Warszawskiego i dr hab. Tomasz Trzciniński z Instytutu Informatyki Politechniki Warszawskiej.



Fot. IDEAS

Doktorat h.c. – prof. Leszek Mrozewicz

WROCŁAW Historyk i epigrafik łaciński, jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich humanistów, otrzymał 9 czerwca tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego. Jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Z tą uczelnią związany był przez całą swoją karierę akademicką. W latach 2009–2020 sprawował funkcję dyrektora Instytutu Kultury Europejskiej w Gnieźnie – placówki o statusie wydziału UAM. Główne obszary jego zainteresowań badawczych to: historia wczesnego cesarstwa rzymskiego, w tym zwłaszcza dzieje prowincji nad Dunajem i Renem, epigrafika łacińska i prozopografia antyczna. Zainicjował powstanie ważnych serii wydań: Xenia Posnaniensia w jej różnych mutacjach oraz Fontes Historiae Antiquae. Przez wiele lat zasiadał we władzach Association Internationale d'Épigraphie Grecque et Latine.



Fot. Alina Merylska

Doktorat h.c. – prof. Jean-Marie Lehn

POZNAŃ Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii z 1987 roku został 20 czerwca doktorem honoris causa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jak napisano w uchwale Senatu, to jeden z najwybitniejszych uczonych naszych czasów, „wskazujący nowe kierunki ludzkiej myśli”. Prof. Bogumiła Kaniewska, rektor UAM, podkreśliła, że prof. Lehn jest mistrzem dla kilku pokoleń poznańskich chemików, wielu z nich miało okazję odbywać staże w jego laboratorium w Strasburgu. To także wielki znawca i wielbiciel polskiej kultury, szczególnie muzyki. Tematyka jego badań obejmuje zakres od chemii teoretycznej, poprzez chemię supramolekularną, do chemii stosowanej i materiałowej. Wykłada na prestiżowym Collège de France.



Fot. Adrian Wykrota

Doktoraty h.c. dla poety i prawnika

RZESZÓW Dr Jurij Andruchowicz oraz prof. Bronisław Sitek zostali doktorami honoris causa Uniwersytetu Rzeszowskiego. Obu uhonorowano naj-



Fot. Michał Świręcki

wyższą godnością akademicką 6 czerwca. J. Andruchowycz to ukraiński poeta, prozaik, eseista i tłumacz. Był współzałożycielem grupy poetyckiej Bu-Ba-Bu (Burlaska-Bałagan-Bufonada), działającej do 1995 r. we Lwowie. Jego utwory przetłumaczono na 21 języków. Występuje również jako ich wykonawca z polskim zespołem muzycznym Karbido. Prof. B. Sitek od 2014 r. pracuje na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu SWPS. Jest autorem blisko 300 opracowań naukowych. Zasiada w Komitecie Nauk Prawnych PAN i w Radzie Doskonałości Naukowej. Od 2020 r. jest członkiem Zespołu doradców do spraw kontroli konstytucyjności prawa przy Marszałku Senatu X kadencji.

Z zagranicy do PAN

WARSZAWA Kolejnych 15 naukowców z zagranicy trafi do instytutów PAN, by realizować swoje badania w programie stypendialnym PASIFIC (ang. Polish Academy of Sciences' Individual Fellowships: Innovation & Creativity). Dołączą do 35 laureatów, których wyłoniono w ubiegłym roku. Tym razem o 2-letnie staże aplikowało 200 naukowców. Laureaci reprezentują 7 narodowości, a do Polski przyjeżdżają z 9 krajów (Indie, Szwecja, Chiny, Niemcy, Białoruś, Turcja, Finlandia, Francja, Norwegia). Ich badania obejmują 11 dyscyplin. Stypendia zrealizują w 9 instytutach PAN, w tym aż 5 grantów w Instytucie Filozofii i Socjologii, a 3 w Instytucie Chemii Fizycznej. Zajmą się m.in. projektowaniem urządzeń magazynujących energię w oparciu o zmodyfikowany węgiel aktywny otrzymany z odpadów biologicznych, kompleksowym badaniem petrochronologicznym skał czy poszerzeniem wiedzy o molekularnej kontroli starzenia się. Otrzymają wynagrodzenie w wysokości ok. 2,5 tys. euro miesięcznie.

Granty od Polpharmy

WARSZAWA Badacze z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego i Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego w Warszawie zostali laureatami tegorocznych grantów Naukowej Fundacji Polpharmy. Dr hab. n. med. Anna Wardowska z GUMed zbada, w jaki sposób zmienia się zachowanie komórek układu immunologicznego u pacjentów z nerwową postacią tocznicą układowego po kontakcie z wirusem SARS-CoV-2 oraz jaki ma to wpływ na przebieg choroby podstawowej. Z kolei dr hab. n. med. Tomasz Skirecki z CMKP stworzy nowy, niezakaźny model włóknienia płuc wywołanego przez białka wirusa SARS-CoV2, który pozwoli



Fot. Archiwum

zbadać mechanizm odpowiedzialny za rozwój tego procesu w COVID-19, udział w nim poszczególnych typów komórek oraz rolę odpowiedzi zapalnej. Łączny koszt realizacji obu projektów to ponad 1,1 mln zł. Konkurs organizowany jest od 20 lat. W tym roku jego tematem był „COVID-19 – etiopatologia, klinika, zdrowie publiczne”.

Szybszy niż Athena

KRAKÓW Polska znalazła się wśród pięciu krajów, w których zostaną zainstalowane nowe superkomputery budujące paneuropejską infrastrukturę przetwarzania danych. Maszyna stanie pod koniec 2023 roku w Akademickim Centrum Komputerowym CYFRONET AGH w Krakowie. Będzie to system skali mid-range o mocy kilkakrotnie większej niż najszybszy obecnie superkomputer w Polsce – Athena, który osiąga teoretyczną moc obliczeniową 7,7 PetaFlopsa, a dla obliczeń AI to prawie 240 PetaFlopsów. Superkomputery, które powstaną także w Grecji, Irlandii, Niemczech i na Węgrzech, będą dostępne dla szerokiego grona użytkowników reprezentujących środowisko naukowe, przemysł i sektor publiczny. Dołączą do już działających w Finlandii, Słowenii, Luksemburgu, Bułgarii i Czechach oraz przygotowywanych w Portugalii, Hiszpanii i we Włoszech. Ministerstwo Edukacji i Nauki zadeklarowało wsparcie projektu w wysokości ok. 12 mln euro.



Fot. AGH

Nowy prezydent IREG

WARSZAWA Waldemar Siwiński, jeden z założycieli i dotychczasowy wiceprezydent IREG Observatory on Academic Ranking and Excellence, stanął na czele tej organizacji. Zastąpił Luiza Claudio Costę, byłego ministra edukacji Brazylii. Jest twórcą polskich rankingów edukacyjnych (m.in. Ranking Szkół Wyższych) i inicjatorem działań na rzecz jakości edukacji w Polsce („Study in Poland”). Był prezesem Polskiej Agencji Prasowej, gdzie powołał serwis „Nauka w Polsce” i wymyślił konkurs Popularyzator Nauki. Jest doktorem honoris causa Politechniki Kijowskiej. Swoją funkcję będzie sprawował do 2026 roku. IREG Observatory on Academic Ranking and Excellence to zarejestrowana w Belgii międzynarodowa organizacja non-profit grupująca twórców i analityków rankingów akademickich. Jej członkami są zarówno główne organizacje rankingowe, jak i uniwersytety i agencje akredytacyjne.



Metrology z dofinansowaniem

WARSZAWA Ponad 21 mln zł otrzymają naukowcy z 15 uczelni i Łukasiewicz – Instytutu Tele- i Radiotechnicznego na realizację 26 projektów wyłonionych w premierowym konkursie „Polska Metrologia”. To wspólna inicjatywa ministra edukacji i nauki oraz prezesa Głównego Urzędu Miar. O finansowanie ubiegały się 83 przedsięwzięcia. Wśród beneficjentów przeważają uczelnie techniczne, w tym Politechnika Warszawska i Politechnika Lubelska (po 4 projekty). Najwięcej środków otrzymał Uniwersytet Morski w Gdyni, lider konsorcjum, które za 1 mln zł opracuje koncepcję budowy infrastruktury metrologicznej w obszarze akustyki podwodnej. Partnerami projektu są: Politechnika Gdańska i Uniwersytet Gdański. Inne zespoły zajmą się m.in. opracowaniem podstaw metrologicznych terapii z wykorzystaniem promieniowania jonizującego, analizą możliwości zastosowania sztucznej inteligencji w pomiarach nierówności powierzchni, metodą i urządzeniem do pomiaru długości startu i lądowania samolotu oraz standaryzacją pomiaru własności dielektrycznych materiałów na potrzeby technologii 5G.

Śląski akcent

KATOWICE Edyta Lachowicz-Santos z Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach została wybrana do Rady Generalnej European Association for International Education – jednego z najważniejszych stowarzyszeń branżowych zajmujących się umiędzynarodowieniem szkolnictwa wyższego. Będzie to jej druga z rzędu kadencja w tym gremium. W pracy EAIE angażuje się od 20 lat. Jest dyrektorem Biura Internacjonalizacji UE Katowice. Koordynuje działania związane z wdrażaniem głównych założeń strategii umiędzynarodowienia uczelni oraz pozyskiwaniem akredytacji i udziałem w sieciach współpracy akademickiej. W 2020 r. UE jako pierwszy na Śląsku otrzymał międzynarodową akredytację CEEMAN IQA. Rok temu na uczelni otwarto pierwszy w województwie Welcome Point.



Fot. EAIE

Wschodzący talent z Torunia

PARYŻ/TORUŃ Dr Karolina Mikulska-Rumińska z Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu została laureatką International Rising Talents. Doceniono ją za przełomowe odkrycia w kontekście ferroptozy, jednego z rodzajów śmierci komórki. Jest on kluczowy dla zidentyfikowania nowych rozwiązań,



Fot. L'Oréal

które mogą doprowadzić do leczenia chorób nowotworowych bądź neurodegeneracyjnych. Wykorzystując nowatorskie metody komputerowe, wskazała, w jaki sposób można go zahamować. To czwarta Polka z nagrodą International Rising Talents. Przed nią były: dr hab. Bernarda Szewczyk (2016), dr hab. Joanna Sułkowska (2017), dr Agnieszka Gajewicz (2018). Laureatki typowane są spośród stypendystek programu L'Oréal-UNESCO For Women in Science. Polska jest jednym z 118 krajów, w których utalentowanym badaczkom przyznawane są te stypendia.

Drony i nie tylko

WARSZAWA Wsparcie rozwoju systemów bezzałogowych w Polsce oraz stymulowanie współpracy naukowo-badawczej, a także biznesowej, poprzez udostępnienie specjalistycznej, niedostępnej dotychczas infrastruktury testowej – to główne cele porozumienia na rzecz budowy



Fot. MI

i rozwoju Sieci Poligonów Technologii Autonomicznych. W projekcie realizowanym pod auspicjami Ministerstwa Infrastruktury biorą udział: Akademia Morska w Szczecinie, Politechnika Poznańska, Politechnika Warszawska, Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe, Urząd Lotnictwa Cywilnego, Polska Agencja Żeglugi Powietrznej oraz Polska Izba Systemów Bezzałogowych. Sieć ma być kolejnym krokiem w stronę rozwoju badań nad maszynami autonomicznymi. Inicjatywa powstaje z myślą o podmiotach gospodarczych, zespołach konstrukcyjnych i akademickich, których projekty nie mogły być dotychczas w pełni testowane ze względu na nietypowy charakter, specyfikę poruszania się czy spore gabaryty. Sieć umożliwi testowanie nie tylko bezzałogowych maszyn latających, ale również jeżdżących i pływających.

Laboratorium ESA na Dolnym Śląsku

WROCŁAW Nowe laboratorium Europejskiej Agencji Kosmicznej powstanie na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu. ESA_Lab@UPWr będzie się specjalizować w obszarze rozwoju globalnych nawigacyjnych systemów satelitarnych (GNSS) do celów precyzyjnego pozycjonowania i nawigacji, wyznaczania orbit satelitów niskich i średnich, transferu czasu, badania ziemskiej atmosfery, w tym troposfery oraz jonosfery (czyli tzw. pogody kosmicznej), ruchu obrotowego Ziemi, a także procesów geodynamicznych. Jednostka zajmie się też organizacją wspólnych szkoleń, seminariów, transferem technologii, a także wymiany dla młodych naukowców, doktorantów i studentów, chcących się rozwijać w obszarze badań kosmicznych i satelitarnych. Obecnie UPWr realizuje finansowany przez ESA projekt dotyczący budowy rozwiązań technologicznych systemu nawigacyjnego dla Księżycy. Ma zostać wdrożony w 2026 r., a następnie wykorzystany przez przyszłe misje załogowe i bezzałogowe.

Wyróżnienia dla eksploratorów

WARSZAWA Po raz ósmy wręczono Nagrody im. Benedykta Polaka za wybitne osiągnięcia eksploracyjne. Uehonorowano nimi: dr hab. Joannę Bocheńską z Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalistkę w zakresie tematyki kurdyjskiej; prof. Janusza T. Pawęskę (na fot. z prawej), wirusologa z Narodowego Instytutu Chorób Zakaźnych Afryki Południowej, odkrywcę nowego arenawirusa wywołującego gorączkę krwotoczną i autora prac



Fot. MKiDN

dotyczących poszukiwania rezerwarów filowirusów; brytyjskiego astronoma prof. Jana Charlesa Żarneckiego, jednego z sześciu naukowców odpowiedzialnych za prowadzenie misji bezzałogowej „Huygens Surface Science Probe” na Tytan, współpracującego w trakcie przygotowań do niej z Centrum Badań Kosmicznych PAN. Nagrody, których patronem jest franciszkanin Benedykt Polak, wręczono na Uniwersytecie Warszawskim.

W Wielkopolsce cenią historyków

POZNAŃ Prof. Przemysław Matusik z Wydziału Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, wiceprezes Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, otrzymał Nagrodę Naukową Miasta Poznania. Doceniono jego czterotomową *Historię Poznania*. W uzasadnieniu napisano, że dzieło to „jest nie tylko zjawiskiem naukowym, ale i społecznym. Imponuje rozma-



Fot. AutoMedPrint

chem i stanowi drogowca, jak należy pisać książki historyczne”. Laureat zajmuje się dziejami XIX w., zwłaszcza zaboru pruskiego, przemianami religijnymi, procesami modernizacyjnymi i historią miejską. Od siedmiu lat jest redaktorem naczelnym „Kroniki Miasta Poznania”. Wśród jego publikacji znajdują się także m.in. monografia «Nadeszła epoka przejścia...». Nowoczesność w piśmiennictwie katolickim Poznańskiego 1836–1871 i przygotowana do druku klasyczna praca Moritza Jaffego *Poznań pod panowaniem pruskim*.

Lekarze na UW

WARSZAWA Po ponad 70 latach Uniwersytet Warszawski wraca do kształcenia lekarzy. Studia na nowym Wydziale Medycznym ruszą od października 2023 roku. Planuje się przyjęcie na pierwszy rok ok. 60 osób (limity przyjęć dla każdej uczelni kształcącej lekarzy i dentystów ustala każdego roku minister zdrowia), a w kolejnych latach liczba ta miałaby rosnąć. Planowane jest także uruchomienie studiów niestacjonarnych, anglojęzycznych oraz podyplomowych. Na początku wydział mieścić się będzie w budynku Centrum Nauk Biologiczno-Chemicznych UW przy ul. Żwirki i Wigury. Docelowo ma powstać odrębny budynek dydaktyczny. Nie wiadomo jeszcze, kto będzie dziekanem WM. Wydział Lekarski istniał już w strukturach UW. Działał (z przerwami) od 1816 roku. Był jednym z pięciu wydziałów tworzących strukturę nowo powstałego wówczas uniwersytetu. Został zamknięty w 1950 roku (wraz z Wydziałem Farmaceutycznym), a na jego bazie utworzono Akademię Medyczną w Warszawie (dzisiejszy WUM).

Nobliści z Pomorza Zachodniego

SZCZECIN Nagrodę promującą najważniejsze osiągnięcia naukowców z województwa zachodniopomorskiego otrzymali w tym roku: dr hab. Maciej Kowalewski (Uniwersytet Szczeciński), dr inż. Karolina Wenelska



Fot. WZP

(Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny), prof. Wojciech Kacalak (Politechnika Koszalińska), dr hab. Wojciech Drożdż (USz), dr hab. inż. Adam Lepczyński (ZUT), dr hab. Marcin Lener, dr Emilia Rogoża-Janiszewska i dr Paweł Rynio (wszyscy z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego), dr hab. Jan Harff (USz), prof. Katarzyna Dondalska (Akademia Sztuki). Nagroda Specjalna przyznana została dr. hab. Tomaszowi Huzarskiemu z PUM za wyjątkowo sprawne rekrutowanie i poprowadzenie w między-

narodowych próbach klinicznych pacjentek z rakami i mutacjami BRCA1/BRCA2. Zachodniopomorskie Noble wręczone są od 2001 roku autorom publikacji w wysoko notowanych czasopiśmie oraz wdrożonych lub sprzedanych patentów.

Lubelskie uczelnie razem

LUBLIN Związek Uczelni Lubelskich ogłosił cztery wspólne inicjatywy skierowane do studentów, doktorantów, naukowców i pracowników UMCS, Politechniki Lubelskiej, Uniwersytetu Medycznego i Uniwersytetu Przyrodniczego. W Akademickim Budżecie Partycypacyjnym organizacje studenckie, wydziały, instytuty, koła naukowe, pojedynczy studenci i pracownicy będą zgłaszać swoje pomysły, z których najpopularniejsze (w głosowaniu) zostaną zrealizowane w 2023 roku. Konkurs „Interprojekt” wyłoni interdyscyplinarne zespoły złożone z badaczy reprezentujących co najmniej trzy uczelnie zrzeszone w ZUL. Dzięki Wirtualnej Karcie Bibliotecznej będzie można nieodpłatnie, na zasadach wzajemności, korzystać z zasobów bibliotek głównych lubelskich uczelni. Konkurs „Staż za miedzą” adresowany jest do naukowców, którzy planują odbyć staż w jednej z uczelni ZUL, aby rozpocząć lub kontynuować badania naukowe bądź prace badawczo-rozwojowe.

AutoMedPrint produktem przyszłości

WARSZAWA Stworzony w Politechnice Poznańskiej system szybkiego, automatycznego projektowania i druku 3D spersonalizowanych ortez i protez kończyn, głównie dla dzieci, na podstawie danych z bezkontaktowych pomiarów antropometrycznych został

Poliskim Produktem Przyszłości w konkursie Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Jest rezultatem prac zespołu dr. hab. inż. Filipa Górskiego z Laboratorium Wirtualnego Projektowania na Wydziale Inżynierii Mechanicznej. Prototyp umożliwi produkcję czterech różnych wyrobów: ortez nadgarstka (do leczenia złamań i urazów w obszarze nadgarstka i przedramienia, a także terapii ręki, np. u dzieci z porażeniem spłotu barkowego), ortez stawu skokowego (w terapii np. mózgowego porażenia dziecięcego, rdzeniowego zaniku mięśni czy stabilizacji po urazach), kosmetycznej protezy ręki oraz kilku wersji mechanicznej protezy ręki (do celów ogólnych oraz np. do jazdy na rowerze). Do konkursu zgłoszono 163 projekty opracowane przez polskie firmy i naukowców. W sumie przez 24 lata nadesłano ponad 1360 projektów, z których 214 otrzymało nagrody i wyróżnienia.



Fot. AutoMedPrint

Współpraca: Aneta Adamska, Wojciech Brakowiecki, Monika Chrobak, Iwona Czajkowska-Deneka, Renata Korneluk, Agnieszka Książkiewicz, Agata Mitek, Małgorzata Moczulska, Krystyna Rappe-Niemirska, Maciej Ulita, Jadwiga Witek, Izabela Wólczańska, Anna Żmuda-Muszyńska

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Aneta Adamska, Wojciech Brakowiecki, Monika Chrobak, Iwona Czajkowska-Deneka, Renata Korneluk, Agnieszka Książkiewicz, Agata Mitek, Małgorzata Moczulska, Krystyna Rappe-Niemirska, Maciej Ulita, Jadwiga Witek, Izabela Wólczańska, Anna Żmuda-Muszyńska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Subwencja 2022+

Jak co roku, tak i teraz wyznaczona początkowo subwencja na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego i badawczego dla instytucji naukowych ulega zwiększeniu, przynajmniej dla niektórych podmiotów. W komunikacie ministra edukacji i nauki z 21 czerwca doszło do pierwszej korekty wysokości subwencji o 9 075,8 mln zł. Jej beneficjentem została Akademia Zamojska z grupy PUZ-ów, która do subwencji w wysokości 12 479,1 tys. zł otrzymała dodatkowe 7 176 mln zł, i Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych Polskiej Akademii Nauk IMoI, który do pierwotnej subwencji o wartości 2 114,8 tys. zł otrzymał dodatkowe 1 899,8 tys. zł, co oznacza wzrost o niemal 90%. Tym samym jednostki PAN otrzymały nie 801 436,6 tys. zł, ale 803 336,4 tys. zł. Wspomniane zwiększenie subwencji dla AZ i IMoI-u będą miały skutki przechodzące, tj. wejda do podstawy naliczania subwencji dla tych instytucji w następnym roku.

O tym, że dodatkowe 136 mln zł trafi do publicznych uczelni zawodowych, pisaliśmy w FA 6/2022. W ostatnich tygodniach obserwowaliśmy, jak swoje zwiększenia otrzymywały poszczególne uczelnie. Podział wspomnianej kwoty został opisany w komunikacie ministra edukacji i nauki z 23 czerwca br. o wysokości subwencji ze środków finansowych na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego przyznanych na rok 2022. Okazało się, że owe 136 mln zł zostało podzielone między 33 publiczne uczelnie zawodowe (zaliczono do tej grupy także Akademię Kaliską i Akademię im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim) oraz zawodową uczelnię kościelną – Prawosławne Seminarium Duchowne w Warszawie. W komunikacie z 6 maja o subwencji środki dla tej uczelni były wskazane osobno od środków dla PUZ-ów. Początkowo seminarium otrzymało 882,4 tys. zł, do których na podstawie komunikatu z 23 czerwca doszło dodatkowo 247,6 tys. zł, co razem daje 1 130,0 tys. zł.

Po zaspokojeniu potrzeb seminarzystów ze 136 mln zł dla PUZ-ów zostało 135 752,4 tys. zł. Pieniądze nie zostały podzielone proporcjonalnie w stosunku do pierwotnego podziału (z komunikatu ministra z 6 maja), być może dlatego, że taki postulat zgłosiła Kon-

ferencja Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych. Chodzi o to, że pierwotne subwencje dla tej grupy uczelni obciążone są historycznymi zaszłością (stała przeniesienia!), wskutek tego niektóre z nich uzyskiwały subwencję znacznie wyższą, niż by to wynikało z ich obecnego potencjału i potrzeb, za to inne – nieproporcjonalnie małą. Zatem minister, jak wynika z moich rozmów z rektorami kilku publicznych uczelni zawodowych, po prostu wprowadził zmiany, które korygują poprzednie, niewłaściwe wysokości subwencji. Po dodaniu wskazanej powyżej kwoty do wcześniejszych 767 172,8 tys. zł oraz wspomnianej w komunikacie z 21 czerwca podwyżki subwencji dla Akademii Zamojskiej, na subwencje dla PUZ-ów minister edukacji i nauki przeznaczył w sumie 910 101,2 tys. zł. Na razie są informacje, że ta kwota to jednorazowy dodatek i nie wejdzie ona do podstawy naliczania subwencji na 2023 r., co „zatwierdziłoby” korektę, którą sugerowała KRePUZ. Przypomnijmy, że uczelnie zawodowe czekają jeszcze na dodatkowe 136 mln zł (w postaci obligacji) od ministra zdrowia z przeznaczeniem na dofinansowanie kształcenia na kierunkach medycznych – w tym przypadku też będzie to dotacja jednorazowa.

Po czerwcowych korektach instytucje naukowe, za których finansowanie odpowiada MEiN, otrzymały 15 319 335,0 tys. zł w postaci subwencji na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego i badawczego w 2022 roku. Uprzywilejowane są wyraźnie publiczne uczelnie zawodowe, których subwencja wzrosła o ponad 18% w stosunku do ubiegłorocznej. Inne instytucje w większości (bo są nieliczne wyjątki, o których pisałem) musiały zadowolić się dwuprocentowym wzrostem subwencji, który nie pokrywa wzrostu kosztów wynikających z poziomu tegorocznej inflacji.

W chwili oddawania do druku tego numeru FA wciąż jeszcze nie pojawił się komunikat ministra zdrowia o podziale subwencji między uniwersytety medyczne.

Piotr Kieraciński



Rys. Sławomir Makal

Inaczej niż w algorytmie

Dr hab. Dariusz Surowik, prof. ANS, rektor Akademii Nauk Stosowanych w Łomży i przewodniczący Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych, mówi o potrzebie zmiany sposobu podziału subwencji w grupie publicznych uczelni zawodowych.

O kwocie 136 mln zł przeznaczonej jeszcze w tym roku na wsparcie naszych uczelni zostaliśmy oficjalnie poinformowani na Zgromadzeniu Plenarnym Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych we Włocławku. Tę dobrą wiadomość przekazał nam pan minister Sebastian Skuza, z informacją, że środki te będą prawdopodobnie podzielone proporcjonalnie na wszystkie uczelnie, a wzrost subwencji w przypadku każdej uczelni wyniesie około 18%. Zgłosiliśmy postulat, aby dokonać podziału w sposób bardziej zróżnicowany. Podczas tego spotkania ogromnym zainteresowaniem cieszyło się wystąpienie pana Jarosława Oliwy, dyrektora Departamentu Budżetu i Finansów w Ministerstwie Edukacji i Nauki, w którym przedstawił parametry poszczególnych publicznych uczelni zawodowych i ich wpływ na wysokość subwencji. Jak się okazało, część uczelni ma bardzo dobre parametry, ujmowane w algorytmie wyliczania subwencji, ale ze względu na poprzedni algo-



rytm oraz na wysoką stałą przeniesienia, otrzymują subwencję znacznie niższą niż inne uczelnie, które mają gorsze parametry. Postulowaliśmy zatem, aby wyrównać szanse naszych uczelni poprzez inny podział tych dodatkowych środków. Dokonany podział zwiększenia subwencji wskazuje na to, że ministerstwo uwzględniło nasz postulat i uczelnie, które pierwotnie otrzymały środki mniejsze, niż by to wynikało z ich potencjału i parametrów uwzględnianych w algorytmie, otrzymały subwencję zwiększoną. Mamy nadzieję, że jest to pierwszy krok w kierunku trwałej zmiany sposobu podziału subwencji pomiędzy publiczne uczelnie zawodowe.

Dzięki decyzjom ministra edukacji i nauki, nie tylko tym finansowym, ale także np. legislacyjnym, nasze uczelnie mają dzisiaj znacznie większe możliwości edukacyjne i mogą funkcjonować na zupełnie innym niż poprzednio poziomie.

Od września nowa Akademia

Prezydent Andrzej Duda podpisał 21 czerwca ustawę o Akademii Kopernikańskiej. Jej projekt był przygotowywany wspólnie przez resort edukacji i nauki oraz Kancelarię Prezydenta. Głównym zadaniem nowej instytucji będzie realizacja Narodowego Programu Kopernikańskiego, który obejmuje: finansowanie badań naukowych, wspieranie Szkoły Głównej Mikołaja Kopernika, przyznawanie Nagród Kopernikańskich, powoływanie Ambasadatorów Akademii Kopernikańskiej, organizację Światowego Kongresu Kopernikańskiego, współpracę międzynarodową.

Akademii będzie tworzyło 6 izb: Astronomii i Nauk Matematyczno-Przyrodniczych, Nauk Medycznych, Nauk Ekonomicznych i Zarządzania, Filozofii i Teologii, Nauk Prawnych oraz Laureatów Nagrody Kopernikańskiej. Poza ostatnią, w ich składzie znajdzie się od 10 do 20 członków (łącznie nie więcej niż 100), powołanych przez prezydenta na wniosek Zgromadzenia Ogólnego. Pracami każdej kierują przewodniczący wybierani na jedną 7-letnią kadencję. Pierwszych członków Akademii (w liczbie nieprzekraczającej połowy pełnego składu każdej z izb) powoła prezydent na wniosek ministra edukacji i nauki.

Organami Akademii są: Zgromadzenie Ogólne, Sekretarz Generalny oraz Prezydium. Zgromadzenie – jako organ kolegialny, w skład którego wchodzi wszyscy członkowie AK – będzie najwyższą jej władzą. Posiedzenia (raz w roku) zwołuje sekretarz powoływany przez prezydenta na okres 7 lat spośród członków Akademii, którzy uzyskują największe poparcie w Zgromadzeniu. Przewidziano także instytucję sprzeciwu, który przysługuje Prezesowi Rady Ministrów względem wybranego kandydata (w tej sytuacji Zgromadzenie powinno przedstawić alternatywnego kandydata). Do sekretarza należeć będzie bieżące kierowanie działalnością Akademii i reprezentowanie jej na zewnątrz. W strukturze nowej instytucji pojawiają się także: Biuro odpowiedzialne za jej obsługę administracyjną oraz Centrum Badawcze Mikołaja Kopernika, które zajmie się m.in. organizowaniem sympozjów naukowych, konferencji, debat i interdyscyplinarnych spotkań tematycznych oraz finansowaniem badań naukowych.

Program stypendialny przewidziany w ustawie ma dwa zasadnicze komponenty: instrumenty wsparcia badań naukowych oraz staży naukowych

dla młodych naukowców – Stypendia Kopernikańskie oraz Granty Mikołaja Kopernika przeznaczone dla uczonych, również zagranicznych, o uznanej renomie międzynarodowej. Ustawa przewiduje także utworzenie powiązanej strukturalnie z Akademią uczelni publicznej – Szkoły Głównej Mikołaja Kopernika. Prezydium Akademii będzie wypełniać zadania rady uczelni oraz – na wniosek ZO – powoływać rektora. Choć siedzibę SGMK wyznaczono w Warszawie, instytucja zintegruje jednostki funkcjonujące na terenie kraju: Kolegium Astronomii i Nauk Przyrodniczych w Toruniu, Kolegium Nauk Medycznych w Olsztynie, Kolegium Nauk Ekonomicznych i Zarządzania w Warszawie, Kolegium Filozofii i Teologii w Krakowie, Kolegium Nauk Prawnych w Lublinie.

Nagrody Kopernikańskie (500 tys. zł) będą przyznawane w drodze konkursu za wybitne osiągnięcia naukowe o przełomowym znaczeniu oraz zasięgu międzynarodowym. Zasadniczo planuje się wyłonienie jednego laureata rocznie, kolejno w kategoriach: astronomia, ekonomia, medycyna, filozofia lub teologia albo prawo. Wyboru dokona Prezydium Akademii, natomiast kandydatów mogą zgłaszać: prezydent, Prezes Rady Ministrów, minister edukacji i nauki, Izba Akademii, 10 członków Akademii lub wcześniejsi laureaci. Pierwsza Nagroda Kopernikańska zostanie przyznana w 2023 r. Laureaci staną się członkami Akademii.

Raz na pięć lat organizowany będzie Światowy Kongres Kopernikański, mający na celu wymianę informacji, doświadczeń oraz wyników najnowszych innowacyjnych badań z zakresu astronomii, ekonomii oraz medycyny, czyli obszarów zainteresowań naukowych patrona Akademii. Pierwsze tego typu wydarzenie już w przyszłym roku, w 550. rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika, w Toruniu. Przyjadą badacze z całego świata zajmujący się tematyką kopernikańską.

Ustawa wejdzie w życie 1 września 2022 r., z wyjątkiem przepisów dotyczących Szkoły Głównej Mikołaja Kopernika (od 1 marca 2023 r.).

Tuż po objęciu urzędu ministra edukacji i nauki dr hab. Przemysław Czarnek zapowiadał utworzenie dyscypliny nauki o rodzinie. Teraz ten pomysł ujrzał światło dzienne w postaci projektu rozporządzenia zawierającego de facto uzupełnienie istniejącego od 2018 r. podziału nauk. Uzupełnienie to jest jednak znacznie poważniejsze niż tylko o jedną dyscyplinę nauki o rodzinie.

Warto przypomnieć historię podziału nauk w Polsce w ostatnich latach. Nie będę sięgał daleko wstecz, ale jedynie do roku 2011, gdy pojawiło się pierwsze ministerialne rozporządzenie w tej sprawie (wcześniej podział nauk ogłaszała w stosownej uchwale Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów). Wtedy to minister nauki prof. Barbara Kudrycka w rozporządzeniu z 8 sierpnia wprowadziła trójstopniowy podział nauk, składający się z 8 obszarów (z tym, że w obszarach nie nadawano stopni ani tytułów naukowych), 22 dziedzin, z tym, że 7 dziedzin występowało tylko jako dziedziny, nie mając „pod sobą” żadnych dyscyplin (a zatem pełniły też rolę dyscyplin, gdyż nadawano w nich stopnie naukowe) oraz 95 dyscyplin. W rezultacie stopnie i tytuły można było nadawać w 102 dziedzinach i dyscyplinach.

Sprawę komplikował system nauk stosowany przy przyznawaniu grantów przez Narodowe Centrum Nauki. Był on zbliżony do tego, którym posługiwała się Europejska Rada Badań Naukowych (ERC), ale nomenklaturowo przekornie odwrotny w stosunku do naszego systemu „narodowego” ustanowionego przez ministra nauki. To istniejący do dziś podział dwustopniowy (ale właściwie trójstopniowy) na 3 obszary i 25 dyscyplin (organizacyjnie są to panele oceniające NCN). W każdym z paneli dookreśla się jednak „dziedziny” wiedzy (które w NCN są znaczeniowo węższe od dyscyplin, wbrew podziałowi ministerialnemu), a tych jest ponad 129, w tym 26 w obszarze nauk humanistycznych, społecznych i o sztuce, 61 w obszarze nauk ścisłych i technicznych oraz 42 w obszarze nauk o życiu. Nie przypadkiem napisałem, że „dziedzin” jest „ponad 129”, bowiem niektóre określone są jako np. „wszystkie dziedziny matematyki, teoretyczne oraz stosowane”, a zatem w jednym określeniu zawiera się wiele „dziedzin”. Ostatnia rubryka podziału nauk NCN jest, jak rozumiem, otwarta, zatem można ją uzupełniać i dookreślać wraz z rozwojem nauki, pojawianiem się nowych tematów i problemów badawczych. Trudno podziałowi NCN wiele zarzucić, bowiem mieści się w nim i sztuka, i teologia. Nie pomija on żadnego ważnego pola badań naukowych, a pozostaje otwarty na rozwój wiedzy. Jest to jednak podział nauk podstawowych, bowiem Centrum z założenia nie finansuje, a zatem też nie interesuje się za bardzo naukami aplikacyjnymi.

Obowiązujący obecnie podział, wprowadzony rozporządzeniem ministra nauki Jarosława Gowina z 20 września 2018 r., miał bazować na podziale Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. Ten, podobnie jak podział NCN, ma charakter otwarty, ale w przeciwieństwie do podziału ERC jest nastawiony zdecydowanie na B+R, czyli na nauki stosowane, nawet jeśli uwzględnia klasyczne dyscypliny teoretyczne/podstawowe. Naukę podzielono w nim funkcjonalnie na 6 dziedzin i 42 dyscypliny, z tym że faktycznie dyscyplin dookreślonych jest 36, a pozostałe to dodatkowe „dyscypliny otwarte”, czyli miejsca, do których można wrzucić wszystko, co nie mieści się w zdefiniowanych 36. Nasz podział, który miał bazować na OECD, faktycznie bardzo daleko od niego odszedł, nie tylko wskutek wprowadzenia sztuki i teologii, ale także pominięciu pewnych ważnych i uwzględnianych na całym świecie dyscyplin wiedzy oraz wyodrębnieniu bardzo szczegółowych tematów badawczych, które na świecie mieszczą się zwykle w szerszych dyscyplinach. Mam na myśli choćby archeologię i astronomię – u nas wyodrębnione w osobne dyscypliny, za granicą zaś zwykle „ukryte” w szerszych dyscyplinach, odpowiednio historii i fizyce. O różnicach między podziałem obowiązującym u nas i podzia-

łem OECD pisałem w artykule *Światowo, ale po naszymu* (FA 10/2018), który jest dostępny na portalu forumakademickie.pl.

Mamy zatem od jesieni 2018 roku 8 dziedzin: 7 nauki i dziedzinę sztuki. W tychże dziedzinach jest 47 dyscyplin, z tym że nauki teologiczne są jednocześnie dziedziną i dyscypliną. Taki zestaw dyscyplin był ewaluowany (na ostateczne oficjalne wyniki kategoryzacji instytucji naukowych w dyscyplinach nauki wciąż czekamy). Z tego podziału wynikają poważne konsekwencje dotyczące uprawnień do nadawania stopni naukowych oraz finansowania instytucji naukowych, a wiele osób zapewne powie, że konsekwencje są znacznie głębsze – znajduje to choćby odzwierciedlenie w uzasadnieniach dopisania nowych dyscyplin w projekcie najnowszego rozporządzenia w tej sprawie.

W dokumencie ministerialnym, który pojawił się ostatnio, mamy 10 dziedzin nauki, czyli o 2 więcej niż dotychczas, oraz 54 dyscypliny – o 7 więcej niż teraz. Dochodzi dziedzina nauk o rodzinie, w której jest dyscyplina o tej samej nazwie, oraz dziedzina nauk weterynaryjnych z taką samą dyscypliną, a precyzyjnie – z weterynarią. Gdyby zatem rozporządzenie weszło w życie w obecnej postaci, będziemy mieli 2 dziedziny będące równocześnie dyscyplinami. I nie jest to proste dodanie dwóch dziedzin o takim charakterze, bowiem status dyscyplino-dziedziny miałyby stracić nauki teologiczne, gdyż w projekcie rozporządzenia w dziedzinie nauk teologicznych pojawiła się nowa dyscyplina – nauki biblijne, zatem w tej dziedzinie mamy już dwie dyscypliny. Warto zauważyć, że w przypadku weterynarii mamy do czynienia z powrotem do sytuacji z 2011 r., gdy weterynaria była dziedziną i dyscypliną równocześnie. Równocześnie wyodrębnienie weterynarii w osobną dyscyplinę uszczupliło do czterech ich liczbę w dziedzinie nauk rolniczych. Warto przypomnieć, że w podziale z 2011 r. w dziedzinie nauk społecznych istniały nauki o rodzinie, zatem nie jest to całkowite novum w naszym podziale nauk.

W projekcie rozporządzenia znajdujemy 54 dyscypliny nauki, czyli o 7 więcej niż obecnie (to już więcej niż połowa „dawnych” dyscyplin!). Do dotychczasowego zestawu, oprócz już wspomnianych nauk o rodzinie i nauk biblijnych, doszła także w dziedzinie nauk humanistycznych etnologia i antropologia. Ta dyscyplina jest powszechna na świecie i jej brak w zestawieniu z 2018 r. był poważnym tegoż mankamentem. Jak w podziale nauk mogło zabraknąć nauki *explicite* o człowieku? Trzeba też pamiętać, że antropologia bywa rozmaicie rozumiana: łączy w sobie antropologię kulturową i biologiczną (fizyczną) bądź ogranicza się do antropologii kulturowej. Ta sprawa nie jest w ministerialnym projekcie doprecyzowana, a obie są uprawiane na świecie i w Polsce. Warto wrócić do nauk biblijnych. Na świecie to wyodrębniona dyscyplina, rozumiana szerzej niż tylko jako teologia biblijna. W Polsce właśnie w tym obszarze mamy grupę dobrych specjalistów, publikujących i rozpoznawalnych międzynarodowo. Zatem wyodrębnienie nauk biblijnych motywowane jest tak samo, jak w przypadku astronomii – niedużej w naszym kraju, ale odnoszącej sukcesy międzynarodowe. Jednak w naukach biblijnych z pewnością specjalizuje się znacznie mniejsza grupa badaczy niż w maleńkiej astronomii. W obecnym zestawieniu mamy już jedną dyscyplinę – prawo kanoniczne. Do ewaluacji zgłoszono dorobek nieco ponad 50 badaczy. Czy podobnie będzie z naukami biblijnymi? I jeszcze jedna uwaga. Kilku teologów zwróciło uwagę na to, że to właśnie bibliści podnoszą poziom naszej teologii. Gdy zostaną wyodrębnieni, ta stanie się znacząco słabsza, co może negatywnie wpłynąć na możliwość uzyskania wysokich kategorii.

W dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych doszły 2 dyscypliny: inżynieria bezpieczeństwa oraz ochrona dziedzictwa i konserwacja zabytków. Warto zauważyć, że tym samym zarówno konserwacja, jak i bezpieczeństwo będą polami badań, które pojawiłyby się

Dyscypliny interdyscyplinarne

Projekt rozporządzenia w sprawie dziedzin nauki i dyscyplin naukowych oraz dyscyplin artystycznych oznacza jeszcze dalsze niż obecnie odejście od systemu OECD, który miał stanowić wzorzec dla naszego krajowego podziału nauk. Będzie to miało konsekwencje dla struktury instytucji naukowych, gdyż zapewne szybko pojawią się jednostki zagospodarowujące „nowe” dyscypliny badawcze. Wkrótce zgłoszą się naukowcy z wnioskami o przypisanie ich do nowych dyscyplin, a wówczas te wystąpią o ewaluację i przyznanie kategorii naukowych, co może skutkować przyznaniem uprawnień do doktoryzowania i habilitowania, a w rezultacie zmianami w szkołach doktorskich. Niektóre postulowane nowe dyscypliny będą bardzo małe. Już teraz kilka dyscyplin jest tak wąskich, że nie ma mowy o uniknięciu konfliktu interesów przy recenzowaniu dorobku naukowego. Zapewne po wejściu w życie rozporządzenia w obecnej formie w kilku dyscyplinach będzie to jeszcze trudniejsze. W wyniku konsultacji społecznych mogą pojawić się propozycje dodatkowych dyscyplin, a niekonsekwencje naszego systemu łatwo pozwolą uzasadnić ich wprowadzenie.

Warto przyrzeć się krytykowanym często naukom o rodzinie. To faktycznie interdyscyplinarny obszar badań, bowiem rodzina może być badana różnymi metodologiami, w różnych aspektach, a rezultaty takich prac będą komplementarne wobec siebie. Tylko łącznie będą dawały pełny obraz tej wbrew pozorom skomplikowanej struktury społecznej i formy funkcjonowania człowieka. Tylko w ten sposób możemy naprawdę poznać fenomen rodziny. Tego rodzaju badania i wiedza są nam niezbędne. Musimy rozumieć, jak funkcjonuje i jak powinna funkcjonować ta wyjątkowa pod każdym względem forma więzi społecznej, która nasze ludzkie społeczeństwa konstituuje, zapewnia ludziom sensowne warunki przetrwania i rozwoju, daje możliwości, jakich nie daje żadna inna forma organizacji społecznej. Wydaje się być najkorzystniejszym środowiskiem dla wszechstronnego rozwoju człowieka, a na dodatek wydaje się być formą naturalną, która wyewoluowała historycznie, a zatem – ekologiczną. Podziały nauk, które znamy z praktyki, także ten NCN-owski, dalekie są od standardów metodologicznych w sensie metodologii nauk. Zatem także i dyscyplina, która posługuje się tak różnymi metodami naukowymi jak badania nad rodziną, może w tym podziale z powodzeniem funkcjonować. Co więcej, funkcjonowanie na pograniczu wielu dyscyplin otwiera najszersze perspektywy badawcze. Na pewno współczesny kryzys rodziny i próby jej antyekologicznego i antyhumanistycznego redefiniowania wymagają podjęcia szerokich i obiektywnych badań nad tą sferą funkcjonowania człowieka i społeczeństwa. Czy jednak utworzenie odrębnej dyscypliny, budzącej tyle sprzeciwu w społeczności akademickiej, będzie najlepszym rozwiązaniem? Może lepiej byłoby, aby zamiast tego powstały szerokie, interdyscyplinarne, dobrze finansowane, wieloletnie narodowe czy ministerialne programy badań nad rodziną, w których miejsce dla siebie znaleźliby specjaliści z różnych dyscyplin i instytucji naukowych?

Nowy podział nauk otwiera drogę do dalszych zmian, wprowadzania coraz to nowych dyscyplin. Wciąż nie uwolniliśmy się od patrzenia na naukę z indywidualnego punktu widzenia, nie licząc się z interesem publicznym. Warto tu przywołać wystąpienie prof. Ryszarda Nycza na ostatnim kongresie polonistów, w którym postulował on powołanie dyscypliny „polonistyka” czy „filologia polska”. Na pewno z punktu widzenia narodowego, państwowego miałyby to sens, zwłaszcza w perspektywie pedagogiki państwowej. Na uniwersytetach brytyjskich i amerykańskich funkcjonują takie dyscypliny, jak English Studies czy Polish Studies. Skoro uznajemy je – te uczelnie – za tak doskonałe, to może także to być argumentem za tworzeniem takiej dyscypliny. Pamiętajmy, że na kilku poważnych uczelniach w Polsce przetrwały jednostki polonistyczne, zwykle jako filologie. „Polonistykę” można by potraktować szerzej jako studia nad językiem i kulturą (nie w oderwaniu od historii) polską.

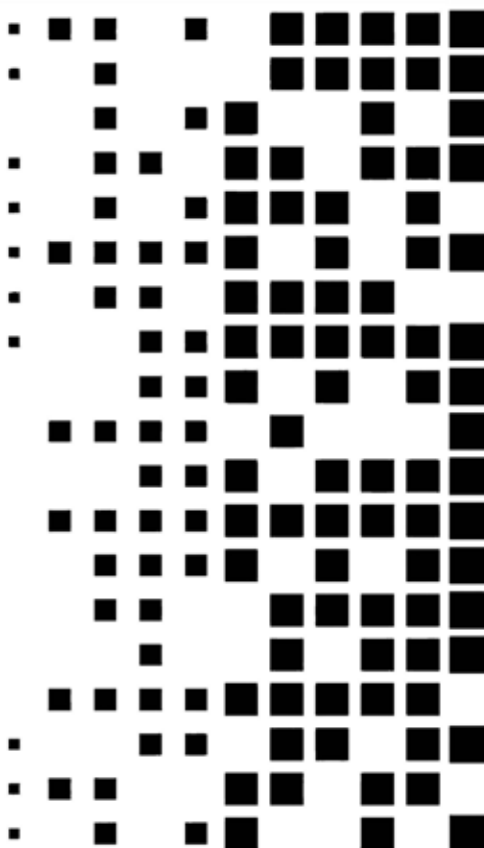
Piotr Kieraciński

w naszym podziale nauk w dwóch dziedzinach równocześnie. Konserwacja w dziedzinie nauk o sztuce jako konserwacja dzieł sztuki (jak w podziale z 2018 r.) oraz nauk inżynieryjno-technicznych jako konserwacja zabytków, a bezpieczeństwo w dziedzinie nauk społecznych oraz inżynieryjno-technicznych.

W dziedzinie nauk o zdrowiu w projekcie rozporządzenia pojawia się biotechnologia. Brak tej dyscypliny, która do 2018 r. występowała aż w czterech dziedzinach: nauk biologicznych, chemicznych, technicznych i rolniczych, razi w obecnym podziale. Dlaczego jednak miałyby pojawić się akurat w dziedzinie nauk o zdrowiu? Oczywiście, autor projektu rozporządzenia uzasadnia to tym, że taka dyscyplina istnieje w podziale OECD, a do tego „będzie spójna z polityką rządu w zakresie biotechnologii opisaną w Rządowym Planie Rozwoju Sektora Biomedycznego na lata 2022–2031, z powołaniem Pełnomocnika Prezesa Rady Ministrów do spraw rozwoju sektora biotechnologii i niezależności Polski w zakresie produktów krwiopochodnych, działalnością Agencji Badań Medycznych oraz realizacją projektu utworzenia polskiego hubu biotechnologicznego”. Zapewne pojawią się, a nawet już są, stanowiska, które postulują, aby to pierwszy człon nazwy „biotechnologia” zdecydował o przynależności tej dyscypliny do dziedziny nauk biologicznych.

W dziedzinie nauk społecznych w projekcie pojawiają się stosunki międzynarodowe, co uzasadnia się potrzebą takiej dyscypliny dla rozwoju kadr, w tym na potrzeby działalności dyplomatycznej. Taka dyscyplina istniała wcześniej, nie jest zatem niczym szczególnym jej powrót do i tak niekonsekwentnego podziału. Czy jednak trzeba te niekonsekwencje pogłębiać?

Piotr Kieraciński



rys. Sławomir Makal

Prof. Przemysław Wojtaszek, biolog, prorektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza ds. projektów badawczych i doktorantów, niegdyś dziekan Wydziału Biologii tej uczelni, przedstawia wątpliwości dotyczące propozycji umieszczenia biotechnologii w dziedzinie nauk medycznych.

Projekt rozporządzenia w sprawie dziedzin nauki i dyscyplin naukowych oraz dyscyplin artystycznych z roku 2022 przywraca biotechnologię na liście dyscyplin naukowych po kilkuletniej nieobecności. Przypisuje ją jednak do dziedziny nauk medycznych i nauk o zdrowiu, uzasadniając to określonymi interesami państwa. Po raz kolejny otwiera się dyskusja o miejscu biotechnologii w krajobrazie polskiej nauki.

Określanie listy dziedzin i dyscyplin nauki i sztuki zawsze budziło i budzi bardzo duże emocje. Można by je ignorować, gdyby brały się one wyłącznie z naruszenia przyzwyczajęń. Jednak ich źródłem jest wzmocnienie znaczenia dyscyplin wynikające z Ustawy 2.0, czyli powiązanie ich z ewaluacją, a tej z uprawnieniami do nadawania stopni naukowych, a także potencjalnej ingerencji w istniejącą strukturę uczelni – w wielu uczelniach strukturę dopasowano do nowych warunków działania. Dotknęło to również jednostki zajmujące się biotechnologią, a rozwiązać było tyle, ile jednostek prowadzących badania biotechnologiczne. Wśród nich były i takie, jak przypisanie osiągnięć badawczych w biotechnologii do dyscypliny biologia medyczna zamiast do nauk biologicznych. Dziś w uzasadnieniu projektu właśnie to znajdujemy jako jedną z przyczyn proponowanej zmiany. Zatem projektodawca znakomicie rozwiązuje problem, który sam stworzył.

Można się zastanawiać, czy uda się ukształtować kadrę naukową dyscypliny biotechnologia w naukach medycznych, a jeżeli tak, to w jak długim czasie? Najstarsze kierunki studiów biotechnologicznych w uniwersytetach i politechnikach niedługo obchodzić będą 35-lecie istnienia. Najbardziej znana jednostka tego typu – Międzyuczelniany Wydział Biotechnologii Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego – w przyszłym roku świętować będzie 30 lat swojej działalności. Na stronach Polskiej Komisji Akredytacyjnej wykazanych jest 90 ocen programowych kierunku biotechnologia od roku 2005. Są tam prawie wszystkie „klasyczne” uniwersytety, większość politechnik i uniwersytetów przyrodniczych, ale tylko dwie uczelnie medyczne. Dodajmy do tego jeszcze jeden argument: biotechnologia w Polsce to przede wszystkim badania podstawowe. I tak

też ten obszar badań traktuje Narodowe Centrum Nauki, dzisiejsze słowa kluczowe opisujące panele NCN wskazują wyraźnie na miejsce biotechnologii w obszarze NZ i w panelach NZ1 (Podstawowe procesy życiowe na poziomie molekularnym) oraz NZ9 (Podstawy stosowanych nauk o życiu).

To, co powiedziano powyżej, sugeruje wyraźnie, że najbardziej racjonalnym miejscem dla dyscypliny biotechnologia jest dziedzina

nauk ścisłych i przyrodniczych. Nie tylko dlatego, że w uczelniach prowadzących badania w tym zakresie jest najwięcej kadry, a więc i najszybciej pojawić by się mogły dyscypliny podlegające ewaluacji oraz kształtujące kadry dla przyszłego rozwoju dyscypliny. Także nie dlatego, że w polskim, ale i europejskim systemie prawnym biotechnologia prawie całkowicie ograniczona jest do badań podstawowych. Wszak nawet wprowadzenie szczepionek chroniących przed objawami COVID-19 wywołanymi przez koronawirusa SARS-CoV-2 odbyło się na drodze dopuszczenia warunkowego. Cztery lata temu, zgłaszając uwagi do projektu dziś obowiązującego rozporządzenia, Konferencja Dziekanów Wydziałów Przyrodniczych Uniwersytetów Polskich w swoim piśmie zaznaczyła, że: „przygotowa-



wana (...) [dla celów statystycznych OECD] lista określił obejmuje pięć kategorii: 1) DNA (kodowanie); 2) białka i cząsteczki (bloki funkcjonalne); 3) kultura komórek i tkanek i ich inżynieria; 4) biotechnologia procesowa; 5) organizmy subkomórkowe (terapię genowe, wektory wirusowe). Przynajmniej 4 z pięciu kategorii są domeną nauk biologicznych, mieszczących się (...) w dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych”.

Cztery lata temu jako KDWP napisaliśmy, że polski podział nauk zgubił te obszary badań, które są podstawą najnowocześniejszych technologii na świecie, wymieniając bio- i nanotechnologie. Może więc, jeżeli rzeczywiście chcemy unowocześnienia polskiej nauki i wpisania jej w najnowsze trendy światowe, warto pomyśleć o tym, by wyodrębnić nową dziedzinę, nazwaną „nowe technologie” czy „badania międzydziedzinowe” i w niej umieścić na początek dyscypliny nanotechnologia i biotechnologia.

Czy potrzebna jest dyscyplina „ochrona dziedzictwa i konserwacja zabytków”?

Prof. Sylwester Czopek, archeolog, przewodniczący Komitetu Nauk Pra- i Protohistorycznych PAN, rektor Uniwersytetu Rzeszowskiego, przedstawia problemy, jakie może spowodować wprowadzenie na listę dyscyplin naukowych w dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych, ale i w szeroko pojętej rzeczywistości akademickiej, w tym kształceniu wyższym, nowej dyscypliny ochrona dziedzictwa i konserwacja zabytków.

W opublikowanym 29 czerwca projekcie nowego rozporządzenia ministra edukacji i nauki dotyczącego rozszerzenia katalogu obowiązujących do tej pory dyscyplin naukowych, a także ich przypo-

rządkowania do dziedzin nauki, znalazła się nowa dyscyplina pod nazwą „ochrona dziedzictwa i konserwacja zabytków”. Umieszczono ją w dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych. Pomysł ten,

jak dowiadujemy się z dokumentu ministerialnego, powstał w środowisku Komitetu Architektury i Urbanistyki PAN oraz Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków. We wniosku wskazano na „rozproszenie edukacji akademickiej i badań naukowych z zakresu ochrony dziedzictwa i konserwacji zabytków w obszarze tzw. Built Heritage, tj. dziedzictwa budowlanego” (tekst z uzasadnienia projektu). Można zatem przyjąć, że tytułowa „ochrona dziedzictwa” jest tu rozumiana bardzo wąsko, stąd zapewne zabrakło w nazwie doprecyzowania przymiotnikowego, które zazwyczaj pojawiało się w określeniach jako dziedzictwo kulturowe, archeologiczne dziedzictwo kulturowe, niematerialne dziedzictwo kulturowe, podwodne dziedzictwo kultury i inne. Jeśli więc dyscyplina ta ma pozostać w dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych, należałoby ją doprecyzować, używając terminu „ochrona dziedzictwa budowlanego i konserwacja zabytków”. Jednakże w tym samym akapicie uzasadnienia znajdujemy termin „dziedzictwo kulturowe”, co wydaje się pomyłką albo celowo rozumianym synonimem dziedzictwa budowlanego. Fakt ten budzi co najmniej niepokój, bowiem niebezpiecznie rozszerza zakresy badań nowej dyscypliny.



W dyskusji o kontrowersyjnej dyscyplinie i ewentualnych skutkach jej wprowadzenia należy uwzględnić co najmniej trzy aspekty – naukowy, jego wpływ na dydaktykę oraz pragmatykę i działalność konserwatorską. Istotnym elementem określającym każdą dyscyplinę naukową jest przedmiot badań i cel procesu poznania. W analizowanym przypadku przedmiotem jest albo dziedzictwo en bloc, albo tylko dziedzictwo budowlane, które jako jedyne może być akceptowane w kontekście konserwacji zabytków rozumianej wąsko, skoro przyporządkowano dyscyplinę do nauk inżynieryjno-technicznych. Całościowe rozumienie dziedzictwa kulturowego ludzkości, w którym oczywiście mieszczą się też zabytkowe obiekty murowane, jest pojęciem znacznie szerszym i od dawna rozumianym jako interdyscyplinarne. Tak stanowi polskie ustawodawstwo oraz liczne regulacje europejskie (konwencje, stanowiska). W jego zakres, co przynajmniej częściowo, jak i teoretycy, wchodzi co najmniej częściowo inne dyscypliny z różnych dziedzin: humanistyki – archeologia, nauki o kulturze i religii, historia oraz etnologia i antropologia, a także nauki o sztuce (dwie ostatnie obecne w proponowanym zarządzeniu); nauk społecznych – nauki prawne, geografia społeczno-ekonomiczna i gospodarka przestrzenna, ekonomia i finanse, nauki o zarządzaniu i jakości; nauk przyrodniczych – nauki o Ziemi i środowisku; nauk rolniczych – rolnictwo i ogrodnictwo; sztuki – sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki; nauk inżynieryjno-technicznych – architektura i urbanistyka. Co do celu poznania nowej dyscypliny, możemy ponownie wskazać identyczne dwa konteksty: wąsko zadaniowy (architektura) i bardzo szeroki, który nie przystaje do dziedzictwa budowlanego (np. w zakresie ochrony parków i ogrodów czy archeologicznego dziedzictwa kulturowego). Można w tym przypadku także zadać pytanie, czy w ogóle ma sens wydzielenie z architektury i urbanistyki konserwacji zabytków, co można rozumieć jako wąską specjalność. Idąc tym tropem, można prowokacyjnie zapytać: dlaczego z nauk biologicznych nie wyodrębniamy zoologii czy botaniki? Zwróćmy także uwagę, że w proponowanym systemie dyscyplin będą obecne dwie konserwacje: dzieł sztuki (już istniejąca) oraz zabytków (nowa). Nie ma potrzeby rozwijania dyskusji na temat obydwu zakresów, ale nie dla wszystkich taki podział będzie czytelny i zasadny.

Zwracając uwagę na szerokie zakresy właściwego dziedzictwa kulturowego, dla badania którego musimy dysponować szeroką wie-

dzą interdyscyplinarną, co określają sylwetki absolwentów wszystkich programów studiów (stacjonarnych i podyplomowych), które w nazwie mają dziedzictwo kulturowe, w różnych wszakże mutacjach (np.: ochrona dóbr kultury; zarządzanie dziedzictwem kulturowym i ochrona zabytków; dziedzictwo kultury materialnej). Zwraca się tam uwagę (i słusznie) nawet na poznawanie łaciny klasycznej i wczesnośredniowiecznej. W zdecydowanej większości są to studia uniwersyteckie, przypisane do kierunków humanistycznych lub nauk o sztuce. Jeżeli powstałaby dyscyplina „ochrona dziedzictwa i konserwacja zabytków”, to kierunki te w jakichś zakresach musiałyby co najmniej części swoich efektów kształcenia do niej przypisać. Nie rozwiązuje to żadnego problemu dobrze funkcjonujących dziś kierunków uniwersyteckich, a wręcz przyniesie zasadnicze problemy. Jeśli kształcenie studentów byłoby zgodne z intencją powołania nowej dyscypliny, to powinno być ono bardziej praktyczne, związane z nabywaniem wiedzy i umiejętności w zakresie konserwacji budynków-zabytków, co jak wiadomo wymaga ogromnej wiedzy i doświadczenia. Czy będzie jeszcze czas na poznawanie dziedzic-

stwa kulturowego i zasad jego ochrony/zarządzania nim? W ochronie zabytków, w rozumieniu ciągle obowiązującej Ustawy o ochronie i opiece nad zabytkami z 2003 roku (z późniejszymi zmianami, ostatnia nowelizacja z 2021 r.), mamy dość dokładne doprecyzowanie wszystkich podstawowych pojęć, np.: zabytek, zabytek nieruchomy, zabytek ruchomy czy zabytek archeologiczny. Ten ostatni, z racji mojej profesji, jest dla mnie szczególnie ważny. Archeologia to dyscyplina naukowa zajmująca się śladami najdawniejszej przeszłości człowieka na etapie ich poznawania, ochrony i popularyzowania w duchu public archaeology. Takie kompleksowe rozumienie archeologii znajduje oczywiście właściwe miejsce w programach studiów uniwersyteckich. Ochrona archeologicznego dziedzictwa kulturowego jako specjalizacja zawodowa wymaga szerszej wiedzy interdyscyplinarnej, ale jej podstawą musi być znajomość całej dyscypliny zdobyta w trakcie akademickich studiów specjalistycznych. Nie wyobrażam sobie, aby o dziedzictwie archeologicznym decydował „specjalista bezprzymiotnikowy”. Trzeba przypomnieć, że doktryna konserwatorska odchodzi od ochrony pojedynczego zabytku na rzecz szerszych powierzchni. W przytoczonej już ustawie mamy jako jedną z form ochrony utworzenie parku kulturowego. Coraz częściej mówi się jednak o krajobrazach kulturowych, a nawet „krajobrazach aktualnych” jako syntezie przyrody i kultury.

Na zakończenie jeszcze jedna ważna kwestia. Jesteśmy właśnie w trakcie ewaluacji dyscyplin naukowych. Nie bardzo mogę sobie wyobrazić taki proces w odniesieniu do „ochrony dziedzictwa i konserwacji zabytków”. Wskazywana wielokrotnie interdyscyplinarność, nawet po przypisaniu do tzw. liczby N w tej dyscyplinie, np. archeologów, historyków sztuki czy prawników, sytuując ich w dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych, będzie kuriozalna i sztuczna. Inne są w ochronie dziedzictwa preferencje badawcze (a także dokumentowanie osiągnięć naukowych) w segmencie „humanistycznym”, a inne w „inżyniersko-technicznym”.

Propozycję wydzielenia nowej dyscypliny naukowej można uznać za kontrowersyjną, a w moim przekonaniu co najmniej przedwczesną, nieprzedyskutowaną z przedstawicielami dyscyplin naukowych, których celem poznania jest podobny zakres problemów związanych z dziedzictwem kulturowym. Przyjęcie jej w proponowanym kształcie niczego nie porządkuje, a może prowadzić do znacznego zamieszania w środowisku naukowym i konserwatorskim.

Już po raz osiemnasty działająca przy Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich Uniwersytecka Komisja Finansowa opublikowała doroczny raport na temat sytuacji ekonomicznej dwudziestu polskich uniwersytetów klasycznych. Oprócz danych strictly finansowych zawiera on wiele informacji o czynnikach, które bezpośrednio lub pośrednio wpływają na finanse tych uczelni. Jest to dokument wyjątkowy w naszym szkolnictwie wyższym, który może służyć nie tylko władzom omawianych uniwersytetów, ale powinien zainteresować znacznie szersze grono osób związanych, choćby luźno, ze studiami i badaniami naukowymi.

Przychody uniwersytetów w ujęciu nominalnym rosną (Tab. 1). Wyjątkiem był rok 2020, w którym były one o 3,4% niższe niż rok wcześniej. Ich głównym źródłem jest subwencja budżetowa. Stanowi ona 63% przychodów uniwersytetów. Tzw. Ustawa 2.0. z lipca 2018 r. zastąpiła dwie oddzielne dotacje na działalność dydaktyczną i badania jedną subwencją, którą władze uczelni mogą wykorzystywać na sfinansowanie działań w obu tych obszarach aktywności, i to w zasadzie w dowolnych proporcjach. W 2021 r. do uniwersytetów trafiła subwencja o 3,7% wyższa niż rok wcześniej. Pięć z nich otrzymało subwencję niższą niż w 2020 r. Przeciętna wielkość subwencji na jednego studenta studiów stacjonarnych wyniosła 23 020 zł, zaś na jednego pracownika była równa 111 241 zł. Oba te wskaźniki wykazują umiarkowane zróżnicowanie pomiędzy poszczególnymi uczelniami. Pierwszy z nich waha się od 16 847 do 28 742 zł, a drugi od 94 518 do 138 238 zł.

Część subwencji przeznaczona na tzw. potencjał dydaktyczny stanowiła 88,7% przychodów ogółem z działalności dydaktycznej. Pozostałe 11,3% wniosły opłaty za usługi edukacyjne (głównie za studia niestacjonarne i podyplomowe) (Tab. 2). Również w strukturze przychodów z działalności badawczej największą pozycję stanowi część subwencji przeznaczona na tzw. potencjał badawczy (62%). Kolejne pozycje w tej strukturze to: projekty NCBR i NCN (19%) oraz współ-

praca naukowa z zagranicą (11%). Od 2019 r., kiedy to dwie dotacje zostały zastąpione subwencją, zauważalny jest wzrost udziału subwencji w finansowaniu działalności badawczej. O ile wcześniej środki z tzw. dotacji statutowej stanowiły 42-45% budżetu na badania, to w ostatnich trzech latach udział części subwencji przeznaczonej na badania w tym budżecie wynosił kolejno: 59, 63 i 62%. W konsekwencji zmalał udział pozostałych pozycji przychodów z działalności badawczej, a zwłaszcza projektów NCBR oraz NCN, których udział do roku 2018 wynosił ponad 30%, a obecnie stanowi jedynie ok. 20% tych przychodów. Podkreślić trzeba, że powyższe zmiany nie są spowodowane spadkiem finansowania badań przez wymienione agencje, lecz przeznaczaniem przez uczelnie na badania większych środków z subwencji niż te, które wcześniej otrzymywały z dotacji statutowej.

W latach 2010-2013 koszty funkcjonowania uniwersytetów przewyższały przychody, natomiast od roku 2014 różnice między przychodami a kosztami są dodatnie. Obserwuje się wzrost kosztów w czasie (Wyk. 1). Wyjątkiem był rok 2020, w którym – na skutek oszczędności wynikających z wprowadzenia w uczelniach częściowo zdalnego systemu funkcjonowania – koszty w stosunku do poprzedniego roku zmalały o 1%. W 2021 r. dynamika kosztów była już zgodna z długookresowym trendem, tzn. koszty w stosunku do poprzedniego roku wzrosły o 6,9%. O 13,1% zwiększyły się koszty zużycia materiałów i energii, a o 18,3% wzrosły koszty usług obcych. Struktura kosztów jest dość stabilna. Niezmiennie dominują w niej wynagrodzenia, których udział wraz z narzutami stanowi 72-75%. Kolejne pozycje zajmują: materiały i energia oraz usługi obce (po 78 %).

W roku 2021, zgodnie z długookresowym trendem, zmniejszyła się liczba studentów (Wyk. 2). Nadzieje na odwrócenie tego trendu mógł dać rok 2020, w którym liczba studentów w stosunku do roku poprzedniego wzrosła o 0,3%. W 2021 r. powrócił jednak trend spadkowy. Spadek w stosunku do roku 2020 wyniósł 4,7%, a do 2011 r. – 34%. Dotyczy on zarówno studentów stacjonarnych, jak i niestacjo-

Tabela 1. Przychody ogółem

w tysiącach złotych z jednym znakiem po przecinku

Wyszczególnienie	2019			2020 ¹⁾			2021 ¹⁾		
	Kwota	Udział	Średnia uniwersytecka	Kwota	Udział	Średnia uniwersytecka	Kwota	Udział	Średnia uniwersytecka
Działalność dydaktyczna*	5 515 145,2	56,4%	275 757,3	5 100 071,9	54,0%	255 003,6	5 181 328,5	51,4%	259 066,4
Działalność badawcza*	2 188 496,1	22,4%	109 425,0	2 451 471,8	26,0%	122 573,6	2 822 132,1	28,0%	141 106,6
Pomoc materialna dla studentów i doktorantów**	479 786,6	4,9%	23 988,3	522 140,3	5,5%	28 107,0	516 944,8	5,1%	25 847,2
Pozostałe przychody	1 593 558,5	16,3%	79 877,9	1 368 592,5	14,5%	68 429,6	1 568 630,0	15,5%	78 431,5
RAZEM	9 776 969,4	100%	488 848,5	9 442 276,5	100%	472 113,8	10 089 035,4	100%	504 451,8

* zgodnie z wyszczególnieniem w tabeli: odpowiednio nr 2 i nr 3

** w latach 2016-2018- Fundusz Pomocy Materialnej dla Studentów i Doktorantów; od roku 2019- Fundusz Stypendialny

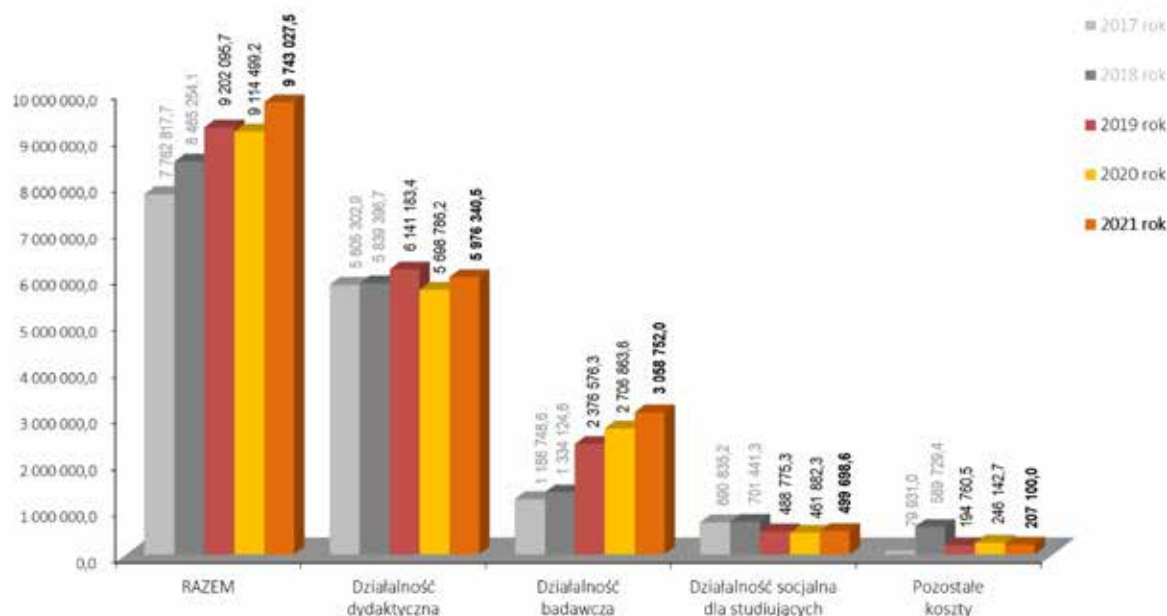
¹⁾ uwzględniono dodatkową informację od UMK w Toruniu w zakresie subwencji IDUB

Tabela 2. Przychody z działalności dydaktycznej

w tysiącach złotych z jednym znakiem po przecinku

Wyszczególnienie	2019			2020			2021		
	Kwota	Udział	Średnia uniwersytecka	Kwota	Udział	Średnia uniwersytecka	Kwota	Udział	Średnia uniwersytecka
Dotacje z budżetu/Potencjał dydaktyczny***	4 968 772,1	90,1%	248 438,6	4 586 950,5	89,5%	228 347,5	4 597 484,2	88,7%	229 874,2
Opłaty za świadczone usługi edukacyjne	548 373,1	9,9%	27 318,7	533 121,4	10,5%	28 658,1	583 844,3	11,3%	29 192,2
RAZEM	5 515 145,2	100%	275 757,3	5 100 071,9	100%	255 003,8	5 181 328,5	100%	259 066,4

*** w latach 2016-2018- dotacja z budżetu państwa, tzw. podatkowa; od roku 2019- informacje od poszczególnych Uczelni o środkach finansowych potencjału dydaktycznego, wydzielonych w ramach przyznanej przez MNiSW/MIiN subwencji



Wykres 1. Koszty ogółem (w tysiącach złotych)



Wykres 2. Liczba studiujących

narnych, przy czym w ostatnich dwóch latach liczba studentów niestacjonarnych zmalała nieznacznie. Odsetek studentów niestacjonarnych w ogólnej liczbie studentów w poszczególnych uczelniach wyniósł od 11 do 66%. W roku 2019 pojawili się doktoranci szkół doktorskich. Od tego czasu wchodzi do tych szkół kolejne roczniki, więc liczba doktorantów w szkołach doktorskich rośnie. W 2021 r. było ich 4864. Maleje natomiast liczba uczestników studiów doktoranckich. W roku 2021 studia w tej formie kontynuowało 7264 doktorantów, w tym 636 to doktoranci niestacjonarni. Należy zauważyć, że zastąpienie tradycyjnych studiów doktoranckich szkołami doktorskimi spowodowało wyraźne zmniejszenie liczby osób uczestniczących w studiach trzeciego stopnia. O ile w 2016 r. było jeszcze 20 306 takich osób, to 5 lat później uczestników obu form kształcenia doktorantów było o 40% mniej. W 2021 r. nastąpiło przełamanie wieloletniej tendencji spadku liczby słuchaczy studiów podyplomowych. Ich liczba w stosunku do roku poprzedniego wzrosła o 6,6%.

Niewielkim wahaniom w czasie ulega liczba pracowników. W 2011 r. uniwersytety zatrudniały 56,5 tys. pracowników. W następnych latach ich liczba malała. W 2016 r. wynosiła 52,2 tys. Od kolejnego roku obserwuje się wzrost zatrudnienia. W 2021 r. w uniwersytetach pracowało 57,2 tys. osób. Wzrost ten wydaje się wynikać z wprowadzenia do algorytmu podziału subwencji tzw. współczynnika

dostępności, który oznacza stosunek liczby studentów i doktorantów do nauczycieli akademickich. Uczelnie, w których współczynnik ten przekracza 13 (w uczelniach badawczych jest to mniej), tracą we wspomnianym podziale. Co prawda parametr algorytmu bezpośrednio dotyczy tylko nauczycieli akademickich, ale wzrost ich liczby pociąga za sobą wzrost również pozostałych grup pracowników. Od lat bowiem relacja liczby pracowników niebędących nauczycielami do nauczycieli jest stała i wynosi 44-45%. Spadek liczby studentów i wzrost zatrudnienia nauczycieli akademickich sprawiły, że wspomniany współczynnik dostępności praktycznie przestał mieć znaczenie. W 2016 r. tylko w dwóch uniwersytetach współczynnik ten wyniósł mniej niż 13, a w pięciu był wyższy niż 16. Natomiast w roku 2021 już tylko w jednym uniwersytecie przekraczał 13.

W ujęciu nominalnym rosną wynagrodzenia zatrudnionych w uniwersytetach. Pod tym pojęciem rozumiemy całość zarobków wykazywanych przez pracodawcę w informacji składanej do urzędu skarbowego. Tak rozumiane wynagrodzenia nadążały dotychczas za inflacją. Średnie wynagrodzenia roczne w roku 2020 i 2021 w stosunku do lat je poprzedzających wzrosły odpowiednio o 5 i 7%. W 2021 r. wynagrodzenie roczne osiągnęło poziom 87,8 tys. zł, a w poszczególnych uczelniach wynosiło od 70,8 do 99,7 tys. zł (Wyk. 3). Różnice te ukształtowały się historycznie, bowiem dynamika zmian wynagro-



Wykres 3. Wynagrodzenia osobowe

dzeń w latach 2017-2021 w analizowanych uniwersytetach wahała się od 119,2 do 139,9%, przy średniej 130,3%. Przy porównywaniu przeciętnych wynagrodzeń w uczelniach należy pamiętać, że w części wynikają one z różnic w strukturze zatrudnienia. W niektórych uniwersytetach prace, szczególnie te niżej wynagradzane, wykonywane są w ramach outsourcingu, co sprawia, że nie obciążają pozycji wynagrodzeń, lecz powiększają koszty usług obcych. W konsekwencji podwyższa to przeciętne wynagrodzenie zatrudnionych w uczelni. Z rosnących wynagrodzeń należałoby się cieszyć, gdyby pełniły one tylko funkcję dochodową. Jednak ich funkcja kosztowa sprawia, że wzrost ten stanowi spore wyzwanie dla władz uczelni. Wyzwanie to staje się szczególnie poważne w roku bieżącym, w związku z wysoką inflacją i wynikającą z niej presją płacową ze strony pracowników.

Ograniczeniu uległa możliwość poprawy budżetów uczelni przez przychody z opłat za świadczone odpłatnie formy edukacji. Jeszcze w 2010 r. wpływy z tego tytułu w uniwersytetach wyniosły 883,4 mln zł. W kolejnych latach malały, a od roku 2014 ustabilizowały się na poziomie nieco przekraczającym 500 mln zł. W analizie dynamiki przychodów z opłat za usługi edukacyjne zaobserwować można ciekawe zjawisko. Z jednej strony w latach 2017-2021 średnia przychodów z tego tytułu wzrosła o 18,2%, z drugiej zaś tylko w sześciu uniwersytetach przychody te wzrosły w stopniu większym niż średnia, a w dziesięciu w ogóle nie wzrosły. Spowodowane jest to włączeniem do rachunku przychodów uzyskiwanych przez collegia medica dwóch uniwersytetów, które w ten sposób zawyżyły średnią. Rok 2021 był pod tym względem korzystny, bowiem opłaty za usługi edukacyjne w stosunku do poprzedniego roku wzrosły o 9,5%, a tylko w dwóch uniwersytetach ta pozycja przychodów nie wzrosła. Głównym źródłem pobieranych opłat są opłaty na studiach niestacjonarnych. Ich udział w tej kategorii przychodów jednak maleje. W latach 2016-2021 spadł on z poziomu 65 do 56%. Wielkość przychodów z opłat za studia niestacjonarne utrzymywana jest na mniej więcej stałym poziomie, mimo spadku liczby osób studiujących w tym trybie. Jest to możliwe dzięki stopniowemu podwyższaniu opłat za kształcenie na studiach niestacjonarnych. Średni ich poziom w ostatnich pięciu latach wzrósł z 3321 do 3995 zł za rok studiów. Uczelnie wykazują znaczne zróżnicowanie pod tym względem. W 2021 r. najniższa opłata wynosiła 1904 zł, a najwyższa 6485 zł za dwa semestry.

Analizowane uniwersytety wykazują znaczne zróżnicowanie pod względem wielkości nakładów na powiększenie zasobów majątku trwałego. Silna jest tu koncentracja wartości ogółu tych nakładów w kilku uczelniach. Trzy z dwudziestu uniwersytetów odpowiadały w 2020 r. za 43% ogólnych nakładów poniesionych na powiększenie majątku trwałego. W roku 2021 wskaźnik ten był nadal wysoki i wyniósł 40%. Można to tłumaczyć różnicami w rozmiarach prowa-

dzonej działalności, choć wspomniane trzy uniwersytety mają nieproporcjonalnie mniej zarówno studentów, jak i pracowników – odpowiednio: 27 i 34%. Różnicowanie nakładów na majątek trwały następuje również w czasie. Wynika to ze specyfiki procesów inwestycyjnych. W czterech uczelniach wielkość tych nakładów w latach 2020-2021 zmieniła się o ponad 100%, a w sześciu kolejnych o ponad 50%. Poziom nakładów na aktywa trwałę drastycznie spadł w roku 2016. Do roku 2018 r. pozostawał niski, a od 2019 r. wzrósł, choć nadal nie osiągnął wielkości z lat 2010-2015. Ważnym źródłem finansowania inwestycji są dotacje celowe. W roku 2020 pokrywały one 34,8, a w następnym roku 42,3% nakładów.

Bardzo ważnym syntetycznym miernikiem oceny sytuacji finansowej każdego podmiotu jest jego wynik finansowy. Uniwersytety klasyczne razem wzięte osiągnęły od 2013 r. dodatni wynik finansowy. W kolejnych latach wykazywał on tendencję rosnącą, a w 2019 r. osiągnął najwyższą wartość 586,7 mln zł. W ostatnich dwóch latach obniżył się do poziomu nieco przekraczającego 300 mln zł. Przeciętnie każdego roku od dwóch do czterech uniwersytetów notuje stratę. Na szczęście nie są to te same uczelnie, co sprawia, że mimo występujących napięć finansowych, na dziś brak jest przypadków, w których sytuacja finansowa groziłaby destabilizacją uczelni. Siedem uniwersytetów od 2013 r. nieprzerwanie osiąga zysk. Wpływ na wynik finansowy ma sprzedaż majątku. Oczywiście, oczyszczenie wyniku z wartości tej sprzedaży powoduje pogorszenie zysku. W ostatnich sześciu latach sprzedaż majątku odpowiadała średnio za 25% zysku.

Zarysowana sytuacja ekonomiczna uniwersytetów jawi się jako względnie stabilna. Niepokój budzą jednak zjawiska i procesy występujące w otoczeniu makroekonomicznym w roku bieżącym i obawy dotyczące lat następnych. Wysoka inflacja powoduje wzrost kosztów, którego nie będzie w stanie skompensować subwencja, jeśli będzie rosła w tempie z ostatnich lat. W sytuacji dużych napięć w budżecie państwa może się okazać, że szkolnictwo wyższe i nauka nie będą priorytetami. Istnieje też obawa, że dalszemu ograniczeniu będą ulegały możliwości uzupełnienia budżetów uczelni pobieranymi opłatami z odpłatnych form kształcenia. Dla ubożającego społeczeństwa podejmowanie odpłatnych studiów nie będzie priorytetową potrzebą. W tej sytuacji oprócz zrozumienia ze strony władz państwowych potrzebne są działania władz uczelni racjonalizujące wydatki, a także zgoda pracowników uczelni na ograniczenie presji na wzrost wynagrodzeń, które pozostają największą pozycją w strukturze kosztów. Wszystko po to, by przetrwać trudny czas.

Miroslaw Gornowicz, Uniwersytet Warmiński-Mazurski,
przewodniczący Uniwersyteckiej Komisji Finansów;
Miroslaw Szreder, Uniwersytet Gdański, członek UKF

Euroewaluacja

Zajęci krajowymi bojami o optymalny system ewaluacji, kolejne zmiany punktacji czasopism i dopuszczalność publikowania w otwartym dostępie nie zauważyliśmy aktywności Unii Europejskiej w zakresie ujednoczenia procesu ewaluacji badań naukowych. Tymczasem Komisja Europejska już w listopadzie zeszłego roku opublikowała raport *Towards reform of the assessment system* zawierający propozycje kierunków, w których mogłyby ewoluować paneuropejski system oceny jakości badań. W styczniu tego roku Komisja ogłosiła rozpoczęcie prac nad projektem porozumienia w sprawie reformy ewaluacji badań. W kwietniu został opublikowany projekt konkluzji Rady Europejskiej dotyczących tego samego problemu. Został on przyjęty w czerwcu bieżącego roku. Warto więc zobaczyć, jak może wyglądać nasza ewaluacyjna przyszłość już za parę lat.

Zanim przejdziemy do tego, co nam się proponuje, warto zapytać, co właściwie UE ma tu do powiedzenia? W jej kompetencji nie leży co prawda harmonizacja przepisów dotyczących ustroju, funkcjonowania i finansowania nauki i szkolnictwa wyższego w krajach członkowskich, jednakże UE finansuje badania naukowe, wspiera wymianę międzynarodową w programach Erasmus+ itd. Europejski wymiar, choć nieregulowany przepisami unijnymi, ma także harmonizacja systemów szkolnictwa wyższego w ramach Systemu Bolońskiego i Europejskiej Przestrzeni Szkolnictwa Wyższego. Finansowanie ze środków unijnych wymaga przy tym systemu oceny wniosków tak na etapie ich zgłaszania, jak i rozliczania już zrealizowanych projektów. Do tego potrzebny jest sprawny system oceny jakości badań.

Nowy system miałyby być wprowadzony „miękkimi” środkami, w drodze porozumienia, którego sygnatariuszami byłyby podmioty finansujące badania, uniwersytety i instytuty badawcze, a także instytucje odpowiedzialne w krajach członkowskich za ewaluację badań. W ten sposób euroewaluacja mogłaby być wprowadzona stosunkowo szybko i działać na zasadzie dobrowolności. Miałyby być tworzona z poszanowaniem autonomii uczelni, swobody badań i publikowania wyników, zasad etyki w nauce oraz przejrzystości procedur. Wartości te są wpisane w konstytucję wielu krajów członkowskich, więc odwołanie się do nich jest obowiązkowym punktem wyjścia do dalszych prac.

Raport *Towards reform...* proponuje oparcie ewaluacji na dwóch grupach zasad. Pierwsza dotyczy jakości badań i ich wpływu na otoczenie, druga – różnorodności, inkluzywności i współpracy. Jakość miałyby być badana przez ocenę oryginalności badań konkretnego naukowca, a nie przez odwoływanie się do prestiżu wydawcy czy wskaźników bibliometrycznych. Te ostatnie, choć pozostałyby, należałoby stosować w sposób „odpowiedzialny”. Zasadnicza ocena miałyby charakter jakościowy i opierała się na peer review. Wpływ na otoczenie mógłby być rzeczywisty lub potencjalny, a sposób jego oceny dostosowany do specyfiki poszczególnych dyscyplin.

Różnorodność, inkluzywność i współpraca obejmują m.in.: publikowanie w otwartym dostępie, udostępnianie otwartych danych badawczych, opiekę nad doktorantami, komercjalizację badań, popularyzację nauki, a także różnorodność twórczości naukowej obejmującej także oprogramowanie, patenty, strategie, przyczynienie się do tworzenia polityk publicznych itd. Ocena badań powinna uwzględniać misję danego podmiotu, specyfikę poszczególnych dyscyplin, a w przypadku osiągnięć poszczególnych uczonych powinna zależeć od etapu kariery, na którym się znajdują. Ewaluacja powinna także uwzględniać różnicowanie płciowe, kulturowe czy rasowe zespołów badawczych.

Z konkluzji Rady Europejskiej w sprawie oceny jakości badań i otwartej nauki wynika ponadto, że wskaźniki bibliometryczne nie powinny być jedynym ani nawet podstawowym sposobem pomiaru jakości w nauce. Zwraca uwagę na konieczność uwzględnienia w procesie ewaluacji tak zbiorowości, jak i dorobku poszczególnych uczonych. Interesujące w projekcie konkluzji są propozycje stworzenia wspólnego modelu komunikacji naukowej, znaczenie otwartego dostępu i prawa uczonych do zachowania praw własności intelektualnej. Zawarto w nich także wyraźne wsparcie dla publikacji wielojęzycznych, uznając przy tym wiodącą rolę angielszczyzny jako języka nauki. Wielojęzyczność, w opinii RE, w zasadzie sprowadza się do roli narzędzia komunikacji z praktykami oraz promocji nauki wśród obywateli poszczególnych krajów czy regionów.

Obok entuzjazmu wyrażanego głównie przez ośrodki związane z autorami raportu pojawiły się też głosy krytyczne. Na początku maja b.r. Allianz der Wissenschaftsorganisationen — sojusz najważniejszych organizacji naukowych w Niemczech, wydał oświadczenie w tej sprawie. Choć doceniono starania Komisji, to podkreślono, że pomimo iż pewne fundamentalne wartości w nauce są uznawane w Europie za wspólne, co umożliwia ogólnounijną dyskusję, to są one jednak zakotwiczone w narodowych systemach prawnych, z których wynikają odrębności, które należy uszanować. W przypadku Niemiec nie jest to zaskakujące stanowisko, jeśli zwrócimy uwagę na to, że kwestie szkolnictwa (w tym wyższego) i nauki są regulowane przez kraje związkowe oraz (częściowo tylko) przez federację.

Powyższe sceptyczne głosy nie powinny jednak całkowicie przesłonić propozycji Komisji. Na szczególną uwagę zasługuje ta, aby przy tworzeniu zasad oceny w szczególności sposób uwzględnić nie tylko rodzaj prowadzonych badań czy etap kariery badacza, ale także specyfikę dyscypliny, przy równoczesnym uwzględnieniu działalności multi-, inter- i transdyscyplinarnej. Takie podejście, choć na pewno kosztowne i czasochłonne, czyniłoby zadość przedstawicielom dyscyplin, którzy nie spotkali się ze zrozumieniem ze strony swojego krajowego ewaluatora.

Czy propozycja euroewaluacji to rewolucja? Wydaje się, że nie. Najmocniejszy akcent tej propozycji to zwrot w kierunku peer review i propozycja zróżnicowania kryteriów oceny. Nie zadowoli ona na pewno zwolenników ewaluacyjnej kontrewolucji i powrotu do pisania głównie w językach narodowych. Te w oczach Rady służą „tylko” – a może „aż”? – do komunikacji ze światem poza uczelnią. Z perspektywy polskiej to jednak jest sygnał, że trzeba przemyśleć na nowo ewaluację nauki i oddzielić dwa różne mechanizmy: podział funduszy na badania od oceny jakości pracy uczonych i uczelni. Obecnie oba te elementy są połączone, tj. podział środków jest uwarunkowany oceną badań. Dla nas euroewaluacja będzie oznaczała powrót do dobrze nam znanego i zinternalizowanego systemu, w którym parametryzacja decydowała o wyniku uczelni, a ocena pracownicza oraz peer review w procedurach awansowych o kompleksowej ocenie dorobku poszczególnych uczonych w obszarze badań, promowania kadr, współpracy z otoczeniem itd.

Czy nowy system euroewaluacji się sprawdzi? Na efekty musimy poczekać. A przede wszystkim: włączyć się aktywnie w proces jego tworzenia. Na ministerialnym wykazie czasopism świat się nie kończy.

Piotr Stec, Uniwersytet Opolski
Adrian Warsiński, Uniwersytet Warszawski & Fundacja Polonium

(Publikacja dofinansowana ze środków budżetu państwa w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą „Nauka dla Społeczeństwa” nr projektu NdS/529966/2021/2021.)

Kwantowe idee powstają w Europie

– Europa jest fantastycznie konkurencyjna w technologiach kwantowych. Wiele pomysłów i idei w tej dziedzinie powstało na naszym kontynencie – mówi prof. Konrad Banaszek (na fot.) z Uniwersytetu Warszawskiego, koordynator naukowy największego europejskiego programu QuantERA, finansującego badania w zakresie technologii kwantowych. Jako przykład prac, które rozwijają się dynamicznie, podaje te związane z łącznością i kryptografią kwantową. Rozwijane są nowe generacje protokołów łączności kwantowej, które gwarantują bezpieczeństwo transmisji, nawet gdy nie jest w pełni znana charakterystyka urządzeń nadawczo-odbiorczych.

Rewolucyjne zmiany

Naukowcy przekonują, że rozwój technologii kwantowych może przynieść rewolucyjne zmiany także w medycynie, metrologii, robotyce, telekomunikacji i bankowości, a także symulacjach układów złożonych. Powstaną nowe sensory, czujniki i bardziej precyzyjne zegary. W perspektywie dwudziestu lat zmienią się niektóre techniki diagnostyki medycznej. Badania takie jak np. rezonans magnetyczny mogą stać się szybsze, dokładniejsze, mniej inwazyjne i tańsze. Technologie kwantowe poprawiają także np. czułość detektorów wykorzystywanych w wykrywaniu fal grawitacyjnych.

Potencjał i wartość technologii kwantowych dostrzegają rządy poszczególnych krajów europejskich – powstają krajowe i narodowe strategie rozwoju tych technologii. W 2018 roku Komisja Europejska zainicjowała dziesięcioletni program Quantum Flagship łączący instytucje naukowe, przemysłowe i decydentów, który ma zapewnić Europie pozycję lidera w zakresie technologii kwantowych. Dwa lata wcześniej powstała sieć QuantERA, która łączy obecnie 39 agencji finansujących badania z niemal całego kontynentu, Izraela i Turcji i wpisuje się w szeroki kontekst długofalowej strategii Unii Europejskiej.

Sieć nowych idei

– Jest wiele tematów, których nie sposób zbadać czy zrealizować w jednym kraju. Potrzebna jest wiedza i doświadczenie różnych zespołów. QuantERA zapewnia dopływ nowych idei w technologiach kwantowych – mówi prof. Banaszek. Sieć promuje ambitne badania dotyczące najnowocześniejszej inżynierii w dziedzinie technolo-

Polska w QuantERA

Koordynatorem sieci QuantERA jest Narodowe Centrum Nauki. NCN kieruje także pracami konsorcjum CHANSE zrzeszającego organizacje finansujące badania z nauk humanistycznych i społecznych. Są to jedyne tego typu sieci w Horyzoncie 2020 koordynowane przez instytucję z grupy krajów UE-13, czyli młodszych członków Unii Europejskiej.

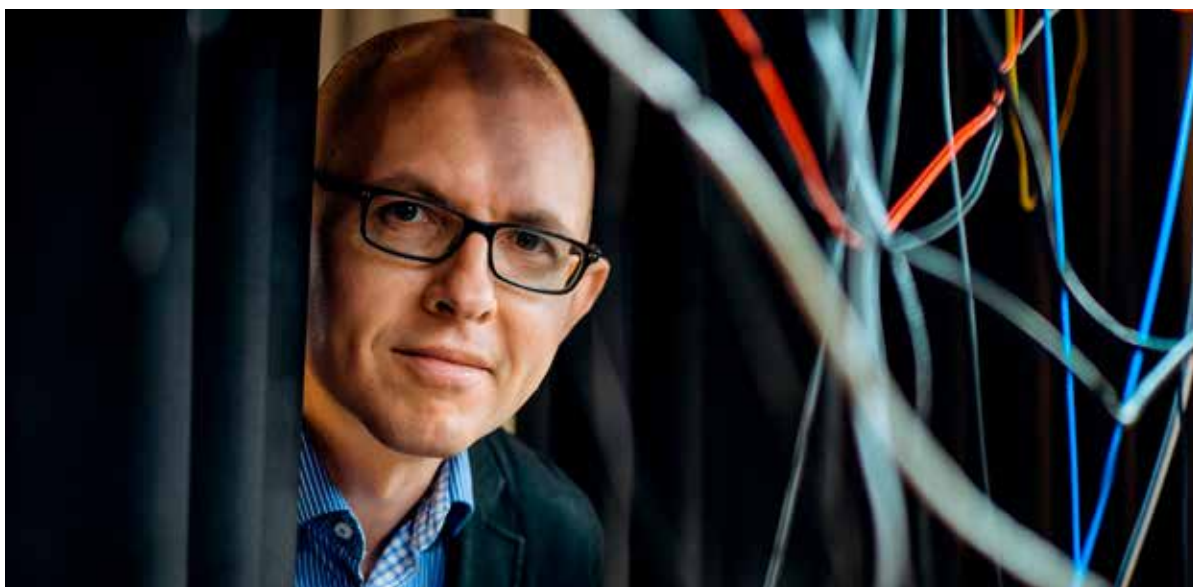
Polskie zespoły zaangażowane są w 29 z 77 projektów, które otrzymały grant w trzech konkursach organizowanych przez QuantERA. Badania podstawowe otrzymują finansowanie z Narodowego Centrum Nauki, a stosowane z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. W ostatnim konkursie wybranych zostało 15 projektów z udziałem polskich badaczek i badaczy. Laureatami są naukowcy z uniwersytetów: Jagiellońskiego, Mikołaja Kopernika w Toruniu i Warszawskiego, politechnik Warszawskiej i Wrocławskiej, Centrum Fizyki Teoretycznej PAN oraz firmy Creotech Instruments S.A.

We wrześniu w Krakowie odbędzie się konferencja z udziałem m.in. Rady Strategicznej QuantERA, złożonej z wybitnych naukowców z obszaru technologii kwantowych i przedstawicieli przemysłu kwantowego, kierowników wszystkich projektów wybranych w konkursach sieci, reprezentantów Komisji Europejskiej i Quantum Flagship.

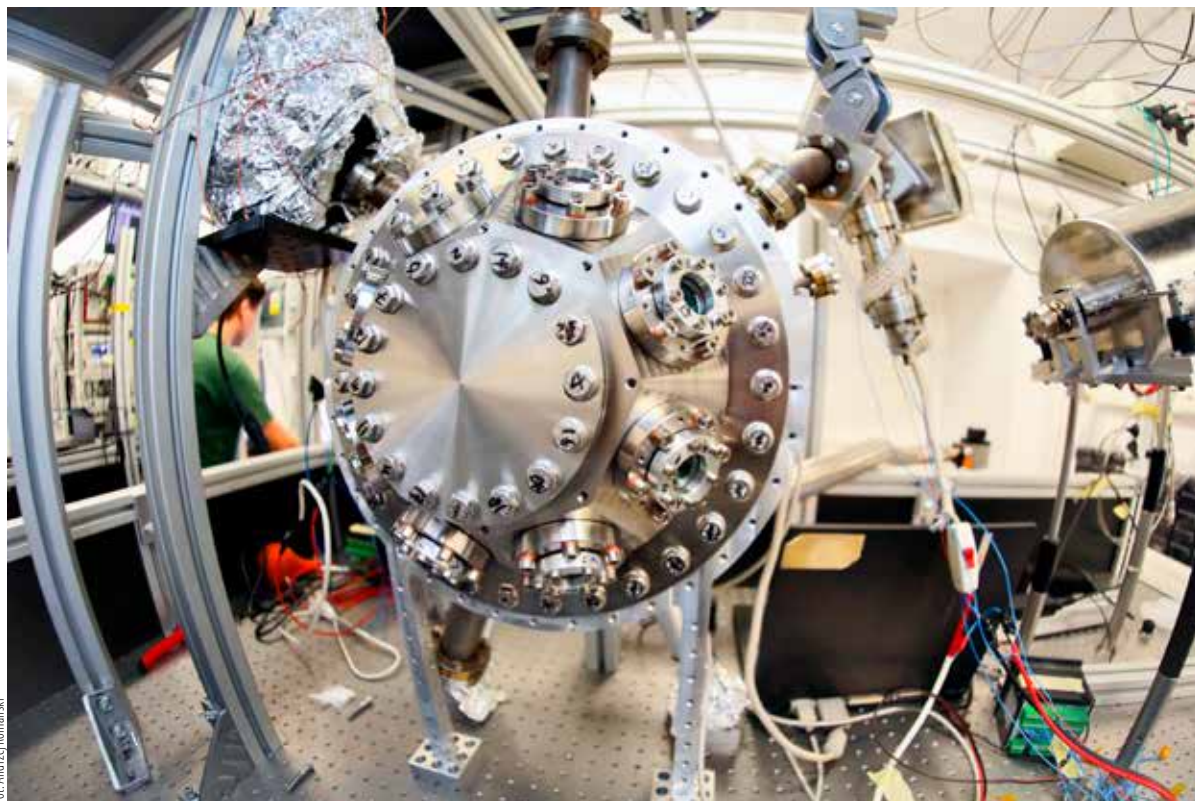
gii kwantowych, wspiera współpracę pomiędzy naukowcami i agencjami finansującymi badania, monitoruje działania i strategie w zakresie technologii kwantowych oraz tworzy wytyczne dotyczące odpowiedzialnego prowadzenia badań.

Do tej pory QuantERA ogłosiła trzy konkursy, w 2017, 2019 i 2021 roku, i sfinansowała 77 projektów, w które zaangażowanych jest 400 grup badawczych. Zakres badań finansowanych z programu jest bardzo szeroki i obejmuje Quantum communication, Quantum simulation, Quantum computation, Quantum information sciences, Quantum metrology sensing and imaging (kwantowe: komunikacja, symulacje, obliczenia, nauki informacyjne, metrologia i obrazowanie).

Wybór tematu badań zależy od samych naukowców, w każdym ogłoszeniu o konkursie jest informacja o otwartości na nowe inicjatywy.



Prof. Konrad Banaszek



Laboratorium FAMO UMK

Ile to kosztuje i kto realizuje projekty QE?

W **2017** roku finansowano 9 projektów QuantEra: 8 z nich finansowało Narodowe Centrum Nauki, a 1 Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. NCN przeznaczyło na nie 1.6 mln euro, zaś NCBR – 100 tys. euro.

W **2019** roku finansowano 5 projektów QE, w tym 4 NCN i 1 NCBR. Ich wartość to odpowiednio 700 tys. euro i 300 tys. euro.

W **2021** roku finansowano 15 projektów QE, w tym 10 NCN i 5 NCBR, odpowiednio kwotami 1,8 mln euro oraz 1,7 mln euro.

Projekty realizowały międzynarodowe konsorcja, w których Polskę 22 razy reprezentowały jednostki uczelniane, 6 razy jednostki PAN i 1 raz firma, a szczegółowo: Uniwersytet Jagielloński – 7 razy, Uniwersytet Warszawski – 7 razy, Instytut Fizyki PAN – 5 razy, Uniwersytet Mikołaja Kopernika – 3 razy, Politechnika Wrocławska – 2 razy, Uniwersytet Gdański – 2 razy, Centrum Fizyki Teoretycznej PAN – 1 raz i Politechnika Warszawska – 1 raz oraz jedyne przedsiębiorstwo w tym zestawieniu – firma Creotech Instruments S.A – 1 raz.

– Wszystkie nowe pomysły, które się rodzą w Europie, z których Europa jest znana i najbardziej doceniana na świecie, mogą się narodzić u nas. Zapewniamy platformę porozumienia między naukowcami i forum dialogu między nimi i organizacjami finansującymi badania, a także pieniądze na realizację pomysłów – mówi Sylwia Kostka, koordynatorka programu QuantERA z Narodowego Centrum Nauki. Koordynatorka podkreśla, że sieć realnie wzmacnia więzy europejskie. – Grup badawczych, które łączymy, jest tak wiele, że w technologiach kwantowych tworzymy prawdziwą europejską przestrzeń badawczą – dodaje.

Początkowo sieć finansowała głównie badania podstawowe, w ostatnim konkursie granty uzyskały także projekty aplikacyjne. – Bardzo dbamy o badania podstawowe z uwagi na młodość tego obszaru. Zwłaszcza, że droga od pomysłów do wdrożeń i gotowych produktów potrafi być bardzo krótka – mówi prof. Banaszek. Przy-

kładem takiej inicjatywy są kwantowe generatory liczb losowych. Dostępne są już urządzenia pierwszej generacji, które w przyszłości mogą znaleźć swoje zastosowanie wszędzie tam, gdzie ważne jest bezpieczeństwo komunikacji, w tym między innymi w obrębie infrastruktury krytycznej, kluczowej dla bezpieczeństwa państw.

Potencjał Europy

QuantERA jest inicjatywą typu ERA-Net Co-fund, czyli współfinansowaną przez agencje członkowskie i Komisję Europejską. Istotnym założeniem jej funkcjonowania jest promowanie uczestnictwa krajów, w których poziom badań i innowacji jest niższy od średniego poziomu UE (kraje widening). – Mechanizm finansowy zachęca do współpracy poza utartymi schematami i sprawia, że konsorcja naukowe są tworzone z dużą otwartością – mówi prof. Łukasz Rudnicki z Uniwersytetu Gdańskiego, kierujący projektem *Kwantowa super-rozdzielczość w pomiarach przestrzennych i częstotliwościowych*, który otrzymał finansowanie w konkursie QuantERA w 2019 roku. W badaniach wykorzystujących kwantowe metody pomiarowe do poprawy rozdzielczości urządzeń optycznych, których efekty mogą znaleźć zastosowanie w astronomii (znajdowanie odległych planet), technologiach lotniczych oraz spektroskopii (badanie składu chemicznego substancji), biorą udział partnerzy z Polski, Czech, Francji, Hiszpanii i Niemiec. – QuantERA umożliwia wykorzystanie potencjału naukowców z całej Europy, także z krajów, które mają mniejszą strukturę akademicką czy od niedawna są w Unii. To wielka wartość dodana – wyjaśnia prof. Rudnicki.

Następny konkurs QuantERA zaplanowany jest na 2023 rok. Kolejny, jeśli sieć otrzyma finansowanie z Komisji Europejskiej, odbędzie się dwa lata później. – Zapewnienie dalszego finansowania QuantERA jest niezbędne, jeśli chcemy podtrzymać konkurencyjność Europy – konkluduje prof. Banaszek.

Anna Korzekwa-Józefowicz

Sąd nie rozstrzyga o prawdzie naukowej

Prof. Grzegorz Węgrzyn, przewodniczący RDN, wyjaśnia dlaczego Radzie Doskonałości Naukowej jest po drodze z uchwałą Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, dotyczącą wyjęcia procedur awansowych spod rygorów postępowania administracyjnego.

Procedura postępowania administracyjnego w zastosowaniu do postępowań awansowych w nauce stwarza duże problemy dlatego, że znacząco różnią się one od typowych postępowań administracyjnych. Kodeks postępowania administracyjnego reguluje wszystkie procedury związane z podejmowaniem jednoosobowych decyzji przez urzędników. Tymczasem w postępowaniach awansowych w nauce ocena wniosków nie należy do urzędników, ale do ekspertów – jest ewidentnie ekspercka. Nie ma i nigdy nie będzie sztywnych wytycznych, jakie warunki należy spełnić, aby nadać stopień czy tytuł naukowy. Decyzje są podejmowane kolegią na podstawie kilku recenzji, zawsze w pewnym sensie subiektywnych – stąd czasami różnice zdań między ekspertami. To nie jest ocena tylko i wyłącznie zgodności dorobku z przepisami, czego chce Kodeks postępowania administracyjnego, ale ocena jego wartości naukowej, której nie da się sparametryzować. To powoduje, że zasady postępowania administracyjnego nie znajdują zastosowania w naszych postępowaniach awansowych. My się nie możemy pochrząknąć tylko prawem: „Decyzję podjęto na podstawie takich to, a takich przepisów...”, i tu następuje wymienienie kilku artykułów ustaw, które uzasadniają decyzję. Uzasadnienie takiej, a nie innej oceny wniosku o awans nigdy nie będzie kończyło się na zacytowaniu odpowiednich paragrafów. Zwykle głosujemy, a zatem decyzja nie jest podejmowana jednoosobowo, jak tego wymaga k.p.a., ale jest wynikiem pewnego kompromisu. Trudno ustalić, ile osób i dlaczego głosowało za przyznaniem stopnia, a ile przeciwko i z jakich powodów.

To nie jest jedyny problem. W postępowaniu administracyjnym decyzję wydaje się biorąc pod uwagę stan rzeczy w dniu jej podejmowania. Ktoś kto składa wniosek, może podczas postępowania, czyli pomiędzy złożeniem wniosku, a wydaniem decyzji, dodawać dodatkowe dokumenty, które pojawiły się w międzyczasie. To nie jest możliwe w przypadku postępowań i decyzji awansowych. Co by było, gdyby kandydat mógł dokładać dokumenty w czasie trwania procesu recenzyjnego?! Jakby to mogło wyglądać?! Wysyłamy materiały, obrazujące dorobek naukowy kandydata do kilku recenzentów, a ten w międzyczasie dosyła kilka publikacji... Zatem k.p.a. jest dobrze dostosowany do decyzji i procedur typu administracyjnego, ale nie pasuje do postępowań i decyzji awansowych. To tak jakby piosenkarz nagrał płytę i liczył na sprzedaż miliona egzemplarzy, a sprzedało się 5 tysięcy i artysta domagałby się dokładnego uzasadnienia, dlaczego nie została przyznana „złota płyta”. Nie da się tego wskazać w oparciu o przepisy prawne. Żadne przepisy nie mówią dlaczego jeden utwór jest melodyjny, a inny nie. Podobnie w nauce – nie ma sposobu, aby jedynie w oparciu o przepisy wskazać dlaczego osiągnięcia naukowe są albo nie są wybitne. O tym muszą zdecydować eksperci z odpowiednim doświadczeniem i znajomością danej specjalności naukowej.



Zgodnie z k.p.a. wszystkie dokumenty z postępowania muszą być w języku polskim, bo jest on językiem urzędowym. To w procedurach administracyjnych jest uzasadnione. Tymczasem w postępowaniach awansowych nie ma takiego wymogu. Wręcz przeciwnie, mamy nie tylko prawo, a czasami wręcz konieczność powoływania recenzentów zagranicznych, którzy nie posługują się językiem polskim, a są w danym przypadku najlepszym wyborem. Zgodnie z k.p.a. przysłana przez takiego eksperta recenzja musi zostać przełożona na polski przez tłumacza przysięgłego. Mamy w RDN takie przypadki, że przysłała recenzja z matematyki. Tłumacz przełożył ją najlepiej jak potrafił, ale matematycy twierdzą, że przekład jest bez sensu, bo nie oddaje poprawnie treści recenzji napisanej ścisłym językiem matematycznym. Tymczasem w trakcie postępowania awansowego bez problemu posługujemy się językiem angielskim, bo znają go wszyscy polscy matematycy. Jeśli w dokumentach znajduje się niepoprawnie przetłumaczona recenzja, to przed sądem (w przypadku odwołania się do sądu administracyjnego) taka recenzja może być podważana, a ona jest przecież rzetelna, zaś wina leży po stronie przekładu.

Recenzje nie mogą podlegać ocenie sędziów, bo ci nie są kompetentni do wydawania werdyktów o sprawach stricte naukowych.

Podstawy decyzji administracyjnej muszą być jednoznaczne i kwantyfikowalne, precyzyjne i klarowne. Tymczasem my nie możemy powiedzieć, czy dwadzieścia publikacji wystarczy do awansu, czy może potrzeba stu. Liczy się ich jakość, która jest oceniana przez ekspertów. Nie ma precyzyjnych parametrów awansu naukowego. Nasze oceny nie są tak jednoznaczne, podlegają choćby krytyce czy polemice. Nie możemy powiedzieć, że ktoś, kto opublikował za tyle i tyle punktów musi dostać stopień naukowy lub tytuł profesora, bo zebrał odpowiednią liczbę punktów. To nie punkty decydują o jakości dorobku naukowego. Liczy się to, czy kandydat do tytułu profesora ma wybitne osiągnięcia, a kandydat do stopnia doktora habilitowanego wniósł istotny wkład w rozwój swojej dyscypliny naukowej. A to oceniają eksperci na podstawie swojej wiedzy i doświadczenia po gruntownej analizie merytorycznej dorobku kandydatów, a nie tylko po sprawdzeniu zgodności dorobku z przepisami. Przypominajmy, że ci recenzenci nie zawsze są ze sobą zgodni. To, co jednemu wydaje się odkrywczym, inny uzna za banalne. Tych warunków nie da się skwantyfikować na tyle precyzyjnie, aby można je było określić jako administracyjne. Procedury zgodne z k.p.a. powodują w przypadku postępowań awansowych dużo problemów, a dają niewiele korzyści. Te sprawy są rozumiane na świecie, a najlepszym przykładem jest Francja, gdzie napisano, że nadawanie awansów naukowych jest wyjęte spod procedur administracyjnych.

Adwersarze uchwały Rady Głównej, dotyczącej wyjęcia procedur awansowych spod rygorów k.p.a. stawiają zarzut, że bez tego kandydat straci prawo do sądu. Tak nie jest. Każdy może się odwołać do sądu od błędów formalnych popełnionych w procedurze, np. gdy w usta-

wie jest napisane, że głosowanie ma się odbywać przy określonym kworum, a faktycznie odbyło się inaczej. Kandydat może przed sądem zakwestionować wynik takiego głosowania. Natomiast sądy nie rozstrzygną o jakości naukowej dorobku. Sąd może jedynie sprawdzić czy postępowanie przebiegało zgodnie z przepisami ustawy. Jednak poza tym przepisy k.p.a. nie tylko nie pomagają w procedowaniu postępowań awansowych, ale przeszkadzają. Są kandydaci, którzy uważają, że jeśli spełnią minimalne wymagania formalne, czyli posiadają odpowiedni stopień naukowy czy tytuł zawodowy, odbyli staże naukowe i uczestniczyli w realizacji projektów, to „należy im się” stopień czy tytuł naukowy, gdyż takie wymagania widnieją w ustawie, a postępowania podlegają pod k.p.a. Zapominają jednak, że ta sama ustawa, że mówi, iż praca doktorska musi wskazywać na rozwiązanie oryginalnego problemu naukowego, habilitant musi wykazać istotny wpływ jego osiągnięć na rozwój danej dyscypliny naukowej, a kandydat do tytułu profesora musi mieć wybitne osiągnięcia naukowe. Jeśli kan-

dydat odwoła się do sądu administracyjnego, to ten nie może zmienić decyzji organu nadającego stopień naukowy czy oceniającego wniosek profesorski – jedyne co sąd może zrobić, to uchylić uchwałę i przekazać sprawę do ponownego rozpatrzenia, ale tylko wtedy jeśli doszuka się w dokumentach dowodów na błędy proceduralne.

Osobnym problemem jest pozywanie recenzentów przez kandydatów do sądu w sprawach cywilnych a nawet karnych za rzekome naruszenie dóbr osobistych w przypadku krytycznych recenzji. Tutaj co prawda nie chodzi już o k.p.a., ale jeśli recenzja nie zawiera obraźliwych sformułowań, to sama krytyka osiągnięć kandydata nie może być uznawana za naruszenie dóbr osobistych. Skoro kandydat sam wyraził zgodę na poddanie ocenie jego dorobku, składając wniosek o stopień czy tytuł naukowy, to nie może potem mieć pretensji, jeśli taka ocena jest krytyczna – to są bowiem opinie recenzentów o dorobku, a nie ewaluacja kandydata.

Notował Piotr Kieraciński

Rada Główna o postępowaniu awansowym

Najnowsze stanowisko Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego dotyczy procedur awansu naukowego. Wskazano w nim, że koncepcja nadawania stopni i tytułu naukowego w formie decyzji administracyjnej jest błędna. Postępowanie takie nie ma bowiem charakteru administracyjnego, a w związku z tym nie może podlegać kodeksowi postępowania administracyjnego. „Rada Doskonałości Naukowej powinna być jedynym w kraju organem posiadającym moc decyzyjną w sprawach awansów naukowych, a możliwość zaskarżania jej decyzji na drodze postępowania sądowego należy zamknąć” – czytamy w dokumencie. Odniesiono się w nim również do krytycznych treści recenzji. Zdaniem Rady, takie opinie nie mogą być traktowane w kategorii naruszania dóbr osobistych. Za jedyną właściwą drogę kwestionowania recenzji autorzy stanowiska uznają procedurę odwoławczą i postulują, by wprowadzić jednoznaczne przepisy w tej sprawie do ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

Rada domaga się też zmiany przepisu wymuszającego prowadzenie alternatywnych głosowań w procedurze nadawania stopnia doktora habilitowanego oraz powiązania liczebności zespołów dziedzinowych w RDN z liczbą naukowców deklarujących działalność w danej dyscyplinie. Zwrócono również uwagę, że kolokwium habilitacyjne, potwierdzające osiągnięcie tzw. samodzielności naukowej, powinno być obowiązkowe i przeprowadzane jako publicznie otwarte w każdym obszarze nauki. „W przepisach prawa oraz w działaniach RDN niezbędne jest przywrócenie prymatu merytorycznych przesłanek podejmowania decyzji i odejście od procedur nadmiernie skomplikowanych urzędniczymi formalizmami oraz usunięcie niejednoznaczności interpretacyjnych, które (...) zachęcają do asekuracyjnego unikania krytyki merytorycznej w obawie przed uwikłaniem w procedury sądowo-administracyjne, nieadekwatne do szczególnego, naukowego charakteru spraw” – podsumowują członkowie RGNiSW.

Plagiatowe problemy na UP w Lublinie

Ostatni numer wydawanego w Warszawie kwartalnika „Postępy Mikrobiologii” (IF 0.4) zawiera artykuł redakcyjny, w którym czasopismo informuje o plagiaty. Okazało się, że podczas procesu recenzyjnego wykryto znaczne zapożyczenia z cudzego tekstu w zgłoszonym do publikacji maszynopisie *Obecnie akceptowane i zalecane metody badania lekowrażliwości dermatofitów* autorstwa dr. hab. Sebastiana Gnata, dr. Mariusza Dyląga, lek. wet. Dominika Łagowskiego, prof. dr hab. Anety Nowakiewicz z Zakładu Mikrobiologii Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie (dr M. Dyląg pracuje na UW). Zdziwiony i zaskoczony recenzent dodatkowo sprawdził wydrukowaną wcześniej pracę pt. *Mechanizmy powstawania oporności dermatofitów na substancje przeciwrzybicze* autorstwa D. Łagowskiego, S. Gnata, A. Nowakiewicz („Postępy Mikrobiologii”, 2020, 59,2, 153-165). Okazało się, że są tam bardzo duże fragmenty tekstu przetłumaczone z innej, wcześniej wydanej publikacji Martinez-Rossi i wsp. *Dermatophyte resistance to antifungal drugs: mechanisms and prospectus* („Frontiers in Microbiology” z 2018 r.; doi.org/10.3389/fmicb.2018.01108). Nierzetelny maszynopis został odrzucony, natomiast plagiatowa, wydrukowana już praca zapewne zostanie nieważniona (retraktowana). Co więcej, Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Mikrobiologicznego podał, że po wpłynięciu informacji od prof. Jacka Bieleckiego o plagiacie popelnionym przez lek. wet. Dominika Łagowskiego, zdecydo-

wano się odebrać temu ostatniemu przyznaną kilka tygodni wcześniej nagrodę im. Prof. E. Mikulaszka (5 tys. zł) za cykl sześciu publikacji z lat 2020-2021. Zarząd uznał, że aczkolwiek nagrodzone prace nie zawierają plagiatów, to laureat nagrody powinien cechować się nieskazitelną postawą etyczną. Popelnienie nierzetelności naukowej (plagiatu) przez członka PTM jest niedopuszczalne i naganne; działa na szkodę Towarzystwa oraz niszczy renomę czasopisma „Postępy Mikrobiologii”.

Redaktor naczelny J. Bielecki zapowiedział, że czasopismo zacznie sprawdzać wszystkie nowe prace świetnym programem antyplagiatowym iThenticate. Domyślić się można, że dotychczasowe prace lubelskiej trójki współautorów pójdą do weryfikacji w pierwszej kolejności. Trzeba wspomnieć, że Dominik Łagowski otrzymał 10 listopada 2021 r. z rąk min. Przemysława Czarnka stypendium ministra dla wybitnych młodych naukowców. Jest to ok. 5400 zł miesięcznie wypłacane przez trzy lata. W 2019 r. to samo stypendium otrzymał dr hab. Sebastian Gnat i będzie je otrzymywał do końca tego roku. Obaj współautorzy otrzymali również w czerwcu 2021 r. nagrody pro jakościowe dla najlepszych naukowców Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie. Dyspenci tych wyróżnień – minister edukacji i nauki oraz rektor UPL – powinni szybko zareagować na wieść o odkryciu tak poważnych nierzetelności w pracach laureatów i podjąć odpowiednie kroki prawne.

Marek Wroński

Akademia Młodych Uczonych PAN już od dwunastu lat aktywnie działa na rzecz społeczności akademickiej i organizuje wydarzenia upowszechniające naukę. Członkowie i członkinie AMU reprezentują szeroki przekrój dziedzin nauki, zatrudnieni są tak na uczelniach, jak i w instytutach PAN oraz badawczych. Łączą ich ponadprzeciętne osiągnięcia naukowe oraz aktywna działalność na rzecz nauki i społeczeństwa. Kontynuując pracę badawczą, angażując się jednocześnie w działania w obszarze polityki naukowej i doradztwa naukowego, promocji i popularyzacji nauki i przedstawiają perspektywę młodych naukowców w najważniejszych gremiach krajowych i międzynarodowych związanych z nauką. Działalność w AMU ma charakter społeczny.

Kim są członkowie AMU?

Członkowie Akademii Młodych Uczonych są wybierani przez Zgromadzenie Ogólne Polskiej Akademii Nauk. Kandydatów zgłaszać mogą zarówno rady naukowe instytutów naukowych, jak i rady wydziałów uczelni, a także co najmniej trzech członków PAN lub pięć osób, które wyróżniają się szczególnym dorobkiem naukowym. Kandydaci do AMU powinni wyróżniać się ponadprzeciętnymi osiągnięciami naukowymi, legitymować co najmniej stopniem naukowym doktora oraz nie przekroczyć w chwili wyboru wieku 38 lat. Członkami AMU najczęściej zostają osoby, które są u progu lub właśnie rozpoczęły samodzielną karierę naukową.

AMU jest gronem interdyscyplinarnym, gdyż jej członkowie stanowią reprezentację wszystkich pięciu wydziałów PAN, tj. nauk humanistycznych i społecznych, ścisłych i o Ziemi, biologicznych, rolniczych i medycznych oraz nauk technicznych. Powoływani są na pięcioletnią kadencję. Zasiadać w AMU można tylko raz. Wybory odbywają się w połowie kadencji: dzięki cyklicznej wymianie połowy składu Akademii, zasiadają w niej młodzi badacze na różnych etapach kariery naukowej. Taki system zapewnia ciągłość funkcjonowania organizacji, gdyż jej nowi członkowie mogą korzystać z wiedzy i doświadczenia starszych stażem kolegów.

Obecnie Akademia Młodych Uczonych (<https://amu.pan.pl/o-nas/sklad-amu>) liczy 35 członków, w tym 14 kobiet i 21 mężczyzn. Uczelnie reprezentuje 25 osób, jednostki PAN – 9, a 1 osoba instytut badawczy. W wyniku wyborów przeprowadzonych przez Zgromadzenie Ogólne PAN w grudniu 2021 r. 1 stycznia br. do AMU dołączyło 18 nowych członków, zajmując miejsca badaczy, którzy zakończyli swoją kadencję z końcem 2021 r. Członkowie AMU mimo młodego wieku kierują dużymi zespołami i jednostkami naukowymi, współpracują z zagranicznymi ośrodkami naukowymi, a niekiedy je reprezentują. Są laureatami prestiżowych stypendiów, staży, nagród oraz kierują licznymi projektami badawczymi. Dotychczasowi członkowie AMU uzyskali m.in. 3 granty ERC i kilkadziesiąt grantów polskich i międzynarodowych finansowanych przez NCN, NCBR, FNP, w programach HORYZONT i in.

Wiedzę i doświadczenie zdobyte w pracy naukowej wykorzystują, działając na rzecz społeczności akademickiej, zwłaszcza naukowców u progu samodzielnej kariery naukowej. Każdy członek AMU ma prawo udziału w głosie stanowiącym w pracach dwóch wybranych przez siebie komitetów PAN, mając realny wpływ na ich decyzje. Przedstawiają perspektywę młodych badaczy również na forum wydziałów i prezydium PAN, RGNiSW, KRASP i innych organizacji naukowych w kraju i za granicą, a także opiniują działalność urzędniczą oraz inicjatywy resortu nauki i jego agend.

Dla polskiej i europejskiej nauki

W strukturze Akademii Młodych Uczonych działa obecnie pięć zespołów powołanych przez jej władze: zespół ds. opinii, zespół ds.

sytuacji zawodowej młodych naukowców, zespół ds. promocji działalności AMU, zespół ds. popularyzacji nauki i wydarzeń oraz zespół ds. doradztwa naukowego.

Wśród kluczowych działań AMU należy wymienić przede wszystkim monitorowanie polityki naukowej w kraju, a zwłaszcza opinowanie aktów prawnych, które mają wpływ na jej realizację; opinie, stanowiska i rekomendacje AMU, których tylko w ostatnich 3 latach powstało 25, a dotyczyły m.in. aktów prawnych dotyczących finansowania nauki czy oceny doskonałości naukowej. Stanowiska poświęcone były analizie, a także przynosiły propozycje rozwiązań problemów funkcjonowania jednostek naukowych, poszczególnych grup naukowców, w tym doktorantów, pracowników badawczych, nauczycieli akademickich i innych.

Akademia podejmuje działania na rzecz usprawnienia polityki naukowej i sytuacji młodych naukowców oraz zwiększenia ich roli w środowisku społeczeństwie na arenie krajowej i międzynarodowej. Członkowie Akademii prowadzą dyskusje i konsultacje z najważniejszymi podmiotami finansującymi badania naukowe i prace badawczo-rozwojowe w kraju, w tym z Narodowym Centrum Nauki, Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, Ministerstwem Edukacji i Nauki, Fundacją na rzecz Nauki Polskiej, Narodową Agencją Wymiany Akademickiej i in. Przedstawiają propozycje zmian, które poprawić mają warunki realizacji prac badawczych, mając na względzie przede wszystkim doskonałość naukową, przejrzystość postępowań konkursowych i etykę badań. Swoje opinie i stanowiska AMU podejmuje w wyniku dyskusji wewnętrznych w drodze głosowania, posiłkując się niejednokrotnie także doświadczeniem i wiedzą ekspertów zewnętrznych.

Istotną część aktywności AMU stanowi współpraca ze środowiskiem młodych naukowców za granicą. AMU PAN zbudowała i podtrzymuje bliskie relacje, a także regularnie uczestniczy w spotkaniach szeregu międzynarodowych gremiów, w tym m.in. Global Young Academy, która wspiera nieformalną sieć akademii krajowych na całym świecie. Wskutek zawartego w grudniu 2019 r. porozumienia dwunastu europejskich akademii młodych uczonych, do których dołączyły również Global Young Academy oraz Young Academy of Europe, AMU PAN została członkiem-założycielem pierwszej oficjalnej sieci europejskich młodych akademii Young Academies Science Advice Structure (w skrócie: YASAS). Jej celem jest wymiana doświadczeń oraz umożliwienie młodym naukowcom uczestnictwa w doradztwie naukowym dla Komisji Europejskiej i usprawnienie samego procesu. Polska Akademia Młodych Uczonych (ang. Polish Young Academy) jest reprezentowana w YASAS w sposób szczególny, gdyż jej pierwszym prezesem jest jednocześnie obecny przewodniczący AMU PAN, dr Jacek Kolonowski. 1 maja 2022 roku, po niemal dwóch latach starań, YASAS została formalnie włączona do projektu Science Advice for Policy by European Academies (SAPEA) (<https://sapea.info/about-us/board>), stając się pierwszą siecią bezpośrednio reprezentującą europejskich młodych naukowców w Mechanizmie Doradztwa Naukowego Komisji Europejskiej.

Najważniejsze inicjatywy promujące i popularyzujące naukę

Akademia Młodych Uczonych aktywnie uczestniczy w promocji i popularyzacji nauki, organizując lub współorganizując konferencje i debaty naukowe. Jedną z flagowych inicjatyw są organizowane od 2015 roku konferencje z cyklu Polish Scientific Networks, będące platformą dyskusji dla przedstawicieli światów nauki, biznesu, samorządów oraz organizacji finansujących badania naukowe. W 2016 roku

tematem przewodnim odbywającej się we Wrocławiu konferencji była synergia nauki i biznesu, z kolei w 2018 roku – związki nauki i praktyki klinicznej w medycynie. Tegoroczna edycja PSN odbędzie się w dniach 28-30 września 2022 r. we Wrocławiu, a dotyczyć będzie zmian klimatycznych oraz ich oddziaływania na środowisko i społeczeństwo. Dyskutanci zajmą się również kwestią roli nauki w kształtowaniu decyzji politycznych oraz jej wpływu na opinie i wiedzę społeczeństwa na temat ochrony klimatu. Osobna sesja będzie poświęcona inwazji Rosji na Ukrainę.

Organizowane i współorganizowane przez AMU wydarzenia dotyczą nie tylko nauki, ale także polityki naukowej, zwłaszcza problemów, przed jakimi stoją młodzi badacze. Jedną z najważniejszych i najbardziej popularnych inicjatyw w tym zakresie są coroczne spotkania pt. *Zostań badaczką! Kobiety w nauce*, przybliżające sylwetki wybitnych młodych badaczek oraz promujące ścieżkę kariery naukowej wśród młodych kobiet. W ramach cyklu członkinie AMU odbywają spotkania z uczennicami i studentkami, dzieląc się swoimi doświadczeniami w uprawianiu nauki. Tylko w ostatniej edycji cyklu, która odbyła się 11 lutego br., organizatorki otrzymały ponad 170 zgłoszeń.

W grudniu 2021 roku odbyła się też pierwsze wydarzenie z cyklu Young Science Beyond Borders. Spotkania mają służyć nawiązaniu kontaktów pomiędzy środowiskiem młodych naukowców z Polski i krajów rozwijających się. Jest również okazją do promocji naszego kraju i polskich jednostek naukowych jako środowiska uprawiania nauki, a także prezentacji polskich uczonych jako partnerów naukowych i mentorów dla młodych badaczy z zagranicy. Wspólnym przedsięwzięciem AMU i PAN, które będzie wkrótce reaktywowane po przerwie spowodowanej pandemią COVID-19, są warsztaty pod nazwą Kuźnia Młodych Talentów. Skierowane do młodych naukowców na wczesnym etapie kariery, mają na celu rozwój umiejętności i kompetencji, w tym miękkich, niezbędnych do efektywnej pracy naukowej.

W konsekwencji zbrojnego ataku Rosji na Ukrainę, AMU odwołała m.in. cykliczne spotkania i skoncentrowała swoje działania na pomocy ukraińskim uchodźcom, a zwłaszcza naukowcom i nauczy-

cielom akademickim uciekającym przed wojną. W pierwszych tygodniach wojny członkinie i członkowie AMU starali się przede wszystkim znaleźć tymczasowe zatrudnienie w polskich jednostkach naukowych przybywającym z Ukrainy naukowcom, a także zapewnić im i ich rodzinom zakwaterowanie oraz podstawowe warunki do życia. W ciągu ledwie kilku dni AMU stworzyła platformę wymiany informacji pomiędzy polskimi uczelniami i jednostkami naukowymi a ukraińskimi badaczami poszukującymi zatrudnienia w Polsce i zainicjowała szereg działań pomocowych. Członkowie AMU byli również zaangażowani w bezpośrednią pomoc na granicy polsko-ukraińskiej. Dzięki zaangażowaniu AMU kilkudziesięciu ukraińskim naukowcom udało się znaleźć stałe lub tymczasowe zatrudnienie w polskich jednostkach badawczych. Akademia czynnie uczestniczyła i nadal uczestniczy w przygotowaniu i konsultacjach programów pomocy ukraińskim naukowcom, w tym programu NAWA „Solidarni z Ukrainą” oraz inicjatyw Ministerstwa Spraw Zagranicznych i KRASP. Na przełomie marca i kwietnia AMU połączyła siły z międzynarodowymi inicjatywami, m.in. Science for Ukraine, która tworzy bazę ofert kierowanych do ukraińskich studentów i naukowców. Mimo ograniczonych zasobów finansowych i kadrowych nadal podejmuje różne działania w zakresie wsparcia studentów i naukowców przybywających z Ukrainy.

Bieżącą działalność AMU można śledzić na jej stronie internetowej (<https://amu.pan.pl>), a także na profilach w mediach społecznościowych (Facebook, Twitter, LinkedIn). Już od sierpnia chętni będą mogli również subskrybować newsletter AMU.

Tymczasem zapraszamy instytucje nauki do współpracy i wsparcia naszej działalności zarówno organizacyjnie, jak i finansowo (kontakt: amu@pan.pl).

Dr hab. inż. Andrzej Katunin, prof. PŚ, pracuje w Katedrze Podstaw Konstrukcji Maszyn na Wydziale Mechanicznym Technologicznym Politechniki Śląskiej. Członek AMU PAN.

Dr Jacek Łukasz Kolanowski kieruje Zakładem Sond Molekularnych i Pro-leków oraz Centrum Wysokoprępowych Badań Przesiewowych w Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu. Przewodniczący AMU PAN.



Za granicę, ale nie aż na rok

O wprowadzeniu krótkoterminowych, trwających od 3 do 21 dni wyjazdów zagranicznych jako jednego z wymiarów mobilności akademickiej, dyskutowano na czerwcowym posiedzeniu Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Z pomysłem wyszli przedstawiciele Parlamentu Studentów RP i Krajowej Reprezentacji Doktorantów. Zwrócili oni uwagę, że w ostatnim czasie spadło zainteresowanie oferowanymi dotychczas formami wymiany międzynarodowej, realizowanymi czy to w ramach umów bilateralnych, czy w programie ERASMUS+. I pandemia nie jest tu jedynym powodem.

Z badania przeprowadzonego wśród studentów i doktorantów na zlecenie RGNiSW wynika, że na przeszkodzie w zagranicznym wyjeździe stoją najczęściej kwestie osobiste (praca, zobowiązania rodzinne), finansowe, obawy związane z komunikowaniem się w obcym języku, a także biurokratyczne procedury dotyczące przygotowania i rozliczenia wyjazdu oraz brak wyczerpujących informacji o możliwościach oferowanych przez uczelnie. Odpowiedzi te pokrywają się z innymi, uzyskanymi ostatnio przez autorów międzynarodowego projektu

EUROSTUDENT, z którego wynika, że jedynie 6% studentów w Polsce wyjechało za granicę w ramach międzynarodowej mobilności, a średni ich pobyt wyniósł około 5,9 miesiący (wyniki omawialiśmy szczegółowo w FA 2/2022).

Nie jest jednak tak, że ankietowani nie są w ogóle zainteresowani udziałem w internacjonalizacji. Ponad 95% pytanym w badaniu RGNiSW uważa, że programy mobilnościowe stałyby się bardziej interesujące po uruchomieniu krótkoterminowych wymian. Objęłyby one m.in. kwerendy, badania terenowe, prace laboratoryjne, kursy specjalistyczne, poszczególne kursy w ramach programu studiów, wykłady gościnne, udział w konkursach, konferencjach, projektach. Zdaniem pomysłodawców, ograniczony czas wyjazdu znacząco zniweluje obecne bariery, przyczyniając się do większego uczestnictwa studentów i doktorantów w procesach umiędzynarodowienia polskich uczelni.

MK

Na krótko

Prof. Marcin Pałys, przewodniczący Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, mówi o uwarunkowaniach wyjazdów krótkoterminowych i ich ograniczeniach.

Krótkoterminowe wyjazdy byłyby pożądanym uzupełnieniem klasycznej mobilności. Oczywiście, one jej nie zastąpią, bo zupełnie inny zakres wiedzy i kompetencji nabywa się w ciągu semestru czy roku, natomiast niewątpliwie lepiej odpowiadają bieżącej sytuacji. Przy stosunkowo ograniczonej w dalszym ciągu możliwości wyjazdów, krótkie pobyty, zwłaszcza jeśli ktoś planuje pracę równoległą do studiów czy z uwagi na sytuację rodzinną, poszerzałyby ofertę, stanowiąc atrakcyjną opcję. Wyjazd na semestr czy rok niejednokrotnie może komplikować sytuację życiową, dlatego myślę, że rozwiązań wychodzących temu naprzeciw będzie więcej i staną się coraz popularniejsze.

Wpływ na to mają bez wątpienia doświadczenia z czasów lockdownu. Ograniczenia w podróżowaniu spowodowały bardzo szybki rozwój współpracy online czy uczestnictwa w różnego rodzaju dyskusjach, spotkaniach w formie zdalnej. Wydaje się, że teraz, po zniesieniu tych ograniczeń, taka formuła stanowi bardzo ekonomiczną, jeśli chodzi o czas i pieniądze, możliwość współdziałania. I choć na pewno jest w tej chwili konkurencją dla wyjazdów krótkoterminowych, to sprawdza się z reguły w działaniach standardowych, które nie wymagają „burzy mózgów”. Przedsięwzięcia o dużym stopniu kreatywności wymagają jednak bezpośredniego spotkania. Takie wyjazdy mogą być bardzo istotne także jeśli chodzi o nabycie umiejętności praktycznych, np. zapoznanie się z metodami badawczymi czy uczestnictwo w projektach wymagających obecności w laboratorium bądź badań terenowych.



Aby w szerokim stopniu korzystać z mobilności krótkoterminowej, należałoby jednak usunąć najpierw przeszkody organizacyjne. W większości uczelni, zarówno polskich, jak i zagranicznych, ramy czasowe dla jakichkolwiek działań są najczęściej powiązane z semestrem, np. wykłady czy ćwiczenia planuje się na cały ten okres. Organizacja krótkich form kształcenia pozostaje jeszcze na stosunkowo wczesnym etapie. Inny problem to kwestia uznawalności rezultatów osiągniętych w trakcie takiego krótkiego wyjazdu. Oczywiście, nie jest to może aż tak istotne jak w przypadku rocznych pobytów, w trakcie których zalicza się jakiś element kształcenia, natomiast wypracowanie odpowiednich procedur wydaje się koniecznością.

Główna oś dyskusji na posiedzeniu RGNiSW dotyczyła tego, że krótkie wyjazdy nie dają tych samych możliwości, co długoterminowe. Te pierwsze są wygodniejsze, ale też w znacznym stopniu ograniczają lepsze poznanie funkcjonowania instytucji za granicą czy wszelkich kwestii niezwiązanych bezpośrednio z samym procesem kształcenia. Pojawiło się też wiele głosów wskazujących na płynną granicę między mobilnością krótkoterminową, a zwykłym wyjazdem w delegację czy uczestnictwem w konferencji. Wprawdzie studenci i doktoranci sugerowali w badaniu najczęściej 3 dni jako minimalny czas trwania takiego wyjazdu, ale z naszej dyskusji wynika, że należałoby przyjąć za dolną granicę okres co najmniej tygodnia.

Notował MK

Akademia WSB 25+2

4 sierpnia 1995 roku do ewidencji uczelni niepublicznych pod numerem 65 została wpisana Wyższa Szkoła Biznesu w Dąbrowie Górniczej (obecnie Akademia WSB ma numer 66). Jej twórcami byli Barbara i Zbigniew Piekiewiczowie. W 2012 r. WSB uzyskała uprawnienia do doktoryzowania w dziedzinie nauk ekonomicznych w dyscyplinie nauki o zarządzaniu, a w 2016 r. uprawnienia habilitacyjne w tym samym zakresie. W 2017 r. została członkiem Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. W 2018 roku uczelnia zmieniła nazwę na Akademia WSB.

Obecnie strukturę Akademii WSB tworzy 5 kampusów: główny w Dąbrowie Górniczej oraz czterech wydziałów zamiejscowych w: Cieszynie, Krakowie, Olkuszu i Żywcu. Posiada uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora w dyscyplinach: pedagogika, nauki o zarządzaniu i jakości oraz nauki o bezpieczeństwie, a także prawo do habilitowania w zakresie nauk o zarządzaniu i jakości. Dotychczas uczelnia wypromowała 84 doktorów i doktorów habilitowanych. Badacze z AWSB pracują w 13 dyscyplinach naukowych. Do ewaluacji działalności naukowej za lata 2017-2021 uczelnia zgłosiła 4 dyscypliny. W ocenianym okresie pracownicy AWSB opublikowali 816 prac naukowych, w tym 54 książki autorskie i redagowali 34 inne, 136 rozdziałów w książkach oraz 587 artykułów. Ponad połowa z nich została opublikowana w czasopiśmie z pierwszego kwartyłu bazy Scopus, niemal 60% publikacji powstało w współpracy z naukowcami ze światowych ośrodków naukowych (dla Polski taka średnia wynosi 35,2%), a 17,4% znajduje się w TOP 10 najwyższej cytowanych czasopiśmie (dla Polski taka średnia wynosi 9,1%).

Granty badawcze są finansowane między innymi z: programu Horyzont 2020, Microsoft – AI for Earth, Komisji Europejskiej, programów Interreg, INFOSTRATEG, Międzynarodowy Fundusz Wyszehradzki, z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju i Narodowego Centrum Nauki. AWSB wydaje czasopisma naukowe „Forum Scientae Oeconomia” oraz „Cultural Management: Science and Education”, które są indeksowane w bazie SCOPUS.

Oferta kształcenia AWSB obejmuje 21 kierunków studiów, w tym 5 anglojęzycznych i 2 dualne (logistyka i informatyka) oraz 100 kursów podyplomowych i MBA. Dotychczas mury uczelni opuściło ponad 50 tys. absolwentów, w tym 22 tys. studiów podyplomowych i MBA. W pierwszym roku działalności uczelni na kierunku zarządzanie i marketing rozpoczęło studia 529 studentów, w tym 336 na studiach dziennych. W 2000 r. uczelnia uzyskała pierwsze prawo do prowadzenia studiów II stopnia na kierunku zarządzanie i marketing. Obecnie na AWSB na wszystkich poziomach i etapach kształci się prawie 13 tys. osób. Na I i II stopniu jest 9026 studentów, 3634 osoby uczestniczą w studiach podyplomowych, a 324 osoby przygotowują doktoraty. Wśród studentów jest 2283 obcokrajowców z 64 państw, co daje umiędzynarodowienie kształcenia w uczelni na poziomie 25%. Od 1999 r. uczelnia z Dąbrowy Górniczej uczestniczy w programie wymiany międzynarodowej Erasmus. Dotychczas nawiązała 120 partnerstw z podmiotami zagranicznymi i zrealizowała 750 mobilności studentów i kadry akademickiej. Polska Komisja Akredytacyjna przyznała uczelni 13 ocen pozytywnych, w tym 2 wyróżniające: instytu-

cjonalną i dla socjologii. Jakość kształcenia potwierdzają też 2 międzynarodowe akredytacje: CEEMAN IQA oraz EUR-ACE® Label (KAUT). AWB dwukrotnie uzyskała też akredytację Fundacji Promocji i Akredytacji Kierunków Ekonomicznych.

W 2021 roku uczelnia została przyjęta do Europejskiego Stowarzyszenia Uniwersytetów (EUA) oraz The European Foundation for Mana-

Akademia WSB

Dąbrowa Górnicza, Cieszyn, Olkusz, Żywiec, Kraków

WSB University

gement Development. Komisja Europejska przyznała AWSB logo HR Excellence in Research.

Dąbrowska uczelnia Potrafi korzystać z możliwości, jakie stwarza obecność Polski w Unii Europejskiej. Dotychczas pozyskała ponad 30 mln zł z funduszy unijnych, które przeznaczyła m.in. na zbudowanie wirtualnych laboratoriów i rozwój innowacyjnych kierunków studiów (internet rzeczy, inżynier symulacji procesów, data science) oraz rozwój zaawansowanych systemów informatycznych. Beneficjentami tych działań było ponad 5 tys. studentów uczelni. Uczelnia wielokrotnie uzyskuje też dotacje ministerialne na rozwój działalności dydaktycznej, m.in. kierunku informatyka. Jest laureatem programu Regionalna Inicjatywa Doskonałości – 11 milionów złotych przeznaczyła na rozwój badań w dyscyplinach nauki o zarządzaniu i jakości oraz ekonomia i finanse.

W roku 2002 uczelnia utworzyła własny Naukowy Fundusz Stypendialny im. Profesora Henryka Walicy, pierwszego rektora. Powołała również Fundusz Projakościowy. Na obie inicjatywy dotychczas przeznaczyła ze środków własnych prawie 16 mln zł. Beneficjentami własnych funduszy stypendialnych było dotychczas blisko tysiąc osób.

Akademia WSB aktywnie realizuje tzw. trzecią misję. Prowadzi Uniwersytet Trzeciego Wieku i Dąbrowski Uniwersytet Dziecięcy, z których oferty skorzystało dotąd 15 tys. uczestników. Już 18 razy odbył się Festiwal Nauki, organizowany przez AWSB we współpracy z Urzędem Miejskim, którego oferta zainteresowała 250 tys. uczestników. Akademia podpisała Deklarację Społecznej Odpowiedzialności Uczelni. Tytuł doktora honoris causa AWSB przyjęli profesorowie: Wiesław Banyś, Michał Kleiber i Krzysztof Jajuga.

Działania AWSB przyniosły jej trzecie miejsce w Rankingu Uczelni Niepublicznych Fundacji Edukacyjnej Perspektywy oraz 35. miejsce w Rankingu Uczelni Akademickich.

Swój srebrny jubileusz, opóźniony z powodu pandemii o dwa lata, Akademia WSB świętowała 28 maja w sali koncertowej Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach.

(p)

Fotografie na trzeciej i czwartej stronie okładki.

Uczelniane place budów

Dwie kamienice na poznańskim Starym Mieście adaptuje na swoje potrzeby Wyższa Szkoła Bankowa. Nieruchomości przy ul. Ratajczaka 1 i 3 znajdują się na terenie dawnych koszar wojskowych. Powstały pod koniec XIX wieku. Zostaną poddane rewitalizacji, podobnie jak ich najbliższe otoczenie. Oprócz odnowienia kamienic inwestycja obejmuje także wybudowanie trzech szklanych łączników, które wraz z obecnie wykorzystywanymi przez WSB zabytkowymi budynkami przy ul. Powstańców Wielkopolskich 1 i 5 oraz Ratajczaka 5/7 utworzą kompleks obiektów uczelni. Znajdą się tam sale dydaktyczne, strefa studenta oraz strefy i pomieszczenia do pracy co-workingowej i warsztatowej, a także otwarta przestrzeń (częściowo przeszklona) między kamienicami. W nowym miejscu powstanie również Centrum Kształcenia Przedsiębiorczości Społecznej, które skupi się na świadczeniu usług na rzecz sektora ekonomii społecznej. Jego zadaniem będzie wsparcie badań diagnozujących potrzeby lokalnych podmiotów gospodarczych oraz tworzenie strategii ich rozwoju, pozyskiwanie środków na tworzenie miejsc pracy, a także wsparcie szkoleniowe, doradcze i promocyjne. W sumie rewitalizacją zostanie objęty obszar około 1400 m², z czego blisko połowę stanowi powierzchnia użytkowa budynków. Inwestycja, której zakończenie planowane jest na wiosnę przyszłego roku, pochłonie ponad 6,3 mln zł.

Do końca czerwca 2023 r. o nowy obiekt powiększy się infrastruktura Akademii Zamojskiej. Trzy lata temu uczelnia kupiła za 700 tys. zł budynek dawnej piekarni Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” przy ulicy Szczepieskiej. Znajduje się on w sąsiedztwie Cen-

trum Badań i Transferu Technologii AZ, które służy już studentom logistyki oraz mechaniki i budowy maszyn. Teraz ma powstać Centrum Studiów Technicznych, w którym będą się doskonalić studenci kierunków inżynierskich. Uczelnia chce w tym miejscu zlokalizować również swoją pierwszą salę sportową, w tej chwili żacy korzystają z miejskich obiektów. Koszt inwestycji to blisko 8,5 mln zł. Zostanie sfinansowana ze środków uzyskanych ze sprzedaży obligacji otrzymanych w 2019 r. od ministra nauki.

Na znacznie więcej, bo aż 131 mln zł, wyceniono budowę Centrum Symulacji Medycznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Stanie przy ul. Pawińskiego. Znajdzie się w nim m.in. 6 sal wysokiej wierności, w tym blok operacyjny, sala porodowa, 2 sale intensywnej terapii, sala szpitalnego oddziału ratunkowego i sala pielęgniarska. Oprócz tego przewidziano przestrzeń opieki przedszpitalnej z karetką pogotowia, a także salę do nauki umiejętności stomatologicznych i 3 pracownie umiejętności technicznych, gdzie będzie można ćwiczyć szycie ran, zakładanie opatrunków, cewnikowanie itp. Nie zabraknie sal przeznaczonych do zajęć z komunikacji medycznej z udziałem pacjenta symulowanego oraz pomieszczeń do przeprowadzania egzaminu OSCE (Objective Structured Clinical Examination). Nowa jednostka będzie przeznaczona dla wszystkich studentów, nie tylko tych z kierunku lekarskiego. Skorzystają z niej również lekarze i pracownicy medyczni różnych specjalności. – Centrum da możliwość popełniania błędów w bezpiecznych warunkach. Studenci przyjrzą się temu, co zrobili źle i będą mieli szansę popra-



1



2

Fot. Adam Czerniecki



4

1. Wyższa Szkoła Bankowa w Poznaniu
2. Collegium Polonicum w Słubicach
3. Centrum Symulacji Medycznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego
4. Wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę Centrum Nauk Medycznych Akademii Nauk Stosowanych Wincentego Pola w Lublinie
5. Akademicka Strefa Sztuki Scenicznej Akademii Muzycznej w Katowicach

wić swój błąd. Nauczą się też współdziałania, bo chcemy ich kształcić w interdyscyplinarnych zespołach z udziałem przyszłych lekarzy, pielęgniarzek czy ratowników medycznych – tłumaczy dr Marcin Kaczor, kierownik CSM. Pierwsze zajęcia zaplanowano już w przyszłym roku.

O nowy segment powiększa się właśnie Akademia Nauk Stosowanych Wincentego Pola w Lublinie. Czterokondygnacyjny budynek, w którym mieścić się będzie Centrum Nauk Medycznych, powstaje w sąsiedztwie głównego gmachu uczelni przy ul. Choiny. Inwestycja szykowana głównie z przeznaczeniem na dydaktykę pozwoli na kształcenie przyszłych kadr ochrony zdrowia. Na 4,1 tys. m² znajdują się specjalistyczne pracownie fizjoterapii, pielęgniarstwa, położnictwa i ratownictwa medycznego, wszystkie wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt medyczny. Na parterze zaplanowano miejsce na bar bistro oraz gabinety, w których będą mogły być świadczone usługi kosmetyczne. Na pierwszym piętrze ulokowana zostanie biblioteka i laboratoria komputerowe, a na kolejnych dwóch kondygnacjach powstaną dwie sale wykładowe o amfiteatralnym układzie miejsc (audytoria). Dodajmy, że w listopadzie uczelnia otworzyła Centrum Symulacji Medycznej, w którym kształcą się studenci pielęgniarstwa, fizjoterapii i kosmetologii. Kosztowało 5 mln zł. Wznoszony właśnie budynek będzie prawie dwukrotnie droższy. Ma być oddany do użytku w październiku przyszłego roku.

Znacznie dłużej przyjdzie czekać na Akademicką Strefę Sztuki Scenicznej w centrum Katowic. Nowy obiekt Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego zostanie otwarty dopiero w 2025 roku. Powstaje na terenie pozyskanym od miasta. Będzie przeznaczony przede wszystkim na sztuki sceniczne. Swoją siedzibę znajdzie w nim uruchomiony przed trzema laty kierunek – taniec. W budynku zaplanowano także sale o powierzchni od 80 do 200 m² wraz z zapleczem oraz wielofunkcyjną

salę audiowizualną (konferencyjną) z widownią na 350 miejsc, wyposażoną w profesjonalny orkiestron. Będą w niej prezentowane przedstawienia taneczne, operowe oraz dramatyczne. Dla studentów specjalności muzykoterapia powstaną pracownie, w których przy wsparciu zespołu terapeutycznego będą oni realizować praktyki i uczestniczyć w projektach badawczych. Centralna przestrzeń między oknami ma pełnić funkcję foyer podczas dużych imprez. Na co dzień może też być wykorzystywana jako kawiarnia czy miejsce spotkań studentów. Szacunkowy koszt budynku o powierzchni ok. 5 tys. m² to 115 mln zł.

Zakończył się już za to remont dużej auli Collegium Polonicum w Ślubicach. Był konieczny po tym, jak w lipcu 2018 roku strawił ją pożar. Ogień wyrządził olbrzymie szkody. Kompletnego odbudowania wymagało nie tylko wnętrze reprezentacyjnej sali, ale również elementy pokrycia dachowego. Dzięki sprawnej akcji gaśniczej pożar nie rozprzestrzenił się i zdołano uratować m.in. cenny fortepian. Nową aulę, podobnie jak cały kompleks CP, zaprojektował architekt Tomasz Durniewicz. Salę wyposażono w 420 wygodnych foteli (o 36 więcej niż przed pożarem), nowoczesne oświetlenie oraz nagłośnienie. Będą się w niej odbywać uroczystości akademickie, konferencje, ale również koncerty i przedstawienia teatralne. Uczelnia już korzysta z sali, ale oficjalne otwarcie zaplanowano na 21 października podczas inauguracji roku akademickiego. Koszt remontu wyniósł blisko 7 mln zł. Collegium Polonicum w Ślubicach jest wspólną placówką naukowo-badawczą dwóch partnerskich uniwersytetów: Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. W ub.r. obchodziło swoje 30-lecie.

Mariusz Karwowski



Nie ma na nich mocnych

Bez cienia kurtuazji: spodziewano się tego zwycięstwa. Kiedy przed sezonem Andrzej Bussler, zastępca dyrektora Centrum Sportu Akademickiego Politechniki Gdańskiej ds. sportowych, wziął się za prognozowanie wyników, wyszło mu, że ekipa z nad morza zdobędzie jeszcze więcej punktów niż rok wcześniej. Już wówczas, choć to tylko papierowe kalkulacje, można było przypuszczać, że ten dorobek pozwoli na ustrzelenie hat-tricka. Z każdymi kolejnymi zawodami wcześniejsze wylczenia nabierały realnego wymiaru. Ostatecznie gdańszczanie wyrubowali swój rekord w historii startów w Akademickich Mistrzostwach Polski – 2907,5 pkt., czyli o 216 więcej niż w poprzedniej edycji. Wyprzedzili o 124,5 pkt. Uniwersytet Warszawski i o 267 pkt. Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie. Odnieśli tym samym trzeci z rzędu triumf w klasyfikacji generalnej.

– Każdy z nich smakował inaczej. Pierwszy, zaskakujący, wielu traktowało z przymrużeniem oka, mówiono, że to efekt pandemii. Tak nas to zmotywowało, że rok później powtórzyliśmy wygraną. Teraz z kolei już nikomu niczego nie musieliśmy udowadniać. To nie przypadek, lecz efekt systematycznej pracy – podkreśla Kazimierz Rozwadowski, zastępca dyrektora CSA PG ds. dydaktycznych.

Postępy widać gołym okiem. W swoim debiucie drużyna unihokeja zajęła dwa lata temu szóste miejsce. W kolejnych rozgrywkach wskoczyła na najniższy stopień podium, a w tym roku sięgnęła po złoto. Na listę zwycięzców wpisali się też niepokonani od ośmiu lat żeglarze, trójboiści oraz – wisienka na torcie – piłkarze, którzy w półfinale byli o włos od odpadnięcia (wygrali po rzutach karnych 16:15!), a umocnieni tą dramatyczną przeprawą, wygrali ostatni finał tegorocznych AMP-ów, pieczętując triumf uczelni w całym cyklu. To jednak nie wszystkie osiągnięcia. Mimo technicznego profilu uczelni, studentki ani myślą pozostawać w cieniu swoich kolegów. Z medalem z najcenniejszego kruszcu wróciły koszykarki 3 × 3. Ich sukces szczególnie ucieszył rektora, wielkiego miłośnika sportu, który swego czasu dał się przekonać do zainwestowania w tę niszową dyscyplinę,

a teraz może zbierać owoce tej decyzji. Na podium stały także srebrne: kolarki górskie, koszykarki i trójboistki.

Indywidualnie złote krążki zdobyli: Anna Ławrukajtis w biegu na 3 km, Katarzyna Duda w ergometrze, Wiktor Mertka w rzucie oszczepem, trójboiści Kamil Linstedt (74 kg) i Marcin Statkiewicz (105 kg), a także drużyna w aerobiku sportowym w składzie Georginia Kłapsia, Katarzyna Kowal, Yuliia Lushyna, Klaudia Skrzypińska, Wiktoria Słowińska, Marta Wasilewska i Sandra Wikarska.

Jak przekonuje K. Rozwadowski, medale – choć są miłym ukoronowaniem wyczerpujących treningów – nie stanowią jednak celu samego w sobie.

– Owszem, tych 25 krążków, czyli o dwa więcej niż przed rokiem, musi cieszyć, tym bardziej że gdyby pokusić się o jeszcze jeden złoty, byłibyśmy na podium także w klasyfikacji medalowej, ale tak naprawdę skupiamy się na „generalce” – zaznacza, podając przykład snowboardu czy narciarstwa, w których trudno rywalizować z uczelniami z południa Polski, a mimo to udaje się zająć wysokie miejsca.

To przemyślana strategia, którą w Politechnice Gdańskiej wprowadzono już przed dekadą: brać udział w maksymalnej liczbie dyscyplin, nawet tych, w których nie ma medalowych szans. Od kilku lat występują we wszystkich. Niektórzy sportowcy nawet w więcej niż jednej – w tym roku było takich 80, a rekordzistką okazała się Katarzyna Tessmer z Wydziału Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej, która wystartowała w trójboju siłowym, lekkoatletyce, ergometrze wioślarskim i biegach przełajowych, a także zagrała w drużynach futsalu i piłki nożnej.

Zmieniona niedawno formuła AMP, w której nie odrzuca się (jak dawniej) najgorszych występów, sprzyja realizacji strategii stawiającej nie na pojedynczy wynik, ale dokonania całej uczelnianej ekipy, liczy się zespołowość. Dzięki temu, dbając o najlepszych, myśli się też o tym, jak podnieść poziom tych słabszych, których punkty są równie istotne. Nawiązana współpraca z Zespołem Kształcenia i Wychowania w Stężycy (I liga siatkówki), Stoczniewcem Gdańsk (II liga siatkówki)



Drużyna piłkarzy Politechniki Gdańskiej świętuje zdobycie złotego medalu

Prof. Krzysztof Wilde, rektor Politechniki Gdańskiej:

Po tym, co się wydarzyło, mam poczucie, że warto być cierpliwym. Obecne sukcesy to efekt naszej długoletniej, systematycznej pracy. Podeszliśmy do sprawy inaczej niż większość uczelni i naszą drogę do zwycięstw w AMP rozpoczęliśmy od budowy odpowiedniej infrastruktury. Dopiero potem zajęliśmy się organizacją zajęć, sekcji i zachęcaniem młodych ludzi do uprawiania sportu, a przy tym również tworzeniem odpowiedniej kadry trenerskiej. Chcieliśmy zadbać o rozwój sportu w wymiarze amatorskim. Zresztą uważam, że to jest właśnie kierunek, w którym powinny zmierzać uczelnie, czyli upowszechnianie i popularyzacja sportu. Także poprzez współzawodnictwo, różne zawody międzyuczelniane, takie jak choćby Igrzyska Studentów Pierwszego Roku. Istotna jest integracja!



O tym, że robimy to dobrze, dobitnie przekonujemy się przy okazji corocznego Balu Sportowca Politechniki Gdańskiej, na który przychodzi 350–400 osób. To dowód na to, jak żyte jest nasze środowisko. Od ponad dekady na naszej uczelni patrzy się przychylnym okiem na sport. Cały czas chcemy się poprawiać, dlatego w najbliższej przyszłości planujemy budowę skrojonej pod nasze potrzeby hali widowiskowej, nowych kortów tenisowych pod balonem oraz stworzenie specjalnej restauracji dla naszych studentów-sportowców, którzy będą mogli tam zamawiać posiłki uwzględniające ich wszystkie potrzeby i ewentualne wskazówki od dietetyków.

czy Ogniwem Sopot (zespół rugby 7-osobowego), służyć ma właśnie rozwojowi sportowego potencjału. Duże nadzieje wiąże się ze związkiem FarUniv, w ramach którego łączone drużyny trzech gdańskich uczelni występują w rozgrywkach piłki ręcznej czy siatkówki plażowej.

Ta wszechstronność w podejściu do sportowej rywalizacji przynosi owoce i pokazuje, że w ten sposób udanie można konkurować z takimi potentatami, jak Uniwersytet Warszawski czy Akademia Górniczo-Hutnicza. Choć na pierwszy rzut oka wydawałoby się to niemożliwe. Na Politechnice Gdańskiej studiuje ponad 15 tys. osób, z czego do AZS należy około pół tysiąca. Spośród 395 zawodników, którzy reprezentowali w tym roku granatowe barwy uczelni, aż 312 wróciło

z medalami, w tym 128 w klasyfikacji generalnej, pozostali w rywalizacji uczelni technicznych. Najwięcej przywieźli studenci Wydziału Inżynierii Mechanicznej i Okrętownictwa. Warto wspomnieć, że aż 158 studentów sięgnęło po więcej niż jeden krążek.

Tych sukcesów z pewnością by nie było, gdyby nie inwestycje infrastrukturalne. Przez minioną dekadę sporo się w tym względzie zmieniło. Powstało nowoczesne centrum sportowe z halą do gier zespołowych, wyremontowanymi basenami: dużym i małym do nauki pływania, halą tenisową, ścianą wspinaczkową, dużym boiskiem trawiastym ze sztuczną nawierzchnią, boiskami do siatkówki plażowej i koszykówki 3 × 3, halą aerobiku i do sportów walki. Ewenementem na skalę ogólnopolską jest wioślarnia. W ostatnim czasie zakupiono obiekty przy ul. Sobieskiego, które zagospodarowano na kolejną halę. Znajdzie tam swoje miejsce także sekcja tenisa stołowego. W planach jest utworzenie także Centrum Integracyjnego dla sportu osób z niepełnosprawnościami oraz zaplecza do rehabilitacji i odnowy biologicznej. Kto wie, czy w sąsiedztwie nie powstanie wkrótce... stok narciarski. Kiedy rektor zapytał ostatnio każdą z uczelnianych jednostek o największe marzenie, które warto byłoby zrealizować, w Centrum Sportu Akademickiego PG usłyszał, że właśnie taki obiekt nad morzem by się przydał. Politechnika Gdańska, jeszcze do niedawna uznawana za „kopciuszkę”, od trzech lat udowadnia, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Mariusz Karwowski

Klasyfikacja generalna AMP 2022

1. Politechnika Gdańska
2. Uniwersytet Warszawski
3. Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie
4. Uniwersytet Gdański
5. Politechnika Wrocławska
6. Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach
7. Politechnika Śląska w Gliwicach
8. Uniwersytet Jagielloński
9. Uniwersytet Medyczny w Łodzi
10. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

Klasyfikacja medalowa AMP 2022

Uczelnia	złoto	srebro	brąz
Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach	21	12	20
Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu	13	9	10
Politechnika Łódzka	10	8	6
Akademia Wychowania Fizycznego w Warszawie	10	7	8
Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie	10	7	8
Politechnika Gdańska	9	11	6
Uniwersytet Jagielloński	8	5	4
Uniwersytet Warszawski	7	6	11
Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie	6	6	9
Akademia Leona Koźmińskiego w Warszawie	6	1	3

Czy Polscy naukowcy odczuwają presję publikowania oraz łamią zasady etyki naukowej? Odpowiedź na oba pytania brzmi TAK. Nieetyczne zachowania zbadali, jeszcze przed aktualną parametryzacją, dr Mariola Paruzel-Czachura, dr Lidia Baran i dr hab. Zbigniew Spindel z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Śląskiego.

Naukowcy przeprowadzili dwa badania na jednym z polskich uniwersytetów. Zaproszenie do pierwszego z nich skierowano do wszystkich pracowników badawczo-dydaktycznych, a do drugiego tylko do kadry zarządzającej. W pierwszym badaniu zdecydowało się wziąć udział 423 naukowców. Reprezentowali oni różne dyscypliny i posiadali różne stopnie naukowe. 71% z nich zadeklarowało, że nigdy nie zrobiło niczego nieetycznego w nauce. 3% z nich ujawniło, że dokonali nieetycznych wykroczeń w nauce, a najczęstszymi było autorstwo honorowe, czyli dopisywanie współautorów do publikacji bez ich żadnego wkładu w projekt lub pisanie artykułu, korzystanie z nielegalnych wersji narzędzi badawczych (pirackich testów) czy ukrywanie niesatysfakcjonujących wyników badań (tzw. efekt szuflady).

Szereg innych badań empirycznych potwierdza, że ludzie widzą siebie w lepszym świetle niż innych, także pod względem moralności. W związku z tym autorzy badania zapytali naukowców o to, czy dostrzegają wykroczenia wśród swoich kolegów i koleżanek. W tej sytuacji już 51% respondentów uznało, że ich koledzy i koleżanki zrobili coś nieetycznego. Najczęstszym wymienianym zachowaniem było także autorstwo honorowe, ale – co ciekawe – pojawiły się liczne, inne zachowania nieetyczne, takie jak cytowanie cudzych prac bez odwoływania się do ich źródeł, ukrywanie niesatysfakcjonujących wyników badań (efekt szuflady), manipulowanie danymi, świadome wydłużanie czasu oddania recenzji naukowych by komuś zaszkodzić, czy nawet zmyślenie danych.

Badacze zainteresowali się także tym, czy naukowcy byli usatysfakcjonowani z systemu swojej pracy oraz czy odczuwali presję publikowania, którą zdefiniowano jako subiektywnie postrzegane napięcie psychiczne, związane z wymogiem opublikowania określonej liczby tekstów w danej jednostce czasu. Podejrzewano, że presja punktowania może mieć związek z nieetycznymi zachowaniami w nauce. Okazało się, że 78% pracowników było niezadowolonych z systemu punktowania w Polsce, a 77% uznało, że odczuje negatywne konsekwencje w pracy, jeśli nie będą zbierać punktów. Ale już tylko 29% naukowców sądziło, że powinni je odczuć, jeśli nie spełnią tych wymogów.

Badacze zapytali również o to, co dokładnie nie satysfakcjonowało naukowców w systemie punktowania. Na pierwszym miejscu najczęściej wskazywano zbyt małą liczbę punktów za pewne działania, np. za udział w konferencji, oraz zbyt długi czas oczekiwania na wydanie publikacji. Co więcej, badani pracownicy uznali, że najczęstszym skutkiem nie zdobycia określonej liczby punktów będzie niezadowolenie szefa, że nie przedłuży im się umowy o pracę oraz nie uzyskają finansowania swoich przyszłych badań. Nie wykazano istot-

nego statystycznie związku między brakiem satysfakcji z systemu punktowania a odczuwaną presją publikowania. Jednakże badanie wykazało niewielką pozytywną korelację między odczuwaną presją publikacyjną, a intencją do zaangażowania się w nieetyczne zachowania w przyszłości.

Drugie badanie miało na celu sprawdzenie czy kadra zarządzająca jest świadoma nieetycznych zachowań pracowników uczelni oraz odczuwanej przez nich presji publikowania. W badaniu wzięło udział 31 przedstawicieli kadry zarządzającej. Aż 52% z nich raportowało, że jest świadoma nieetycznych praktyk swoich podwładnych. Najczęstszą z nich było autorstwo honorowe, kopiowanie fragmentów cudzych prac (plagiat), przywłaszczanie pomysłów innych naukowców bez powoływania się na źródło oraz efekt szuflady. Aż 71% respondentów uznało, że ich podwładni odczuwają presję publikowania.

Z badań przeprowadzonych przez zespół pod kierunkiem dr Marioli Paruzel-Czachury wynika, że większość badanych naukowców była przekonana o swojej moralnej postawie i przewidywała, że będzie etycznie zachowywać się także w przyszłości. Najczęściej raportowane były łagodne wykroczenia, tzw. wątpliwe praktyki badawcze, jak autorstwo honorowe czy efekt szuflady. Raportowali je zarówno sami naukowcy, jak i ich przełożeni, ale dotyczyły one w znacznej części nieetycznych zachowań kolegów, a nie własnych. Odczuwana subiektywna presja publikowania była związana z deklarowaną chęcią dokonania nieetycznych zachowań w przyszłości, jeśli pozwoliliby to pracownikowi utrzymać miejsce pracy.

Powyższe wyniki z perspektywy dnia dzisiejszego trzeba oceniać z dystansem, gdyż badanie było przeprowadzone jeszcze przed aktualną parametryzacją, a więc przed łatwo obserwowalnym u naukowców późniejszym „parametryzacyjnym” stresem. Dr M. Paruzel-Czachura podejrzewa, że w związku z tym zarówno presja publikowania, jak i liczba nieetycznych zachowań w nauce mogła od tego czasu wzrosnąć. Zapewne pojawiły się też nowe wątpliwe praktyki badawcze. – Niestety, parametryzacja sprawia, że skupiamy się na punktach, a co za tym idzie na pieniądzach, a nie na tym, na czym powinno nam chyba najbardziej zależeć, czyli prowadzeniu dobrej jakości badań naukowych na skalę międzynarodową, których celem jest zdobycie nowej wiedzy o otaczającym nas świecie – podsumowuje szefowa zespołu naukowego, realizującego badania.

Wyniki badań opublikowano w „Research Ethics” <https://journals.sagepub.com/doi/full/10.1177/1747016120980562>.

(mpc)

Obecnie dr Mariola Paruzel-Czachura prowadzi badania z obszaru psychologii moralności. Badaczka zachęca do udziału w badaniu i sprawdzeniu interpretacji swoich wyników. Więcej informacji na: www.mojamoralnosc.pl.

2 x TAK
2 x TAK
2 x TAK
2 x TAK

Rozmowa z prof. Bożeną Czerny z Centrum Fizyki Teoretycznej PAN, pierwszą w historii Polką nagrodzoną przez Europejskie Towarzystwo Astronomiczne. Nagroda im. Lodewijka Woltjera jest nadawana astronomom od 2010 roku jako wyraz uznania za wyróżniające się badania kosmosu.

Rozpięte płótno Wszechświata

Najpierw trzeba zobaczyć obraz jakiegoś zjawiska, potem spróbować zrozumieć jego mechanizm, następnie ocenić czy też, jak mówimy w nauce, oszacować, czy ma on szansę zadziałać, a dopiero w dalszej kolejności ewentualnie wymyślić równania.

Zacznijmy od zdziwienia, które na przykład w filozofii stanowi istotę podejmowanych rozważań. Czy dla pani taka specyficzna postawa, wyrażająca się nieustającą gotowością do stawiania kolejnych pytań, stanowiła zasadniczy impuls poznawczy?

Tak. Mogę potwierdzić, że właśnie taka była moja motywacja od samego początku. Kiedy człowiek jest młody, to w ogóle nie ma żadnych oporów, by zadawać bardzo śmiałe pytania. Będąc jeszcze w szkole, zastanawiałam się na tym, dlaczego czas płynie tylko do przodu, a w przestrzeni można iść w lewo, w prawo, do przodu i do tyłu. Nawiasem mówiąc, czysta filozofia mnie nie pociąga, po prostu jej nie czuję. Lubię się oczywiście konfrontować ze światem, ale w taki sposób, jak to robi astronom, czyli za pomocą obserwacji. To one są dla mnie rzeczywistością. Kiedy mam do dyspozycji pewne dane i fakty, mogę potem z nimi porównać własne pomysły i to stanowi dla mnie inspirację do zadawania kolejnych pytań. Filozofia natomiast jest, według mnie, w gruncie rzeczy językiem, a co za tym idzie pozostawia pole do interpretacyjnej dowolności, w której może zdarzyć się sytuacja, kiedy coś, co jest oczywiste dla jednego, dla drugiego nabiera zupełnie innego znaczenia. Natomiast w momencie, kiedy odwołujemy się do obserwacji i matematyki, przechodzimy na taki poziom uniwersalności, który automatycznie znosi kwestię braku porozumienia. Dzieje się tak dlatego, że przyjęty model określonego zjawiska po prostu do niego pasuje lub nie i w żadnej mierze nie jest to kwestia uzależniona od przyjętej przez kogoś interpretacji.

Skoro obserwacje odgrywają tak dużą rolę, to, jak rozumiem, istotny staje się wybór odpowiedniej metody, za pomocą której badać się będzie przebieg określonych procesów?

Oczywiście. Trzeba powiedzieć, że istnieje cała gama zróżnicowanych metod, co wynika z faktu, że różne rzeczy otrzy-

muje się w wyniku obserwacji. Raz będzie to np. pewien obraz, a innym razem wykres funkcji czasu.

A czym się pani kieruje, dobierając określone narzędzia do swojej pracy?

Obrana przeze mnie strategia polega na tym, że niezależnie od obserwacji zawsze tworzę pewien model zjawiska. Czyli najpierw je sobie wyobrażam, myślę o tym, w jaki sposób ono może przebiegać, a potem rozwiązuję równania, przyjmując przy tym określone założenia. Kolejnym etapem jest porównanie obu tych rzeczy. Warto w tym momencie zaznaczyć, że sprawa samego doboru modelu jest procesem bardzo zindywidualizowanym. W praktyce oznacza to tyle, że każdy kieruje się przy tej czynności własnymi przekonaniem. Dopiero później przychodzi czas konfrontacji, w którym porównujemy dokonane przez nas wybory i patrzymy, kto z nas dysponuje lepszym modelem, czyli bliższym temu, co widać na niebie.

W związku z tym, że, jak pani powiedziała, dobór określonego modelu jest ściśle związany z konkretną osobą, to czy, podobnie jak ona, on także zmienia się w ciągu lat naukowej kariery? Jednym słowem chcę zapytać o to, jaki wpływ na dokonywane wybory ma upływający czas? Czy to, że teraz ktoś wybiera taki model, a nie inny, wynika z jego większej dojrzałości oraz posiadania znaczącej puli przeróżnych doświadczeń?

To się nieustannie zmienia. Nawet kiedy pracuję ze studentem czy doktorantem i dysponujemy pewnymi danymi obserwacyjnymi, to główny model i tak musimy ciągle dostosowywać i zmieniać. To trochę jak z modą. Gdybym zapytała, czy ma pani w szafie tylko jedną sukienkę, to pewnie usłyszałabym negatywną odpowiedź. Wiadomo bowiem, że na różne okazje potrzebujemy zupełnie innych fasonów. I tak jak nasz styl ubierania zmienia się, moim zdaniem, chociażby z wiekiem, tak wybór metody pracy również jest wrażliwy na upływający czas.

A czy przy obserwacji towarzyszą pani jakieś emocje? Czy jest to raczej akt czysto intelektualny i nie ma w nim miejsca na żadne uczucia?

Jeśli chodzi o typową pracę przy teleskopie, to sama rzadko kiedy wykonuję tego rodzaju czynności. Myślenie twórcze i związane z nim emocje budzą się u mnie w momencie, kiedy zaczynam przygotowywany model porównywać z danymi opracowanymi z otrzymanych obserwacji. I właśnie na tym etapie pojawia się z jednej strony niecierpliwość, bo chcę jak najszybciej wiedzieć, czy wybrany model dobrze pasuje, z drugiej strony strach i obawa przed tym, że może jednak dokonałam niewłaściwego wyboru. Największa radość przychodzi w momencie, gdy potwierdzi się nie tylko to, że dany model pasuje, ale że w ogóle zobaczyliśmy coś ciekawego i jeszcze dodatkowo zrozumieliliśmy, dlaczego tak jest, a nadto potrafimy to w opracowanej dysertacji wyjaśnić.

Chciałabym zapytać o kwestię rozczarowania. Jak to wygląda w przypadku badacza? Czy zdarza się pani doświadczać tego, dość jednak nieprzyjemnego stanu? Czy może rozpamiętuje pani sytuację, kiedy nad czymś pani długo pracowała, rozmyślała, oczekiwała, że początkowe hipotezy znajdą potwierdzenie, jednak ostatecznie tak się nie stało?

Tak oczywiście bywa. Nie wszystko bowiem się udaje tak, jakby się tego chciało. Ale trzeba podkreślić, że i nie każda idea jest równie dobra.

Czyli, jak rozumiem, codziennością naukowca jest mierzenie się z jakimś rodzajem frustracji. Jak w takich sytuacjach nie wątpić w swoje umiejętności?

W nauce trzeba mieć pewną odporność psychiczną. Pamiętamy, że jest to obszar, w którym człowiek zawsze robi coś, na czym się nie zna. Często tłumaczę swoim studentom, że właśnie na tym polega różnica między pracą w fabryce, a pracą naukową. W fabryce bowiem wystarczy, że ktoś przejdzie szkolenie i już może rozpocząć działanie w sferze, co do której będzie miał pewność, że zdołał ją poznać. Natomiast w nauce każdy nieustająco, tak jak wspomniałam, robi to, na czym się nie zna. Oczywiście niebezpieczeństwo zawodu wynika z tego, że sam pomysł może nie być udany, albo że nie zdoła się napisać pracy, ale moim zdaniem trzeba zawsze testować do skutku i poszukiwać ciągle nowych rozwiązań.

Potrzebne jest w związku z tym wewnętrzne przekonanie, że warto próbować?

Oczywiście, że tak. To jest sytuacja podobna do tej, z jaką mamy do czynienia w przypadku zgubienia się w lesie. Jeden człowiek będzie usiłował z niego wyjść i na końcu powie sobie, że mimo wszelkich trudności było to interesujące doświadczenie i następnym razem także pójdzie do lasu, bo będzie ciekawy, jak tym razem sobie poradzi. Inny natomiast już po pierwszym tego rodzaju zdarzeniu zniechęci się i nigdy więcej nie podejmie próby eksploracji nowej przestrzeni.

Czy tej odporności można się nauczyć?

Sądzę, że nie. Według mnie jest ona wrodzona. Można oczywiście ją wzmocnić, rozwijać, można zyskiwać coraz większą samoświadomość. Wraz z doświadczeniem człowiek staje się także nieco mniej nerwowy. Wie bowiem, że skoro zawsze miał dobre pomysły, to nie ma powodu, by kolejnym razem miało być inaczej. Czasem trzeba po prostu zdystansować się na chwilę, zostawić jakąś sprawę na tydzień i poczekać, aż pojawią się kolejne pomysły. Natomiast jeśli ktoś w ogóle nie ma tej odporności, to powinien jednak poszukać spokojniejszej pracy, nawet jeśli mówimy o osobie obdarzonej niezwykłą

inteligencją. Chciałabym zaznaczyć, że w astronomii sytuacja jest o tyle komfortowa, że nie trzeba rezygnować z ulubionego stylu pracy. Zawsze można go dobrać do posiadanych predyspozycji. Jeśli więc ktoś lubi przebywać i pracować w grupie, to czekają na niego wielkie projekty badawcze, w ramach których należy nieustannie wszystko uzgadniać, negocjować czy ustalać, co wymaga mocnej interakcji z innymi. Z kolei dla jednostek preferujących cichy i spokojny rytm działania pozostaje droga koncentracji na danych. Jest obecnie mnóstwo danych, które są publicznie dostępne, wystarczy je tylko zgromadzić i spokojnie, w zaciszu domowym wymyślić ich zupełnie nową interpretację, o której nikt wcześniej nawet nie pomyślał.

Pani badania dotyczą zjawisk, które występują przy horyzoncie czarnej dziury. Zatrzymajmy się na chwilę na tym fenomenie, który często jest wyobrażany jako rodzaj zasysającej wszystko wokół przestrzeni. Jak to wygląda w rzeczywistości?

Czarna dziura jest związana z pojęciem niezwykle silnego pola grawitacyjnego. Słońce na przykład przy powierzchni ma pole grawitacyjne silniejsze niż Ziemia na powierzchni, ale oczywiście Słońce nie jest czarną dziurą. Gdyby natomiast jakoś udało się Słońce ścisnąć, tak żeby miało rozmiar mniejszy niż 3 km, to już wówczas byłoby czarną dziurą. Czyli, po pierwsze, chodzi o odpowiednie ściśnięcie masy, po drugie zaś o tzw. prędkość ucieczki. Jeśli bowiem materię mocno ściśniemy, to prędkość ucieczki robi się coraz większa i większa. I gdy mówimy o czarnej dziurze, to mamy na myśli taki właśnie obiekt, z którego nie ma już prędkości ucieczki. Albo jeszcze inaczej: prędkość ucieczki musiałaby być większa niż prędkość światła, a ponieważ nie ma prędkości większej niż prędkość światła, jest to po prostu niemożliwe.

Przejdźmy teraz do tematu, który zajmuje ważną część w prowadzonych przez panią badaniach. Myślę tu o kwazarach. Z czego, pani zdaniem, wynika ich wyjątkowość?

Kwazar jest galaktyką, ale dość nietypową. Prawie wszystkie galaktyki zawierają w sobie czarne dziury, które charakteryzują się tym, że są bardzo masywne. Nasza galaktyka np. zawiera czarną dziurę o masie 4 mln mas Słońca. Niewiele z tego jest dostrzegalne, ponieważ prawie nic do tej czarnej dziury nie wpada. Trzeba dysponować niezwykle czułymi urządzeniami, aby móc cokolwiek zobaczyć, a w szczególności, by móc zrobić zdjęcie zachodzącego zjawiska. Natomiast w przypadku niektórych galaktyk, czyli w tym przypadku kwazarów, ogromne ilości materii wpadają do owej czarnej dziury, a zanim jeszcze wpadną, to materia się tłoczy i zderza, tworząc wir, czy też, jak mówimy w astronomii, dysk akrecyjny. Dochodzi wówczas do wygenerowania bardzo dużej ilości energii oraz ciepła i wszystko to razem zaczyna bardzo intensywnie świecić. Znacznie silniej nawet niż gwiazdy galaktyki macierzystej. Można to sobie wyobrazić w ten sposób, że dookoła jest galaktyka, ale w środku znajduje się owo centrum, które świeci nawet tysiąc razy intensywniej niż reszta gwiazd. W związku z tym, że owe obiekty są właśnie tak jasne, stają się bardzo dobrze widoczne, a to czyni je doskonałymi fenomenami do obserwacji.

Pomówmy trochę o kryterium miary, którego używa się w celu opisywania odległości we Wszechświecie. Mam tu na myśli określenie 'ogromna odległość'. Jak możemy ją sobie wyobrazić? Czy może za pomocą jakiejś kosmicznej odmiany naszej ziemskiej podzialki?

Jeśli weźmiemy pod uwagę np. powierzchnię Ziemi, owa ogromna odległość to byłby dystans, który można porównać, powiedzmy, z równikiem ziemskim, czyli mówimy tu o skali



rzędu 40 tys. km. W astronomii mamy naturalną miarę określającą maksymalną odległość, do której coś możemy zobaczyć. To jest 13,7 miliarda lat świetlnych. Ponieważ dalej już spojrzeć nie możemy, to każda odległość, która będzie zbliżona do wspomnianego maksimum, zasłuży na miano ogromnej.

Przypuśćmy, że ktoś proponuje pani narysowanie Wszechświata. Jak on by wyglądał?

Wszechświat to taki bąbel, w którym siedzimy, utworzony przez promieniowanie mikrofalowe tła. Można je sobie wyobrazić jako rodzaj kolorowej membrany, która nas otacza i równocześnie ogranicza, powodując, że jesteśmy w stanie zobaczyć tylko tyle, na ile nam ona pozwoli. Dobrze to zobrazuje porównanie do chodzenia we mgłę. Kiedy nas ona spowija, dostrzegamy pewne obiekty tylko w obrębie wyznaczonych przez nią granic, niezależnie od tego, w którą stronę się skierujemy. I tak jak mgła ogranicza nasze zdolności poznawcze, tak samo mikrofalowe promieniowanie tła nie pozwala nam wyjść poza pewną ustaloną linię.

I musimy się z tym pogodzić, że to jest kres ludzkiej kognicji?

Jeśli mamy na myśli światło, to na pewno tak. Ewentualnie może kiedyś, czy to za sprawą neutrin, czy fal grawitacyjnych, uda nam się zajrzeć trochę dalej. Nie spodziewam się jednak, że dokonamy jakichś spektakularnych przekroczeń. Po prostu nie mamy do tego możliwości. Nic nie poradzimy na to, że siedzimy w tym bąblu, a mgła nie chce się rozwiać.

Często wspomina pani profesora Bohdana Paczyńskiego, jako osobę, która walnie przyczyniła się do tego, że jako naukowiec jest pani dziś w tym miejscu, w którym jest. Jak ważne jest

zostać zauważonym przez kogoś, kto uwierzy i zmotywuje do podejmowania wysiłku?

Spotkanie na swojej naukowej drodze mentora, który nie tylko podpowie, jaki sposób uprawiania nauki będzie dla konkretnej osoby najlepszy, ale także uwierzy w posiadany przez nią potencjał, jest niezwykle inspirującym doświadczeniem. W moim przypadku pierwsze naukowe próby związane były z wydziałem fizyki, gdzie badania polegały raczej na rozwiązywaniu równań. Wydawało mi się wówczas, że tak właśnie powinna wyglądać standardowa droga badawcza. Wątpliwości pojawiły się w momencie, kiedy nie wiedziałam, jak wymyślić równanie. Prof. Paczyński pokazał mi wtedy, że mogę działać równie skutecznie, wykorzystując styl, który do mnie indywidualnie pasuje. Kiedy teraz rozmawiamy i pyta mnie pani o różne rzeczy, to w odpowiedzi nie podaję równania, ale staram się wykreować obraz danego zjawiska, by w ten sposób je jak najlepiej wytłumaczyć. To właśnie prof. Paczyński podpowiedział mi, by w taki sposób robić naukę, a więc najpierw zobaczyć obraz jakiegoś zjawiska, potem spróbować zrozumieć jego mechanizm, następnie ocenić, czy też, jak mówimy w nauce, oszacować, czy ma on szansę zadziałać, a dopiero w dalszej kolejności ewentualnie wymyślić równania.

W dziedzinie, którą się pani zajmuje, kobiet do tej pory było stosunkowo mało. Czy dostrzega pani, że ten obowiązujący przez wiele lat trend obecnie ewoluuje w nowym kierunku?

Zdecydowanie tak. Zmiany są teraz bardzo widoczne. W czasie, kiedy zaczynałam, rzeczywiście kobiety rzadko zajmowały się naukami ścisłymi. A już chociażby na niedawnej konferencji w czeskim Brnie można było zauważyć, że młode adeptki sztuki naukowej stanowiły niemal połowę audytorium.

Jednocześnie kobiety, które chcą wybrać ścieżkę naukowej kariery, natrafiają w pewnym momencie na szklany sufit możliwości. Skąd on się bierze?

Myślę, że jeszcze na etapie robienia doktoratu problemy nie są tak bardzo widoczne. Trudności zaczynają się później. W dzisiejszym świecie wymaga się bowiem, by naukowiec miał kilka postdoków. W praktyce oznacza to konieczność wyjazdu na trzy lata do jednego kraju, potem na kolejny okres do drugiego. Kiedy kobieta ma już dzieci i męża, sytuacja w oczywisty sposób staje się bardzo skomplikowana. Zdarza się więc, że uczona, która decyduje się na robienie kariery naukowej, de facto rezygnuje z życia rodzinnego, nie będąc w stanie pogodzić obu tych obszarów. Właśnie dlatego na wyższych poziomach robienia nauki kobiety po prostu się wykruśzają. Oczywiście niektórym się udaje, bo np. mają męża, który uprawia wolny zawód i może pracować z każdego miejsca na świecie, ale to jednak nie są zbyt częste przypadki.

Powiedziała pani kiedyś, że jej zainteresowania są czysto poznawcze. Co by się stało, gdyby miały one na zawsze pozostać w sferze epistemicznych rozważań? Jednym słowem, na koniec chcę zapytać o wymóg pragmatyczności nauki.

Pragmatyczność oznacza dla mnie tyle, że coś ma mieć natychmiastowe przełożenie na dochód narodowy. Nauki podstawowe nie mają natomiast szybkiego i automatycznego przełożenia na obowiązujące w gospodarce trendy. Ja nie robię lepszego samochodu czy czegoś, co będzie można od razu sprzedawać na rynku. Ja się ciągle zastanawiam, jak działa Wszechświat i chcę go coraz lepiej rozumieć.

Rozmawiała Aneta Zawadzka

Zasoby naukowe w internecie

W niniejszym artykule przedstawiona jest wstępna typologia zasobów naukowych w internecie, zilustrowana wybranymi przykładami, uzupełniona o wskazówki dotyczące wyszukiwania informacji. Pojawia się także krótki komentarz dotyczący jakości omawianych zasobów.

Zasoby naukowe w internecie często kojarzone są wyłącznie z publikacjami naukowymi dostępnymi online, jednak zjawisko to i zagadnienie są znacznie szersze, wielowymiarowe, a także interdyscyplinarne. Problematyka obejmuje m.in. definicję, charakterystykę i kategoryzację/typologię takich zasobów, ich rolę i faktyczne wykorzystanie we współczesnej nauce, szeroko rozumiane zarządzanie nimi, ocenę jakości danych, informacji i wiedzy. Ważna jest też kwestia pozyskiwania treści naukowych z sieci, zwłaszcza pozyskiwania efektywnego, czyli takiego, które prowadzi do zaspokojenia potrzeb informacyjnych naukowców, doktorantów, studentów, biznesu, urzędników i innych zainteresowanych grup, także w kontekście kompetencji i zachowań informacyjnych tych osób. Namysłu wymagają również dylematy otwartego dostępu do zasobów naukowych różnego typu, z uwzględnieniem argumentów za i przeciw, aspektów organizacyjnych, politycznych, technicznych, trendów nauki współczesnej (np. nauka obywatelska), a nawet praw człowieka. To, rzecz jasna, nie jest kompletny wykaz wszystkich możliwych pytań związanych z zasobami naukowymi w sieci. Widać jednak, że całościowe i pogłębione ujęcie tej problematyki wymagałoby raczej obszernej monografii, a także odwołania się do dorobku wielu dyscyplin, w tym nauk o komunikacji społecznej i mediach, w szczególności informatologii i zarządzania informacją, naukoznawstwa i filozofii nauki, informatyki, prawa, osiągnięć praktyki bibliotekarskiej, polityki naukowej i wielu innych. W niniejszym artykule przedstawiony jest zatem jedynie niewielki wycinek wskazanego zagadnienia, mianowicie wstępna typologia zasobów naukowych w internecie, zilustrowana wybranymi przykładami, uzupełniona o wskazówki dotyczące wyszukiwania informacji. Pojawia się także krótki komentarz dotyczący jakości omawianych zasobów.

Definicja i typologia zasobów naukowych w internecie

Zasoby (treści) naukowe w internecie można roboczo określić jako zasoby zapisanej (albo może lepiej: utrwalonej) na nośnikach cyfrowych) wiedzy naukowej oraz zasoby wspoma-

gające badania i rozwój nauki (a dokładniej: powstałe celowo, by takie wsparcie oferować) dostępne online. Oczywiście definicja zasobów naukowych zależy także od sposobu rozumienia terminów „nauka”, „naukowy” i „wiedza”, a to otwiera bardzo szeroki wachlarz zagadnień o charakterze naukoznawczym, filozoficznym, epistemologicznym etc., które nie będą tutaj poruszane. W sieci funkcjonują też materiały popularnonaukowe, edukacyjne i związane ze szkolnictwem wyższym, często powiązane z zasobami naukowymi, dlatego również do nich warto się, przynajmniej częściowo, odnieść.

Do zasobów naukowych nie zaliczymy natomiast danych publicznych, statystyk i wykazów urzędowych, jak Bank Danych Lokalnych (<https://bdl.stat.gov.pl/bdl/start>), Eurostat (<https://ec.europa.eu/eurostat>) czy Rejestr Szkół i Placówek Oświatowych (<https://rspo.gov.pl/>). Oczywiście mogą one stanowić materiał badawczy do analizy, ale na podobnej zasadzie jak właściwie wszystko, co znajduje się w internecie.

Typologii zasobów naukowych online można dokonać posługując się różnymi kryteriami. Jednym z nich jest rodzaj dostępu, który zasadniczo może być otwarty bądź restrykcyjny, występują także stany pośrednie. Otwarty dostęp (Open Access), obecnie mocno promowany, oznacza powszechny, trwały i wolny dostęp do treści naukowych i edukacyjnych online. Dostęp restrykcyjny, czyli jakoś ograniczony, może dotyczyć zasobów płatnych albo przeznaczonych wyłącznie dla określonych grup użytkowników.

Kolejne kryterium stanowi stopień przetworzenia informacji (wiedzy). Wyróżnić można źródła o charakterze pierwotnym (ang. primary), np. zbiory „surowych” danych badawczych (zob. dalej); opracowania (ang. secondary), jak artykuły, encyklopedie, np. Powszechna Encyklopedia Filozofii (<http://ptta.pl/pef/>), słowniki; oraz źródła „trzeciego rzędu” (ang. tertiary), skierowujące, odsyłające do istniejących publikacji, jak bibliografie, katalogi bibliotek akademickich, np. NUKAT (<http://katalog.nukat.edu.pl/>), przewodniki dziedzinowe (ang. subject gateways), np. BazTOL Polskie zasoby sieciowe z zakresu nauk technicznych (<http://bartzol.library.put.poznan.pl/bartzol/pl/bartzol.html>).

Przedstawiona dalej wstępna typologia opiera się z kolei na połączonych kryteriach zawartości informacyjnej oraz funkcji określonych zasobów naukowych. Te ostatnie można „z grubsza” podzielić na: publikacje naukowe (także popularnonaukowe i edukacyjne) oraz ich kolekcje – archiwa, bazy, biblioteki cyfrowe, repozytoria, naukowe serwisy wyszukiwawcze, ogólnie i specjalistyczne, w tym m.in. katalogi i wykazy, np. Open DOAR (<https://v2.sherpa.ac.uk/opendoar/>) oraz wyszukiwarki naukowe różnego typu, zbiory danych badawczych (materiału empirycznego), akademickie/naukowe portale społecznościowe, serwisy metodologiczne i narzędziowe, serwisy związane z organizacją i zarządzaniem nauką, źródła informacji o naukowcach i nauczycielach akademickich.

Publikacje naukowe, ich kolekcje oraz wyszukiwanie

Tradycyjnie publikacje naukowe przybierają postać opracowań, tekstów różnego typu, jak artykuły w czasopismach naukowych, książki: monografie i prace zbiorowe, w tym materiały konferencyjne, raporty z badań, dysertacje na stopień, opracowane materiały źródłowe, a także podręczniki, poradniki i wydawnictwa informacyjne (bibliografie, encyklopedie, słowniki). Wszystkie te kategorie, powstałe w czasach druku, funkcjonują również w internecie. W sieci istnieją ponadto inne, nowe formy: blogi naukowe, grupy dyskusyjne, prezentacje konferencyjne i dydaktyczne, filmy – nagrane wykłady lub wystąpienia konferencyjne, wywiady, serwisy bieżących wiadomości naukowych, podkasty, webinaria. Czy są to też publikacje naukowe, czy „jedynie” popularnonaukowe? Większość wymienionych nowych form zapewne należy uznać za popularnonaukowe (nie są recenzowane), aczkolwiek nasuwają się tutaj pewne wątpliwości. Powiedzmy, wykład znanego uczonego dostępny na YouTube ma prawdopodobnie większą wartość poznawczą niż przyczynkarski list do redakcji. Rzecz pozostaje zatem do dyskusji. Ma też wymiar praktyczny, np. co wolno cytować, a czego nie w pracach magisterskich i doktorskich, i jak to robić.

Kolekcje publikacji naukowych online mogą mieć formę archiwów dziedzinowych, czasopism elektronicznych, pełnotekstowych baz danych, repozytoriów instytucjonalnych, zwłaszcza uczelnianych, zbiorów prac na prywatnych stronach naukowców. Czasami wchodzi też w skład bibliotek cyfrowych.

Komercyjne systemy informacyjne o publikacjach naukowych, tworzone przez różnych wydawców, jak bazy EBSCO, JSTOR, Sage, Scopus, Springer, Wiley, Web of Science i wiele innych, generalnie obecnie są dostępne w sposób mniej lub bardziej restrykcyjny, czyli dla uprawnionych osób (czytelników, pracowników, studentów) przez witryny bibliotek akademickich. Z reguły wyszukiwanie w nich daje wysoce relewantne rezultaty w odniesieniu do publikacji światowych, w języku angielskim, z polskimi różnie bywa i zależy też od uprawianej dyscypliny.

W odniesieniu do publikacji w wolnym dostępie warto zwrócić uwagę na różny ich status, w sieci znajdziemy nie tylko recenzowane pełnotekstowe czasopisma naukowe, ale także np. preprinty, czyli wersje autorskie prac, przed procesem redakcyjnym.

Najpopularniejszą i czasami jedyną używaną wyszukiwarką publikacji naukowych (nie zasobów naukowych w ogóle) jest Google Scholar (<https://scholar.google.com/>). Należy jednak pamiętać, że indeksuje ona nie wszystkie istniejące opracowania, ponadto nie wszystkie odnalezione publikacje są w otwartym dostępie (brakuje pełnych tekstów), często też jest za dużo rezultatów, w tym „śmieci” różnego typu. Ten ostatni problem można częściowo rozwiązać poprzez oferowane przez wyszukiwarkę narzędzia, o których wielu użytkowników nie wie, jak operatory boolowskie, cudzysłowy, komendy (author, filetype, intitle, site, source i inne), formularz szukania zaawansowanego, funkcje „Cytowane przez” i „Powiązane artykuły”. Warto jed-

nak, dla porównania i uzupełnienia, skorzystać także z innych globalnych wyszukiwarek publikacji naukowych i nie tylko, jak indeksująca ponad 300 milionów dokumentów z prawie 1000 źródeł BASE Biefeld Academic Search Engine (<https://lab.base-search.net/>), CORE (<https://core.ac.uk/>) oferująca ponad 207 milionów pełnotekstowych prac naukowych z całego świata w wolnym dostępie, Semantic Scholar (<https://www.semanticscholar.org/>) obejmujący ponad 206 milionów prac ze wszystkich dziedzin nauki, DOAB Directory of Open Access Books (<https://www.doabooks.org/>) czy DOAJ Directory of Open Access Journals (<https://doaj.org/>). Publikacje naukowe można też odnaleźć, używając wyszukiwarki specjalistycznej Google Książki (<https://books.google.pl/>), która wprawdzie nie ma charakteru akademickiego, oferuje jednak pełny lub częściowy dostęp do bardzo wielu tekstów naukowych.

Publikacje naukowe możemy znaleźć również w bibliotekach cyfrowych, jak POLONA (<https://polona.pl/>) oraz Europeana (<https://www.europeana.eu/pl>), a także poprzez wyszukiwarkę FBC (<https://fbc.pionier.net.pl/>), chociaż generalnie nie są to poświęcone nauce serwisy. Rezultaty badań wspieranych przez fundusze i programy europejskie zawarte są w ogólnodostępnej bazie CORDIS (<https://cordis.europa.eu/>).

Oprócz wymienionych serwisów wyszukiwawczych ogólnonaukowych istnieją również specjalistyczne, np. dotyczące poszczególnych dziedzin wiedzy, jak ArXiv (<https://arxiv.org/> – fizyka, matematyka, ekonomia), PhilSci Archive (<http://philsci-archive.pitt.edu/> – filozofia nauki), PubMed (<https://pubmed.ncbi.nlm.nih.gov/> – medycyna, biologia, biotechnologia) czy Medioteka (<http://medioteka.uw.edu.pl/dlibra> – nauki o komunikacji społecznej i mediach).

Wskazane tu narzędzia i sposoby odnajdywania pełnych tekstów publikacji naukowych stanowią oczywiście pewien wybór, istnieją inne jeszcze podejścia i techniki, np. wykorzystanie serwisu Internet Archive Wayback Machine (<https://archive.org/web/>) do zlokalizowania materiałów (nie tylko publikacji), które zniknęły z bieżącej sieci.

Dane badawcze i ich zbiory

Dane badawcze mają charakter empiryczny, stanowią materiał pierwotny, źródłowy, będący podstawą do dalszych analiz i dociekań. Wśród nich można wyróżnić tzw. dane wywołane, czyli oryginalne materiały wytworzone w ramach jakiegoś przedsięwzięcia badawczego, np. ankiety wypełnione przez respondentów albo nagrania odgłosów wielorybów, oraz dane niewywołane, czyli już jakoś wcześniej istniejące, ale wyszukane i celowo zgromadzone na potrzeby konkretnego projektu naukowego, np. wpisy w portalach społecznościowych albo regulaminy korzystania z bibliotek. Wedle innego podziału wyodrębnia się tzw. dane surowe, nieprzeanalizowane, używane bezpośrednio w wyniku zastosowania konkretnych narzędzi badawczych, oraz dane przetworzone w większym lub mniejszym stopniu. Warto zaznaczyć na marginesie, że „surowe dane” to jednak pewna metafora, w wyniku rozważań filozofii nauki wiemy, że „czyste”, całkowicie nieprzetworzone dane nie istnieją. Dane badawcze należy odróżnić od danych publicznych.

Dane badawcze mogą mieć postać liczbową, tekstową, graficzną, dźwiękową, multimedialną, cyfrową i tradycyjną, ilościową (np. wyniki pomiarów różnego typu), jakościową (np. rysunki sporządzone przez badanych) lub mieszaną. Powstają w wyniku zastosowania różnorodnych technik badawczych, funkcjonują we wszystkich dziedzinach wiedzy, są wykorzystywane jako uzasadnienie w procesie dociekań oraz uznawane przez społeczność naukową za niezbędne do oceny rezultatów badań.

Obecnie prowadzona jest polityka otwartego (lub częściowo otwartego) dostępu do danych badawczych, zarówno w Polsce, jak i na świecie, publiczny dostęp do nich często jest warunkiem koniecznym przyjęcia artykułu do publikacji w wiodących czasopismach naukowych lub uzyskania finansowania badań, a sprawę regulują odpowiednie przepisy i wytyczne. Argumentów za takim podejściem jest wiele, m.in. umożliwia to powtórne wykorzystanie raz zgromadzonych danych, a także zwiększa intersubiektywną sprawdzalność ustaleń naukowych, co generalnie jest warunkiem naukowości. Rzecz jasna zagadnienie to jest wieloaspektowe, doczekało się też bogatej literatury przedmiotu, jest sporo kwestii trudnych i dyskusyjnych i to pod wieloma względami, jednak w tym krótkim artykule nie ma miejsca do podjęcia takich rozważań.

W efekcie w internecie znajdują się liczne kolekcje danych badawczych w postaci baz i repozytoriów, w tym prowadzone przez uczelnie, ich konsorcja lub inne placówki naukowe, np. RepOD (<https://repod.icm.edu.pl/>), RDS Repozytorium Danych Społecznych (<https://rds.icm.edu.pl/>), Harvard Dataverse (<https://dataverse.harvard.edu/>), organizacje komercyjne, np. Mendeley Data (<https://data.mendeley.com/> – Elsevier Inc.) lub instytucje/programy rządowe, np. UK Data Service (<https://ukdataservice.ac.uk/>).

Wyszukiwanie danych badawczych i ich zbiorów umożliwiają serwisy wyszukiwawcze różnego typu, m.in.:

- wyszukiwarki uniwersalne, np. Google, przy zastosowaniu odpowiednio skonstruowanych kwerend, np. „research data” archive OR database OR repository, oraz specjalistyczne, np. Google Dataset Search (<https://datasetsearch.research.google.com/>);
- globalne, narodowe i dziedzinowe wyszukiwarki i wykazy zbiorów danych badawczych, np. Data Citation Index (<https://clarivate.com/webofsciencegroup/solutions/web-of-science-data-citation-index/>), serwis komercyjny, Clarivate), OpenAIRE Explore (<https://explore.openaire.eu/>, serwis unijny);
- niektóre naukowe portale społecznościowe, np. Figshare (<https://figshare.com/>), Zenodo (<https://zenodo.org/>);
- oraz najważniejszy z nich, czyli Registry of Research Data Repositories (re3data.org; <https://www.re3data.org/>), oferujący obecnie dostęp do 2792 repozytoriów danych badawczych z wszystkich dziedzin nauki i z całego świata.

Warto zaznaczyć, że dotarcie do konkretnego zbioru danych badawczych często wymaga postępowania wieloetapowego, czyli najpierw odnalezienia odpowiedniego repozytorium, a następnie potrzebnej kolekcji w tym repozytorium.

Inny rodzaj dostępu do danych badawczych oferują tzw. *data journals*, czyli czasopisma poświęcone informowaniu o takich danych, np. Data in Brief (<https://www.journals.elsevier.com/data-in-brief>) albo Journal of Open Archeology Data (<https://openarchaeologydata.metajnl.com/>).



Akademickie portale społecznościowe

Akademickie/naukowe portale społecznościowe nie są klasycznymi, „oficjalnymi” źródłami informacji o publikacjach, tym niemniej bywają bardzo przydatne, a ich potencjał dla rozwoju badań i komunikacji naukowej jest spory. Służą do samopublikacji opracowań naukowych (artykuły, książki, rozprawy), dydaktycznych (infografiki, podręczniki, prezentacje) oraz zbiorów danych badawczych, zgodnie z tzw. zieloną drogą Open Access. Można też zwrócić się do autora/autorki o przesłanie pełnego tekstu w przypadku jego braku. Po drugie, sprzyjają nawiązywaniu kontaktów, dyskusji z innymi badaczami, promowaniu projektów badawczych, a także oferowaniu i poszukiwaniu pracy.

Do znanych akademickich portali społecznościowych należą istniejące od ponad 10 lat Academia.edu (<https://www.academia.edu/> – ponad 186 mln użytkowników), ResearchGate (<https://www.researchgate.net/> – ponad 20 mln użytkowników) oraz wspomniany już Figshare (<https://figshare.com/>).

Serwisy metodologiczne i narzędziowe

W tej kategorii umieszczone są portale dotyczące metod i technik badawczych, przydatnego oprogramowania, terminologii, tłumaczeń etc. Oto kilka interesujących przykładów.

Academic Phrasebank (<https://www.phrasebank.manchester.ac.uk/>) zawiera obszerny, uporządkowany wykaz porad, wyrażeni i zwrotów przydatnych każdemu, kto pisze tekst naukowy w języku angielskim. Witryny Methodspace (<https://www.methodspace.com/>) oraz National Centre for Research Methods (<https://www.ncrm.ac.uk/>) poświęcone są metodologii badań, w szczególności w naukach społecznych. Oferują artykuły, filmy, porady, webinaria, wykazy publikacji metodologicznych etc. w wolnym dostępie. Strony własne producentów przynoszą informacje o różnorodnym oprogramowaniu przydatnym w badaniach naukowych. Serwisy bibliotek akademickich informują o bibliometrii, cytowaniach i punktowej ocenie publikacji naukowych (np. Biblioteka Jagiellońska – Usługi bibliometryczne <https://bj.uj.edu.pl/dzialalnosc/projekty/bibliometria>).

Serwisy związane z organizacją i zarządzaniem nauką oraz o ludziach nauki

Osobną grupę stanowią serwisy związane z organizacją i szeroko rozumianym zarządzaniem nauką i szkolnictwem wyższym. Jest ich obecnie wiele, zarówno polskich, jak i zagranicznych, w tym inijnych.

Kompleksową informację we wskazanym zakresie oferują w Polsce zintegrowane systemy POL-on (<https://polon.nauka.gov.pl/>) oraz zawierający analizy i raporty RAD-on (<https://radon.nauka.gov.pl/>).

Różnorodne dane dotyczące finansowania działalności naukowej, edukacyjnej i wdrożeniowej, funduszy, konkursów, programów, projektów etc. znajdziemy przede wszystkim na oficjalnych stronach rządowych, np. Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (<https://www.gov.pl/web/ncbr>) czy Narodowego Centrum Nauki (ncn.gov.pl), a także w serwisach Unii Europejskiej, np. Research and Innovation – Finansowanie (https://ec.europa.eu/info/research-and-innovation/funding_pl), oraz organizacji pozarządowych, np. Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (<https://www.fnpp.org.pl/>).

Oferty pracy dla naukowców w krajach Europy i innych kontynentów zawiera portal Komisji Europejskiej EURAXESS (<https://euraxess.ec.europa.eu/>), a w Polsce – Akademicka Baza Ogłoszeń (<https://bazaogloszen.nauka.gov.pl/>).

Przydatna może też być informacja o ludziach nauki i szkolnictwa wyższego. Urzędową znajdziemy m.in. w sys-

temach RAD-on (baza „Nauczyciele akademicy, inne osoby prowadzące zajęcia, osoby prowadzące działalność naukową oraz osoby biorące udział w jej prowadzeniu” <https://radon.nauka.gov.pl/dane/nauczyciele-akademy-badacze-i-osoby-zaangazowane-w-dzialalnosc-naukowa>), POL-on (np. „Ogólnopolski wykaz osób, którym nadano tytuł profesora” <https://polon.nauka.gov.pl/opi/aa/prof/zestawienie?execution=e2s1>) oraz w bazie Nauka Polska (<https://nauka-polska.pl/>). Nieoficjalną znajdziemy m.in. w omówionych już naukowych portalach społecznościowych albo w profilach Google Scholar.

Ocena jakości zasobów naukowych

Ważnym i również wieloaspektowym zagadnieniem jest ocena jakości zasobów naukowych, zresztą nie tylko w sieci, ale generalnie. Istnieje szereg kryteriów i sposobów oceny jakości zasobów internetowych w ogóle, należą do nich m.in. wskaźniki związane z treścią serwisów (aktualność, autorstwo, kompletność, obiektywność, wiarygodność) i formą (architektura informacji, dostępność, funkcjonalność, technologia oraz doświadczenie użytkownika, przyjazność, relewantność do potrzeb). Zasoby naukowe, rzecz jasna, również mogą podlegać ocenie wedle tych kryteriów, dodatkowo jednak należy uwzględnić specyficzne dla nauki wskaźniki, zwłaszcza w odniesieniu do tych źródeł online, które zawierają dane i wiedzę naukową, jak artykuły i książki oraz ich kolekcje. „Od razu” w tle pojawia się filozoficzna/naukoznawcza kwestia cech wiedzy naukowej jako takiej, demarkacji nauki od nie-nauki, akceptowanego przez społeczność naukową sposobu uzasadniania wyników badań, właściwych metod gromadzenia danych empirycznych etc. Oczywiście prostsze jest odróżnienie publikacji naukowej od nienaukowej na podstawie kryteriów formalnych, jak bycie recenzowanym, posiadanie aparatu informacyjnego (słowa kluczowe, abstrakt, przypisy, bibliografia) i odpowiedniej struktury, autorstwo i miejsce publikacji. Wiadomo jednak, że to nie zawsze działa ze stuprocentową pewnością, przykład stanowią znane prowokacje, jak tzw. afera Sokala. Także w odniesieniu do zasobów o charakterze administracyjnym, organizacyjnym ocena jakości informacji jest istotna, a warto zaznaczyć, że prawdopodobnie nie istnieje coś takiego jak bezbłędne źródło informacji, również w serwisach urzędowych zdarzają się, chociaż nie powinny, pomyłki, które czasami mogą mieć daleko idące negatywne skutki. Truizmem jest apel, by zawsze sprawdzać i porównywać informację z różnych źródeł. Ocena jakości zasobów naukowych w internecie jest ważna również w kontekście niepokojących zjawisk współczesnych, jak drapieżne czasopisma i konferencje, fabryki artykułów, „punktowa”, popularność i aktywność publikacyjna ruchów pseudonaukowych, zamykanie się w bańkach informacyjnych.

Problem jakości dotyczy też samego procesu wyszukiwania, oceny i doboru (selekcji) zasobów naukowych. Brak umiejętności wyszukiwawczych, niskie kompetencje cyfrowe i medialne stanowią bariery informacyjne i mogą przyczynić się m.in. do nieodnalezienia adekwatnych publikacji, a w konsekwencji np. do nieznanego rzeczywistego stanu badań w danym zakresie. Co więcej, ze względu na ogrom zasobów naukowych warto we wstępie do każdej pracy naukowej jasno napisać, skąd „wzięliśmy” wykorzystywane publikacje i inne materiały oraz na podstawie jakich kryteriów dokonaliśmy ich takiego, a nie innego wyboru na potrzeby pisanego dzieła. Z tą myślą pozostawiam czytających.

Dr Sabina Cisek, Instytut Studiów Informacyjnych, Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

Z perspektywy przestrzennej

Internet i przestrzeń cyfrowa w geografii społeczno-ekonomicznej

Poznawanie przestrzeni cyfrowej umożliwia zrozumienie działań podejmowanych przez człowieka zarówno w niej, jak i w przestrzeni rzeczywistej.

Ważne zmiany (rewolucje) technologiczne wykraczają daleko poza wymiar związany wyłącznie z technologiami, gdyż wpływają również na wszystkie sfery życia jednostek i społeczności. Społeczeństwo, gospodarka, polityka czy chociażby nauka i edukacja zmieniają się wobec nowych uwarunkowań. W konsekwencji również otaczająca nas przestrzeń nabiera nowych cech, czego przejawem jest transformacja relacji pomiędzy obiektami czy zdarzeniami w przestrzeni. Obecnie jesteśmy świadkami zmian związanych z rozwojem Internetu i powiązanych z nim procesów. Są to zmiany na tyle fundamentalne, że w związku z dużym stopniem nasycenia naszego otoczenia, środowiska codziennego funkcjonowania, technologiami cyfrowymi, korzystanie z nich nie jest jedną z opcji. Jest codzienną koniecznością, umożliwiającą zaspokajanie lub wspieranie zaspokajania naszych potrzeb. Wskazane zmiany należy również rozpatrywać z perspektywy środowiska, w którym żyjemy. Stąd też należy zauważyć, że Internet przyczynia się do istotnej transformacji procesów zachodzących w przestrzeni geograficznej.

Przestrzeń geograficzna jest domeną badań geografii. Co prawda dla większości dyscyplin naukowych procesy, które są przedmiotem badań, odbywają się w przestrzeni, jednak to w geografii rozważania nad pojęciem, rozumieniem czy cechami przestrzeni są fundamentem. Przestrzeń, wraz z czasem, stanowią bowiem „coś”, co jest doświadczane przez każdego mieszkańca Ziemi; stanowią naturalne odniesienie dla wszelkich procesów i zjawisk. W geografii przestrzeń często rozumiana jest jako zawierająca w sobie różnorodne elementy, mieszczące się w trzech kategoriach: przyrodniczej (np. ukształtowanie terenu, świat roślin), społeczno-ekonomicznej (np. sieć osadnicza, struktura gospodarki), kulturowej (np. kultura materialna, zasoby intelektualne). Mamy więc do czynienia z warstwą fizyczną i niefizyczną. Co istotne, to ludzie (społeczności) nadają wartość, znaczenie wszelkim elementom przestrzeni, w związku z czym podlega ona ciągłej produkcji poprzez zachodzące relacje społeczno-przestrzenne. Społeczności, funkcjo-

nując w otoczeniu przyrodniczym, wchodzą z nim w interakcję, przekształcają je, by zaspokajać swoje potrzeby. Tworzą fizyczną infrastrukturę (np. Internet), która ma usprawniać działania, zarazem jest ona wyrazem stosunku do przestrzeni, poziomu rozwoju społecznego, technologicznego. Podobnie jest z nieposiadającymi materialnego wymiaru przestrzeniami niefizycznymi (np. percepcyjną, poznawczą, kulturową, ekonomiczną, polityczną).

Internet jest bardzo geograficzny

Zdawałoby się, że procesy świata cyfrowego, powstające głównie poprzez korzystanie z Internetu, oderwane są od rzeczywistości przestrzeni geograficznej. Jednak Internet w swojej historii, wpływie na społeczeństwo jest bardzo geograficzny. Zaczynając od samej idei komunikacji, należy podkreślić, że pokonanie bariery czasu i dystansu w rozpowszechnianiu, wymianie informacji, zarządzaniu zasobami to podstawowy problem społeczności od wieków. Stąd też tworzona infrastruktura miała zawsze na celu przemieszczanie ludzi, towarów, ale również wzorców zachowań, wiedzy, stylów życia pomiędzy społecznościami znajdującymi się w różnych lokalizacjach. Infrastruktura transportowa i komunikacyjna łączy miejsca w przestrzeni fizycznej, często jednak istotnym „kosztem” jest czas konieczny na pokonanie dystansu. W tym kontekście Internet umożliwił wymianę informacji w czasie rzeczywistym; odbywa się to z pokonaniem bariery dystansu w rozumieniu fizycznej odległości. Jednak dalej użytkownicy Internetu pozostają w konkretnej lokalizacji w przestrzeni fizycznej. Stąd też podlegają wpływom przestrzeni geograficznej – ona kształtuje ich zachowania i vice versa – jest kształtowana przez działania użytkowników Internetu.

Wpływ Internetu na nasze codzienne życie dostrzegamy w każdej sferze, więc również nasze zachowania przestrzenne – mobilność, postrzeganie („czytanie” przestrzeni) – uległy daleko idącej transformacji. Szczególnie duże zmiany zaszły dzięki urządzeniom mobilnym i dostępności do sieci prak-

tycznie w każdym miejscu. Smartfon stał się obecnie uniwersalnym narzędziem, nie tyle do komunikowania się poprzez rozmowę, ale do znajdowania się w przestrzeni, osvajania jej, wartościowania. Stał się niezbędnym wyposażeniem pośredniczącym pomiędzy otaczającą nas przestrzenią a naszymi zmysłami. Różne technologie czy też zastosowania Internetu przeobrażają gospodarke, politykę, kulturę itd. Tego typu przemiany, mające swoje konsekwencje w zachowaniach przestrzennych, wpłynęły na konieczność prowadzenia badań nad Internetem z uwzględnieniem nowych uwarunkowań.

Należy zwrócić uwagę, że w przypadku prowadzenia badań nad Internetem w ujęciu geograficznym, rozróżniam w najogólniejszym ujęciu dwie sfery. Pierwsza, czysto infrastrukturalna, związana z fizycznym wymiarem przestrzeni. Druga to przestrzeń cyfrowa, czy też – jak również się ją określa/określało – cyberprzestrzeń. Tutaj poza samą nazwą („przestrzeń”) to również logika jej organizacji (relacje pomiędzy obiektami) wskazuje na konieczność zainteresowań ze strony geografii. Odwołując się do tych dwóch sfer, należy zauważyć, że w ujęciu definicji samo pojęcie Internet odnosi się do infrastruktury: światłowodów, urządzeń, które umożliwiają przesyłanie danych w postaci cyfrowej pomiędzy użytkownikami, obiektami (przedmiotami). Funkcją Internetu jest łączenie użytkowników, urządzeń i umożliwienie przepływu danych. To właśnie ten aspekt stanowi o jego roli „pośrednika” pomiędzy przestrzenią rzeczywistą a cyfrową; jest elementem umożliwiającym ich przenikanie się. Jak już wspomniano, dzięki Internetowi tworzymy przestrzeń cyfrową. Jednym z istotnych elementów tej przestrzeni jest sieć WWW, lecz również oprogramowanie, aplikacje na smartfony, łańcuchy bloków (blockchain), Internet rzeczy, wirtualna rzeczywistość itd. Całościowo w języku potocznym, a również coraz częściej w naukowym, używamy terminu internet (pisany małą literą), który łączy w sobie zarówno Internet (infrastrukturę), jak i przestrzeń cyfrową. Ciągłe poszerzanie pojemności znaczeniowej terminu wskazuje na coraz większy wpływ Internetu na nasze życie.

Geografia cyfrowa

Przestrzeń cyfrowa jest stworzona z danych, które reprezentują (odzworowują) funkcjonowanie ludzi w wielu kontekstach, sytuacjach, miejscach. Stąd też możemy stwierdzić, że jest ona w dużej mierze odzwierciedleniem naszych zachowań. Dlatego też poznawanie przestrzeni cyfrowej umożliwia zrozumienie działań podejmowanych przez człowieka zarówno w niej, jak i w przestrzeni rzeczywistej. Wynika to z tego, że współcześnie mamy do czynienia ze zhybrydowaną przestrzenią rzeczywistą i cyfrową. Jest to konsekwencją faktu, że przestrzeń cyfrowa powstaje w wyniku działań podejmowanych przez rzeczywistych użytkowników. Użytkownicy ci jednocześnie działają w obydwu, połączonych ze sobą przestrzeniach; równocześnie ich doświadczają. Działania podejmowane w jednej przestrzeni mają konsekwencje w drugiej. Przestrzeń rzeczywista i przestrzeń cyfrowa wzajemnie się przenikają, tworząc świat, w którym przypisanie aktywności do jednej z nich staje się niemożliwe. Należy jednak podkreślić, że nie ma jednej, zunifikowanej, oddzielonej od realnego świata przestrzeni cyfrowej. Zwiększa się więc poziom komplikacji zależności pomiędzy przestrzenią rzeczywistą a cyfrową. W zależności od urządzeń, celów i sposobów, łączenia się z Internetem, wspólnych cech użytkowników (np. kulturowych) przestrzeń cyfrowa ma różną charakterystykę, stanowi oddzielne „przestrzenie”. Innymi cechami będzie odznaczała się przestrzeń cyfrowa polskich użytkowników Internetu, innymi chińskich; tak samo odmiennie kształtować się będzie cyfrowy świat dzieci i osób starszych. Inne aplikacje, inne media społecznościowe, sposoby „nawigowania”

w przestrzeni cyfrowej, w konsekwencji powstawanie odmiennych cyfrowych światów – połączonych ze sobą, jednak również, tak jak państwa w przestrzeni rzeczywistej, posiadających wytyczone granice.

Efektom zarysowanych powyżej zjawisk i zależności pomiędzy przestrzenią rzeczywistą a przestrzenią cyfrową jest pojawienie się tak zwanej cyfrowej geografii. Jej rozwój, zakorzeniony w cyfrowej transformacji ostatnich lat, jest ściśle związany z tak zwanym cyfrowym zwrotem w geografii. Cyfrowa geografia to badania procesów i zjawisk społecznych, gospodarczych, w nowym kontekście świata, w którym coraz częściej terytoria, miejsca są złączone z przestrzenią cyfrową. Cyfrowość należy rozumieć również jako zwrot ku nowemu sposobowi prowadzenia badań oraz ku zmianie przedmiotu badań. Obiekty tworzące przestrzeń oraz jej właściwości, tj. urządzenia, wytwarzane informacje, logika, estetyka oraz relacje społeczne podlegają ucyfrowieniu.

Można postawić pytanie, na ile cyfrowa geografia w podstawowych założeniach i cechach jest odmienna od tej uprawianej w „tradycyjny” sposób. Geografia społeczno-ekonomiczna koncentruje się w swoich badaniach między innymi na: zrozumieniu i wyjaśnieniu zachowań człowieka; przewidywaniu zachowań człowieka i procesów w jego otoczeniu na potrzeby planowania przebiegu zjawisk w przestrzeni oraz jej organizacji; rozwiązywaniu problemów występujących w społeczeństwie, które mogą zostać złagodzone poprzez wiedzę o zachowaniach człowieka. Wyraźna jest zatem orientacja na poznanie otaczającej nas rzeczywistości, z jednoczesnym zrozumieniem w niej miejsca człowieka oraz procesów, których jest sprawcą, jak również tych wpływających na jego funkcjonowanie. Oczywiście na wszystko to spogląda się z perspektywy przestrzennej. Podkreślić również należy praktyczny wymiar geografii społeczno-ekonomicznej – poznanie przeszłych i obecnych procesów ma służyć odpowiedniemu zarządzaniu przestrzenią. Jest ono efektywne, kiedy opiera się na danych jak najlepiej opisujących otaczający nas świat. Tak więc z jednej strony nic się nie zmienia w przypadku geografii społeczno-ekonomicznej „umieszczonej” w kontekście cyfrowego świata. Cały czas rolą geografii społeczno-ekonomicznej jest rozumienie przestrzennych uwarunkowań funkcjonowania ludzi na różnych płaszczyznach, ich relacji, określanie prawidłowości i wskazywanie korzystnych rozwiązań dla optymalnego organizowania układów przestrzennych. Dochodzący komponent technologii cyfrowych jest kolejnym elementem wpływającym na te procesy – zmienia ich przebieg, charakterystykę, jednak nie zmienia się naczelną ideą prowadzenia badań geograficznych. Z drugiej strony zmiana jest fundamentalna, bowiem dochodzi do transformacji sposobu poznawania rzeczywistości: przestrzeń cyfrowa oferuje bogaty zestaw danych, jak i narzędzi ich eksploatacji. Przestrzeń cyfrowa staje się również „miejscem”, w którym rozwijają się zupełnie nowe zjawiska. Blockchain, crowd-sourcing, kryptowaluty, platformy streamingowe i wiele innych rozwiązań opierających się w swoim działaniu na Internecie, to z jednej strony zupełnie nowe rozwiązania, z drugiej rozwinięcie istniejących od wielu lat.

Źródło danych i przedmiot badań

Z powyższego wynika, że w ogólnym ujęciu na internet z perspektywy geografii społeczno-ekonomicznej należy spojrzeć z na dwa sposoby. Jako źródła danych oraz przedmiotu badań. Pierwsza perspektywa wynika z faktu, że nasze otoczenie jest bogate w informacje dostępne w formie cyfrowej. Druga wynika z faktu, że wszechobecność cyfrowych sposobów funkcjonowania zmusza nas do poznania/odkrycia istoty przestrzeni cyfrowej w celu należytego kontrolowania, wpły-

wania na występujące procesy. W tym przypadku poznanie cech przestrzeni cyfrowej, mechanizmów jej funkcjonowania jest kluczowe dla rozumienia współczesnego świata. W jednym i drugim podejściu, perspektywie, podstawą wszelkich rozważań jest odpowiedni sposób działań, który pozwala na zrozumienie samej przestrzeni cyfrowej, jak i działań w niej odzwierciedlonych.

Odwołując się do internetu jako źródła danych, można wyjść od przewrotnego stwierdzenia, że nie ma bez niego prawie żadnych badań naukowych, działań zmierzających do poznania otaczającej nas rzeczywistości, niezależnie od obszaru zainteresowań badacza. Sam dostęp do literatury, komunikowanie się, sprawdzanie podstawowych faktów, pozyskiwanie danych statystycznych w większości odbywa się przy pomocy Internetu. Jednak w przypadku geografii społeczno-ekonomicznej, kiedy celem jest poznanie przestrzennych aspektów funkcjonowania ludzi, przestrzeń cyfrowa dostarcza danych będących podstawą dociekań naukowych. Dane pochodzące z przestrzeni cyfrowej traktowane są jako źródło, z którego można poprzez odcyfrowanie zapisanego „obrazu” wnioskować o tych działaniach, które się przyczyniły do jego powstania. Można te dane utożsamiać z big data. Duża część big data posiada odniesienia do przestrzeni fizycznej, czyli na przykład: koordynaty geograficzne, adres czy inne referencje przestrzenne. Sprawia to, że wnioskowanie o procesach w przestrzeni może opierać się nie na próbach losowych, studiach przypadków, lecz na wszystkich danych dotyczących konkretnego zjawiska.

Dane pozyskiwane z przestrzeni cyfrowej są szybszą do pozyskania, tańszą, często lepszą alternatywą danych pochodzących z oficjalnych statystyk. Dane gromadzone przez urzędy statystyczne, instytucje publiczne zazwyczaj udostępniane są ze znaczną inercją, nawet kilkuletnią. Współcześnie przy dynamicznych procesach, konieczności szybkiego reagowania na sytuacje kryzysowe można opierać się na danych dostarczanych w czasie rzeczywistym lub z niewielkim opóźnieniem. Przykładowo podczas pandemii COVID-19, bazując na danych dostarczanych przez największe firmy technologiczne (np. Google, Apple), można było szybko określić zmiany mobilności ludności czy też korzystania z przestrzeni publicznych. Nie byłoby to możliwe do uzyskania tradycyjnymi metodami.

Opierając badania naukowe na danych pochodzących z przestrzeni cyfrowej, należy jednak mieć świadomość licznych ograniczeń. Duża część z nich wynika z cech przestrzeni cyfrowej, która jest heterogeniczna, powstaje często przy braku kontroli nad procesem jej tworzenia, odznacza się szybkimi zmianami zawartości. Kluczowa jest również świadomość, że de facto przestrzeń cyfrowa dostarcza informacji tylko o jej użytkownikach. Problem wykluczenia cyfrowego, poza konsekwencjami takimi jak wykluczenie społeczne, przekłada się również na wykluczenie grup ludzi z budowania „obrazu” rzeczywistości, niezależnie od tego, czy jest to wykluczenie świadome, czy nie.

Patrząc na internet jako przedmiot badań na gruncie geografii społeczno-ekonomicznej, należy zauważyć, że poza samym zgłębianiem cech przestrzeni cyfrowej oraz jej relacji z przestrzenią rzeczywistą, spektrum obecnych pól badawczych jest bardzo szerokie. Wystarczy odnieść się tylko do kilku zagadnień cieszących się dużą popularnością. Takie kwestie jak: platformizacja gospodarki, algorytmizacja działań zarówno w sferze prywatnej, jak i publicznej, „przejmowanie” przez sztuczną inteligencję części rynku pracy, funkcjonowanie smart cities,



wykluczenie cyfrowe, tworzenie się i funkcjonowanie społeczności internetowych to tylko drobna część zagadnień, które geografowie muszą zrozumieć. Mają one bowiem istotny wpływ na potencjalne procesy rekonfiguracji układów lokalnych i globalnych. Zmiany społeczne, gospodarcze czy polityczne w połączonym Internetem świecie prowadzą do stanu, w którym przestrzeń cyfrowa paradoksalnie nabiera coraz więcej cech przestrzeni rzeczywistej. Dyskutując o strefach wpływów, granicach w przestrzeni cyfrowej (np. blokady geograficzne w przypadku

usług streamingowych), kwestiach lokalizacji danych, regulacji prawnych (np. uznawanie kryptowalut), odwołujemy się jednocześnie do geografii. Co istotne, dostrzegamy przyrost nowych rozwiązań i coraz głębsza penetracja przez nie poszczególnych sfer życia powodują, że dla geografii społeczno-ekonomicznej badania nad internetem mają coraz szerszą perspektywę.

*Dr hab. Krzysztof Janc, Instytut Geografii i Rozwoju Regionalnego,
Uniwersytet Wrocławski*



Badania sondażowe w sieci

Przypadek serwisu ebadania.pl

Opierając się na idei kolektywnej inteligencji, chcemy umożliwić wspólną pracę nad narzędziem badawczym, analizą danych oraz popularyzacją uzyskiwanych wyników. W procesie interpretacji użytkownicy będą mieli możliwość współdziałania, by wypracowywać możliwie najtrafniejsze wyjaśnienia badanych zjawisk.

Internet stanowi interesujące pole eksploracji dla badacza społecznego, antropologa czy kulturoznawcy, gdyż jest rezerwuarem cennych danych o charakterze społecznym i kulturowym. Intensywny rozwój technik i narzędzi badań przez internet przyczynił się do znaczących zmian tradycyjnego warsztatu badacza, stając się szansą, ale i wyzwaniem dla metodologii nauk społecznych (por. M. Szpunar, *Internet w procesie realizacji badań*, Toruń 2011). Spora grupa badaczy, zachęcona możliwościami badań internetowych, które niosą ze sobą szereg ułatwień i nowych perspektyw, spowodowała, iż zyskały one akceptację wielu empiryków, znajdując istotne miejsce w szerokim wachlarzu badań społecznych. Na obecnym etapie rozwoju badań online nie pytamy o to, czy prowadzenie badań w sieci ma sens, interesuje nas raczej to, w jaki sposób je prowadzić, by były one wartościowe poznawczo.

Obfitość narzędzi internetowych wykorzystywanych do badań online w znaczącym stopniu przyczyniła się do zainteresowania szerokiego grona badaczy, zarówno profesjonalistów, jak i amatorów, możliwościami aplikacji online we własnych projektach badawczych. Niestety nierzadko publikowane w internecie ankiety są niskiej jakości, zawierają szereg błędów metodologicznych, gdyż ich autorzy, kierując się łatwością konstruowania narzędzia (ankiety), wychodzą z założenia, że tego typu badania nie wymagają żadnej specjalistycznej wiedzy. Tym samym osoby decydujące się na prowadzenie badań sondażowych online są nieświadome wielu zagrożeń czyhających na badaczy, nieobeznanych nie tylko ze specyfiką badań online, ale z metodologią badań empirycznych w ogóle. Uczniowie czy studenci często są przekonani, że nie ma nic prostszego niż „zrobienie ankiety”. Po zakończeniu badań często się okazuje, że przeprowadzone badanie było nieprzemyślane, przygotowane pośpiesznie, nieprzetestowane, a tym samym odpowiedzi i czas respondentów stają się zmarnotrawione i bezużyteczne. Często wadliwość narzędzi jest tak istotna, że w ogóle

podaje w wątpliwość sensowność takich badań. Niefrasobliwi badacze stają wówczas przed trudnym dylematem powtórzenia lub nieuwzględniania wyników badań, które zostały przeprowadzone z pominięciem prawideł metodologii badań, a ich wartość poznawcza jest bardzo niska. Dlatego też należy mieć na uwadze, że nie wszystkie badania realizowane online mają sens i trzeba przemyśleć, czy w przypadku naszego projektu badawczego internetowe narzędzie – choć ułatwiające pracę – jest uzasadnione.

Internet umożliwia nie tylko realizację badań, ale także pozwala zbierać różnego rodzaju informacje, dane i treści. Badania niereaktywne (niewymagające zaangażowania uczestników, nie dochodzi w nich do reakcji między badaczami i osobami badanymi) pozwalają wykorzystywać na przykład analizę treści do badania dyskursu online, analizować wypowiedzi czy komentarze na stronach internetowych i w serwisach społecznościowych. Z kolei serwisy trackingowe umożliwiają zbieranie danych o użytkownikach, ich zachowaniach w sieci i sposobach nawigowania po niej (szerzej na ten temat: M. Szpunar, *Sieć ukryta a sieć widzialna. O zasobach WWW nieindeksowanych przez wyszukiwarki*, „Przegląd Kulturoznawczy”, 2014/1, s. 44-55). Analiza treści, obserwacja czy analiza logów pozwalają uzyskiwać wgląd w zachowania użytkowników, a badania o charakterze niereaktywnym nie wymagają świadomego i aktywnego zaangażowania internautów.

Badacze korzystający z możliwości środowiska online w swoich projektach badawczych wielokrotnie wykorzystują możliwości triangulacji, posiłkując się danymi zbieranymi przy użyciu różnych metod i technik badawczych, co pozwala uzyskiwać możliwie szeroki i kompleksowy wgląd w badane zjawiska. Wśród najważniejszych zalet badań prowadzonych online zwykle wymienia się znacznie niższe, a nawet zerowe koszty finansowe, możliwość dotarcia do różnorodnych czy trudno dostępnych grup, szybki czas uzyskiwa-

nia wyników, możliwość wzbogacania narzędzi o materiały audio czy wideo.

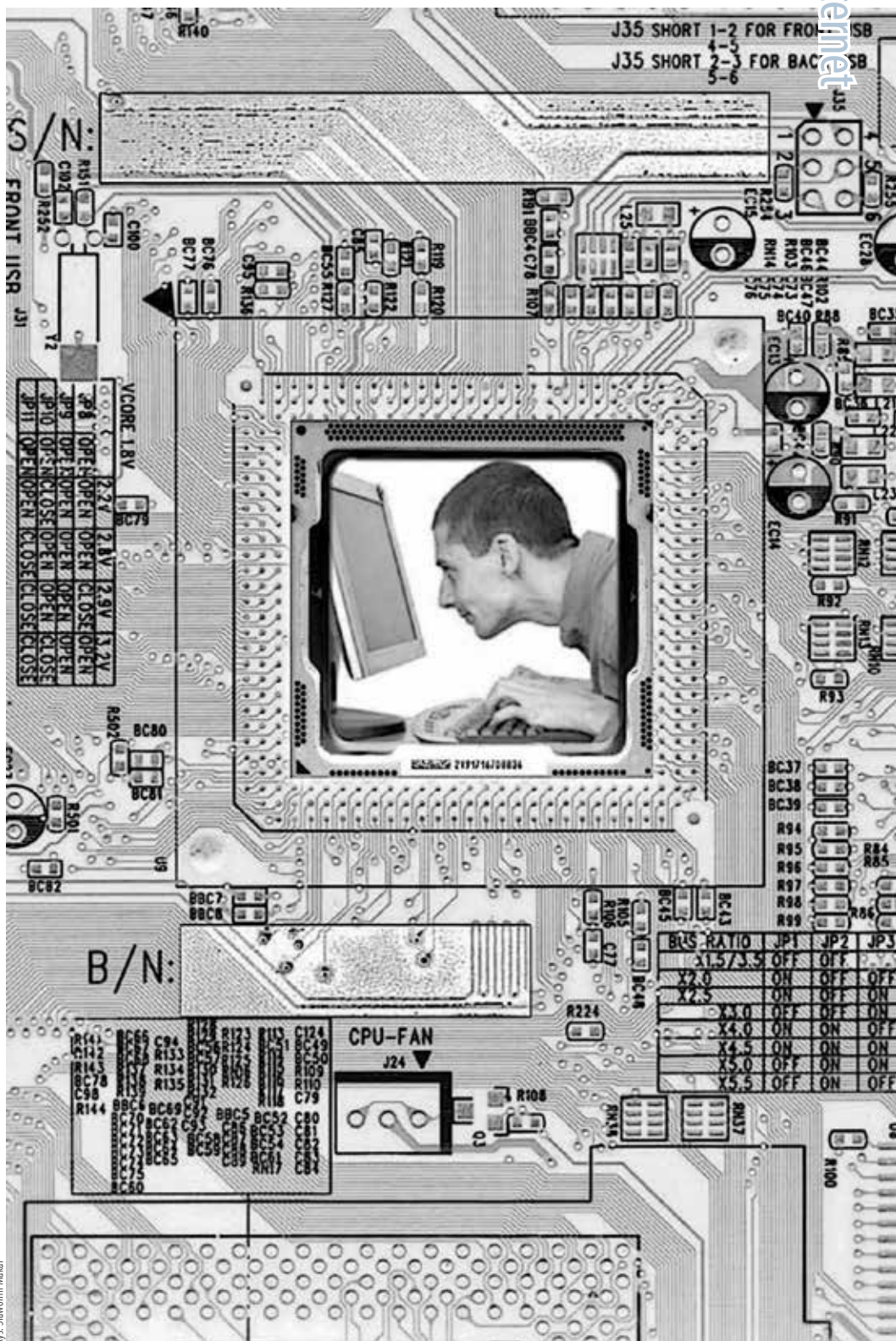
Błędne przekonania

Zdarza się tak, że w ogóle podaje się w wątpliwość sensowność prowadzenia badań w sieci, zarzucając badaniom internetowym niską jakość, nieprzestrzeganie standardów metodologicznych, niski stopień reprezentatywności, co w konsekwencji wiąże się z trudnościami ekstrapolacji uzyskanych wyników na populację generalną. Narzędzia badawcze uczniów, studentów czy młodych adeptów nauki obfitują w błędy metodologiczne, a autorzy ankiet online niejednokrotnie nie dbają o jakość publikowanych w sieci kwestionariuszy. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest łatwość tworzenia w internecie prostych narzędzi, czasem jednopytaniowych sond, które stwarzają złudne wrażenie, iż cały proces badawczy nie jest niczym skomplikowanym i nie wymaga jakiegokolwiek wiedzy metodologicznej. To błędne przekonanie, gdyż na przygotowanie ankiety internetowej trzeba poświęcić tyle samo czasu, a nierzadko więcej, co w przypadku projektowania badania realizowanego tradycyjną drogą. Trzeba przy tym podkreślić, iż badania realizowane drogą online mogą być tak samo wartościowe jak badania prowadzone offline, przy założeniu, że uwzględnia się określone standardy metodologiczne.

Mówiąc o badaniach internetowych, należy dokonać rozróżnienia na badania Internetu jako badania medium i jego zawartości oraz badania w Internecie, czyli badania realizowane drogą online. Badanie Internetu rozumiane jako badanie medium i jego zawartości można prowadzić w dwojaki sposób: przy pomocy tradycyjnych technik drogą offline, jak i za pomocą Internetu drogą online. Kluczowa decyzja dotyczy tego, co chcemy zbadać i jaka technika pozwoli uzyskać odpowiedź na interesujące nas pytania i hipotezy badawcze.

Niewiele mamy opracowań informujących o tym, z jaką skutecznością wypełnień mamy do czynienia w przypadku ankiet online. Spotkać się można z opracowaniami, które donoszą o kilku tysiącach wypełnień w ciągu kilku dni, a nawet godzin. Trzeba jednak przyznać, że tego typu sytuacje należą do rzadkości. Na początkowym etapie upowszechnienia ankiet online, kiedy stanowiły one swoiste novum, odsetki wypełnianych kwestionariuszy utrzymywały się na relatywnie wysokim poziomie, osiągając 50-70%. Obecnie,

gdymamy do czynienia ze spowszednieniem, a w związku z tym zmęczeniem różnego rodzaju ankietami, co zwykle się określa mianem oversurveyingu, odsetek wypełnień kwestionariuszy online zmniejszył się znacząco. Odsetek zwrotu wypełnionych kwestionariuszy internetowych jest porównywalny w przypadku zwrotów właściwych dla ankiet pocztowych, utrzymując się na poziomie 5-10%. Niski odsetek zwrotów nie jest jednakże stałą cechą badań prowadzonych drogą online, czasem nawet przewyższając odsetek wypełnień osiągnięty w badaniach offline. Przyczynia się do tego przede wszystkim sposób kon-



strukcji badania, który w znaczący sposób determinuje odsetki wypełnień. Znane są badania, w których przekracza on poziom 80%. Ponadto wyższe odsetki wypełnień są zawsze uzyskiwane na próbach jednorodnych pod jakimś względem, czyli na przykład wśród lekarzy, nauczycieli niż na zbiorowości generalnej. Podobnie jak w przypadku tradycyjnych badań sondażowych, procent uzyskanych odpowiedzi determinowany jest długością narzędzia i czasochłonnością jego wypełniania.

Wiele zależy od tego, jak przygotowane jest narzędzie badawcze, na ile profesjonalnie zostało przygotowane zaproszenie (preambuła) do jej wypełnienia, które może zachęcać albo wręcz przeciwnie – skutecznie zniechęcać potencjalnych respondentów. Preambuła ma duże znaczenie, gdyż to ona inicjuje kontakt z ankietowanym, tworząc pierwsze wrażenie o badaniu, jego istotności i samym badaczu. Niechętnie poświęcamy nawet kilka minut swojego czasu na wypełnianie ankiet, które wydają się nam mało wartościowe, nieistotne i niewiele wnoszące. Należy zadbać o formę preambuły, zawierając możliwie szczegółowe informacje o badaniu, jego celu, sposobie analizowania zebranych danych. Respondenci niechętnie wypełniają ankietę, które przygotowane zostają w plikach tekstowych i pojawiają się w formie załączników do wiadomości mailowych. Zazwyczaj tego typu maile traktowane są jako niepożądane, a internauci z dużą rezerwą podchodzą do otwierania załączników obcego pochodzenia, które mogą zawierać wirusy. Jak łatwo zatem zauważyć, każda nasza decyzja ma wpływ i znaczenie, warunkując decyzję o chęci wypełnienia ankiety.

Dropout i brak kontroli

Interesujących wniosków dostarczają prace badawcze dotyczące konstrukcji samego zaproszenia i jego wpływu na chęć wypełnienia ankiety. Okazuje się, że znaczenie mają dodatkowe informacje o osobie realizującej badanie, a nawet zdjęcie badacza. Tłumaczy się to tym, iż tego typu informacja dostarcza szerszego kontekstu o badaczu, a tym samym zwiększa chęć wypełnienia ankiety, która wydaje się nam w mniejszym stopniu bezosobowa i anonimowa. Co ciekawe, okazuje się, iż

chętniej wypełniamy ankiety przygotowane przez kobiety, co określa się mianem efektu Anity, a ów wpływ jest szczególnie widoczny, jeśli badana grupa jest nadreprezentowana przez mężczyzn. Badania pokazują również, że tak wydawałoby się nieistotne kwestie, jak spójność informacji o badaczu np. z jego adresem mailowym, mają znaczenie przy decyzji o zamiarze wypełnienia ankiety.

Dużym problemem w przypadku realizacji badań sondażowych online jest tak zwany dropout. Oznacza on porzucenie ankiety w trakcie jej wypełniania. Wiele narzędzi umożliwia zapisywanie odpowiedzi respondenta w czasie rzeczywistym, jednakże w wielu przypadkach na nic się to nie zdaje, gdyż niejednokrotnie pytania metryczkowe (dotyczące wieku, płci, miejsca zamieszkania, osiąganych dochodów, wykonywanej pracy etc.) są zamieszczane na końcu ankiety, a bez tych danych samo badanie staje się bezużyteczne. Ankiety wypełnione częściowo, niepełne, zwykle nie są uwzględniane na etapie analizy. Istotny wpływ na dropouty ma długość ankiety, warto korzystać z takich narzędzi internetowych, które zawierają pasek postępu bądź w inny sposób informują, na jakim etapie ankiety znajduje się respondent i ile pytań pozostało mu do końca. Trzeba przemyśleć kolejność pytań, jeśli nie jest to uzasadnione badaniem, nie dublować tych samych kwestii, zwrócić uwagę na stopień złożoności, ale i czytelności pytań. Jeśli naszą ankietę otwiera trudne, złożone, wielowątkowe pytanie, trudno oczekiwać, że respondent z chęcią podejmie wysiłek, by na nie odpowiadać. Wprowadzenie do ankiety powinno być nieobciążające respondenta, niewywołujące u niego już na samym początku frustracji wynikającej z niezrozumienia i konieczności intensywnego zaangażowania.

Dużym problemem w badaniach internetowych jest brak kontroli nad procesem przebiegu badania. Nigdy nie mamy pewności, czy osoba odpowiadająca na pytania jest rzeczywiście pożądanym przez nas respondentem, nie wiemy również, czy w trakcie wypełniania ankiety nie korzysta z innych źródeł. Pewnym sposobem na wyjście z tej sytuacji jest stosowanie unikalnych haseł, ale i one nie dają nam gwarancji, że odpowiada osoba, której oczekujemy i nie wspomaga się zewnętrznymi źródłami.

Należy wspomnieć o kwestiach etycznych związanych z badaniami nie tylko w sieci, ale w ogóle. Jeśli nie jest to uzasadnione tematyką badania, nie należy pytać o kwestie drażliwe, poruszać kwestii, które mogą być dla respondenta obciążające, pozostawiać go z uczuciem dyskomfortu. Żadne badanie nie może być dla osoby badanej dolegliwe. Jeśli wprowadzamy w badaniu jakąś formę manipulacji, na co etyka badań pozwala, zawsze po zakończeniu badania powinna ona zostać szczegółowo wyjaśniona wraz z celowością jej wprowadzenia. Ważne by respondent miał możliwość kontaktu z badaczem. Stąd tak istotne jest, by już w preambule pojawił się kontakt do badacza, co umożliwia wyjaśnienie wątpliwości czy też zgłoszenie możliwych błędów, niejasności, jakie pojawiły się w trakcie badania. W obszarze etycznym istotne są również kwestie związane z zapewnieniem anonimowości osoby biorącej udział w badaniu. Nawet wtedy, gdy nasze badanie ma charakter niereaktywny, a więc odbywa się bez udziału osoby badanej, konieczne jest takie operowanie materiałami dostępnymi online, by unie możliwić identyfikację konkretnej osoby. Możemy czerpać z bogactwa zasobów internetowych i publikowanych tam treści, ale trzeba pamiętać, iż powinno się to odbywać w sposób nienaruszający praw osób trzecich.

30 tysięcy użytkowników

Prowadzony przez nas serwis ebadania.pl służący do realizacji badań sondażowych w sieci powstał w 2007 roku. Wraz

ebadania.pl

Strona | Receptury | Logowanie / Rejestracja

SPÓŁECZNE BADANIA ANKIETOWE

Łączymy ludzi, którzy dzielą się swoimi światłami i tych którzy chcą to badać

[Załącznik](#)

POSTACIE

Respondent

Przejrzyj ankiety jeśli chcesz podzielić się swoim punktem widzenia i pomóc innym w poznaniu twoich przekonań, idei. Załóż konto a wracając do serwisu, zobaczysz jak twoje odpowiedzi wyglądają na tle innych.

Ankieter

Załącz konto i twórz ankiety. Możesz również wzorować się na badaniach innych użytkowników, kopiować ich ankiety, modyfikować i publikować.

Analityk

Załącz konto i analizuj dane. Możesz analizować własne wyniki ankiet, jak również wyniki ankiet innych użytkowników. Wyciągaj trafne wnioski i twórz raporty.

Każdy może być zarówno Respondentem, jak i Ankieterem, czy Analitykiem.

ebadania.pl 2007 - 2022

0 dni | 1000 | 1000000

Nowy layout serwisu ebadania.pl (wersja alpha)

z Tomaszem Szpunarem, współtwórcą serwisu, jego projektantem i programistą, postanowiliśmy udostępnić to narzędzie innym. Chcieliśmy w procesie badawczym wspomóc doktorantów, studentów i uczniów, których niejednokrotnie nie stać na opłacanie abonamentów w komercyjnych serwisach. Szybko okazało się, że nasze narzędzie stało się popularne nie tylko wśród nich, lecz także spotkało się ze sporym zainteresowaniem szerszego środowiska naukowego i badaczy niezwiązanych ze środowiskiem akademickim. Dzięki eBadaniom powstało kilkadziesiąt dysertacji doktorskich, kilkaset prac magisterskich, licencjackich i inżynierskich. Każdy, kto chce wykonać badania sondażowe do swojej pracy, może to w intuicyjny sposób uczynić przy wsparciu naszego serwisu. Został on zaprojektowany tak, by osoba, posiadająca jedynie podstawową wiedzę z zakresu metodologii badań, mogła stworzyć własne narzędzie badawcze i przeprowadzić interesującą ją badania.

Platforma ebadania.pl powstała w 2006 roku, a od początku jej istnienia skorzystało z niej prawie 30 tysięcy użytkowników (badaczy), zrealizowano ponad 40 tysięcy ankiet, które wypełniło ponad milion respondentów. Przez cały okres funkcjonowania aplikacja była dostępna całkowicie bezpłatnie, nie zawierając również płatnych ogłoszeń reklamowych. Główną ideą, która przyświecała tworzeniu tej aplikacji, było stworzenie środowiska umożliwiającego realizację badań sondażowych w sieci. Obecnie na rynku funkcjonuje wiele serwisów umożliwiających realizację tego typu badań, ich główna funkcja sprowadza się do dostarczenia narzędzia, które wspomaga badacza w przeprowadzaniu badań. W większości serwisów wygląda to tak, że ankietery pobierają zebrane przez siebie dane, potem analizują je i wykorzystują do własnych celów, np. prac dyplomowych. W wielu wypadkach zgromadzona przez nich wiedza staje się martwa, gdyż nie zostaje upowszechniona, a bywa tak, że społecznie doniosłe kwestie, choć przebadane, nie spotykają się z uwagą i zainteresowaniem szerszej opinii publicznej. Ankiety realizowane na potrzeby prac magisterskich, inżynierskich czy licencjackich niejednokrotnie poruszają ważne społecznie tematy, a w ich wypełnienie angażują się setki respondentów. Niestety rezultaty takich badań pozostają zwykle niedostępne, znane wyłącznie osobie realizującej badanie – studentowi, doktorantowi, pracownikowi naukowemu czy oceniającemu pracę. Wiedza uzyskana w ten sposób, choć wartościowa, nie jest upowszechniana, nie pozwalając na przykład innym badaczom weryfikować tego, co i w jaki sposób zostało przebadane, co w toku badań udało się ustalić, a co wymaga dalszej eksploracji. Nie ma również wymogu, by projekty grantowe finansowane z funduszy publicznych były publikowane w wolnym dostępie, co oznacza, że wiele kwestii, mimo że zostają przebadane, nie trafia do opinii publicznej, a tym samym cenne i wartościowe poznawczo dane są marnotrawione. Stąd bywa tak, że badania z tego samego zakresu są dublowane, a ustalenia badaczy nie podlegają intersubiektywnej sprawdzalności. To właśnie tę lukę zamierzamy wypełnić, wprowadzając na rynek nową wersję ebadania, opartą na aspekcie społecznościowym.

W związku z tym, iż obecnie rynek związany z aplikacjami do badań online koncentruje się na zapewnieniu narzędzi do przeprowadzania badań, stwarza to naszym zdaniem przestrzeń do zaistnienia nowej aplikacji, opartej na społeczności, służącej wymianie wiedzy o charakterze sondażowym. Aplikacja stawia sobie za cel możliwość dzielenia się całymi ankietami (narzędziami), poszczególnymi pytaniami bądź też uzyskanymi wynikami. Oferuje to możliwość wielokrotnego i wielowymiarowego analizowania problemów społecznych, z uwzględnie-

niem różnych optyk przez wielu badaczy zainteresowanych danym zjawiskiem.

Opierając się na idei kolektywnej inteligencji, chcemy umożliwić wspólną pracę nad narzędziem badawczym, analizą danych oraz popularyzacją uzyskiwanych wyników. W procesie interpretacji użytkownicy będą mieli możliwość współdziałania, by wypracowywać możliwe najtrafniejsze wyjaśnienia badanych zjawisk. Doświadczenia, związane ze zbiorową inteligencją czy tak zwanym smart mobs (mądrym tłumem), pozwalają przewidywać, iż współpraca w ramach społeczności ebadania przełoży się może na jakość prowadzonych badań oraz propagację uzyskanej w ten sposób wiedzy. Wzajemne korekty mogą stać się efektywnym sposobem na wypracowanie wartościowego projektu badawczego.

Dostęp do wiedzy społecznie użytecznej

Ciekawym doświadczeniem jest konfrontowanie osobistych punktów widzenia na tle grupy. Bywa, że jesteśmy przekonani, że nasze preferencje lokują się w obrębie średniej, podczas gdy mają charakter niszowy. Uczestnicząc w badaniach, a co ważniejsze uzyskując wgląd w ich wyniki, uzyskujemy dostęp do wiedzy na temat własnych przekonań, pozycjonowania naszych preferencji na tle badanej próby, co przyczynia się do uświadamiania kwestii nieświadomych czy też konfrontowania się z innymi, niedostrzeganymi wcześniej perspektywami.

Dzięki społecznościowej aplikacji badawczej uzyskujemy dostęp do wiedzy społecznie użytecznej. Bywa na przykład tak, że kilka miast pracuje równocześnie nad powiększeniem infrastruktury rowerowej. W związku z planowanymi inwestycjami często prowadzą badania w interesującym ich obszarze, by poznać opinie mieszkańców. W przypadku naszej aplikacji wyniki badań będą dostępne publicznie, a więc będzie istniała możliwość wykorzystania ich bezpośrednio, zmodyfikowania lub uwzględnienia opinii mieszkańców innego miasta w planowaniu jego rozwoju. Dotychczas zazwyczaj wyniki badań były niedostępne dla decydentów czy mieszkańców innych miast, tym samym cenne dane badawcze były dostępne wąskiej grupie. Współdzielenie i otwartość procesu badawczego pozwalają po wielu latach konfrontować zadowolenie mieszkańców z wprowadzonych rozwiązań i porównywać ich opinie z wypowiedziami sprzed wprowadzenia nowych zmian. To właśnie otwartość badań, którą proponujemy, pozwala uzyskiwać łatwy dostęp do narzędzi i wyników badań, rozwijać je i porównywać ze sobą.

Badania prowadzonych w sieci nie należy traktować jak gorszej siostry badań prowadzonych drogami tradycyjnymi. Wręcz przeciwnie, trzeba się do nich przygotować równie starannie, a nawet solidniej niż do badań offline. Brak bezpośredniego kontaktu z respondentem, brak możliwości dopowiedzenia czy wyjaśniania kwestii niejasnych, niezrozumiałych wymagają od badaczy jeszcze większej dokładności i precyzji w przygotowywaniu narzędzi badawczych. Warto prowadzić badania w sieci i korzystać z możliwości, które ze sobą niosą, jednocześnie jednak mieć świadomość trudności i pułapek, jakie czyhać mogą na niewytrawnego badacza.

Życzę wszystkim badaczom, zarówno doświadczonym, jak i dopiero rozpoczynającym swoją przygodę z badaniami, by prowadzone przez nich projekty badawcze były fascynującą przygodą intelektualną, pozwalającą dotrzeć do wiedzy o innych, ale i sobie samych. Aby tak jednak było, należy solidnie się do nich przygotować, by zebrane owoce były jak najbardziej wartościowe.

Dr hab. Magdalena Szpunar, prof. UŚ, socjolog, pracuje na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Instytucie Socjologii.

Psychologia online

Czy metodologia badań psychologicznych czerpie z rewolucji cyfrowej same korzyści?

W psychologii wykorzystuje się znacznie więcej metod badawczych niż tylko eksperyment. Należą do nich m.in. sondaż czy badanie kwestionariuszowe. W kontekście tych drugich warto zauważyć, że coraz więcej tradycyjnie wykorzystywanych kwestionariuszy psychologicznych ma swoje odpowiedniki w wersji online.

Powiedzieć, że obecnie internet jest wszechobecny, to nic nie powiedzieć. Stał się on nieodłącznym elementem otaczającej nas rzeczywistości, technologią, która zapewnia „asystę” w tak wielu codziennych czynnościach, że wymienienie ich wszystkich staje się coraz bardziej niemożliwe. Robimy zakupy online, wyszukujemy informacje, utrzymujemy kontakt ze znajomymi, pracujemy, pielęgnujemy swoje zainteresowania. Wyodrębnienie sfery funkcjonowania, do której „nie dotarł” internet staje się praktycznie niemożliwe. Wydaje się więc, że coraz bardziej słuszna jest opinia wybitnego hiszpańskiego socjologa Manuela Castellsa, który stwierdził, że cyfrowa rewolucja, jakiej jesteśmy uczestnikami i świadkami, zmienia nasz świat w znacznie większym stopniu niż jakkolwiek wcześniejsza rewolucja. Rzeczywistość, która nas otacza, zmienia się tak szybko i tak radykalnie, jak nigdy wcześniej. Wszystko to dzięki internetowi i pokrewnym nowym technologiom.

Warto zwrócić przy tym uwagę, że pierwszy projekt internetowego systemu informacyjnego o nazwie World Wide Web (znany potocznie jako „www”, od którego zaczynają się adresy stron internetowych) przedstawił jego twórca, Timothy Berners-Lee, zaledwie 33 lata temu, w marcu 1989 roku. Dwa lata później, w 1991 roku, projekt ten na nowo zdefiniował to, co obecnie nazywamy internetem. Wszystko to wydarzyło się tylko trzy dekady temu i uzmysłowienie sobie faktu, w jak krótkim okresie zmieniło się tak dużo, pozwoli zrozumieć wagę konieczności naukowego przyjrzenia się tym zmianom. Badacze zajmujący się wpływem nowych technologii na funkcjonowanie człowieka od samego początku zwracają uwagę na to, że po pierwsze wpływ ten jest gigantyczny, a po drugie, że cały czas się zmienia.

Oczywiste jest, że internet, który istniał w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, jest zupełnie inną przestrzenią niż obecny, który to coraz częściej określa się mianem „świadcznia użyteczności publicznej”, tak samo jak gaz, prąd czy bieżąca woda. Same portale społecznościowe, efekt tzw. nurtu Web 2.0, mają niecałe dwadzieścia lat. Psychologowie, socjologowie czy kulturoznawcy w coraz większym stopniu zgadzają się co do tego, że poznanie i zrozumienie wpływu, jaki nowe technologie

wywierają na nas, ich użytkowników, jest jednym z najważniejszych zadań, przed jakimi stoją nowoczesne nauki społeczne i humanistyczne. Co więcej, tak dynamiczny rozwój internetu generuje pytania niekiedy wręcz natury filozoficznej czy moralnej. Nie będzie chyba więc przesadą stwierdzenie, że jesteśmy coraz bliżej takiego momentu w rozwoju ludzkości, w którym rola nowych technologii i jej znajomość będzie w pewnym stopniu definiowała nasze człowieczeństwo.

Naukowcy zajmujący się tymi zagadnieniami od początku lat 90. starają się wypracować odpowiednią metodologię badania internetu. Oczywiście nieco inna ona będzie w odniesieniu do nauk psychologicznych, inna socjologicznych, inna do stricte technicznych. Jednak łączy wszystkie te starania wspólne dążenie do jak największej rzetelności: chcemy wiedzieć, co dokładnie badamy oraz jakimi metodami najlepiej można to zrobić. Historia metodologii badań psychologicznych prowadzonych w internecie jest tak naprawdę równie długa, co samego internetu. Już na samym początku, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, zaczęły pojawiać się pierwsze wyniki badań, które pokazywały, w jakim kierunku internet i nowe technologie wpływają na ludzką psychikę i funkcjonowanie. Jedną z pionerek tego nurtu badań, Sherry Turkle, wydała swoją pierwszą książkę na ten temat już w 1984 roku (*The Second Self*), prognozując, że komputer będzie wkrótce postrzegany niejedynie jako narzędzie, ale stanie się częścią codzienności, nieodłącznym elementem funkcjonowania. Warto zwrócić uwagę, że wówczas, w 1984 roku, nawet nie było internetu, sieć łączności, która wtedy funkcjonowała, nosiła nazwę ARPANET i była wykorzystywana przede wszystkim do celów wojskowych i akademickich. Trudno nie zauważyć, jak bezbłędna była diagnoza Sherry Turkle sprzed prawie czterdziestu lat.

Im bardziej internet się rozwijał, tym więcej pojawiało się pytań natury badawczej oraz, co za tym idzie, metodologicznej. W 1996 roku Joseph Walther, kolejny z nestorów badań internetu, opublikował artykuł, w którym zaproponował istnienie Modelu Hiperpersonalnego, wskazując na coraz większą rolę nowych technologii w kreowaniu pewnych zachowań autopr-

zontacyjnych. Walther jako jeden z pierwszych zwrócił uwagę na to, że człowiek w internecie prezentuje się wobec innych osób zupełnie inaczej niż poza siecią. Zdaniem tego badacza zmianą fundamentalną jest rola asynchroniczności komunikacji internetowej. Joseph Walther podkreślał, że w sytuacji gdy kontakt interpersonalny przebiega asynchronicznie, jego uczestnicy mogą w dużym stopniu kontrolować różnego typu niechciane aspekty autoprezentacyjne. Innymi słowy: mogą się pokazać takimi, jakimi chcą być odbierani, a nie takimi, jacy są w rzeczywistości pozainternetowej. Publikacje Walthera pokazały kolejne duże wyzwanie dla rozwijającej się psychologii internetu: jakimi metodami powinno się badać tego typu zagadnienia?

Nie przedmiot badań, lecz metodologia

Psychologia jako nauka wyrosła z filozofii, oddzielając się od niej na dobre w drugiej połowie XIX wieku. Tym, co w dużym stopniu sprawiło wyodrębnienie się psychologii, było dążenie do badania konkretnych zjawisk i wykorzystywania do tego metodologii znanej naukom przyrodniczym i doświadczalnym, takim choćby jak biologia czy fizjologia. Warto zwrócić uwagę na to, że tym, co jednoczy jakąś naukę, nie jest – wbrew pozorom – przedmiot badań, lecz jej metodologia. Założenia składające się na metodologię są więc kryteriami odróżniającymi podejście naukowe od innych sposobów zdobywania wiedzy. Metodologia ma zatem za zadanie spełniać trzy podstawowe cele nauki: dostarczać reguł komunikacji, które pozwalają na replikację badań, reguł wiarygodnego wnioskowania, opartego na logice oraz reguł intersubiektywności, czyli możliwości dzielenia się wiedzą.

Jedną z najważniejszych, a być może najważniejszą metodą zdobywania wiedzy psychologicznej jest projektowanie i przeprowadzanie badań eksperymentalnych. Jest to fundamentalny plan badawczy, który umożliwia wnioskowanie przyczynowo-skutkowe. Klasyczny plan eksperymentalny zakłada porównanie ze sobą grupy eksperymentalnej i grupy kontrolnej. Różni je między sobą – zgodnie z założeniem kanonu jedynej różnicy Kazimierza Ajdukiewicza – wprowadzenie w grupie eksperymentalnej pewnej manipulacji. Jeżeli okaże się, że zmieniła ona to, na co miała oddziaływać (w porównaniu do grupy kontrolnej, gdzie manipulacji nie było), to można założyć, że ta zmiana powstała właśnie wskutek manipulacji. Możemy więc wówczas wnioskować o relacji przyczynowo-skutkowej. Jest to oczywiście opis najbardziej podstawowy, a plany eksperymentalne mogą być znacznie bardziej rozbudowane.

Psychologiczne badania eksperymentalne, które prowadzi się w przestrzeni internetu, w wielu przypadkach służą jako rodzaj walidacji wyników uzyskanych poza internetem. Coraz częściej się okazuje, że pewne konkretne efekty psychologiczne po prostu inaczej funkcjonują w rzeczywistości wirtualnej. Przykładem mogą być choćby badania nad uległością wobec metod wpływu społecznego, które pokazują, że ta dynamika jest w wielu sytuacjach innego typu niż w tradycyjnych interakcjach „twarzą w twarz” (np. w internecie jesteśmy mniej podatni na prośby i łatwiej się nam „obronić” przed pewną kategorią technik wpływu społecznego). Co więcej, istnieją także przykłady eksperymentów uzyskanych poza internetem, które w warunkach cyfrowych dają zupełnie odmienne wyniki. Na przykład Amy Gonzales i Jeffrey Hancock, amerykańscy psychologowie, wykazali, że jedna z klasycznych dwudziestowiecznych teorii psychologii społecznej – teoria obiektywnej samoświadomości – w warunkach internetowych „funkcjonuje” zupełnie odmiennie niż w badaniach tradycyjnych. Teoria ta zakładała, że ludzie skonfrontowani sami ze sobą (np. poprzez zobaczenie siebie w lustrze) będą doświadczali obniżenia samooceny. Gonzales

i Hancock pokazali zaś, że zasada ta kompletnie nie ma zastosowania w dobie portali społecznościowych, kiedy miliardy ich użytkowników codziennie wchodzi na swoje profile, widzą swoje zdjęcie, wpisy itp. Okazało się, że po wejściu na portal społecznościowy nie dość, że samoocena się nie obniżała, to w pewnych warunkach wręcz wzrastała. Wynik ten dobitnie pokazuje, jak istotne jest ciągle weryfikowanie i walidowanie wiedzy psychologicznej w przestrzeni internetu. Może się coraz częściej okazać, że pewne dobrze opisane i zbadane prawidłowości rządzące ludzkim zachowaniem będą w warunkach on-line wyglądały zupełnie inaczej.

Nie boją się mówić prawdy

W kontekście badań psychologicznych prowadzonych drogą online warto zwrócić także uwagę na znacznie łatwiejszy dostęp do osób, które tradycyjnymi metodami byłyby bardzo trudne do zrekrutowania. Osoby zajmujące się tego typu badaniami jako przykłady podają choćby ludzi z określonymi chorobami, komunikującymi się na określonych specjalistycznych forach. Nie każdy chętnie bierze udział w badaniu psychologicznym twarzą w twarz, w laboratorium psychologicznym i w towarzystwie psychologa-badacza. Internet jest dla wielu osób pewnego rodzaju „bezpiecznikiem”, mentalną barierą zapewniającą komfort i tym samym ułatwiającą udział w badaniu. Za tym zaś często idzie większa szczerłość i autentyczność udzielanych odpowiedzi – badani po prostu nie boją się mówić prawdy i zachowywać tak, jak zachowywaliby się w realnej sytuacji.

Nieodłączną cechą badania eksperymentalnego jest zachowanie zasady randomizacji, czyli losowego przydziału osób badanych do jednej z grup. Dla każdego rzetelnego badacza oczywiste jest, że nie można w ramach eksperymentu przydzielać badanych do odpowiedniego warunku na podstawie np. własnej intuicji, stosując zasadę „ty idziesz tutaj, a ty idziesz tam”. W rzeczywistości pozainternetowej istnieją rozmaite sposoby na to, jak spełnić warunek randomizacji. Doboru losowego można dokonać, wykorzystując np. tabele liczb losowych. Warto jednak zwrócić uwagę, że w praktyce prowadzenia eksperymentów drogą internetową coraz więcej jest specjalnych aplikacji i stron, które bez większych problemów pozwalają zaprojektować badanie z zachowaniem losowego przydziału badanego do jednego z warunków (jedną z najbardziej znanych jest np. Qualtrics). Najczęściej działa to w ten sposób, że każdy badany dostaje dokładnie ten sam link do wzięcia udziału w badaniu i dopiero gdy wejdzie na daną stronę, zostaje przydzielony poprzez odpowiednio zaprogramowany algorytm np. do grupy kontrolnej. Co więcej, istniejące obecnie narzędzia pozwalają zachować kontrolę nad liczbą osób, które powinny się w danym warunku znaleźć. Jest to bardzo duże ułatwienie dla badacza, który może w pewnym sensie zaufać nowym technologiom i wykorzystać je do stworzenia profesjonalnego i rzetelnego eksperymentu psychologicznego.

Rzecz jasna w psychologii wykorzystuje się znacznie więcej metod badawczych niż tylko eksperyment. Należą do nich m.in. sondaż czy badanie kwestionariuszowe. W kontekście tych dróg warto zauważyć, że coraz więcej tradycyjnie wykorzystywanych kwestionariuszy psychologicznych ma swoje odpowiedniki w wersji online. Pracownia Testów Psychologicznych Polskiego Towarzystwa Psychologicznego (PTP), główny dystrybutor testów psychologicznych w Polsce, już od wielu lat udostępnia choćby platformę e-Psilon, na której umieszczone są internetowe wersje kwestionariuszy. Dodatkową zaletą jest coraz większa automatyzacja zliczania i obliczania wyników surowych czy też odnoszenie ich do opracowanych norm, pozwalających zinterpretować wynik na tle populacji.



Rys. Sławomir Makal

Masa cyfrowych śladów

Mówiąc o metodologii badań psychologicznych prowadzonych online, nie sposób nie wspomnieć też o całej gamie metod jakościowych. Metody jakościowe znajdują zastosowanie przede wszystkim w sytuacjach, w których problem badawczy dotyczy głębszej eksploracji badanego pojęcia lub zjawiska. Dużą rolę odgrywa w nich to, jakie znaczenia danym nadają sami uczestnicy. Do najpopularniejszych metod jakościowych w psychologii można zaliczyć np. wywiad, badania fokusowe, studium przypadku czy analizę dyskursu. Warto zwrócić uwagę, że każdą wyżej wymienioną metodę można zaadaptować do rzeczywistości cyfrowej, wykorzystując do tego różnego rodzaju nowe technologie. W przypadku wywiadu dodatkową korzyścią z przeprowadzania go online może być – podobnie jak w przypadku niektórych badań ilościowych – zapewnienie osobie badanej większego komfortu podczas badania oraz przeprowadzenie go w warunkach zbliżonych do naturalnych. Ilość aplikacji pozwalających przeprowadzić wywiad już jest bardzo duża, a założyć można, że będzie tylko rosła. Podobnie sytuacja wygląda w odniesieniu do badań fokusowych, stanowiących swoistą formę wywiadu, ale najczęściej prowadzonego w grupie osób przez zewnętrznego moderatora, w celu uzyskania np. opinii uczestników na temat jakiegoś produktu czy usługi.

W zakresie metod jakościowych szczególnie ciekawym przypadkiem jest przeprowadzenie internetowo zapośredniczonego studium przypadku, stanowiącego przykład badania idiograficznego, skupiającego się na konkretnej jednostce. Studium przypadku jest szczegółowym opisem wybranej osoby, który tworzy się na podstawie takich danych, jak np. obserwacja, analiza języka i zachowania, wgląd w różnego rodzaju dokumentację itp. Internet jest przestrzenią, która pozwala uzyskać całą masę tzw. „cyfrowych śladów”, wielkiego spektrum informacji o zachowaniu danej osoby w cyberprzestrzeni. Mogą być to e-maile, interakcje i wpisy na portalach społecznościowych, odwiedzane strony. Słowem: to, co robimy w internecie, jest przecież nieodłączną częścią tego, kim naprawdę jesteśmy. To zaś stanowi bezcenne źródło informacji, mogących służyć do studium danego przypadku. Podobnie z analizą dyskursu, czyli badaniu tego, jak funkcjonuje użyty język w określonych kontekstach. Internet jest dla bardzo wielu osób miejscem, w którym można „wyrzucić siebie”, wchodząc w rozmaite interakcje i zostawiając swoje wpisy czy komentarze. Psycholog używający tej metody jakościowej ma więc dostęp do analizy rzeczywistości kreowanej dzięki wykorzystaniu języka. Ponownie internet jawi się więc jako źródło danych, które wcześniej były albo niedostępne, albo bardzo trudno osiągalne.

Czy metodologia badań psychologicznych czerpie więc z cyfrowej rewolucji same korzyści? Oczywiście nie i jest to zagadnienie mocno – jak na psychologię przystało – zniuansowane. Do najważniejszych problemów związanych z prowadzeniem badań psychologicznych online najczęściej zalicza się to, co jest „ciemną stroną” ich zalet. Tak jak w przypadku badań kwestionariuszowych możemy mówić z jednej strony o większym komforcie osób badanych, to z drugiej nie mamy kontroli np. nad warunkami, w których biorą udział w badaniu. Wypełnienie kwestionariusza na telefonie w tramwaju jest rzecz jasna czymś zupełnie innym niż w spokoju i w domu. Tym samym badania on-line zawsze są narażone na pojawianie się takich zmiennych ubocznych, różnego typu czynników zakłócających, które są poza kontrolą (a czasem i wiedzą) badacza. Nie sposób nie wspomnieć również o roli stresu informacyjnego, koncentracji osoby badanej czy innych tego typu aspektach funkcjonowania poznawczego, mających przecież istotny wpływ na wiarygodność wyników. Do tego dochodzą jeszcze różnego rodzaju kwestie i dylematy etyczne. Wydaje się jednak, że coraz bardziej dynamiczny rozwój cyfrowej rzeczywistości każe postawić przed psychologami fundamentalne pytanie: co możemy zrobić, żeby nasze badania prowadzone online były coraz lepsze, coraz bardziej rzetelne i profesjonalne? Jest to pytanie kluczowe, na które nowoczesna psychologia musi starać się znaleźć odpowiedź oraz permanentnie ją weryfikować. Cyfrowa rewolucja na pewno się nie cofnie, więc zadanie to jest tym bardziej ważne.

*Dr Jakub Kuś, psycholog, Uniwersytet SWPS,
jest prodziekanem do spraw studenckich na Wydziale Psychologii we Wrocławiu*

Internet w służbie nauki

Spostrzeżenia badacza

Jeżeli badacz chciałby się opierać jedynie, czy w zdecydowanej większości, na zasobach Internetu, to z całą pewnością popełni kardynalny błąd. We wszystkim bowiem, także i w rozwoju, funkcjonuje czynnik ludzki.

Dynamiczny rozwój technologiczny dotyczy wszelkich aspektów ludzkiego życia. Rozbudowa narzędzi internetowych z biegiem czasu objęła również kwestie badań naukowych. Okazały się one szczególnie potrzebne w okresie rozprzestrzeniania się koronawirusa. To w zasadzie pandemia wymusiła przyspieszenie rozwoju tychże narzędzi i przełamanie uprzedzeń wielu naukowców wobec zastosowania zasobów internetowych. W konsekwencji narzędzia stosowane na rzecz badań naukowych i ich popularyzacji stają się coraz bardziej powszechne, także w okresie popandemicznym. Narzędzia i zasoby internetowe stają się więc nie tylko elementami zastępczymi, lecz także jednymi ze standardowych rozwiązań. Celem poniższego artykułu będzie przedstawienie własnych spostrzeżeń dotyczących pracy naukowej z użyciem Internetu. Tekst opieram na własnych doświadczeniach, gdyż właśnie w tym czasie przygotowywałem opracowanie pt. *Monografia Miasta Zgorzelec w latach 1945-2020*. Jeżeli ktoś z Państwa będzie miał okazję przeczytać tę książkę, do czego serdecznie zachęcam, zauważ, że pewna część bibliografii została oparta na źródłach internetowych. Co prawda w samej bibliografii są wymienione jedynie strony główne, ale już w przypisach możemy odnaleźć bardzo szczegółowe informacje o tym, z jakiego dokładnie adresu i kiedy określone dane zostały zaczerpnięte. Dla mnie więc okres pandemii, pomimo wielu trudności w różnych płaszczyznach, w tym i na polu naukowym, mimo że był czasem trudnym, był okresem, w którym jednak udało się napisać i opublikować dość obszerną książkę. Jednocześnie przygotowałem szereg artykułów, recenzji oraz edycji dokumentów źródłowych. Stąd też narzędzia i zasoby internetowe stały się stałymi elementami mojej pracy badawczej i popularyzacji jej wyników.

Problem z dostępem do źródeł i literatury

Z punktu widzenia dziedziny przez mnie uprawianej, a więc historii, najistotniejsze do zebrania materiału badawczego są źródła w postaci m.in. dokumentów, a te z reguły są przechowywane w archiwach. Dostępność archiwaliów w okresie pandemii była mocno utrudniona, natomiast zainteresowanie dotyczące zasobów archiwów wcale nie mniejsze. Problem ten dotyczył szczególnie archiwów o stosunkowo niewielkich powierzchniowo czytelniami. Wówczas, z uwagi na ogranicze-

nia, na rezerwacje należało czekać nie mniej niż parę tygodni, do paru miesięcy, np. Archiwum Państwowe we Wrocławiu oddział w Bolesławcu przez dłuższy czas mogło przyjmować 1-2 osoby dziennie, podczas gdy w okresie przed pandemią w czytelnii znajdowało do 6 stanowisk. Problemy wynikające z braku dostępu do akt można było zauważyć w tym okresie szczególnie w archiwach związków wyznaniowych. Nie posiadają one na ogół żadnych instrumentów do upubliczniania zasobów własnych archiwów, chociaż istnieją pewne wyjątki, np. Papieski Instytut Studiów Kościelnych w Rzymie, Klasztor Sióstr Karmelitanek Bosych w Krakowie, Archiwum Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego w Rzymie, Archiwum Akt Dawnych Diecezji Toruńskiej, Archiwum Archidiecezjalne i Biblioteka Kapitulna we Wrocławiu.

Podobnie zresztą było w kwestii literatury zgromadzonej w czytelniami bibliotek, bowiem nie wszystkie zbiory biblioteczne są wypożyczane na zewnątrz, niektóre z nich należało przejrzeć na miejscu (dotyczyło to części opracowań zwartych oraz prawie wszystkich periodyków). Na domiar złego czytelnie naukowe również przez dłuższy czas pozostawały zamknięte. Wydłużał się proces wypożyczania interesujących badacza książek, gdyż po ich powrocie od osoby, która wcześniej je wypożyczyła, publikacje poddawano obowiązkowej kwarantannie.

Kolejnym źródłem informacji dla historyków są relacje naocznych świadków, na ogół osób starszych, najbardziej narażonych na zainfekowanie. Ta świadomość powodowała obawę pośród naocznych świadków przed osobistym spotkaniem z badaczem. Osoby starsze, oprócz trudności w posługiwaniu się współczesną technologią, niekiedy darzą nieufnością nowoczesne sposoby komunikacji międzyludzkiej, skutkiem czego albo odmawiały wywiadów, albo odpowiadały tylko na część pytań.

Trudności związane z przeprowadzeniem badań miały bardzo wyraźne konsekwencje. Znam przynajmniej kilka przypadków, kiedy dany naukowiec musiał wstrzymać się z publikacją prac, gdyż nie zdołał zebrać wystarczającego materiału badawczego. Nie inaczej z obroną prac doktorskich, tu również nasuwają mi się na myśl przykłady konkretnych osób, które z powodu wyliczonych trudności zmuszone były do zmiany terminu oddania prac do recenzji i w konsekwencji przystąpienia w późniejszym terminie do obrony.

Jak zbierać materiał badawczy za pomocą Internetu?

Jak to już wspomniałem na wstępie, istotną rolę w pracy badawczej historyka odgrywają archiwa. Lecz jak się do nich dostać, kiedy obowiązuje praca zdalna i nie ma dostępu do czytelni naukowych? W Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wypracowano rozwiązanie, z którego miałem okazję skorzystać (pragnę nadmienić, iż wówczas nie byłem jeszcze jej pracownikiem). Po odnalezieniu odpowiedniej sygnatury akt za pomocą wyszukiwarki dostępnej na stronie IPN, złożeniu stosownego wniosku wraz z załącznikami (drogą mailową) i zweryfikowaniu tegoż wniosku otrzymałem na wskazany adres mailowy link z odpowiednim kluczem, dzięki któremu mogłem przez określony czas (w praktyce od paru tygodni do trzech miesięcy) korzystać z zamówionych przeze mnie akt. Możliwość skorzystania z wirtualnej czytelni jest powszechnie dostępna i niezwykle wygodna, gdyż bez względu na porę dnia czy nocy, tak długo jak dany link pozostaje aktywny, możemy powrócić do zamówionych ze zbiorów wrocławskich (w tym oddziale był składany wniosek), jak i innych oddziałów IPN-u.

Z kolei w Archiwum Państwowym jednostki, które zostały poddane procesowi digitalizacji, są dostępne za pomocą wyszukiwarki „Szukaj w archiwach”. W wypadku jednostek niepoddanych temu procesowi można wyszukać konkretne akta, posługując się albo słowami kluczami, albo nazwą zespołu, w jakim są przechowane czy też samym archiwum. Przeszukiwanie cyfrowe akt wchodzących w skład danego zbioru jest także znacznym ułatwieniem, gdyż można dokładnie określić, jakie jednostki nas interesują. W opisie danych akt znajdziemy informacje nie tylko o tym, czy są one dostępne w wersji cyfrowej, ale także o tym, ile kart wchodzi w skład jednostki, jakiego dotyczą okresu i jaki to typ jednostek. Dzięki tym informacjom nie ma potrzeby przeglądania na miejscu spisu danych zespo-

łów i można za pomocą maila przesłać do czytelni konkretnego archiwum rewersy z sygnaturami jednostek, jakie nas interesują. Gdy dane dokumenty są przechowywane w archiwum, do którego nie będziemy w stanie dotrzeć, zawsze istnieje możliwość zamówienia skanów całych jednostek. Te rozwiązania znacznie ułatwiają pracę badawczą i sam z nich parokrotnie, szczególnie w czasie pandemii, korzystałem.

Oprócz profesjonalnych archiwów za pomocą Internetu możemy dotrzeć także do archiwaliów różnych urzędów, instytucji czy stowarzyszeń. Wiele z nich na łamach swoich stron publikuje najważniejsze informacje dotyczące funkcjonowania tych podmiotów, jak chociażby: statuty, regulaminy, sprawozdania okresowe, kalendarium. Jeżeli nawet owe podmioty wydają drukowane wersje jakiegoś periodyku opisującego życie i działalność danej organizacji czy urzędu, to na ogół i tak umieszczają cyfrową wersję tegoż pisma na swoich stronach. Dzięki temu, nawet jeżeli wszelkie opublikowane kopie danego czasopisma uległy zniszczeniu, pozostaje możliwość ich odtworzenia.

Na stronach internetowych poszczególnych urzędów, instytucji kultury i nauki, ale także i związków wyznaniowych, umieszczane są na bieżąco akty prawne wytworzone przez dane instytucje lub nadane przez ich władzę zwierzchnią. Dzięki czemu nie musimy udawać się do archiwum tegoż podmiotu, aby zebrać najważniejsze informacje dotyczące tejeż organizacji. Dostęp do danych jest publiczny, wynika to z norm prawnych, na podstawie których instytucje te funkcjonują.

Dzięki bibliotekom cyfrowym możemy uzyskać dostęp do bardzo szerokiej literatury z dziedziny, która nas interesuje. Podczas prowadzonych przeze mnie badań, dotyczących historii Zgorzelca, przydatne okazały się: Dolnośląska Biblioteka Cyfrowa, Śląska Biblioteka Cyfrowa, Bibliotek Cyfrowa Uniwersytetu Wrocławskiego i wiele innych, za pomocą których mogłem dotrzeć nie tylko do wielu pozycji książkowych, ale także czasopism i prasy.



Rys. Sławomir Makal

Praktycznie wszystkie redakcje czasopism naukowych, znajdujących się na liście ministerialnej lub nawet pretendujących do uzyskania przynajmniej minimalnego przydziału punktów, publikują w wersji online zawartość swoich periodyków. Dzięki zastosowaniu serwisów typu Google Scholar, Bielefeld Academic Search Engine (BASE), FreeFullPdf, Google Boom Search, Genamics JournalSeek i wiele innych, możemy przy użyciu słów kluczowych albo wpisując nazwisko konkretnego autora, wyszukać interesujące nas artykuły. W przypadku mojej pracy serwisy te okazały się bardzo przydatne, nie było bowiem potrzeby robocznego przeglądania każdego periodyku. Oczywiście otwarta pozostaje kwestia, w jak wielu indeksach znajdują się dane artykuły. Tendencja jest jednak taka, aby umieszczać informacje o publikowanych pracach w jak najliczniejszych bazach danych i repozytoriach lub w przynajmniej takich, które są uznawane za wiódące, jak chociażby Web of Science czy Shopu.

Ministerstwo Edukacji i Nauki za pomocą sieci POLon umożliwia już od pewnego czasu dostęp do blisko czterdziestu modułów obrazujących stan polskiej nauki, niektóre z nich, oprócz wartości statystycznej, mogą się okazać przydatne w zbieraniu informacji o stanie badań w danej tematyce, np. Ogólnopolskie Repozytorium Pisemnych Prac Dyplomowych (ORPPD) czy Polska Bibliografia Naukowa (PBN). Określenie bowiem stanu wiedzy na temat danego zagadnienia stanowi jeden z klasycznych elementów niezbędnych do budowania konstrukcji prac i badań naukowych.

Pozyskiwanie informacji na zasadzie wywiadu jest dzisiaj możliwe dzięki rozbudowanej sieci komunikatorów, oprócz tradycyjnych maili mamy do dyspozycji wiele komunikatorów społecznościowych, choć ja korzystałem głównie z kontaktu mailowego. Kolejną opcją w kwestii wywiadu (po uzyskaniu oczywiście zgody rozmówcy) było bezpośrednie nagrywanie rozmowy przeprowadzonej drogą telefoniczną lub za pomocą Skype'a. Cytowanie tak zebranych informacji było możliwe jako część Archiwum Autora (AA) np. „AA, wywiad z x, przeprowadzony drogą mailową (data maila)” lub „AA, wywiad z x, przeprowadzony drogą telefoniczną (data rozmowy tel.)”. W każdym z tych przypadków konieczna była autoryzacja wywiadu czy relacji świadka.

Każdy współczesny użytkownik Internetu z pewnością zna przynajmniej parę stron tematycznych, odpowiadających jego własnym zainteresowaniom. W zasadzie dotyczą one niemalże każdej dziedziny naszego życia. Nie inaczej jest w wypadku historii. Portale typu histmag.org czy historykon.pl mogą dostarczać wiele cennych informacji dzięki bogatej bazie artykułów, wywiadów oraz recenzji. Wielokrotnie zdarzyło mi się wykorzystywać opracowania zamieszczone na tych i innych portalach o tematyce historycznej.

Ważnym aspektem popularyzacji wiedzy są konferencje naukowe, seminaria, panele dyskusyjne. W okresie pandemii mocno rozpowszechniła się zdalna forma prezentacji wyników badań, a w okresie popandemicznym hybrydowa. Były to o tyle wygodne formy, że nie istniała potrzeba wyjazdu na konferencje w różne miejsca Polski. Można było za pomocą własnego komputera i dostępu do Internetu bez większych kosztów uczestniczyć w konferencjach tak organizowanych przez polskie i zagraniczne ośrodki naukowe. Niestety takie formy miały także swoje wady. Od problemów technicznych (niektórzy organizatorzy, żeby ich uniknąć, wymagali, aby referaty były wcześniej nagrane i przesłane pod wskazany adres) po czysto ludzkie, np. brak możliwości bezpośredniego spotkania z badaczami danej dziedziny. To szczególnie ważna strata, gdyż na ogół spotkania konferencyjne owocują pozyskaniem nowych kontaktów naukowych, a te mogą okazać się przydatne w najmnie oczekiwanym momencie. Bezpośrednie spotkania w cza-

sie konferencji są również okazją do wymiany myśli i pozyskania nowych doświadczeń.

Perspektywa przyszłości

Ponieważ perspektywa kolejnej pandemii lub innych wydarzeń na stałe destabilizujących porządek w Europie i na świecie (przykład wojny na Ukrainie) jest bardzo realna, może się okazać, że w niedalekiej przyszłości będzie istniała konieczność dalszego rozbudowania naukowych zasobów i narzędzi w Internecie.

Już teraz coraz więcej archiwów prowadzi proces digitalizacji własnych zasobów, skutkiem czego są one powszechne w coraz szerszym zakresie. Zwiększenie natężenia tego procesu może pozwolić w przyszłości na ograniczenie liczby kwerend, które należałoby przeprowadzić fizycznie w archiwach na rzecz kwerend online. Podobnie z zasobami czytelników naukowych, tu również z roku na rok zwiększa się liczba poddawanych cyfryzacji periodyków naukowych oraz opracowań zwartych. Pośród wielu wydawnictw i naukowców staje się również powszechną praktyką przygotowanie pozycji zwartych w wersji cyfrowej lub audiobooków.

Niemniej jednak rozwój Internetu i jego narzędzi wcale nie przekreśla „tradycyjnych” form przeprowadzania badań. Jeżeli dany badacz chciałby się opierać jedynie, czy w zdecydowanej większości, na zasobach Internetu, to z całą pewnością popełni w ten sposób kardynalny błąd. We wszystkim bowiem, także i w rozwoju, funkcjonuje czynnik ludzki. Zdarzyło mi się doświadczyć chociażby takich sytuacji, w których opis danej jednostki sugerował coś innego, a w momencie jej analizy okazało się, że dotyczyła ona zgoła odmiennej rzeczywistości. Osobiste i fizyczne przeglądanie akt jeszcze przez długi czas pozostanie ważnym elementem pracy badacza nie tylko historii, ale również innych dziedzin. Nie jest bowiem możliwe, aby digitalizowano wszystkie dostępne zbiory. Zresztą nie ma też takiej potrzeby. Dotyczy to szczególnie jednostek, w których znajdują się dane osobowe, a te na mocy prawa podlegają ochronie.

Resumując, dla osoby, która pragnie zajmować się badaniami naukowymi, narzędzia i metoda pozostają kwestią wtórną. Najważniejsza jest bowiem pasja badawcza, pragnienie odkrywania dotąd nieznanymi obszarów, pogłębianie wiedzy nie tylko dla rozwoju naszego intelektu i świadomości, ale również dla przyszłych pokoleń. Wiadomo, że człowiek ze swej natury próbuje „ulatwić” sobie życie, szukając jak najlepszych i najbardziej kreatywnych rozwiązań, ta prawda stoi niejako u podstaw rozwoju naukowego i technologicznego. Bez tego pragnienia ludzkość dawno temu stanęłaby w miejscu, nie czując potrzeby i konieczności dalszego rozwoju. Lecz i w tym wypadku umiar i zdrowy rozsądek mają istotne znaczenie. W końcu efekty pracy naukowej muszą cieszyć też samego badacza, a nie pozostawać smutną oczywistością. Sukces winien człowieka kosztować, co więcej wówczas czuje on, że faktycznie odkrył coś nowego, przesunął kolejną granicę wiedzy, niejako pokonał własne ograniczenia. „Smak zwycięstwa” może prowadzić człowieka do pragnienia, aby pójść dalej i przekroczyć następny próg.

Osobiście zachęcam do wykorzystywania zasobów i narzędzi internetowych w pracy naukowo-badawczej. Mając na uwadze własne doświadczenia, uważam, że m.in. dzięki nim można nie tylko poszerzyć własną wiedzę i zdobyć nowe doświadczenia, ale również przygotować wartościową publikację naukową. A następnie spopularyzować wyniki własnych badań wobec bardzo szerokiego grremium.

Dr Adam Czesław Szpotarnski, doktor teologii z zakresu historii Kościoła, historyk, absolwent Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych Instytut Pamięci Narodowej we Wrocławiu. Współpracuje z internetowymi portalami popularyzującymi wiedzę historyczną – histmag.org, i historykon.pl.

Zapiski z trudnych dni

Tak, jak nagle zaskoczyła świat pandemia koronawirusa, tak szybko pamięć o jej dramatycznym przebiegu zaczęła powszechnie wygasać. Na wszystkich, którzy nie tylko nie zapomnieli o niedawnych wydarzeniach, ale chcieliby uporządkować historię tego pełnego zmagani i wielkiej niepewności czasu, czeka „Academia” (nr 4/2021) Polskiej Akademii Nauk. W magazynie opatrzonym znaczącym tytułem *Kroniki pandemii lata 2020–2021* przypomniano 27 stanowisk, które przygotowane zostały przez działający od lipca 2020 roku interdyscyplinarny Zespół doradczy ds. COVID-19 przy Prezysie PAN, a których publikacja miała miejsce na przestrzeni wspomnianego okresu. Ten „zbiór tekstów zamyka prowadzone przez nas polskie i światowe kalendarium pandemii”, podkreślono we wstępie, zaś całe kalendarium „pomaga czytelnikom szybko zorientować się w przebiegu pandemii, a odbiorcom zagranicznym ułatwia zrozumienie polskiego kontekstu”.

Chronologicznie ułożone głosy uznanego grona naukowców otwiera tekst sygnowany numerem jeden, którego treść dotyka ważkiego problemu, jaki pojawiał się w przestrzeni publicznej. Chodzi mianowicie o zjawisko negocjowania pandemii, jednoznacznie zakwalifikowane przez zespół ekspercki jako zachowanie po pierwsze nieetyczne, po drugie zaś prowadzące do lekceważenia przygotowanych przez specjalistów zaleceń, a co za tym idzie do rozprzestrzeniania się wirusa i związanego z tym wzrostu liczby zachorowań. Apele o nieuleganie fałszywym informacjom oraz zaufanie do instytucji powołanych w celu zwalczania epidemii pojawiają się zresztą także w kilku innych stanowiskach, co pokazuje z jak dużą dozą sceptycyzmu objawiającego się w formie kontestujących rzeczywistość postaw społecznych mieliśmy do czynienia w okresie największego pandemicznego wzmocnienia.

Jedną z ważniejszych kwestii, która zajmowała uczonych, była sprawa związana z obszarem edukacji. Analizowano związki powrotu uczniów do szkół z możliwością ekspansji wirusa, wskazywano także na konieczność przygotowania się na okoliczność zaistnienia różnych scenariuszy. Sporo uwagi poświęcono zagadnieniu zagrożeń dla zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. Alarmowano, że wystawienie tychże grup na długotrwałe działanie stresu, będącego konsekwencją przymusowej izolacji, która oznaczała brak możliwości prawdziwego kontaktu z rówieśnikami i nauczycielami, wygeneruje w przyszłości wiele realnych problemów. Akcentowano fakt, że pandemia jest problemem społecznym i w związku z tym nad jego rozwiązaniem powinni wspólnie pracować zarówno eksperci

z wielu dziedzin nauki, jak i rząd, a także media. W opublikowanych stanowiskach znalazły się także passusy mówiące o potrzebie testowania, będącego – jak podkreślano – podstawowym narzędziem zwalczania epidemii. Nie zabrakło także wypowiedzi dotyczących spraw związanych ze szczepieniami. Waga, jaką to jedno z najważniejszych osiągnięć współczesnej medycyny ma do odegrania w sytuacji zagrożenia, podkreślana

była przez zespół wielokrotnie. Jednocześnie zwracano uwagę na potrzebę zarówno wzmocnienia służby zdrowia, jak i konieczność budowania profesjonalnych i niezależnych instytucji o charakterze eksperckim, które będą działać w obszarze zdrowia publicznego i którym zostanie zapewniony dostęp do niezbędnych danych. Inwestycje w nowoczesny system ochrony zdrowia stają się więc powinnością kadry zarządzającej, szczególnie, że jak podkreślają specjaliści, wystąpienie kolejnej pandemii jest tylko kwestią czasu i w związku z tym trzeba opracować skuteczne scenariusze, korzystając chociażby z doświadczeń nabytych w trakcie walki z COVID-19. Przygotowując swoje wystąpienia badacze nie zapomnieli o pewnych grupach mniejszościowych istniejących w naszym kraju, których epidemia koronawirusa w sposób szczególny dotknęła.

Chodzi tu o osoby z niepełnosprawnością, ludzi znajdujących się w domach opieki oraz uchodźców, migrantów i jednostki będące w kryzysie bezdomności. Wszyscy oni stanowią w sumie ponad 20% polskiego społeczeństwa i są, jak podkreślono, integralną jego częścią. Ich sytuacja, już na co dzień niezwykle złożona, stała się jeszcze trudniejsza w okresie pandemii, która nie tylko obnażyła istniejące słabości systemu wsparcia, ale także pokazała zupełnie nowe zagrożenia.

Wracając pamięcią do tak przecież nieodległych czasów, można wyraźnie zobaczyć, jak pandemia zmieniła świat wokół nas. O wielu odległych jej konsekwencjach dowiemy się zapewne dopiero po jakimś czasie. Przypomniane teksty są świadectwem okresu, który zaczął się nagle i spowodował wiele strat, których całości na dzień dzisiejszy oszacować nie sposób. Jako, iż przyszłość wciąż jest niepewna, można potraktować je jako rodzaj przestrogi i ostrzeżenia, że należy, po pierwsze, być przygotowanym na wszystko, po drugie zaś konieczne jest wyciąganie wniosków z minionych doświadczeń. Nikt przecież nie może zapewnić nas, że kolejne fale COVID-19 albo jakiegoś innego wirusa się nie pojawią i nie będą już stanowiły zagrożenia dla zdrowia i życia społeczeństw.

Aneta Zawadzka



Joanna Wolszczak-Derlacz, Anna Strzebońska, Magdalena Szufliita-Żurawska, Renata Mazurkiewicz

Korelacja ujemna

Publikacje w MDPI a wskaźnik sukcesu w grantach NCN

Im większy udział publikacji w MDPI, tym niższy wskaźnik sukcesu w konkursach NCN. Mimo że nie można w tym przypadku mówić o związku przyczynowo-skutkowym, to jednak tendencja jest wyraźna.

Publikowanie wyników badań naukowych w czasopiśmie wydawanym przez Multidisciplinary Digital Publishing Institute (MDPI) wzbudza w środowisku naukowym niemałe kontrowersje. Wiele miejsca poświęcono temu tematu również w mediach społecznościowych, m.in. na Facebooku, ResearchGate oraz Twitterze. Publikowanie w najbardziej kontrowersyjnych czasopiśmie, takich jak „Energies”, „Sustainability” czy „Materials”, gwarantuje, zgodnie z ministerialną listą czasopiśm, uzyskanie odpowiednio po 140, 100 i 140 punktów za jeden artykuł. Nie dziwi więc zainteresowanie naukowców współpracą z MDPI, w którym jednocześnie stosuje się szybki model publikacji (tzw. rapid publication). Trzeba również pamiętać, że jest to jeden z modeli publikacyjnych typu Open Access, w którym opłata, tzw. article processing charge (APC), wynosi 1000–2000 CHF (ok. 4570–9140 zł). MDPI wprowadza także różne mechanizmy promocyjne. Przykładowo można uzyskać zwolnienie z całości lub części opłaty publikacyjnej – co dotyczy zarówno instytucji, jak i osób indywidualnych – ponieważ za zrecenzowanie artykułu wydawnictwo oferuje kupon w wysokości 100 CHF z możliwością wykorzystania go do pokrycia APC. Wszystkie kupony się sumują, co zachęca naukowców do recenzji wielu artykułów. MDPI nie ma jednoznacznie złej renomy, a niektórzy badacze aktywnie bronią tego wydawnictwa. Warto podkreślić, szczególnie jeśli chodzi o dyscypliny STEM, że są tam czasopisma, które mają wysokie wskaźniki bibliometryczne (np. Impact Factor) i cieszą się dobrą opinią w środowisku akademickim. Model businessowy MDPI został szczegółowo opisany przez M.A. Oviedo-García (2021).

Narodowe Centrum Nauki wspiera realizację badań podstawowych w Polsce w trzech obszarach tematycznych: HS – nauki humanistyczne i o sztuce, NZ – nauki o życiu, ST – nauki ścisłe i techniczne. Wnioski składane w konkursach NCN oceniane są wyłącznie przez pryzmat ich doskonałości naukowej, osiągnięć naukowych kierownika, stopnia wykonania poprzednich projektów oraz możliwości realizacji danego projektu. W przypadku większości konkursów ocena jest dwuetapowa. Po zakończeniu oceny formalnej wniosków trafia do ekspertów, którzy decydują, czy zostanie on przekazany do recenzji zewnętrznej. Następnie na podstawie uzyskanej opinii, również w gronie ekspertów, podejmowana jest decyzja o przyznaniu lub zaniechaniu finansowania. Ustalana lista rankin-

gowa odpowiada rozmiarowi przeznaczonych na dany konkurs funduszy. Istotnym elementem oceny osiągnięć naukowych kierownika jest jakość publikacji naukowych. Zgodnie z rekomendacjami deklaracji San Francisco Declaration on Research Assessment (DORA), która zakłada, że podstawą oceny publikacji są kryteria merytoryczne, a nie ilościowe, której sygnatariuszem są podmioty finansujące naukę, w tym Narodowe Centrum Nauki, ewaluacja ma wyłącznie merytoryczny charakter, uwzględniający oryginalność badań oraz ich wpływ na rozwój danej dziedziny. Eksperti, oceniający doskonałość naukową projektów składanych w konkursach NCN, mają możliwość wglądu w dorobek naukowy kierownika projektu na każdym etapie oceny.

P. Korytkowski i E. Kulczycki (2021) przeprowadzili interesujące badania, które miały na celu ocenę udziału publikacji finansowanych przez NCN spełniających wymogi Planu S w ogólnej liczbie publikacji w latach 2014–2019. Wzięto pod uwagę 27 302 publikacje indeksowane w bazie Scopus, w których znalazły się podziękowania dla NCN. Uzyskane wyniki wskazują, że niemal jedna trzecia z nich nie spełniła wymogów Planu S, który zakłada obowiązek publikacji rezultatów badań finansowanych z publicznych i niepublicznych środków w tzw. otwartym dostępie (Open Access) w czasopiśmie, otwartych platformach lub repozytoriach, bez czasowego embarga. Należy zaznaczyć, że cOAlition S, skupiająca agencje oraz fundacje finansujące naukę, do której należy również Narodowe Centrum Nauki, została zawiązana we wrześniu 2018 r., natomiast Plan S, który jest inicjatywą tejże koalicji, zakładający wprowadzenie natychmiastowego otwartego dostępu do publikacji naukowych opisujących rezultaty badań naukowych, obowiązuje od 1 stycznia 2021 r. Stąd przytoczone powyżej wyniki mają wyłącznie charakter poglądowy i w żadnym razie nie odnoszą się do stopnia realizacji przyjętej regulacji. Jednocześnie, analizując problem publikacji w czasopiśmie MDPI, wzięto pod uwagę wskaźniki sukcesu w pozyskiwaniu finansowania z NCN z roku 2021, jako pierwszego roku obowiązywania Planu S, przyjmując założenie istnienia wcześniejszej tendencji do publikowania w otwartym dostępie.

Celem niniejszego opracowania jest odpowiedź na pytanie, czy istnieje związek pomiędzy liczbą publikacji w MDPI przypadającą na daną jednostkę naukową, a jej wskaźnikiem sukcesu (liczonym jako stosunek liczby wniosków zakwali-

fikowanych do finansowania do liczby wniosków złożonych, pomnożony przez 100) w konkursach NCN. W artykule prezentowane są wyniki zestawienia udziału procentowego publikacji MDPI w całkowitej liczbie publikacji danej jednostki naukowej z 2019 r., z jej wskaźnikiem sukcesu w pozyskiwaniu finansowania projektów badawczych w drodze konkursów ogłaszanych przez Narodowe Centrum Nauki, rozstrzygniętych w 2021 r.

Wskaźniki sukcesu w NCN

Przeanalizowałyśmy dane dotyczące dziesięciu uczelni badawczych w Polsce w latach 2011-2021. Średnie wskaźniki sukcesu dla ogółu wniosków krajowych mieszczą się pomiędzy 19% w roku 2014, a 38% w roku 2011, po roku 2020 zaś nieco powyżej 26%. Trend ten jest bardzo podobny dla poszczególnych grup nauk: HS (nauki humanistyczne i o sztuce), NZ (nauki o zdrowiu) i ST (nauki ścisłe i techniczne). Wahanie wartości wskaźników sukcesu w kolejnych latach mają związek z ilością środków przekazywanych przez Ministerstwo Edukacji i Nauki (wcześniej Ministerstwo Edukacji Narodowej oraz Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego), nie zaś ze specyfiką nauką wyróżnionych grup nauk. Stąd w dalszej części artykułu dane przedstawiamy bez uwzględnienia tego podziału.

Tabela 1 zawiera m.in. dane na temat liczby wniosków złożonych, zakwalifikowanych do finansowania oraz wskaźników sukcesu dla wszystkich konkursów krajowych łącznie rozstrzygniętych w 2021 r. w podziale na poszczególne uczelnie badawcze. Najwyższy wskaźnik sukcesu, czyli największą skuteczność w pozyskiwaniu finansowania projektów badawczych osiągnął Uniwersytet Warszawski (30%), najniższy zaś – Politechnika Śląska (16,5%).

Wyniki analizy danych

Do przeprowadzenia analizy wykorzystano dane CWTS Leiden należące do wyszczególnionych poniżej kategorii, uży-

skane w ramach projektu finansowanego przez RISIS2.EU: liczbę publikacji indeksowanych w WoS, cytowania w przeliczeniu na publikację, odsetek publikacji w 10% publikacji o największej liczbie cytowań, odsetek publikacji w Open Access, odsetek publikacji w MDPI.

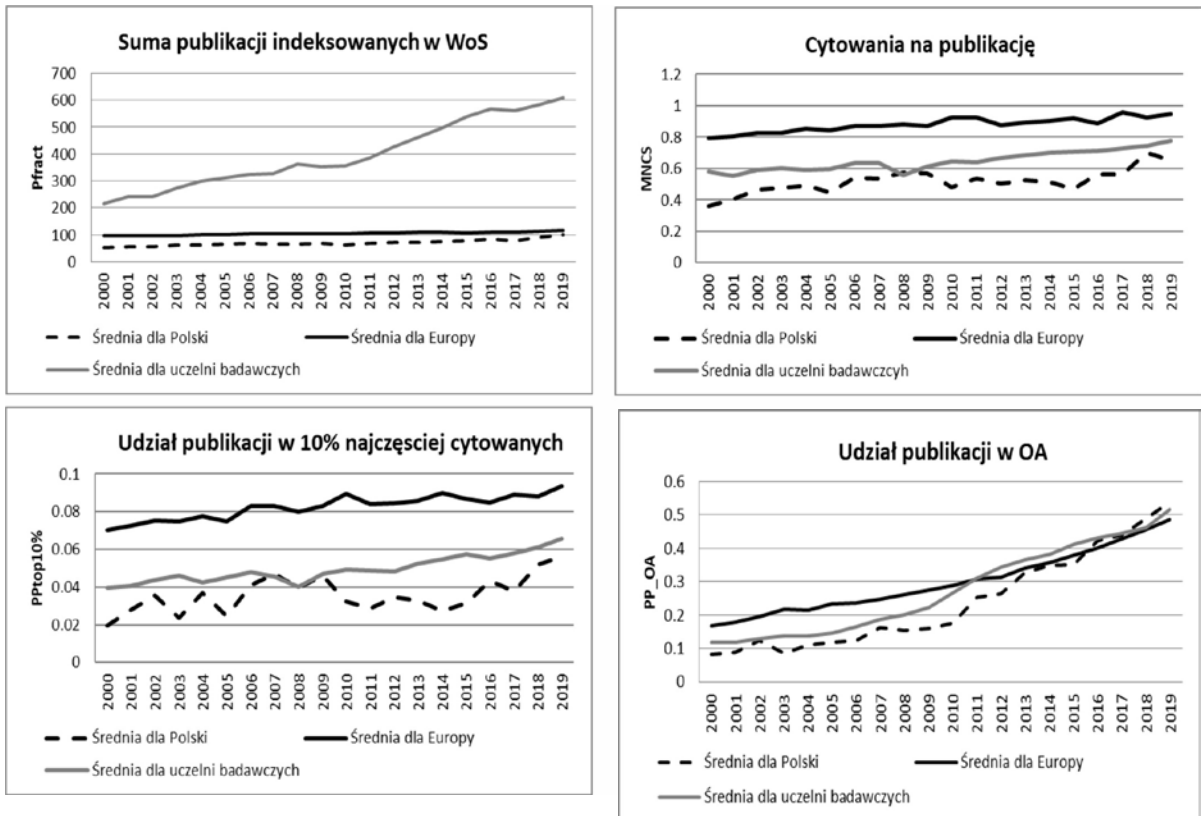
W grupie 35 krajowych jednostek naukowych (dokładna lista uczelni dostępna u autorów) znajduje się 10 wspomnianych uczelni badawczych oraz te o niższych wskaźnikach publikacyjnych. W całej Europie natomiast jest 3265 jednostek badawczych, charakteryzujących się różną intensyfikacją publikacyjną (uczelnie pochodzą z L, AT, BE, BG, CH, CY, CZ, DE, DK, EE, ES, FI, FR, GR, HR, HU, IE, IS, IT, LI, LT, LU, LV, MT, NL, NO, PL, PT, RO, RS, SE). Z analizy danych przedstawionych na wykresie 1 wynika, że średnia liczba publikacji przypadających na daną uczelnię jest najwyższa w uczelniach badawczych. Z kolei biorąc pod uwagę liczbę cytowań przypadających na jedną publikację, najwyższe wartości odnotowano dla średniej europejskiej, najniższe dla średniej z ogółu uczelni polskich, natomiast uczelnie badawcze mają wynik pośredni. Można zauważyć tendencję wzrostową udziału procentowego publikacji w Top 10% najlepszych publikacji, przy czym najwyższą średnią charakteryzują się uczelnie europejskie, uczelnie badawcze w Polsce mają podobny trend, lecz niższe średnie wartości wskaźnika, natomiast średnie wartości w poszczególnych latach dla polskich uczelni ogółem wykazują dość dużą zmienność. Od 2000 r. udział publikacji w Open Access dla trzech wyróżnionych grup systematycznie wzrasta. Dla wszystkich wyróżnionych grup wartości są zbliżone, przy czym dla uczelni badawczych wartość wskaźnika podniosła się z poziomu 10% w 2000 r. do 50% w 2019 r.

Wydawnictwa MDPI rozpoczęły działalność w 1996 r., jednak od 2013 r. wyraźnie ją zintensyfikowały. Na wykresie 2 przedstawiono udział publikacji wydawanych przez MDPI w ogólnej liczbie publikacji naukowych. Wzrasta on systematycznie z roku na rok, przy czym w latach 2016-2019 największy

Tabela 1. Wnioski złożone, zakwalifikowane do finansowania oraz wskaźnik sukcesu danej uczelni badawczej w Polsce w odniesieniu do konkursów krajowych NCN rozstrzygniętych w 2021 r. (kolumny B, C, D). Liczba przyznanych grantów w przeliczeniu na etaty naukowe w poszczególnych uczelniach (kolumna F). Udział publikacji w MDPI dla polskich uczelni badawczych w 2019 r. (kolumna G).

Jednostka	Liczba wniosków złożonych w konkursach rozstrzygniętych w 2021	Liczba wniosków zakwalifikowanych w konkursach rozstrzygniętych w 2021	Wskaźnik sukcesu w 2021	Stan zatrudnienia (etaty naukowe na 31.12.2021)	Liczba wniosków zakwalifikowanych w konkursach rozstrzygniętych w 2021/Stan zatrudnienia	Udział publikacji w MDPI
A	B	C	D	E	F	G
Uniwersytet Warszawski	719	216	30	3 151,32	0,069	0,047
Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	754	215	28,5	4 326,32	0,050	0,071
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	521	144	27,6	2 341,59	0,061	0,064
Uniwersytet Wrocławski	309	82	26,5	1 713,84	0,048	0,067
Politechnika Warszawska	193	49	25,4	1 743,84	0,028	0,096
Politechnika Gdańska	163	38	23,3	977,76	0,039	0,167
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	295	60	20,3	2 015,35	0,030	0,11
Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	288	55	19,1	2 053,89	0,027	0,076
Gdański Uniwersytet Medyczny	117	22	18,8	911,2	0,024	0,096
Politechnika Śląska	158	26	16,5	1 528,69	0,017	0,231

* Z wyłączeniem etatów w ramach stanowisk pracowników bibliotecznych i dokumentacji naukowej, pracowników dydaktycznych oraz pracowników innych lub grupę nieustaloną.



Wykres 1. Wskaźniki bibliometryczne – średnie wartości dla uczelni europejskich, uczelni z Polski oraz polskich uczelni badawczych w latach 2000-2019
Źródło: opracowanie własne na podstawie danych z CWTS Leiden

skok zanotowały polskie uczelnie ogółem oraz uczelnie badawcze. To tendencja charakterystyczna także dla europejskich jednostek naukowych, ale w tamtej grupie tempo przyrostu jest wolniejsze. W tabeli 1 przedstawiono udział procentowy publikacji MDPI w odniesieniu do dorobku publikacyjnego poszczególnych uczelni badawczych (kolumna G). Dane wskazują, że w 2019 r. naukowcy z Politechniki Śląskiej wydali 23% artykułów w MDPI, natomiast z Politechniki Gdańskiej około 17%. Na drugim biegunie znajdują się Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Uniwersytet Warszawski, z odpowiednio 6,4% i 4,7% tego typu publikacji.

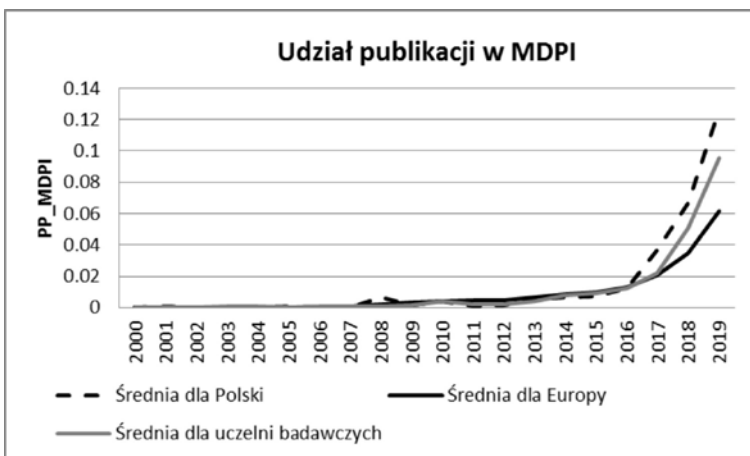
Wykres 3 przedstawia korelację pomiędzy udziałem publikacji w MDPI (oś x, dane z tabeli 1, kolumna G), a wskaźnikami sukcesu polskich uczelni badawczych w pozyskiwaniu finanso-

wania w drodze konkursów ogłaszanych przez NCN i rozstrzygniętych w 2021 r. (oś y, dane z tabeli 1, kolumna D). Z kolei wykres 4 przedstawia analogiczne dane, przy czym punktem odniesienia jest sukces grantowy uczelni badawczych uwzględniający liczbę zatrudnionych pracowników naukowych (liczba przyznanych grantów w przeliczeniu na liczbę etatów naukowych zadeklarowanych przez tę uczelnię na dzień 31.12.2021 r. – oś y, dane z tabeli 1, kolumna F) oraz udział publikacji w MDPI (oś x, dane z tabeli 1, kolumna G). Na obu wykresach widać, że im wyższy jest udział procentowy publikacji przypadający na daną uczelnię badawczą, tym niższy wskaźnik sukcesu w pozyskiwaniu grantów z NCN.

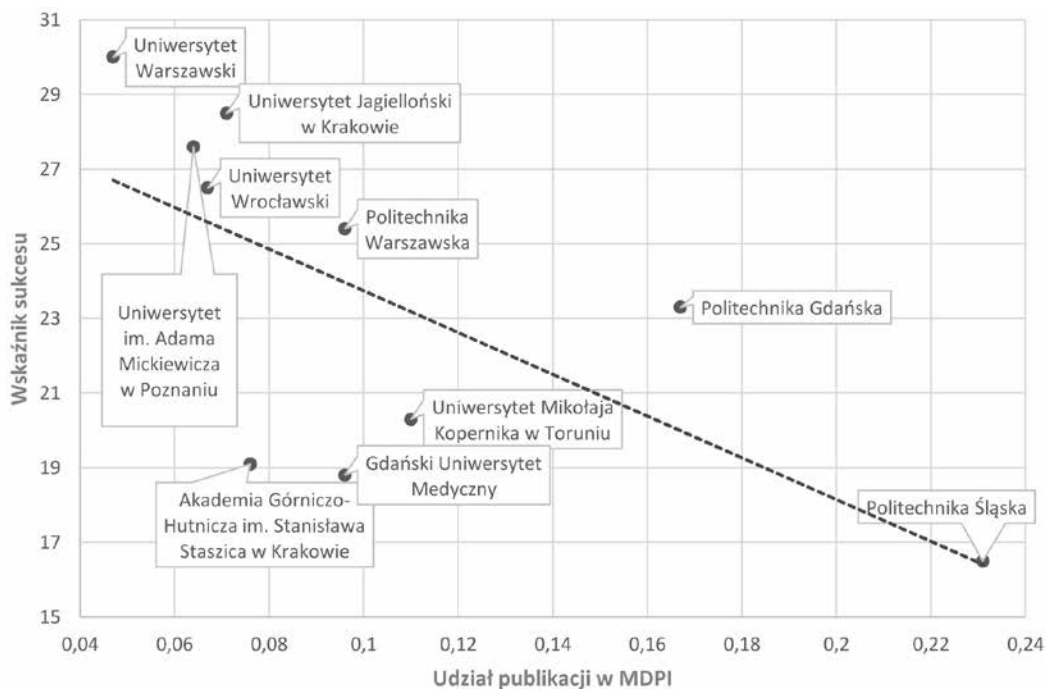
Eksperti NCN nisko oceniają MDPI

Poszukując odpowiedzi na postawione pytanie badawcze dotyczące związku pomiędzy udziałem procentowym publikacji w MDPI przypadającym na daną jednostkę naukową a wskaźnikiem sukcesu w pozyskiwaniu grantów z NCN, stwierdziłyśmy korelację ujemną. Wskazuje ona, że im wyższy jest udział publikacji w czasopiśmie wydawanych przez MDPI, tym niższe są wskaźniki sukcesu w skutecznym wnioskowaniu o finansowanie badań naukowych przez NCN. Można się tu pokusić o postawienie tezy, że eksperci NCN, którzy oceniają wnioski badawcze, biorąc pod uwagę m.in. jakość dorobku naukowego kierownika projektu, uznają publikacje w MDPI za teksty o niskiej wartości naukowej.

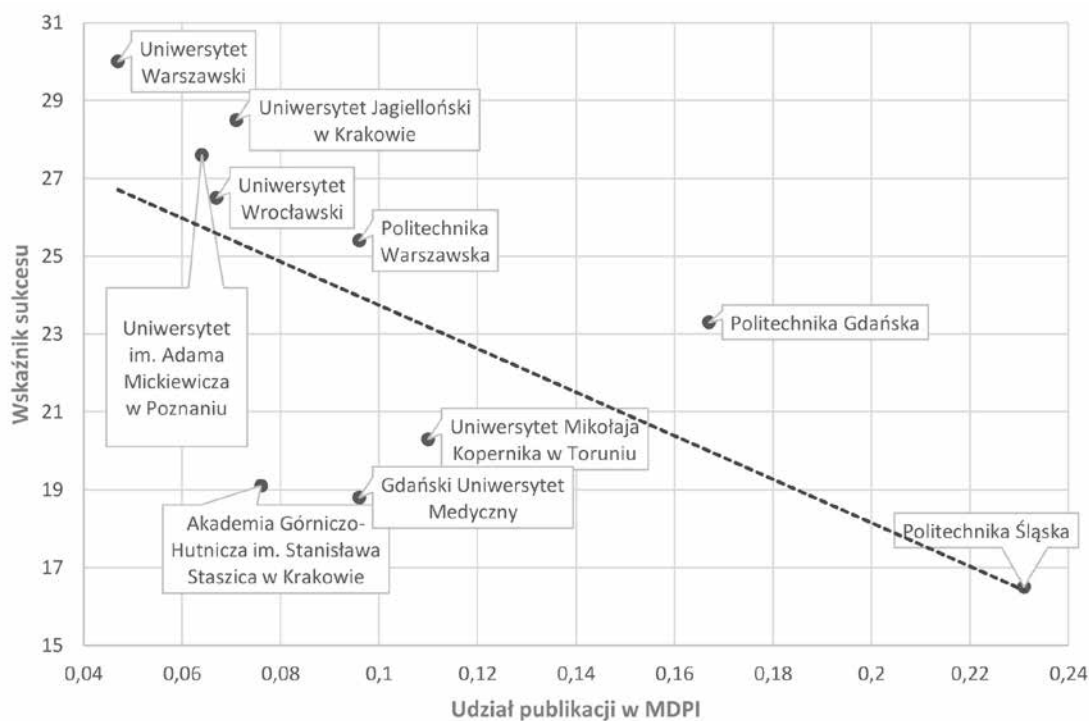
Przyjęcie do analizy danych dotyczących MDPI z 2019 r. było spowodowane nie tylko możliwością ich uzyskania, ale również założeniem, że publikowanie otrzymanych wyników badań naukowych poprzedza składanie wniosków do NCN. Dodatkowo należy zaznaczyć, że jest to analiza uproszczona, przeprowadzona jedynie dla uczelni badawczych, które osiągają jedne z najwyższych wskaźników sukcesu w NCN, a reprezentujący je naukowcy publikują w najbardziej prestiżowych cza-



Wykres 2. Udział publikacji w MDPI – średnie wartości dla uczelni europejskich, uczelni z Polski oraz polskich uczelni badawczych w latach 2000-2019
Źródło: opracowanie własne na podstawie danych z CWTS Leiden



Wykres 3. Wskaźniki sukcesu w pozyskiwaniu grantów z NCN w 2021 r., a udział procentowy publikacji MDPI przypadający na daną uczelnię badawczą w Polsce
Źródło: opracowanie własne na podstawie danych z CWTS Leiden, materiałów z NCN oraz MEiN



Wykres 4. Liczba przyznanych przez NCN grantów badawczych w 2021 r. w przeliczeniu na liczbę pracowników naukowych, a udział procentowy publikacji MDPI przypadający na daną uczelnię badawczą w Polsce
Źródło: opracowanie własne na podstawie danych z CWTS Leiden, materiałów z NCN oraz MEiN

sopismach. Analizę tę warto rozszerzyć o większą liczbę jednostek naukowych w Polsce.

Trzeba także podkreślić, że MDPI to jedna z grup wydawnictw o wątpliwej renomie. Podobną analizę należałoby przeprowadzić dla innych wydawców stosujących model biznesowy Open Access, takich jak: BioMed Central, Copernicus Publications, Dove Medical Press, Frontiers, Hindawi, Open Library of Humanities, PLOS.

Zawarte w artykule wnioski mogą być ważną wskazówką do opracowania właściwych strategii publikacyjnych przez gremia decyzyjne polskich jednostek naukowych.

*Dr hab. Joanna Wolszczak-Derlacz, prof. PG,
Politechnika Gdańska, Wydział Zarządzania i Ekonomii*

Magdalena Szufita-Żurawska, Biblioteka Politechniki Gdańskiej

Punktowa demoralizacja nauki

Powszechnie stosowane na świecie, ale z coraz większą rezerwą i świadomością wad, wskaźniki cytowań zostały u nas przetransponowane w mało przejrzysty i mocno kontrowersyjny sposób na punkty, czyniąc z nich instrumenty naukowej demoralizacji.

Niekwestionowany wpływ szkolnictwa wyższego na rozwój gospodarczy stał się impulsem do poszukiwań rozwiązań organizacyjnych, sposobu finansowania, systemów oceny i systemu zachęt, które w ogólnym zarysie powinny zwiększyć produktywność uczelni. W wyniku tego, jak piszą Marc Edwards i Siddhartha Roy, system zachęt i struktura nagród uległy w ostatnim półwieczu dramatycznym zmianom. Znacznie upowszechniły się mierniki ilościowe osiągnięć kosztem jakościowych. Uczelnie amerykańskie, ale również z innych krajów, przekształciły się w centra zysku, produkujące patenty i inne naukowe produkty. Zaczęto mówić o przemyśle wiedzy. Ten kierunek zmian zaczął jednak wzbudzać obawy u wielu naukowców, gdyż rodzi wątpliwości, że utrudnia realizację podstawowej misji, jaką jest „służba społeczeństwu”. Pogoń za produktywnością zmieniła drastycznie klimat i swobodę twórczą naukowców. Peter Higgs, laureat nagrody Nobla za odkrycie bozonu nazwanego jego imieniem, w rozmowie z Guardianem powiedział, że przypuszcza, iż żaden uniwersytet nie zatrudniłby go w dzisiejszym systemie akademickim, ponieważ nie byłby uważany za wystarczająco „produktywnego”. Higgs po opublikowaniu w 1964 roku swojej przełomowej pracy opublikował mniej niż 10 artykułów. Komentując przemiany, jakie zaszły na uczelniach, powiedział: „Trudno sobie wyobrazić, że kiedykolwiek miałbym dość ciszy i spokoju w obecnym klimacie, żeby zrobić to, co zrobiłem w 1964 roku”.

System przewrotnych zachęt

Wzrost oczekiwań w zakresie produktywności naukowej uczonych zaowocował upowszechnieniem się na świecie ilościowych mierników efektywności, takich jak wskaźnik cytowań IF (impact factor), obliczany na podstawie danych z bazy Web of Science, czy CiteScore, obliczany na podstawie bazy Scopus. Obecność czasopisma w tych bazach jest już wyznacznikiem wysokiego poziomu naukowego, gdyż przed włączeniem do bazy poddawane są ostrej selekcji. Powyższe wskaźniki są dominującymi kryteriami przy wynagradzaniu, awansowaniu, nadawaniu stopni i finansowaniu. Są



Źródło: doktoraty.pl

również podstawą oceny jakości uczelni. Popularność tych mierników ma swoje źródło we wzroście konkurencyjnych źródeł finansowania uczelni. I jakkolwiek ich popularność na świecie jest bardzo duża, to widoczna jest również narastająca krytyka oraz tendencje do pomniejszania ich znaczenia. Zdaniem krytyków, mierniki te są podatne na manipulację, przez co mogą być mylące i przynosić efekty odmienne od zamierzonego. Są skoncentrowane na naukowcach i ich nagradzaniu, a to nie jest to samo, co osiągnięcie celu, jakim są społecznie istotne i wpływowe wyniki badań. Produkują „zajętych” naukowców publikujących krótsze i mniej treściwe artykuły. Nadmierne skupianie się na miernikach ilościowych sprzyja tworzeniu systemu, który jest „wypaczeniem doboru naturalnego”, gdyż odsiewa etycznych i altruistycznych aktorów, a sprzyja tym, którzy komfortowo czują się w systemie przewrotnych zachęt. W związku z dostrzeganiem słabości mierników ilościowych 2559 organizacji i 19 250 osób (wg stanu na dzień 06.06.2022) podpisało deklarację DORA (San Francisco Declaration of Research Assessment), w której sygnatariusze, widząc potrzebę poprawy „sposobów oceny wyników badań naukowych”, wzywają do kwestionowania praktyki wykorzystywania mierników, szczególnie IF. Wydawcy „Nature” i innych czasopism wzywają do bagatelizowania IF, a Amerykańskie Towarzystwo Mikrobiologiczne ogłasza plan usunięcia go ze wszystkich swoich czasopism. W wywiadzie dla „Nature” Claude Cani-

zares, wiceprezes ds. badań w Massachusetts Institute of Technology w Cambridge, powiedział: „Przywiązujemy bardzo małą wagę, prawie zero, do wskaźników cytowań i liczby publikacji”. Nie negował jednak całkowicie ich użyteczności w ocenie naukowców.

Także w Polsce rola mierników ilościowych, szczególnie IF i CiteScore, istotnie wzrosła w ostatnich latach. Wprowadzona przez minister Barbarę Kudrycką punktacja czasopism miała na celu wartościowanie publikacji naukowych w zależności od sposobu i miejsca publikacji. W związku z tym, że najwyższe punktowane były czasopisma posiadające IF, a więc najczęściej angielskojęzyczne czasopisma zagraniczne, stało się to silnym bodźcem do podniesienia poziomu i umiędzynarodowienia publikacji naukowych. W dyscyplinach ekonomicznych, które wcześniej publikowały głównie w języku polskim, wywarło to niezaprzeczalnie pozytywny wpływ na umiędzynarodowienie i jakość badań. Jednak od samego początku przydzielanie punktów za konkretne publikacje rodziło kontrowersje, np. 15 pkt można było dostać zarówno za artykuł w materiałach konferencyjnych, jak i w czasopiśmie z IF. Wprowadzona punktacja czasopism opierała się na innych kontrolowanych miarach i nie była to zależność deterministyczna. Czyli kontrowersyjne miary IF i CiteScore w kontrowersyjny sposób transponowano na punkty, potęgując kontrowersje, a nawet czyniąc z punktów miary całkowicie oderwane od jakości naukowej publikacji.



Śmieci wchodzą, śmieci wychodzą

Kolejne edycje listy czasopism punktowanych pogłębiały te kontrowersje, ale ostatnia reforma i wprowadzone zasady punktacji doprowadziły ją do absurdu. Powołana z wielkim rozmachem Komisja Ewaluacji Nauki w pierwszym etapie przydzielała punkty na podstawie algorytmu wykorzystującego dwa wskaźniki bibliometryczne (CiteScore i IF), a następnie zespoły doradcze proponowały korekty. Już w pierwszym etapie zespoły doradcze zaproponowały 7917 zmian, a Komisja zaakceptowała 85%, co na samym wstępie oderwało punkty od wskaźników bibliometrycznych. Rozpoczął się proces lobbowania poszczególnych środowisk za podwyższeniem punktów lub wprowadzeniem na listę czasopism popularnych w środowisku, bez względu na ich jakość czy wskaźniki bibliometryczne. W efekcie doszło do ośmieszających punktację przykładów: np. za artykuł w czasopiśmie „European Research Studies Journal” można dostać 100 pkt w sześciostopniowej punktacji od 20 do 200, mimo że czasopismo zostało w 2018 roku usunięte z bazy Scopus ze względu na zastrzeżenia do procesu publikacyjnego (ostatni SciteScore w 2017), a w bazie Web of Science nigdy nie było indeksowane. Podobnie za opublikowanie komunikatu w materiałach konferencyjnych IBIMA (bez IF i SciteScore) można dostać 70 pkt. Zdumiewające jest jednak to, że mimo, iż tego typu przykłady, ewidentnie podważające sens punktacji, które spotkały się z publiczną krytyką (np. Marka Wrońskiego, który podaje więcej równie drastycznych przykładów, czy Edwarda Radosińskiego), Komisja Ewaluacji Nauki ich nie skorygowała, chociaż lista była wielokrotnie aktualizowana.

Powyższe przykłady należą do drastycznych, ale na liście znajduje się wiele może mniej drastycznych, lecz przez swoją powszechność czyniących punkty nieużyteczną miarą jakości publikacji. Na przykład trudno znaleźć racjonalne wytłumaczenie, dlaczego dwa czasopisma tego samego wydawcy (Taylor & Francis), klasyfikowane w tej samej dyscyplinie – „Baltic Journal of Economics” i „Journal of Baltic Studies” – mają tak różną liczbę punktów i to odwrotnie do wartości wskaźników bibliometrycznych. „Journal of Baltic Studies” ma 100 pkt przy IF 0,447 i CiteScor 0,9, a „Baltic Journal of Economics” tylko 40 pkt mimo dużo wyższego IF (2,150) i CiteScor (2,4). Wprowadzenie punktacji sugeruje odległość, jaka dzieli oba czasopisma w jakości publikacji. Autor publikujący w „Baltic Journal of Economics” musi opublikować 2,5 artykułu, aby dorównać autorowi publikującemu w „Journal of Baltic Studies” w rankingach czy ocenach jego dorobku. I nie są to najbardziej drastyczne przykłady.

Dodajmy do tego wprowadzone ustawą sloty, czyli dzielenie punktów, pierwiastkowanie udziałów w publikacjach itd., co przewodniczący Rady Doskonałości Naukowej, prof. Grzegorz Węgrzyn nazywa kolejnym poziomem absurdu, a fakt, że w okresie ewaluacji uczelni wprowadzono dwie skale punktacji, czyli artykuły w tym samym czasopiśmie, ale opublikowane w 2018, mają mniej punktów niż opublikowane w 2019, nazywa największym kuriozum, którego nie ma ochoty komentować. Nasuwa to tylko skojarzenie z zasadą informatyczną, która mówi, że jeżeli śmieci wejdą, to śmieci wyjdą. Ma to kolosalne znaczenie. Punkty zdobyte przez naukowca mają wpływ na jego ocenę, dostęp do finansowania itp., ale także na ocenę uczelni. Uczelnie, walcząc o punkty, zachęcają i wywierają presję na pracownikach na ich zdobywanie. Także w skali makro przynosi to negatywne skutki dla społeczeństwa. Zły system oceny jakości badań ogniskuje aktywność naukowców wokół mierzonych rezultatów zgodnie z zasadą „what gets measured, gets done” ze szkodą dla

nauki i efektywności wydanych na nią funduszy. Doświadczenia ostatnich lat pokazały ogromną skłonność naukowców do przystosowywania się do implementowanych systemów miar. Po opublikowaniu w 2019 r. listy czasopism punktowanych nastąpiła eksplozja publikacji polskich autorów w materiałach konferencyjnych IBIMA (2127 artykułów), co kosztowało, wg szacunków prof. Edwarda Radosińskiego, około 2,5 mln zł i przyniosło niemal 150 tys. punktów. W „European Research Studies Journal”, po przyznaniu mu 100 pkt., publikacje polskich autorów, wg szacunków Marka Wrońskiego, stanowią powyżej 90%. „Energies” (wydawca MDPI), ze względu na dużą liczbę punktów (140 przy IF 3,00) oraz relatywną łatwość publikowania, stało się wiodącym czasopismem polskiej ekonomii, mimo iż ani w Web of Science, ani w Scopusie nie jest klasyfikowane w naukach ekonomicznych. Oznacza to, że prawo Goodharta, mówiące, że jeżeli miara staje się celem, przestaje być dobrą miarą, zadziałało z brutalną siłą.

Pogłębianie patologii

Mimo tak wielu zastrzeżeń i kontrowersji, punktacja czasopism przeniknęła do uczelni i stała się częścią systemów motywacyjnych i kryteriów oceny pracowników. Pouczające i zdumiewające jest, jak szybko i bezrefleksyjnie uczelnie włączyły punktację do swoich systemów oceny, nagradzania i motywowania pracowników, ustalając np. minimalne limity punktów do zdobycia czy tworząc systemy nagród. Punkty zagościły także w języku akademickim, będąc obiektem licytacji i dumy w dyskusji, kto i za ile punktów publikuje. Przykład punktacji pokazuje, jakie zagrożenie tworzy biurokratyczno-parametryczne zarządzanie nauką, w którym zastosowanie przewrotnego parametru kieruje aktywność na niewłaściwe tory, przynosząc efekty odmienne od zamierzonych, a nawet mające znamiona naukowej korupcji. Popycha naukowców do publikowania tandetnych i niepowtarzalnych badań naukowych przy wysokich kosztach finansowych dla społeczeństwa, podkopując zaufanie do nauki i naukowców. Pierwsi ulegną ci, którzy komfortowo czują się w systemie przewrotnych zachęt, ale przy silnych zachętach ulegną również etyczni, zgodnie z modelem progowych zachowań zbiornych Granovettera.

Jak widzimy, powszechnie stosowane na świecie, ale z coraz większą rezerwą i świadomością wad, wskaźniki cytowań zostały u nas przetransponowane w mało przejrzysty i mocno kontrowersyjny sposób na punkty, czyniąc z nich instrumenty naukowej demoralizacji. Poszukiwanie najlepszych sposobów mierzenia jakości badań jest tendencją ogólnowiatową, jednak narodowe instytucje zarządzające nauką, bazując na własnych doświadczeniach, starają się doskonalic własne systemy oceny osiągnięć akademickich. Na przykład Australijska Rada ds. Badań Naukowych w ramach inicjatywy Excellence in Research for Australia w 2010 roku stworzyła listę 22 tys. akceptowalnych czasopism, które poklasyfikowała na cztery kategorie: A*, A, B, C. Jednak po otrzymaniu informacji zwrotnych usunęła rankingi, pozostawiając tylko listę, a Kim Carr, minister ds. innowacji, przemysłu, nauki i badań, stwierdził, że istnieją dowody na to, iż rankingi zostały użyte „niewłaściwie”, w sposób, który może przynieść „szkodliwe skutki”. W Polsce niepokojące jest to, że nie widać tendencji do usuwania błędnych rozwiązań, a wprost przeciwnie, wydaje się, że każda nowa zmiana pogłębia patologię punktacyjną czasopism naukowych.

Prof. dr hab. inż. Tadeusz Dudyc, Wydział Zarządzania, Politechnika Wroclawska

Marek Wroński

Uniwersytet Zielonogórski od 3 lat „wyjaśnia” plagiat

Działania kamuflujące plagiatowanie oraz ewidentne podjęcie próby świadomego oszustwa badawczego wykluczają uczestnictwo tej osoby w społeczności akademickiej, gdzie standardy etyczne są bardzo wysokie, a plagiat jest jednym z najcięższych wykroczeń intelektualnych przeciwko etyce akademickiej.

Historia ta zaczęła się trzy lata temu na Uniwersytecie Zielonogórskim. Jest ona niepojęta nawet dla mnie, osoby, która przez ostatnie 25 lat aktywnie interesuje się patologią nauki w Polsce. Znam dziesiątki przypadków z tego zakresu, które u wielu osób wywołują niedowierzenie, że tak nierzetelnie można pisać prace naukowe. Poniższy tekst składa się z wycieczki wielu przepisanych prac. Jest to zrobione celowo, aby z jednej strony przedstawić rzadko spotykany wysiłek dwóch recenzentek, włożony w ukazanie poważnej nierzetelności naukowej (plagiatu), a z drugiej strony ukazać beczynność lokalnego środowiska akademickiego wobec skandalicznego naruszenia dobrych praktyk akademickich.

List do rektora UZ

Czternastego maja 2019 r. prof. Marcin Cieński (literaturoznawca okresu oświecenia), który był wtedy dziekanem Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego, skierował list do ówczesnego rektora UZ, prof. dr. hab. inż. Tadeusza Kuczyńskiego (specjalisty budownictwa rolniczego), w którym poinformował, że 16 kwietnia Rada Wydziału Filologii odmówiła nadania dr Annie Kuzio stopnia doktora habilitowanego w dyscyplinie językoznawstwo (anglistyka) z powodu „naruszenia zasad etycznych w zakresie publikowania wyników badań polegającym na wielokrotnym posłużeniu się tekstami autorstwa innych osób w sposób niedozwolony, noszący znamiona plagiatu”. Do listu załączył dwa dokumenty: uchwałę RW oraz 13-stronicowy protokół z posiedzenia komisji habilitacyjnej, który przedstawiał olbrzymią skalę zapożyczeń habilitantki.

Rektor Kuczyński kopię pisma od razu przekazał ówczesnemu dziekanowi Wydziału Humanistycznego, dr. hab. Jarosławowi Dudkowi, prof. UZ (historyk mediewista, bizantynista). Ten w końcu maja 2019 r. zwołał naradę z osobami, które w trakcie wdrażania nowej ustawy o szkolnictwie wyższym miały w jego przekonaniu prawo do pełnej informacji o sprawie plagiatu. Była to przewodnicząca rady dyscypliny językoznawstwa, dr hab. Marzanna Uzdzińska, prof. UZ z Instytutu Polonistyki (pełni tę funkcję do dzisiaj) oraz ówczesna dyrektorka Instytutu Neofilologii dr hab. Małgorzata Łuczyk, prof. UZ

(dzisiaj dziekan Wydziału Humanistycznego). To w jej instytucie, w Zakładzie Anglistyki (kierownik: dr Mariusz Kruk) była zatrudniona w charakterze adiunkta dr Anna Kuzio.

Dziekan Dudek poinformował ich, że wystąpił do ówczesnego rzecznika dyscyplinarnego, prof. dr hab. Małgorzaty Mikołajczak (kierownik Zakładu Literaturoznawstwa UZ) o wszczęcie dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego. W związku ze skalą zarzutów, które postawiono w przewodzie habilitacyjnym dr Kuzio, odsunął ją od prowadzenia seminarium licencjackiego i magisterskiego aż do czasu wyjaśnienia sprawy. Prof. Mikołajczak postępowanie wyjaśniające wszczęła z urzędu dopiero 26 lipca 2019 r. Z dniem 30 września tegoż roku zrezygnowała ze stanowiska, gdyż wybrano ją do Rady Uczelni UZ.

Komisja Habilitacyjna

Studia magisterskie z zakresu filologii angielskiej (językoznawstwo) dr Anna Kuzio skończyła na Uniwersytecie Wrocławskim w 2008 r., uzyskując dyplom na podstawie pracy magisterskiej *Sociopragmatic Aspects of Translation: A Socio-Pragmatic Comparative Study of Translation in English, Polish and Russian*. Liczącą 76 stron pracę opublikowała w sierpniu 2012 r. w wydawnictwie Lambert Academic Publishing z siedzibą w Mołdawii. Można ją kupić, płacąc ok. 60–67 dolarów. Ten wydawca, aczkolwiek raczej nie jest na listach tzw. drapieżnych wydawnictw, znany jest z tego, że proponuje via mass mailing autorom prac doktorskich czy magisterskich druk w postaci książkowej – w wersji tekstowej dostarczonej przez autora – z reguły bez redakcji i recenzji. Firma nie pobiera od autorów żadnych opłat, zaś drukowane on demand pozycje są sprzedawane poprzez Amazon i kilka innych księgarni internetowych. Stąd, mimo szumnej nazwy, jest to raczej „drukarnia”, a nie akademickie wydawnictwo.

Następnie A. Kuzio ukończyła 3-letnie studia doktoranckie na Wydziale Anglistyki UAM, broniąc w listopadzie 2011 r. dysertacji z zakresu językoznawstwa pt. *Exploitation of Schemata in Persuasive and Manipulative Discourse in English, Polish and Russian texts*, której promotorem był prof. dr hab. Anato-

lij Dorodnych. Od 2012 r. została zatrudniona jako adiunkt w Zakładzie Anglistyki Instytutu Neofilologii UZ. Doktorat opublikowała drukiem w 2014 r. w brytyjskim wydawnictwie Cambridge Scholars Publishing (dziś nie ma ono nic wspólnego z Cambridge University, w którym kiedyś pracowali jego pierwsi właściciele), mającym różne opinie i czasami uważanym za „drapieżne”. Jego siedziba mieści się w Newcastle upon Tyne. Sposób druku i sprzedaży bardzo podobny do działania wcześniej wspomnianego LAP.

Pod koniec maja 2018 r. dr Kuzio złożyła wniosek o przeprowadzenie postępowania habilitacyjnego w dziedzinie nauk humanistycznych, w dyscyplinie językoznawstwo, na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Jako tytuł osiągnięcia habilitacyjnego podała cykl publikacji poświęcony perswazji, manipulacji i kłamstwu w języku, na który składała się monografia *Cross-cultural Deception in Polish and American English in Computer-Mediated Communication* (Cambridge Scholars Publishing, 2018) oraz dziewięć innych publikacji.

Komisja habilitacyjna została powołana w listopadzie 2018 r., a weszli do niej: prof. Wojciech Chlebda z Instytutu Sławiastyki Uniwersytetu Opolskiego jako przewodniczący, jako sekretarz – dr hab. Krzysztof Migdalski, prof. UW r. z Instytutu Anglistyki UW r., jako członkowie: dr hab. Katarzyna Kłosińska, prof. UW z Instytutu Języka Polskiego UW oraz prof. dr hab. Tadeusz Piotrowski z Instytutu Anglistyki UW r. Recenzentami przewodu habilitacyjnego zostali: dr hab. Maria Jodłowiec z Zakładu Pragmatyki Językoznawczej i Teorii Tłumaczenia Instytutu Filologii Angielskiej UJ, dr hab. Joanna Nijkowska, prof. UŁ z Zakładu Pragmatyki Językowej Instytutu Anglistyki Uniwersytetu Łódzkiego oraz dr hab. Bożena Rozwadowska, prof. UW r. z Zakładu Językoznawstwa Angielskiego i Porównawczego UW r.

Recenzja I pozytywna: Wartościowy tekst

Pierwszą recenzję przysłała 11 stycznia 2019 r. J. Nijkowska. Jej treść skupiona była częściowo na niedostatkach i uszczerbkach autorereferatu, któremu recenzentka zarzuciła „brak spójności, precyzji i rzetelności w dokumentacji wniosku (zał. 2 i 3a) o wszczęcie przewodu habilitacyjnego”, jak również „liczne błędy i usterki językowe”. Monografię habilitacyjną oceniła jednak wysoko, pisząc: „Walorem tej pracy, poza wymiarem praktycznym, jest dogłębność i szczerogłowość dyskusji teoretycznej oraz metodologia badań, zwłaszcza złożony, wieloetapowy i wielowarstwowy projekt badania oraz sposób analizy danych, co pozwoliło na zweryfikowanie szeregu hipotez i zaproponowanie zintegrowanego modelu oszustwa/kłamstwa językowego w międzykulturowej komunikacji za pomocą komputera”.

Oceniając dorobek w postaci dziewięciu publikacji, recenzentka wytknęła, że dwie z nich zostały wydrukowane w tzw. „czasopismach drapieżnych” („International Journal of Language, Literature and Culture” oraz „International Journal of Language & Literature”), którym zarzuca się powierzchowność recenzji, słabą radę redakcyjną i niski współczynnik odrzuconych maszynopisów. Oceniała jednak wysoko tekstową zawartość tych publikacji pod względem metod badawczych, techniki zbierania danych oraz oceny statystycznej. Podkreśliła sprawność habilitantki w poruszaniu się po obszarze badawczym, konsekwencję w konstrukcji badań, wzorowy sposób doboru i wielkości próby badawczej oraz wysoką jakość statystycznej analizy danych. Minusem publikacji był ich druk w lokalnych i krajowych wydawnictwach. Podsumowując, recenzentka uznała, że osiągnięcia naukowe dr Anny Kuzio stanowią istotny wkład w rozwój wiedzy i badań nad perswazją i manipulacją w komunikacji językowej za pomocą kłamstwa.

Recenzja II negatywna: Patchworkowy plagiat

Oceniając monografię habilitacyjną *Cross-Cultural Deception in Polish and American English in Computer-Mediated Communication*, dr hab. Maria Jodłowiec z Instytutu Filologii Angielskiej UJ napisała, że 434-stronicowa książka składa się z 9 rozdziałów plus Wstęp i Podsumowanie oraz posiada wykaz rycin i bibliografię. Sześć początkowych rozdziałów stanowi podbudowę teoretyczną do badań omawianych w dalszych trzech rozdziałach. Mają one charakter sprawozdawczy i pełno w nich wątków pobocznych. Rozdział I porusza zagadnienie komunikacji międzyludzkiej. Recenzentkę zdziwiło, że w jego treści jest omawiany szereg podstawowych terminów, co jest domeną prac magisterskich i doktorskich. Jak mi napisała w prywatnym liście: „Natrafiłam na termin (assimilationist perspective – MW), który był mi mało znany i postanowiłam doczytać na ten temat w jakiejś relewantnej publikacji, stąd sięgnęłam do bazy Google Scholar. Znalazłam tam tekst na interesujący mnie temat, ale treść i forma okazały się podejrzanie zbliżone do tekstu monografii, który miałam przed oczami. Od tego momentu zaczęłam sprawdzać w podobny sposób inne «techniczne» wyrażenia i raz za razem trafiłam na teksty dostępne w internecie, które we fragmentach były bardzo podobne do passusów recenzowanej przeze mnie monografii”.

Okazało się, że rozdział I pod względem formy i treści jest zbieżny z rozdziałem doktoratu dr. Abdullaha Y. Samaraha *Pragmatics and cultural interpretation in spoken Arabic: Feedback as a discourse phenomenon*, obronionego w sierpniu 2006 r. w Instytucie Studiów Arabistyki i Islamu Uniwersytetu w Exeter w Anglii. Autor jest obecnie adiunktem w Jeddah College of Advertising w Arabii Saudyjskiej. Prof. M. Jodłowiec w swojej recenzji przytacza cztery fragmenty książki dr Kuzio i odpowiednio fragmenty z angielskiego doktoratu.

Rozdział II poświęcony jest zagadnieniom kultury i komunikacji i zdaniem recenzentki „opiera się” częściowo na pracy doktorskiej *Intercultural communication. A comparative study of Japanese and South African work practice*, obronionej przez Paulene Naidoo w 2011 r. na Uniwersytecie Zululand, w Południowej Afryce. Dzisiaj pracuje ona jako starszy wykładowca na Politechnice w Durbanie. Prof. Jodłowiec przedstawiła cztery przykłady zapożyczeń, które ilustrują modus operandi habilitantki. Druga część rozdziału jest z kolei „oparta” na doktoracie Williama Bakera pt. *Intercultural awareness and intercultural communication through English: An investigation of Thai English language users in higher education*, obronionym w lipcu 2009 r. na Uniwersytecie Southampton, w Anglii. Recenzentka przytoczyła tylko jeden fragment, który jest „lustrzanym odbiciem” tekstu z tej dysertacji, komentując, że „dr Kuzio obficie czerpie ze wspomnianej pracy”. Dr Will Baker jest teraz profesorem uczelnianym (associated professor) i dyrektorem Centre of Global Englishes Southampton University.

Jak dalej objaśnia prof. Jodłowiec, rozdział III, poświęcony kłamstwu i oszustwu, wykorzystuje dwie dysertacje: pierwsza to *Toward a theoretical construct of the factors of deceptive communications*, obroniona w 2000 r. na Uniwersytecie Oklahoma przez Juliann Christine Scholl. Jej autorka była w latach 2002-2013 r. profesorem zwyczajnym (tenured) w Katedrze Badań Komunikowania Texas Tech University w Lubbock (USA), a obecnie pracuje jako ekspert w rządowej agencji – Narodowym Instytucie Bezpieczeństwa i Zdrowia (National Institute for Occupational Safety and Health), który wchodzi w skład Centrum Kontroli Chorób w Atlancie (Center for Disease Control). Druga wykorzystana dysertacja to *Misleading in social decision-making: A motivational approach*, obroniona w 2004 r. w Instytucie Badań Psychologicznych Wydziału Nauk Społecznych i Behawioralnych Uniwersytetu w Amsterdamie przez

Wolfanga Steinera, obecnego adiunkta Instytutu Psychologii Uniwersytetu w Lejdzie (Holandia).

Recenzentka informuje, że rozdział IV, dotyczący wykrywania fałszu, wykorzystuje treści zawarte w doktoracie *High-stakes, real-word deception: An examination of the process of deception and deception detection using linguistic-based cues*, obronionym w maju 2008 r. przez Christie M. Fuller w dyscyplinie nauk o zarządzaniu i systemach informatycznych na Oklahoma State University w Stillwater (USA). Dr Fuller jest obecnie profesorem uczelnianym na Boise State University (Idaho), gdzie zajmuje się analityką biznesu, bazami danych oraz bezpieczeństwem informacji.

Kilka dalszych stron tekstu w habilitacji dr Kuzio jest „pożyczone” z pracy magisterskiej z zakresu kryminologii: *Detecting deception in second-language speakers* Cayli S. Da Silva, obronionej w kwietniu 2011 r. w Instytucie Technologicznym Wydziału Nauk Społecznych i Humanistycznych Uniwersytetu Ontario w Kanadzie. „Pożyczka” nie ominęła rozdziału autorstwa prof. Paula J. Taylora i kolegów (Lancaster University, w Anglii) pt. *Cross-cultural deception detection*, zamieszczonego w książce *Detecting Deception: Current Challenges and Cognitive Approaches*, wydanej w 2014 r. przez Wydawnictwo Wiley pod redakcją prof. Pára Andersa Granhaga.

Rozdział V, ukazujący problem kłamstwa w kontaktach za pomocą komputera, swoją zawartość zawdzięcza fragmentom doktoratu Simona Jamesa Placksa *Interpersonal deceit and lie-detection using computer-mediated communication*, obronionego w 2003 r. na Uniwersytecie w Durham (Anglia). Autor jest obecnie dyrektorem zarządzającym londyńskiej firmy Ankura Data and Technology. Swoją wkład ma też mgr Nicole Lori Muscanell, bowiem akapity pochodzące z jej pracy dyplomowej z psychologii pt. *Computer-mediated persuasion: Emotions as a proxy for non-verbal behavior*, obronionej w 2009 r. na Uniwersytecie Alabamy w Tuscaloosa (USA), znalazły się na stronach rozdziału pracy dr Kuzio.

Rozdział VI, dotyczący językowych i poznawczych wskazówek w oszukiwaniu komunikacji, wspomagany jest dwoma pracami magisterskim: Moniki Dziubinski *Deception detection in a computer-mediated environment: Gender, trust and training issue*, obronionej w marcu 2003 r. w Air Force Institute of Technology w Ohio, oraz pracą Caroline Amie Connell *Linguistic cues to deception*, obronionej w kwietniu 2012 r. na Politechnice Virginii (Virginia Tech) w Blacksburgu. Recenzentka pokazała jej fragment i porównała z odpowiednim tekstem dr Kuzio. Każdy zobaczy uderzające podobieństwo, mimo prób nieudolnej parafrazy, polegającej na podmianie jednego czy kilku wyrazów w przepisywanym akapicie, oczywiście bez powołania się na rzeczywistą autorkę.

Kończąc omawianie teoretycznej części książki dr Kuzio, prof. M. Jodłowiec podkreśliła, że jest to kompilacja „treści mniej lub więcej związanych z tematem wiodącym, co daje poczucie chaosu kompozycyjnego”, a część rozdziałów i podrozdziałów pełni funkcje „wypełniaczy”. Jej zdaniem, rzuca się w oczy brak krytycznego omówienia kluczowych zagadnień i poglądów oraz brak polemiki z innymi badaczami, co jest konsekwencją metodyki pracy polegającej „na zestawieniu na nowo” treści przedstawionych w innych pracach. Pozbawiło to tekst monografii zwartości (abstrahując od przejętych i przepisanych tekstów, stanowiących znaczną większość dzieła – MW).

Badania własne nie są własne

Przystępując do omówienia części empirycznej, recenzentka stwierdziła, że miała nadzieję, iż część badawcza będzie lepiej napisana, bez zapożyczeń z innych prac. Niestety przypadkowo odkryła, że cztery pytania badawcze pochodzą z pracy magi-

sterskiej Brenta Loagana Lainga pt. *The language and cross-cultural perceptions of deception*, 2015 (Brigham Young University w Provo w stanie Utah). Kolejne trzy „przyplątały się” z doktoratu Carmen Clark Lewis *To catch a liar: A cross-cultural comparison of computer-mediated deceptive communication* przedstawionego w 2010 r. na Florida State University.

Sformułowane hipotezy badawcze z rozdziału VII po prostu „zapatrzyły się” na wspomniane wcześniej: pracę magisterską Caroline Amie Connell z Virginia Tech oraz rozdział Paula J. Taylora i kolegów z Lancaster University w Anglii. „Pomocą” był też doktorat Isabel Picornell *Cues to deception in textual narrative context: Lying in written witness statement* (Aston University w Anglii, 2013 r.) oraz artykuł z Konferencji PACIS 2009 *A Cross-Cultural Comparison of Computer-Mediated Deceptive Communication*, autorstwa C.C. Lewis, J.F. George’a i G.A. Giordano.

Rozdział IX to opis wyników własnych habilitantki i weryfikacja jej hipotez badawczych, które w zasadzie pochodzą z już „używanego” wcześniej doktoratu dr Carmen Clark Lewis, a wnioski końcowe z uprzednio wykorzystanej dysertacji dr Isabel Picornell.

Swoją ocenę monografii habilitacyjnej prof. Maria Jodłowiec zakończyła komentarzem, że „w obliczu tylu nieudokumentowanych zapożyczeń, ocena merytoryczna opracowania traci jakąkolwiek zasadność i stawia rzetelność naukową Autorki pod wielkim znakiem zapytania”.

Oprócz nierzetelnej monografii recenzentka odkryła, że publikacja dr Kuzio *Analysis of lying cues detected by men, women, the self and others: A case study of Polish speakers* jest plagiatem pracy magisterskiej z psychologii pani Alyshy Khavarian Kadva, obronionej latem 2010 r. na San Jose State University w Kalifornii. Dr Kuzio do pierwotnego tytułu magisterium dopisała drugą część i z przejętym tekstem z amerykańskiej pracy wydrukowała „swoją” artykuł w książce pt. *Interdisciplinary Views on the English Language, Literature and Culture*, wydanej w 2018 r. przez jej macierzysty Wydział Humanistyczny UZ. Redaktorami tomu byli prof. prof. UZ: dr hab. Leszek Szymański, dr hab. Joanna Zawodniak, dr hab. Marek Smoluk oraz adiunkt dr Agnieszka Łobodziec-Motley, wszyscy z Zakładu Anglistyki UZ.

Inny artykuł dr Kuzio pt. *Deceptive communication in intercultural context: an examination of online chatters' international deception in Polish and English* został wydrukowany w 2014 r. w tomie pokonferencyjnym *Language in culture – culture in language*. Redaktorami byli dr Anna D. Biedrzyńska oraz dr Michał Palmowski z Instytutu Filologii Angielskiej UJ, a wydawcą PWSZ w Nowym Sączu. Artykuł dr Kuzio jest plagiatem, gdyż powieliła kompozycję, zawartość oraz dane empiryczne publikacji dr. Hung-yi Lu *An Examination of Online Chatters' Interpersonal Deception in Taiwan*, który ukazał się w tajwańskim czasopiśmie „Journal of Cyber Culture and Information Society”, 2004, vol. 6, str. 173-198. Autor jest obecnie profesorem zwyczajnym na tajwańskim National Chiao Tung University.

Jak można się spodziewać, recenzja monografii habilitacyjnej i dorobku dr Kuzio zakończyła się negatywną konkluzją, iż nie można nadać jej stopnia.

Recenzja III: Plagiat

Ostatnia recenzja wpłynęła do biura dziekana wrocławskiej filologii na początku marca 2019 r. od prof. dr hab. Bożeny Rozwadowskiej z UW. Także ona mocno skrytykowała autoreferat jako napisany niestarannie, z wieloma błędami, bez dojrzałego wyводу, który by pokazał wkład habilitantki do dyscypliny, a nie streszczał monografię i opublikowane artykuły. Co wię-

cej, recenzentka już na początku podkreśla, że 7 pytań badawczych i 16 hipotez habilitantki nie są jej oryginalnymi propozycjami badawczymi, ale pomysłami mgr. Brenta Logana Lainga oraz dr Carmen Clark Lewis, które zawarli w swoich pracach – odpowiednio magisterskiej i doktorskiej (szczegóły we wcześniejszej recenzji prof. M. Jodłowiec).

Omawiając poszczególne rozdziały, prof. Rozwadowska pisze, że rozdział I (szczególnie podrozdział 1.4) bazuje m.in. na doktoracie Karadeem Y. Kam *A cultural model of nonverbal deceptive communication: The independent and interdependent self-construals as predictors of deceptive communication, motivation and nonverbal behaviors under decept*, obronionym w 2003 r. na Uniwersytecie Arizony. Tej pozycji nie wymieniła prof. Jodłowiec ani ja nie byłem w stanie jej znaleźć, używając Google – z jakich powodów, napiszę później. Rozdział II to zasługa wymienionego już doktoratu C.C. Lewis, zaś treść rozdziału III dużo zawdzięcza dr J.C. Scholl (wspomniany w poprzedniej recenzji doktorat z 2003 r., obroniony na University of Oklahoma) – patrz strony 61-62, 68-79, 88-90. Dalej podrozdział 3.10 jest skopiowany ze wspomnianego wyżej doktoratu K.Y. Kam, natomiast strony 98-103 są skopiowane z pracy magisterskiej Melissy Jean McNelis pt. *Relational deception. Til Facebook due us part*, obronionej na Auburn University w Alabamie. Z kolei rozdział IV zapożycza, jak pisze recenzentka, z dysertacji dr Emmy Joanne Williams pt. *Lies and cognition: How we do tell lies and can we detect them*, przedstawionej do

obrony w 2012 r. na Wydziale Psychologii Uniwersytetu w Cardiff, w Anglii, jak również z wcześniej wspomnianych w recenzji prof. M. Jodłowiec: artykułu prof. Paula J. Taylora i wsp. oraz doktoratu J.C. Scholl. Rozdział V oparty jest na dwóch pracach magisterskich, zaś rozdział VI na kolejnych dwóch magisterkach, które opisała wcześniej prof. Jodłowiec. Brak miejsca nie pozwala dokładnie podać nazwisk autorów i tytułów „okradzionych” prac, które prawie w większości przedstawiła prof. Jodłowiec. Rozdział VII omawia eksperyment badawczy, który jakoby wykonała dr Kuzio. Zamysł tych badań, wyniki i wnioski pochodzą z wcześniej wspomnianej pracy mgr. Brenta Logana Lainga i to podała też druga recenzentka. Jednak prof. Rozwadowska „czarno na białym” pokazała, że dr Kuzio raczej nie wykonała żadnych badań, gdyż wyniki tabelaryczne z pracy B.L. Lainga, który zbadał tylko 16 Ghańczyków, są identyczne jak dane habilitantki, która jakoby przebadala 600 Polaków. Jest to dowód na fabrykację danych i to można udowodnić. Rozdział VIII to doktorat Isabel Picornell, zaś rozdział IX to kopia badań (zmodyfikowana ze względu na język polski, a nie jak w oryginale – hiszpański) z pracy doktorskiej C.C. Lewis – też opisanych w II recenzji.

Oceniając całość dzieła, recenzentka podkreśliła, że „działania kamuflujące plagiatowanie oraz ewidentne podjęcie próby świadomego oszustwa badawczego wykluczają uczestnictwo tej osoby w społeczności akademickiej, gdzie standardy etyczne są bardzo wysokie, a plagiat jest jednym z najcięższych wykroczeń



intelektualnych przeciwko etyce akademickiej. (...) Monografia dr Anny Kuzio wskazana jako główne osiągnięcie do oceny w postępowaniu habilitacyjnym jest w całości plagiatem, a tym samym wkład Habilitantki można by określić jako „ujemny”. (...) Wobec powyższego wnioskuję o odmowę nadania dr Annie Kuzio stopnia doktora habilitowanego (...).”

Tutaj chciałbym wrzeczcie wspomnieć, że prof. Rozwadowska korzystała z udostępnionego jej prywatnie, doskonałego programu antyplagiatowego iThenticate, który poprzez inny program Crossref Similarity Check ma dostęp do artykułów za tzw. paywallem oraz książek i podręczników tzw. wielkich wydawców. Stąd mogła ustalić, że dr Anna Kuzio zapożyczyła co najmniej 73% treści swojej habilitacji. Program antyplagiatowy Plagiat.PL wskazał współczynnik podobieństwa dwa razy mniejszy – 36,61%.

Recenzentka napisała do mnie: „Moje podejrzenia wzbudziła na samym początku lektury rozprawy niestaranność tekstu i bełkotliwy charakter ekspozycji, bez klarownej struktury i klarownego wyводу, jak również jego niebotyczna objętość (kilkaset stron). Był to zlepek różnych fragmentów, a nie przemyślana synteza, podobnie jak często się zdarza w słabych pracach dyplomowych studentów. To skłoniło mnie (co też często czynię w przypadkach tekstów studentów) do wrzucenia przypadkowych fragmentów tekstu dr Kuzio (szczególnie z części analitycznej, jakoby oryginalnej i autorskiej) w zwykłą przeglądarkę Google. Ku mojemu zdumieniu, wtedy wykryłam niektóre źródła licznych zapożyczeń. Znamienne, że były to niszowe, nieopublikowane teksty prac licencjackich, magisterskich czy doktorskich, niezbrane w obiegu międzynarodowym. Trudno by było dotrzeć do nich inaczej, ponieważ nie było ich w bibliografii rozprawy. Czysty przypadek zadecydował więc o dalszym śledzeniu zapożyczeń, już w sposób systematyczny”.

Prof. Maria Jodłowiec zrobiła to samo wyłącznie ręcznie, poprzez sprawdzanie krótkich fragmentów habilitacji za pomocą Google – bardzo czasochłonna praca, ale również owocna.

Dalsze kroki formalne

Komisja Habilitacyjna zebrała się 9 kwietnia 2019 r. i w głosowaniu jawnym jednomyślnie (7:0) uznała, że habilitantka, naruszywszy podstawy etyki akademickiej, nie spełnia ustawowych warunków stawianych przed kandydatami do stopnia doktora habilitowanego. Rada Wydziału zebrała się tydzień później i 70 głosami przeciw, przy dwóch wstrzymujących się, odmówiła nadania stopnia. Odwołania nie było.

W dyskusji uczestnicy byli zadziwieni i oburzeni skalą plagiatowych przejęć. Prof. Rozwadowska objaśniła taktykę pisania dr Kuzio i zabezpieczanie przez nią przesyłanych prac w PDF specjalnym kodem zamknięcia, co mocno utrudniało sprawdzenie i wymagało specjalnych zabiegów informatycznych. Dziekan Cieński poinformował, że o plagiacie zawiadomił już rektora UW i że poinformuje także rektora UZ, który ma obowiązek prawny powiadomić prokuraturę w Zielonej Górze, jak również napisze do Wydawnictwa Cambridge Scholars Publishing.

Co było w Zielonej Górze?

Po rezygnacji we wrześniu 2019 r. prof. Małgorzaty Mikołajczak ze stanowiska rzecznika dyscyplinarnego ówczesny rektor, prof. Tadeusz Kuczyński, powołał na to miejsce z końcem listopada 2019 r. dr. Olafa Włodkowskiego, adiunkta Katedry Prawa Karnego i Postępowania Karnego (kierownik: prof. dr hab. Hanna Paluszkiwicz) Instytutu Nauk Prawnych, Wydziału Prawa i Administracji UZ (dziekan: prof. dr hab. Hanna Paluszkiwicz). Przejął on prowadzenie postępowania wyjaśniającego, które zgodnie z prawem powinno się zakończyć w ciągu 6 mie-

sięcy. Tak się jednak nie stało aż do 31 sierpnia 2020 r., kiedy swoją kadencję rektorską kończył prof. Kuczyński. Nowym rektorem został prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski, historyk i heraldysta, były prorektor ds. studenckich i pierwszy zastępca rektora w dwóch poprzednich kadencjach w latach 2012-2020, doświadczony administrator.

Zachował on dr. Olafa Włodkowskiego na stanowisku rzecznika dyscyplinarnego. Kiedy na początku grudnia 2020 r., 1,5 roku po wszczęciu postępowania wyjaśniającego, zapytałem rektora o dyscyplinarne losy dr A. Kuzio, usłyszałem, że trwa postępowanie wyjaśniające. To po prostu narusza prawo. Ustaliłem, że dr Kuzio nie została zawieszona w prawach nauczyciela akademickiego, ale na szczęblu Instytutu Neofilologii nie przywrócono jej zajęć seminaryjnych (dyplomowych) ze studentami, od których została odsunięta przez dziekana poprzedniej kadencji, dr. hab. Jarosława Dudka. Inne zajęcia prowadzi, a na swojej stronie domowej ostrzega studentów przed popełnieniem plagiatu. W instytucie o niezrzetelności naukowej koleżanki wiedzieli wszyscy, ale na uczelni nic się nie działo. Początkowo, w grudniu 2020 r., odpowiedziała mi dr hab. Joanna Zawodniak, nowy dyrektor instytutu, że tak rektorat, jak i sam rzecznik dyscyplinarny poinformowali ją, iż sprawa jest w toku – bez jakichkolwiek szczegółów.

Problemy zdrowotne oddaliły mnie na ponad rok od pisania cyklu „Z Archiwum Nieuczciwości Naukowej”. Kiedy w maju br. wróciłem do sprawy plagiatów dr Anny Kuzio, z niedowierzaniem przyjąłem nową odpowiedź z biura rektora, iż „nadal trwa postępowanie wyjaśniające”. Rzecznik dyscyplinarny, dr Olaf Włodkowski, pytany emailowo dlaczego nie zakończył otwartego trzy lata temu postępowania wyjaśniającego, milczy jak grób. Przełożona dr O. Włodkowskiego, prof. Hanna Paluszkiwicz, której zasygnalizowałem to drastyczne naruszenie prawa, odpowiedziała, że rzecznik dyscyplinarny w żadnej mierze jej nie podlega, zatem nie ma ona podstaw, aby to wyjaśnić. Zasugerowałem, aby jako członek Senatu na najbliższym posiedzeniu zapytała rektora W. Strzyżewskiego, dlaczego dotąd nie skończono postępowania wyjaśniającego, które zgodnie z prawem powinno być zamknięte po sześciu miesiącach. Na marginesie, pani profesor jest przewodniczącą Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego i Nauki w Warszawie.

Wszelka informacja na temat obecnego statusu dr Kuzio została na uczelni utajniona przede mną, zaś ona sama, zapytana o komentarz do sprawy plagiatu w jej monografii habilitacyjnej, odpowiedziała pytaniem o moje intencje i wskazała mi swojego prawnika. Odpowiadam, że intencje mam dobre, a wobec bezsilności prawa i obojętności władz uczelnianych i ministerialnych staram się „oświetlać” publicznie różnorodne naruszenia dobrych praktyk akademickich.

Kończąc tę przedziwną historię, muszę wspomnieć, że złożyłem w połowie czerwca br. wniosek do przewodniczącej Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego (PTN), dr hab. Anny Jaroszewskiej, prof. UW (germanistki), o usunięcie dr A. Kuzio z grona członków PTN z powodu plagiatu. Dostałem teraz uchwałę Zarządu, że ją usunięto, ale wnioskodawczynią była dr hab. Joanna Zawodniak. To członek Zarządu Głównego PTN, dyrektor Instytutu Neofilologii UZ, osoba, która od 2,5 lat zna szczegóły plagiatu swojej podwładnej i która mi ostatnio zarzuciła e-mailem mobbing, gdyż zapytałem ją na początku czerwca br., co dzieje się ze sprawą pani Kuzio. Dobrze, że zrobiono pierwszy krok w oczyszczeniu szeregów PTN, choć sposób działania Zarządu nosi znamiona manipulacji. Do sprawy tego plagiatu i bezczynności uczelni wrócimy po wakacjach.

Marekwro@gmail.com

Być modnym badaczem

Pragmatycznie biorąc, być modnym badaczem oznacza szybko dostrzegać potencjalną nową modę, obserwując jej powstawanie, amplifikację i komercjalizację albo też włączać się w dogłębne analizy krytyczne modnych pomysłów. Trzeba jednak się spieszyć, ponieważ fala zainteresowania szybko przenosi się na nową, kolejną modę.

Moda to paradoks. Modny badacz jest wyjątkowy, a jednocześnie widoczny w możliwie liczonym tłumie podobnych sobie. Moda ma tym większe znaczenie, im więcej ma naśladowców, zwolenników czy nawet wyznawców. A to znaczy, że w modzie znaczenie mają liczby: publikacje, cytowania, zasięgi, popularność. Im większe, tym lepiej. Widoczność mody jest chwilowa, choć wydaje się trwać wiecznie. Skupia bowiem uwagę, zajmuje przestrzeń debaty, pulpity wykładów, miejsce w czasopiśmie, ale też szybko przemija. Moda ma zatem tym większe znaczenie, im silniej jest widoczna w krótkim okresie. Pociąga za sobą popularność wyrażoną nie tylko naukowymi, ale też prestiżowymi wystąpieniami, łatwiejszym dostępem do finansowania badań i utalentowanych współpracowników. Tymczasem popularność rzadko wymieniana jest wśród głównych dążeń czy aspiracji badaczy.

Charakterystyka mody nie jest obojętna dla ścieżek kariery, awansów, a nawet podejmowanych tematów badawczych. Wywiera presję na całe środowiska, ponieważ kieruje uwagę na konkretne tematy, a ignoruje wszystkie inne. W tym sensie moda z natury jest krótkowzroczna. Moda żyje chwilą, maksymalizuje widoczność w krótkim okresie, ale pomija długoterminowe znaczenie badań. Warto więc się tym zjawiskiem zająć, tym bardziej że w świecie mody pojawiły się nowe zjawiska i możliwości, które bardzo zmieniły sposób komunikacji preferencji, skalę wpływu mody oraz tempo jej zmiany. Platformy społecznościowe, influencerzy, wydarzenia online przenikają do nauki. Jeśli dotychczas możliwe było ignorowanie mody czy konstruowanie własnej tożsamości badawczej niezależnie od niej, to obecnie pojawiło się więcej bodźców, o większej sile, które nakłaniają do poważnej refleksji o tym zjawisku.

Aktorzy mody w naukach o zarządzaniu

Budowanie tożsamości skierowane jest do innych. To do konkretnych osób, instytucji czy środowisk wysyłamy sygnały świadczące o tym, kim jesteśmy i jaką rolę pełniemy. W kolejnym kręgu pojawia się odbiorca nieoznaczony, publika, której akceptacja ma istotne znaczenie dla badaczy. Kim są odbiorcy, użytkownicy, twórcy i naśladowcy mody w naukach o zarządzaniu?

Myliłby się ten, kto pomyślałby, że moda w naukach o zarządzaniu dotyczy tylko badaczy. Rywalizacja o bycie modnym rozgrywa się nie tylko pomiędzy nimi, choć rozmaite rankingi, w tym kategoryzacje jako „highly cited researcher”, sprzyjają presji na zdobywanie i utrzymywanie popularności. Nauki o zarządzaniu mają o wiele większy zasięg społeczny, z racji

swojej natury, użyteczności oraz fundamentalnego mandatu, którym jest przyczynianie się do sprawności osiągania celów organizacji. Pośród zainteresowanych modą wymienić trzeba: praktyków zarządzania (menedżerów), studentów, wydawców czasopism akademickich i profesjonalnych, dziennikarzy, analityków rynku kapitałowego, właścicieli akcji czy firm, regulatorów różnych rynków, uniwersytety publiczne, prywatne szkoły biznesu, ciała akredytujące, a także interesariuszy społecznych. Okazuje się, że mody w zarządzaniu angażować mogą licznych i różnorodnych aktorów. Moda w praktyce zarządzania to co innego niż moda w badaniach zarządzania, a jeszcze co innego w nauczaniu zarządzania.

Wokół interesariuszy nauk o zarządzaniu powstał cały ekosystem tworzenia, upowszechniania oraz stosowania wiedzy. Obejmuje nie tylko badaczy, ale też konsultantów czy samozwańczych „guru zarządzania”. Te trzy grupy nie są stabilne w czasie, zdarzają się swoiste „transfery” ze środowiska akademickiego do konsultingu, który stanowi jedną z najważniejszych dziś branż gospodarki. Profesjonalizacja usług doradczych pozwala organizacjom kupić niezbędne kompetencje, zdolności osiągania ważnych dla nich celów wówczas, gdy same tego nie potrafią albo wykształcenie własnej umiejętności jest zbyt kosztowne. Nie wchodząc w szczegóły tej bardzo szerokiej oferty, trzeba zauważyć, że napędza ją gigantyczny wręcz popyt. Szacuje się wartość globalną tego rynku na 300 miliardów USD rocznie, a jego wzrost jest szybszy niż wzrost gospodarki globalnej. W konkurencji o tak wielkie środki dobrze jest dysponować atrakcyjną usługą, modnym produktem, marką czy nazwiskiem.

Praktycy zarządzania znajdują się pod presją podnoszenia wyników, właściwie nieustannego podnoszenia wyników. Oznacza to potrzebę zapewnienia takiego sposobu funkcjonowania organizacji, który jest nie gorszy od standardów w danej branży. Aby wyprzedzić innych, potrzebne są nowinki, które choć na chwilę zapewnią przewagę. A jeśli jej nie zapewnią, to przynajmniej pozwolą udokumentować rzetelne staranie wówczas, gdy właściciele będą domagać się sprawozdania z wyników. To właśnie taka presja doprowadziła jedną z największych firm świata, General Electric pod wodzą słynnego menedżera Jacka Welcha, na skraj upadku. Zachwycony modą na metodę zarządzania lean management Jack Welch tak konsekwentnie i długo ją wdrażał, że nie poświęcił uwagi innym ważnym wyzwaniom, a szczególnie innowacyjności technologicznej. Dostosowanie się do mody odbywa się kosztem uwagi, która powinna być

poświęcona wielu wyzwaniom. Zatem modne upodabianie się do innych wymaga także porzucania przebrzmiałej mody.

Studenci zarządzania często kierują się modą, wybierając kierunek, wydział, uczelnię. Na tę modę mają wpływ sytuacja gospodarcza i faktyczne potrzeby przedsiębiorców, ale w nie mniejszym stopniu chwilowe zainteresowanie określonym zagadnieniem. Obserwowałem wlot zainteresowania samym zarządzaniem, które następnie skierowało się ku zarządzaniu zasobami ludzkimi, psychologii w biznesie, logistyce, a obecnie transformacji cyfrowej. Modne wykształcenie to większe szanse na atrakcyjne zatrudnienie, dynamiczną karierę czy pozycję na rynku pracy. Uczestnictwo w modzie dydaktycznej jest ważne dla studentów, ale także dla kierowników programów studiów i dziekanów, albowiem od tego zależy dobrostan społeczności akademickiej, a czasem i jej przetrwanie.

Wydawcy zarówno czasopism, jak i książek z zakresu nauk o zarządzaniu konkurują o uwagę menedżerów, konsultantów oraz studentów. Uzyskanie tej uwagi wymaga albo solidnej, podstawowej wiedzy, albo podążania za modą. Przestrzeń pomiędzy tymi podstawowymi oczekiwaniami jest bardzo gęsto wypełniona ofertą wydawniczą, niezwykle konkurencyjna, ale też rozdrobniona. Podążanie za modą pozwala uniknąć mało wyrazistego ogromnego pola konkurencji, by trafić w żywiołowy i atrakcyjny obszar modnych tematów. Widocznym tego przejawem jest ogromna liczba publikacji dotyczących COVID19, a obecnie sztucznej inteligencji, widoczna w czasopismach naukowych. Równie widocznym przejawem jest przenikanie do debaty publicznej modnych pojęć, takich jak np. czarne łabędzie. Wprawdzie mało wykonalne jest posiadanie w swojej ofercie samych modnych tekstów, ale już umiejętność wyboru tych, które mają największy potencjał wywołania kolejnej mody, decyduje o przetrwaniu. Co ciekawe, tę zdolność w większym stopniu mają czasopisma aspirujące niż prestiżowe. Oznacza to, że tzw. najlepsze czasopisma z wyższym prawdopodobieństwem odrzucą tekst, który później stanie się popularny.

Interesariusze społeczni to organizacje, stowarzyszenia albo mniej formalne grupy, które czynią z ważnej dla nich sprawy przyczynek do wywierania silnej presji na praktyki firm. Do takich ważnych spraw zaliczyć można równość traktowania kobiet i mężczyzn na rynku pracy, wpływ na klimat czy praktyki fair trade. Presja wywierana przez takie modne tematy powoduje zwykle zmiany polityki, a później zachowania firm. Zwykle poprzedzona jest badaniami wpływu na sprawność organizacji. I tak okazuje się, że dla strategicznych decyzji pożyteczne jest zróżnicowanie zarządów pod względem płci. Podobnie pożyteczne jest dążenie do uczciwych praktyk handlowych, nawet jeśli nie wszystkie segmenty klientów godzą się na wyższe ceny. Zatem modny temat może zostać wywołany przez silną medialną presję płynącą spoza środowiska badaczy, a wywieraną na menedżerów.

Pośród tych aktorów, wywieranych przez nich presji, zgłaszanych oczekiwań i efektywnego popytu znajdują się badacz. Łatwo zauważyć, że moda staje się w mniejszym stopniu swobodnym wyborem, a w większym stopniu obiektywną koniecznością dla każdego, komu bliskie jest uczestnictwo w bieżących sprawach zarządzania.

Skąd biorą się mody w naukach o zarządzaniu

Dość powszechnie występuje przekonanie, że mody w zarządzaniu pojawiają się najpierw w praktyce, następnie rozpowszechniają się kolejno w prasie profesjonalnej, konsultingu, a na samym końcu przenikają do świata akademickiego. Takie spojrzenie wynika z pesymizmu wyrażanego przez niektórych, jakoby nauki o zarządzaniu były zawsze o krok za praktyką, badały tylko istniejące zjawiska, odnosiły się tylko do tego, co najpierw zrobią

menedżerowie. Ten pesymizm pogłębia jeszcze przekonanie, że badacze z dużym opóźnieniem dostrzegają skuteczne praktyki, a to dlatego że potrzeba czasu, by dowiodły one swojej efektywności. Badaczom natomiast potrzeba czasu, by tę efektywność dostrzec. Trudno zgodzić się z tak ogólnikowym pesymistycznym stwierdzeniem, głównie dlatego że abstrahuje ono zarówno od czasu, przestrzeni, jak i konkretnych aktorów mody.

Zacznijmy od czasu. Zjawisko mody dostrzec można wyłącznie osadzając je w czasie, ponieważ charakteryzuje je przejściowość, relatywnie krótki okres popularności oraz specyficzna trajektoria dyfuzji. Przejściowość oznacza tymczasowe, przemijające przekonanie o tym, że dana moda ucieleśnia postęp w zarządzaniu. To kryterium nie pozwala jej odróżnić od innych przejawów postępu, bowiem rozwój wiedzy narasta, a czasami przyspiesza i dokonuje przełomów. Tymczasowość jest więc wpisana w aktywność badacza. Wyróżnikiem mody jest relatywnie krótki czas, w którym moda przyciąga zainteresowanie. Na przykład odnośnie do pewnej techniki zarządzania jakością, tj. kół jakości, stwierdzono, że przeminęła ona w ciągu 6 lat. To dość krótki okres, zważywszy na czas niezbędny do podjęcia badań, uzyskania finansowania, przeprowadzenia ich, a nade wszystko skutecznego doprowadzenia do publikacji. Drugim wyróżnikiem mody jest gwałtowny przyrost zainteresowania, a następnie nieco mniej szybki spadek. Modę dostrzegamy dlatego, że szybko ogarnia wielu, a nie tylko dlatego, że przyjęto dane rozwiązanie. Niektórzy doszukują się w tym krótkim okresie istotnych faz, zaliczając do nich kolejno: odkrycie akademickie, popularyzację przez bestsellerową książkę, upowszechnianie przez konsultantów, pojawienie się wyznawców, krytykę i narastanie sceptycyzmu, porzucenie mody. Trzecim wyróżnikiem mody zdaje się określona sekwencja zdarzeń, zachodzących nie tylko szybko, ale też w kolejności odpowiadającej wzorcowi.

Aktorzy mody wypełniają niezbędne w jej dynamice role. Aby moda mogła się pojawić, potrzebny jest pomysł, nowa idea, ewentualnie adaptacja generalnej idei do wymogów współczesności. Ta idea pojawia się w organizacjach, gdy te skutecznie poszukują rozwiązań swoich problemów. Często poszukiwania prowadzone są wspólnie z badaczami, ewentualnie z konsultantami. Nowa idea również często pojawia się właśnie u badaczy. Przykłady są liczne, m.in. strategia, otwarte innowacje, oburęczność, czyli zdolność jednoczesnego eksperymentowania i eksploatacji wiedzy, czy serwityzacja, tj. odejście od skupienia na produkcie w kierunku wartości użytkowej i usługi na rzecz klienta. Badacze jednak z trudnością docierają do szerokiego grona odbiorców, bowiem praktyki publikacyjne są raczej skierowane do innych badaczy. Dlatego, aby moda mogła się upowszechnić, potrzebny jest impuls popularyzacyjny: bestseller, który z idei uczyni inspirację i środek do sukcesu. Tę rolę czasem potrafią spełnić badacze, jak Henry Chesbrough, Barry Nalebuff czy Bruce Henderson. Ale częściej podejmują ją skutecznie guru zarządzania, profesjonalni pisarze czy charyzmatyczni mówcy. Nawet popularność nie wystarczy do powstania mody, potrzebne jest jeszcze jej wprowadzenie na rynek przez wielkie firmy konsultingowe. Wypełniają one przestrzeń pomiędzy ideą a praktyką czy transformacją organizacji, jak w przypadku metod zarządzania projektami (agile, waterfall, scrum). Moda ma szansę na zaistnienie wówczas, gdy wielu znajduje w niej swój interes. Przejściowy przeblask popularności wyraża się szybko rosnącą liczbą wyznawców: menedżerów, studentów, dziennikarzy, analityków. Ironią tej sztafety ról jest to, że za sceptycyzm, krytykę i wygaśnięcie mody ponownie odpowiadają badacze. Stają się grabarzami mody nie tylko dlatego, że inicjują kolejną, ale także dlatego, że obnażają jej słabości. Pogłębione zrozumienie i testy empiryczne zdają się modzie nie służyć. Przejdźmy do przestrzeni. Organizacje działają w określonych miejscach, nawet te transnarodowe, obejmujące swoją

domeną wiele krajów czy nawet cały świat. Mody nie pojawiają się jednocześnie wszędzie. Co więcej, nie pojawiają się zawsze w tym samym miejscu. Wobec tego niewielka jest szansa, że kolejna moda pojawi się tam, gdzie ujawniła się poprzednia. Na przykład dekada kryzysu gospodarczego lat osiemdziesiątych przyniosła wielkie zainteresowanie japońskimi metodami zarządzania. Japońskie organizacje lepiej radziły sobie w trudnych czasach uporczywej inflacji, wysokiego bezrobocia i wysokich kosztów paliw. W tych wymagających czasach japońskie firmy wręcz zawojowały świat. Doprowadziło to do wielkiej fali publikacji w zakresie zarządzania jakością czy optymalizacji procesów. Kolejna dekada minęła pod znakiem globalizacji, a to przyniosło fascynację outsourcingiem, czyli specjalizacją na wybranych procesach gospodarczych, połączoną z powierzeniem wszystkich innych procesów gospodarczych wyspecjalizowanym firmom. Te wyspecjalizowane firmy często musiały sprostać wymaganiom niskich cen, wobec czego outsourcing przekształcił się w offshoring i doprowadził do dzisiejszej potęgi gospodarczej Chin. Następnie przyszła moda na ucyfrowienie niektórych procesów, za sprawą rewolucji internetowej odbywającej się w Kalifornii. Dziś ogromną popularność mają otwarte innowacje, idea, która zrodziła się w Bostonie, ale także idea co-working space, która zrodziła się w Niemczech i Szwecji mniej więcej w tym samym czasie. Dystrybucja mody jest więc nierówna na świecie, moda powstaje w różnych miejscach, w różnym tempie upowszechnia się w skali globalnej.

Pragmatycznie biorąc, być modnym badaczem oznacza więc szybko dostrzec potencjalną nową modę, obserwując jej powstawanie, amplifikację i komercjalizację, albo też włączyć się w dogłębne analizy krytyczne modnych pomysłów. Trzeba jednak się spieszyć, ponieważ fala zainteresowania szybko przenesi się na nową, kolejną modę.

Czego dotyczą mody w naukach o zarządzaniu

Moda może dotyczyć treści, metody, formy komunikacji. Moda nie jest więc jednolitym konstruktem, który sprowadza się wyłącznie do podchwycenia jakiejś idei, upowszechniania pomysłu, narzędzia czy metody zarządzania. Łatwo zauważyć, że rola badaczy w tym zjawisku jest właściwa ich kompetencjom. Wypełnienie roli popularyzatora wymaga napisania bestsellera, a wypełnienie roli amplifikacji mody wymaga posiadania sprawnej organizacji globalnej, która wdraża modne praktyki do codzienności organizacji. Rzadko się zdarza, aby badacz cieszył się bestsellerem, a jeszcze mniej badaczy posiada realny wpływ na ofertę produktów firm konsultingowych. Wobec tego w rękach badaczy pozostają te role, które są najbliższe ich kompetencjom, tj. odkrywania, konceptualizacji, testowania. Każda z nich jest jednak uwikłana w mody publikacyjne, tj. akceptowane przez recenzentów i redaktorów czasopism praktyki odnośnie do podejmowanych treści, stosowanych w tym celu metod oraz form komunikacji. Treści modne odnoszą się do tematów, problemów, ram teoretycznych. Te modne tematy (ang. hot topics) są wręcz identyfikowane przez redaktorów naczelnych, ogłaszane w postaci deklaracji redakcyjnych. Rzadziej tę rolę spełniają wydania specjalne, bowiem czas przygotowania takiego wydania jest dosyć długi w prestiżowych czasopismach, bo liczony w latach.

Metody modne to takie, które gwałtownie zyskują na popularności, która z kolei po fazie krytyki uzyskuje legitymizację w środowisku. Proste techniki analizy danych ilościowych zostały zastąpione przez modelowanie równań strukturalnych, którego udział w metodyce opublikowanych artykułów gwałtownie wzrósł w ostatnich latach. Łatwo się domyślić, że żadna technika analizy danych nie jest uniwersalna, jej adekwatność zależy przecież od istoty problemu, celu badań czy stopnia rozwoju nurtu badawczego. Rośnie obecnie moda na zastosowanie jakościowej analizy

porównawczej, a szczególnie jej wariantu fsQCA (ang. Fuzzy set Qualitative Comparative Analysis). Podobnie szybko zyskuje na popularności analiza warunku koniecznego (ang. Necessary Condition Analysis) oraz analiza konfiguracyjna. Jakkolwiek wpisują się te metody w ogólną tendencję rozwojową metodologii badań w naukach o zarządzaniu, to charakterystyka ich dyfuzji bardzo przypomina modę. Pośród technik analizy danych jakościowych moda na kodowanie, tj. poprzestanie analizy na prostej i wstępnej technice wyłaniania kategorii z tekstu lub ich identyfikacji w tekście, zostaje zastąpiona przez bardziej zaawansowane poszukiwanie struktur znaczeń. Podobnie jak w przypadku technik analizy danych ilościowych, ogólnemu trendowi rozwojowemu metodologii towarzyszy moda na konkretne techniki, które relatywnie szybko zajmują poczesne miejsce w literaturze i nie mniej szybko są zastępowane przez kolejne techniki. Beneficjum mody na metody jest relatywnie szybszy czas publikacji, a być może nawet relatywnie niższa selektywność w stosunku do mniej modnych pod względem metodologicznym opracowań.

Forma komunikacji modnej to taka, która daje szansę widoczności w środowisku nauk o zarządzaniu. Od samych początków zarządzania jako dyscypliny nauki forma komunikacji nakierowana była na praktyków. Z początkiem XX wieku na salach wykładowych królowały studia przypadków, wiarygodność zapewniało doświadczenie praktyczne, a forma przekazu ilustrowana była konkretnym przedsiębiorstwem. Pół wieku później przyszła refleksja krytyczna, bowiem dążenie do atrakcyjności dla odbiorcy-menedżera czyniło modnym przypadki, a pozbawiało dyscyplinę metod ilościowych, eksperymentalnych, symulacji itd. Połowa XX wieku to czas powstawania najbardziej dziś prestiżowych czasopism światowych, choć już wcześniej istniały zarówno towarzystwa naukowe, jak i ich wydawnictwa (pośród nich „Przegląd Organizacji”, czasopismo założone w 1926 r. przez Karola Adamieckiego i wydawane do dziś). Potrzebne było kolejne 30 lat, aby w latach osiemdziesiątych XX wieku nastąpił gwałtowny rozwój czasopism nauk o zarządzaniu oraz ustabilizował się format komunikacji, wyrażony m.in. standardową strukturą tekstu, jego typową objętością (6-10 tysięcy słów), typowym formatem cytowania i listami referencyjnymi. Długoterminowej tendencji formalizacji komunikacji naukowej towarzyszą mody. Dziś obserwowuje się modę na podnoszenie atrakcyjności tekstu poprzez coraz bardziej liryczne tytuły artykułów, umieszczanie oprócz klasycznych abstraktów również streszczeń dla menedżerów, a także abstraktów graficznych adresowanych do szerszej publiki. Modne stały się też podcasty, tj. nagrania głosowe dostępne na platformach społecznościowych i adresowane do szerszego grona interesariuszy. Blogi czy regularne wpisy na platformach społecznościowych również pojawiły się w ostatnich kilku latach, zyskując coraz liczniejsze grono obserwatorów. Także wśród nieakademików. Treści wideo, czy to nagrywane samodzielnie przez badaczy, czy przez ich wydawców albo pracodawców, przebijają się wśród form komunikacji. Wiodące wydawnictwa wręcz oferują pomoc w przygotowaniu i dystrybucji takich krótkich filmów czy informacji syntetycznych przeznaczonych wprost do upublicznienia na platformach społecznościowych. O tym, że to moda, świadczą szybki przyrost popularności, próba dotarcia do liczniejszych oraz bardziej różnorodnych interesariuszy, a także relatywna nietrwałość w ogólnym trendzie formalizacji komunikacji naukowej.

Być modnym badaczem oznacza więc podejmowanie modnych tematów, za pomocą modnych metod oraz stosowanie modnych form komunikacji naukowej. Modny badacz unika wszystkiego co niemodne, ponieważ ryzykuje typowym dla tego zjawiska „wypadnięciem z obiegu”. Modny badacz korzysta z fali krótkotrwałego zainteresowania, kosztem długoterminowych programów badawczych, żmudnego pogłębiania wiedzy i przesuwania granic ludzkiego poznania.

Czy są inne drogi?

Bycie modnym w naukach o zarządzaniu wymaga całej palety umiejętności, swoistej talii kart, która wcale nie gwarantuje zwycięstwa w konkurowaniu o uwagę, prestiż i powiązane z tym korzyści. Pośród umiejętności koniecznych potrzebna jest wrażliwość na słabe sygnały o pojawieniu się nowej idei lub zdolność jej generowania. Dalej konieczna jest zdolność oceny nowej idei ze względu na istniejący stan wiedzy, potencjał rozwojowy oraz zainteresowanie istotnych aktorów. Potrzeba także zdolności mobilizacji zasobów, by nadać za dynamiką kolejnej mody, szybkość przekierowania zainteresowania własnego, zespołu oraz pozyskania środków odgrywa kluczowe znaczenie. Umiejętność sprawnego publikowania we właściwych wydawnictwach, które zapewnią rzetelność, wiarygodność i widoczność to kolejna umiejętność konieczna do bycia modnym w naukach o zarządzaniu. Być może ta umiejętność jest nie tylko konieczna, ale też wystarczająca. Daje wielką sprawczość tym, którzy są medialnie obecni. Szczęśliwie medialność oznaczać może także tradycyjne wydawnictwa książkowe, media online czy konferencje.

W polskim środowisku obserwuje się popularność publikowania w czasopiśmie jednego wydawnictwa, wysokopunktowanych na polskiej liście MEiN, ale zupełnie nieobecnych w bieżącej debacie naukowej. Nawet jeśli ta popularność jest przejściowa, to nie sposób nazwać jej modą, ponieważ poza liczebnością tekstów i gwałtownym jej wzrostem w ostatnich czterech latach brakuje bestsellerów, amplifikacji przez konsul-

tantów, wyznawców, a nawet homogeniczności idei. To jedna z pułapek mody, bowiem sama popularność w jednej grupie interesariuszy nie czyni praktyki badacza modną, a jedynie powszechną. Moda, choć stawia wyższe wymagania, oferuje też celebrycką nagrodę.

Moda to niejedyna droga dla badacza w naukach o zarządzaniu. Inne stają się jednak coraz trudniejsze, ze względu na uwagę otoczenia, dostęp do niezbędnych badaczowi zasobów czy związaną z tym potrzebę determinacji. Postęp wiedzy nie polega wszelako na gwałtownych sprintach, które się przeplatają z kolejnymi modami. Przeciwnie, jest wiele trajektorii rozwojowych. Jedne wymagają dekad nakładów przy niskim zainteresowaniu otoczenia, inne tylko kilkunastu lat, a jeszcze inne nigdy nie stają się modne. Uprawiane są bowiem przez stabilne środowiska i grupy badawcze, a wzrost popularności przebiega bardzo wysokim poziomowi specjalizacji i kompetencji w wąskich obszarach. W gruncie rzeczy, choć mody są widowiskowe i spełniają próżną potrzebę sławy, to raczej są widowiskową anomalią. Badacze w naukach o zarządzaniu realizują latami całe programy badawcze, pozyskując na nie w sekwencji kolejne granty. Programy badawcze z kolei prowadzą do ważnych osiągnięć, które napotkają właściwy czas. Wówczas badacz, który nie dążył do bycia modnym, uzyskuje popularność rangą odkrycia i siłą wpływu na rozwój dyscypliny.

Prof. dr hab. Wojciech Czakon, Katedra Zarządzania Strategicznego, Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie



Między modą a tradycją

Humanistyczne swingowanie

Język tekstów humanistycznych jako pewnego rodzaju produkt stylu myślowego badaczy ma charakter zmienny i jest uwarunkowany panującym / wybranym paradygmatem (tradycją, do której należy, z którą się utożsamia, z której wyrasta teoretyk humanista).

O tym, że teksty naukowe humanistów stawiają inny opór poznawczy niż teksty naukowe pisane przez przedstawicieli takich dyscyplin, jak biologia, chemia, fizyka, matematyka, nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Czy to jednak znaczy, że rozpoznania opisane przez humanistów są mniej wartościowe? Niestety stereotypowo łatwo o deprecjację badań humanistów na tle stereotypowo demonicznych opisów przyrodznawców. Zadanie naukowca polega przede wszystkim na ujęciu w język myśli, a piarstwo naukowe ma również swoje cechy, niekiedy usankcjonowane przez tradycję.

Humanistyka na tle innych nauk

Wyobraźmy sobie, że przed nami takie oto dwuetapowe ćwiczenie do wykonania. Najpierw wymieniamy skojarzenia łączące się z pojęciem humanistyka. Być może w naszych wykazach znajdują się na przykład: nauka, uniwersytet, humanistyka cyfrowa, literaturoznawstwo, historia, wiedza, interpretacja, mądrość, erudycja... Następnie wskazujemy synonimy i antonimy określenia humanistyka, próbując wykorzystać jak najwięcej pojęć wytypowanych w pierwszej części ćwiczenia, i w miarę konieczności dopisujemy kolejne słowa, na przykład: nauki ścisłe / przyrodznawstwo, dochodzenie naukowe, badanie eksperymentalne, technika... Na koniec pomyślny, co okazałoby się najistotniejsze, gdyby przyszło nam zdefiniować termin humanistyka – jej cechy typowe (przyjrzyjmy się określeniom synonimicznym) czy różnicujące (zerknijmy w wykaz antonimów)?

Treść polecenia jest banalna. Gdy jednak weźmie się pod uwagę i jurysdykcyjne usankcjonowanie dyscyplin naukowych, i ich naturę, i z jednej strony stopniowe ich specjalizowanie się, z drugiej ich trans- lub multidyscyplinarizm, wreszcie i społeczny kontekst ich istnienia, zadanie zaczyna się komplikować.

Gdzie właściwie pośród naukowych dziedzin / dyscyplin / specjalności usytuowana jest humanistyka? Przyjmuje się, że terminem o najszerszym zakresie znaczeniowym jest dziedzina, którą należy uznać za hiperonim terminów dyscyplina i specjalność. I tak powstaje układ: dziedzina – dyscyplina – specjalność, przy czym w obecnych regulacjach prawnych specjalności nie są wyodrębniane. W obowiązującym Rozporządzeniu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 20 września 2018 r. w sprawie dziedzin nauki i dyscyplin naukowych oraz dyscy-

plin artystycznych wyróżnia się osiem dziedzin: 1. dziedziny nauk humanistycznych, 2. dziedziny nauk inżynieryjno-technicznych, 3. dziedziny nauk medycznych i nauk o zdrowiu, 4. dziedziny nauk rolniczych, 5. dziedziny nauk społecznych, 6. dziedziny nauk ścisłych i przyrodniczych, 7. dziedziny nauk teologicznych, 8. dziedziny sztuki. Dalej – dziedziny humanistyczne zawierają takie oto dyscypliny: A. archeologia, B. filozofia, C. historia, D. językoznawstwo, E. literaturoznawstwo, F. nauki o kulturze i religii, G. nauki o sztuce. Wiadomo, że ów podział nie ma charakteru stałego, niezmiennego i nienaruszalnego, choć jest on normatywny, co znaczy, że porządkuje aktywności badawcze naukowców zgodnie z zaproponowaną klasyfikacją.

Co jednak jest istotą humanistyki? Z naukoznawczej narracji wiadomo, że szeroko rozumiane nauki ścisłe uchodzą za prawomocne, pewne, słowem – prawdziwe, podczas gdy humanistycznym takiego charakteru raczej nie przypisywano. Ponadto wyodrębnienie nauk humanistycznych ma już charakter historyczny.

Kiedy mowa jest o naukach humanistycznych, od razu, wręcz intuicyjnie, zestawia się je z naukami przyrodniczymi. Rens Bod w publikacji *Historia humanistyki. Zapomniane nauki* (tłum. Robert Pucek) uzmysławia, że porównawczy opis humanistyki ma początek w XIX wieku i pokutuje do dziś, ponieważ przez ponad sto pięćdziesiąt lat niewiele się zmieniło w sposobie jej ujmowania. Badacz przypomina jednocześnie, że wyodrębnienie humanistyki, połączone z refleksją nad jej kształtem, miało miejsce, kiedy Wilhelm Dilthey wskazał istnienie *Geisteswissenschaften* (*nauki o duchu*). Nauki o duchu jakościowo opisują obiektywne przejawy ludzkiego życia wewnętrznego, dlatego w Diltheyowskiej perspektywie metodologicznym celem badacza humanisty są zrozumienie i interpretacja.

Warto ponadto wspomnieć, że Wilhelm Windelband w tym samym okresie wyodrębnia z kolei nauki idiograficzne i nomotetyczne. Pierwsze zdają sprawę z tego, co wydarzyło się raz, jednostkowo (*was einmal war*), drugie natomiast charakteryzują powtarzające się prawidłowości (*was immer ist*). Dlatego pierwsze określa się mianem nauk o zdarzeniach (*Ereignisswissenschaften*), drugie – nauk o prawach (*Gesetzwissenschaften*). I to te pierwsze, rzecz jasna, są jakościowo

spokrewnione z naukami o duchu. O krok dalej idzie Heinrich Rickert, według którego należy odróżniać naukę o kulturze (Kulturwissenschaft) od nauki o naturze (Naturwissenschaft). Opisy w ramach pierwszej dyscypliny wiedzy opierają się na interpretacji poprzedzającej zrozumienie systemu wartości leżącego u podstaw działań ludzkich, a owo zrozumienie jest możliwe dopiero w konfrontacji z własnymi doświadczeniami. Tym sposobem zostaje wyeksponowana osoba badacza mającego wpływ na wyniki podjętych humanistycznych obserwacji. Nauki o naturze natomiast ilościowo charakteryzują świat zewnętrzny, istniejący niezależnie od psychiki człowieka. Co więcej, traktują o zjawiskach obiektywnych, toteż zadaniem nauk przyrodniczych jest odkrywanie obiektywnie istniejących praw o świecie. Opisy wszystkich trzech typów nauk: o duchu (Dilthey), o zdarzeniach (Windelband), o kulturze (Rickert) dziś uznalibyśmy za swoiste prototypy humanistyki. Co więcej – między innymi – ci trzej filozofowie drugiej połowy XIX wieku (doby tak zwanego przełomu antypozytywistycznego) upominali się o takie dyscypliny funkcjonujące w wieku XIX, jak filologia, historia czy historia sztuki i za każdym razem odróżniali je od nauk uchodzących za pewne i niepodważalne, czyli od matematyki, fizyki czy chemii. Właśnie na ich tle wska-

zywano właściwości humanistyki, z którą wiązano: badania jakościowe przeciwstawiane ilościowym; osobę teoretyka interpretatora przeciwstawianą sądom niezależnym od doświadczenia naukowca; interpretację i swobodny, wartościujący język opisu przeciwstawiane wyjaśnianiu i sformalizowanemu, uniwersalnemu językowi opisu. Jak widać nauki przyrodnicze / ściśle łatwiej poddają się jednoznacznym charakterystyką niż humanistyczne. Cechy kategorii, ze względu na które wyodrębnia się humanistykę, są bowiem nieostre, trudne do jednoznacznego opisu (metodologia – humanistyczna to interpretacja, przeciwstawiana dedukcji czy indukcji; język opisu – humanistyczny to postulatyczny, emocjonalny, metaforyczny, przeciwstawiany formalnemu / sformalizowanemu).

Uprawniona wydaje się konkluzja, że w takiej perspektywie humanistyczny opis rzeczywistości nie będzie ani neutralny, ani obiektywny, choć jest efektem interpretacji rzeczywistości (z założenia obiektywnie istniejącej). Przyjmijmy, że to język / styl / sposób artykułowania przez badacza interpretacji stanowi jeden z wyznaczników dociekań humanistycznych i jest jedną ze swoistych składowych odróżniających humanistykę od innych nauk, niekiedy wręcz decydującą o niechęci przedstawicieli innych dziedzin wiedzy wobec humanistów.



Fot. Sławomir Makal

Kultura humanistów

W połowie XX wieku Charles Percy Snow w publikacji *Dwie kultury* (przekład polski z 1999 roku Tadeusza Baszniaka) postawił tezę, że mamy do czynienia wręcz z odrębnymi kulturami: humanistów – „intelektualistów o literackiej proweniencji” (literary intellectuals) oraz przyrodników – „naukowców” (scientists). Mowa o dwu kulturach, ponieważ światy obu grup badaczy są sobie bardzo odległe. Ci pierwsi są ignorantami na przykład w sprawach z zakresu fizyki. Drugi natomiast nie znają treści książek należących do kanonu literatury. Rozłam między omawianymi dziedzinami nauki miał być tak ogromny, że w konsekwencji doprowadził do powstania dwóch różnych kultur: inteligentów (humanistów) oraz naukowców (przyrodników / ścisłowców). Obserwacja Snowa jest jeszcze głębsza: o ile inteligenci humaniści bez skrępowania mogą przyznawać się do ignorancji z zakresu nauk przyrodniczych (z dumą nie znają drugiej zasady termodynamiki), o tyle przyrodnicy muszą się wstydzić, że nie czytali sonetów Szekspira. Kultura humanistów jest tworzona przez społeczne autorytety i to wiedza humanistyczna uchodzi za erudycyjną, wręcz elitarną. Kultura naukowców przyrodników natomiast na własną prośbę zamyka się w laboratoriach i według tak zwanej opinii publicznej uchodzi za nieciekawą, drugorzędą. Teoretyk konkluduje: za niesprawiedliwość należy uznać fakt, że naukowcy (scientists) uprawiają prawdziwą naukę i dotykają problemów ważkich, ale jako badacze nie cieszą się taką estymą jak humaniści. Snow, przyglądając się specyfice dwu dziedzin, zainteresował się nie tyle ich aspektami epistemologicznymi (poznawczymi), ile społecznymi oraz instytucjonalnymi. Dziedzinę naukową tworzą przede wszystkim ludzie istniejący w różnych układach społecznych (w tym: instytucjonalnych). Autor *Dwu kultur* naszkicował obraz jeszcze bardziej pogłębionego podziału między humanistami a ścisłowcami. W prezentowanej perspektywie naukowców dzieli już nie tylko nauka (metoda, cel, przedmiot itd.), lecz także: 1. społeczna ocena ich pracy (humanistyczna wiedza erudycyjna a przyrodnicza mądrość specjalistyczna), 2. organizacja działań (gromadzenie erudycyjnej wiedzy w bibliotekach a tworzenie niejasnych teorii w zamkniętym laboratorium). Nic więc dziwnego, że humanistyczne próby językowego przekraczania (wkraczania / szturmowania) pojęciowego / terminologicznego gmachu przyrodników spotkały się z dezaprobatą ścisłowców, o czym przypomina historia tak zwanej afery Sokala.

Humanista czyta i pisze

„[...] jeden z nas (Sokal) postanowił przeprowadzić nieortodoksyjny (i, trzeba przyznać, niekontrolowany) eksperyment: wysłać do druku w modnym amerykańskim piśmie „Social Text” poświęconym badaniom kulturowym, parodię tekstów, jakich wiele ukazało się w ostatnich latach, aby sprawdzić, czy redakcja ją opublikuje. Artykuł, zatytułowany *Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji*, pełen jest absurdów i wniosków niewynikających z przesłanek, [...] został jednak przyjęty i opublikowany. Gorzej, znalazł się w specjalnym numerze „Social Text” [...] – relacjonują w 1997 roku Alan Sokal i Jean Bricmont w publikacji pod tytułem: *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów* (wydanie polskie: 2004 rok, przekład Piotra Amsterdamskiego). Co wiadomo – sparodiowani przez Sokala postmodernistyczni intelektualiści to właśnie humaniści, którzy z pomocą swoich praktyk pisarskich zwrócili się w stronę synkretyzmu terminologicznego, a co za tym idzie i metodologicznego. Jak zweryfikował wpływający czas, była to strategia oporu przeciwko strukturalistycznym regułom postępowania badawczego. Język strukturalisty humanisty dążył bowiem do precyzji języka nauk ścisłych i z jego pomocą humanista próbował unaukować tezy, czyli chciał uczynić je sprawdzalnymi i mierzalnymi w odniesieniu do przedmiotu badań. Poststrukturalistyczny (czy postmodernistyczny) zwrot ku synkretyzmowi metodologicznemu – wiadomo – mógł prowadzić do pojęciowo-terminologicznych nadużyć (być może nadal prowadzi). I to one stały się przedmiotem parodii Alana Sokala. Prowokacja polegała na opublikowaniu bełkotliwego tekstu o charakterze humanistycznym (*Transgressing the Boundaries: Towards a Transformative Hermeneutics of Quantum Gravity*), przesyconego terminami z zakresu nauk ścisłych, i czekaniu na aprobatę zaproponowanej teorii. Kiedy koncepcja Sokala została przyjęta bardzo afirmatywnie, fizyk ujawnił, co nim tak naprawdę kierowało, demaskując kunsztownie zaplanowaną mistyfikację, co wywołało dyskusję o stanie humanistyki jako nauki. Chociaż od tak zwanej afery Sokala minęło ponad ćwierć wieku („teoria” transgresji granic została opublikowana w 1996 roku), myślę, że i dzisiaj znalazłby się dyskutanci pytający o sens „modnych bzdur” humanistycznych. Nie należy jednak zapominać, że – nawet ze względu na długość istnienia pewnego stylu humanistów – mowa raczej o tradycji wyrażeniowej humanistów. Moda w języku tekstów humanistycznych jest bowiem zależna od stylu myślowego / paradygmatu naukowego, w którym tkwi badacz interpretator.

Styl myślowy humanisty

Koncepcję stylu myślowego oraz kolektywu myślowego – rozumianego jako „ukierunkowane postrzeganie wraz z odpowiednim myślowym i rzeczowym opracowaniem tego, co postrzegane. Charakteryzują go wspólne cechy: problem, którymi kolektyw jest zainteresowany; sądów, które uważa za oczywiste; metod, których używa jako środków poznawczych. Towarzyszy mu ewentualnie techniczny i literacki styl systemu naukowego” (przekład na język polski z 1986 roku Marii Tuszkiewicz) – w latach trzydziestych XX wieku opracował Ludwik Fleck, profesor nauk medycznych, filozof i teoretyk poznania naukowego, zapomniany na dekady, inspirator koncepcji paradygmatu naukowego Thomasa Kuhna. W stylu myślowym mieści się między innymi sposób wyrażania się humanistów. Język tekstów humanistycznych jako pewnego rodzaju produkt stylu myślowego badaczy ma więc charakter zmienny i jest uwarunkowany panującym / wybranym paradygmatem (tradycją, do której należy, z którą utożsamia się, z której wyrasta teoretyk humanista).

Na gruncie polskiej humanistyki okresu między rokiem 2004 a 2019 może być mowa o pewnego rodzaju stylu myślowym zorientowanym na obserwowanie *Innego / innego*. Chodzi o tak zwane – szeroko pojmowane – studia o inności, które są duchowo spokrewnione z dialogiką / filozofią dialogu czy filozofią spotkania, a traktują między innymi o relacjach między JA a TY, między JA a INNYM, dalej: między SWOIM a OBCYM. Mogą też do studiów o inności należeć rozważania z zakresu różnych dziedzin, dyscyplin oraz różnych ich specjalności.

I tak w tekstach naukowych polskiego literaturoznawstwa tematyka Inności / inności jest bardzo chętnie podejmowana, co zweryfikowałam w toku językoznawczych analiz nad naturą humanistycznych tekstów naukowych. Przeanalizowałam wówczas bazę tekstów polskich literaturoznawców zajmujących się tematyką Inności / inności. Odpowiedź na pytanie, dlaczego właśnie w tym czasie (między 2004 a 2019 rokiem) owa tematyka okazuje się interesująca dla naukowców, wydaje się następująca: pojawiają się wówczas nowe zjawiska, które stymulują badaczy (w tym literaturoznawców) do podejmowania analiz i badań nad Innością / innością. Po pierwsze, nie tylko amerykańska kultura polskiej wynikająca z przemian ustrojowych,

lecz przede wszystkim jej europeizacja związana z dołączeniem Polski do Unii Europejskiej sprawiają, że w Polsce multikulturowa Inność / inność przestaje być czymś nadzwyczajnym. Efektem przemian politycznych i – co za tym idzie – multikulturowości może być „pierwsza fala” prac z zakresu Inności / inności, związanych przede wszystkim z etnicznością. Po drugie, przemiany społeczne mające miejsce współcześnie są z pewnością przyczyną coraz częstszego podejmowania tematyki Inności / inności w kontekście tożsamości. Mniej więcej od 2013 roku, czyli zaistnienia tak zwanej polskiej wojny o gender (określenie za Maciejem Dudą), można mówić o „drugiej fali” literaturoznawczych badań nad Innością / innością. Oznacza to, że fundament literaturoznawczych rozmyślań nad Innością / innością stanowią analizy z zakresu etniczności i tożsamości, które przynależą do badań z zakresu studiów kulturowych, studiów postkolonialnych czy studiów genderowych. Tak powstająca multidyscyplinarność znajduje swoje odbicie w języku tekstów badaczy humanistów mających tematykę Inności / inności. W ich publikacjach można między innymi dostrzec: 1. szczególnie często używane terminy (w porównaniu ze specjalistycznymi określeniami z innych baz tekstów): np. czas, ciało, interpretacja, Inny / inny, metafora, narracja, obcość, powieść, słowo, sztuka, tekst, tożsamość; 2. chętnie tworzone modyfikacje terminów istniejących w innych dyscyplinach czy dziedzinach wiedzy (w filozofii, psychologii czy socjologii): np. doświadczenie Inności / inności (z filozofii) → doświadczenie człowieka; doświadczenie egzystencjalne; doświadczenie historyczne; doświadczenie Innego / innego; doświadczenie obcości; doświadczenie świata; doświadczenie tożsamości / doświadczenie tożsamościowe; doświadczenie transgresji; 3. używanie terminów istniejących w innych dyscyplinach czy dziedzinach wiedzy (a których fachowe znaczenie wyłania się dopiero w kontekście): np. akt, cierpienie, doświadczać, etyczny, figura, gest,

gra, konstrukcja, lęk, mit, obcy, odmieniec, podmiot, Pamiędzy, przedmiot, pleć, spotkanie, stereotyp, strategia, ślad, tajemnica, twarz, ty, wykluczyć, władza; 4. umiławianie niektórych połączeń wyrazowych (niebędących terminami): np. dyskurs (genderowy, kobiecy, literacki, queerowy, seksualny i in.); kultura (interpretacji, obnażania, traumy, żydowska i in.); problematyka (genderowa, inności / Inności, płci, tożsamości i in.).

Wypunktowane zjawiska (1 – 4) można rzecz jasna uznać za pewnego rodzaju wyznacznik mody w języku tekstów humanistów. Czy jesteśmy jednak w stanie napisać tekst naukowy na określony temat (w określonym paradygmacie / stylu myślowym) bez posługiwania się wyrażeniami / terminami / pojęciami uchodzącymi za „modne”?

Praca domowa

Podajmy siebie (i naszych znajomych humanistów / studentów kierunków humanistycznych) (samo)obserwacji. Zredagujmy krótki artykuł (a może esej?) na temat śladów obecności Innego / innego w wybranych, najnowszych polskich praktykach artystycznych. Trudność polega na tym, że w całej pracy nie możemy użyć następujących określeń (w różnych formach gramatycznych, tutaj podaję tylko podstawowe): doświadczenie; doświadczyć, drugi, homoseksualizm, homoseksualny, Inność / inność, kobieta, mężczyzna, narracyjny, negatywny, normatywny, obcość, obcy, oblicze, odmieniec, osvajanie, płciowy, pleć, podmiotowość, podmiotowy, strategia, seksualny, tożsamość, transgresja, wykluczenie, wykluczyć, zbiorowy.

W artykule wykorzystuję ustalenia już raz przeze mnie poczynione i opisane w monografii *Dwie twarze humanistyki. Rozproszenie a spójność – terminy i pojęcia*.

Dr Ewelina Woźniak-Wrzesińska, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Książki nadesłane

Andrzej KOBAK, *Karol Potkański w życiu i nauce (1861-1907). Między tradycją a modernizacją*, Wyd. UŁ, Łódź 2021.

Leszek PIETRZAK, *Pierwszy demokracja Rzeczypospolitej*, Instytut De Republica, Warszawa 2021.

Danuta CIESIELSKA, Lech MALIGRANDA, Joanna ZWIERZYŃSKA, *W świątyni nauki, mekce matematyków. Studia i badania naukowe polskich matematyków, fizyków i astronomów na Uniwersytecie w Getyndze 1884-1933*, PWN, Warszawa 2021.

Patrycja RUDNICKA, *Gotowość wobec technologii. Konteksty, definicja i pomiar*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Magdalena RODE, *Poznawcze i temperamentalne wyznaczniki kryminogenezy nieletnich*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Dagmara DOBOSZ, *Kobiecość i męskość w popkulturze z perspektywy młodych dorosłych. Studium jakościowe*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Patrycja MŁYNEK, *Współpraca środowisk: szkolnego i rodzinnego z perspektywy rodziców i nauczycieli*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Tomasz BUGAJ, *Pamięć represji. Świadkowie Jehowy w Związku Radzieckim*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Tadeusz SŁAWEK, *A jeśli nie trzeba się uczyć...*, Wyd. UŚ, Katowice 2021, seria: Nowa Edukacja.

Elżbieta GÓRNIKOWSKA-ZWOLAK, *Polityka – edukacja – pleć kulturowa. Z perspektywy antropologii społecznej*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Joanna ALEKSANDROWICZ, *Obrazy Andaluzji w kinie hiszpańskim (1910-2021)*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Zenon MOJŻYSZ, *Kultura muzyczna ewangelików na Śląsku Cieszyńskim w pierwszej połowie XVIII wieku. T.1: Rys historyczny z wybranymi materiałami źródłowymi*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Joanna M. SOSNOWSKA, *Malarz. Józef Chełmoński*, Instytut Sztuki PAN, Warszawa 2021.

Piotr GRACZYK, *Warstwy ochronne. Zbiór szkiców o literaturze i polityce*, Wyd. UJ, Kraków 2021.

Maciej TRAMER, *„Wszystko zmienne”. Pięć szkiców o Władysławie Broniewskim*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Beata GLINKA, Wojciech CZAKON, *Podstawy badań jakościowych*, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 2021.

Joanna SZEN-ZIEMIAŃSKA, Weronika TRZMIELEWSKA, *U progu akademii. Wyzwania na drodze do doktoratu i kariery naukowej w naukach społecznych (i nie tylko)*, Wydawnictwo Difin, Warszawa 2022.

Weronika DRAGAN, *Kształtowanie układów urbanistycznych i przestrzennych dawnych granicznych ośrodków kolejowych Polski*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Piotr BORON, *Ludzie i pismo. Gliwicy pisarze miejscy do 1744 roku*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Dawid MADZIAR, *Książę Antoni Paweł Sułkowski (1785-1836) – działalność wojskowa i polityczna*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Rozmowa z prof. Romanem Kubickim, dziekanem Wydziału Filozoficznego
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Złamana kość kultury

Sztuka lubi tony katastroficzne, coraz rzadziej jest sztuką przyjemną, coraz rzadziej
uczujemy się w towarzystwie jej produktów miło i sympatycznie.

Czy możemy porozmawiać o pewnych modach, albo – ujmując to inaczej – o wiodących trendach w sztuce współczesnej?

W sztuce XXI wieku mamy wszystko. Każdy znajdzie to, czego szuka i czego potrzebuje. Wśród artystów – w szerokim rozumieniu tego słowa – mamy ludzi podejmujących różne strategie artystycznego bycia w świecie. Z jednej strony będą to osoby, z określeniem których nie będziemy mieli problemów, bez trudu nazwiemy je malarzami czy rzeźbiarzami, z tego powodu, że malarze – jak powszechnie wiadomo – malują obrazy, a rzeźbiarze rzeźbią. Spotkamy więc tych, którzy nawiązują do początków artystycznego osvajania świata. Znajdziemy oczywiście także artystów realizujących swój przekaz za pomocą środków, których historia sztuki przed pierwszą połową XX wieku nie znała. Nie umiałbym jednak wskazać takiego sposobu uprawiania sztuki w XXI wieku, którego nie byłoby już w wieku XX. Na pewno stałemu rozwojowi ulegają obszary związane z wykorzystywaniem szeroko rozumianych technologii informatycznych i to w różnych dziedzinach, także w malarstwie, rzeźbie czy grafice. Pojawiają się też próby wykorzystania tzw. sztucznej inteligencji. Sztuka zawsze była otwarta na technologiczne nowinki i wykorzystywała je. Jeśli komputery i technologie informatyczne są coraz bardziej obecne w naszym życiu, to siłą rzeczy muszą być też coraz bardziej obecne w sztuce. Kolejny nurt, który również w XXI wieku daje się zaobserwować, to kontynuacja artystycznej fascynacji ciałem. Może to być ciało ludzkie, ale również ciało zwierząt. Mówimy jednak o ciele jako o tworzywie działania artystycznego; nie chodzi więc o kontynuację sztuki aktu, która głównie prezentowała ludzkie ciało, jego urodę lub ułomności. Od pewnego czasu to ciało samo w sobie stało się materią eksploatowaną przez artystów. Obecnie panuje duża swoboda w traktowaniu ludzkiego ciała, ponieważ cenzura staje się mniej intensywna.

Przeglądając się aukcjom sztuki współczesnej, widzimy jednak, że wciąż największym zainteresowaniem cieszą się prace malarskie. Rekordowe ceny osiągają np. obrazy Gerharda Rich-

tera, a wśród polskich artystów najbardziej cenieni są Tamara Łempicka i Wojciech Fangor. Malarstwo nie wychodzi więc z mody, pomimo zapowiadanej śmierci tego medium. Oczywiście trudno mówić o wycenie sztuki ciała, przynajmniej w wielu przypadkach.

W Polsce nie ma przypadków inwestowania pieniędzy w niekonwencjonalne projekty artystyczne. Polska giełda sztuki raczej będzie preferowała realizacje klasyczne w bardzo szerokim znaczeniu tego słowa. Natomiast na światowych salonach sztuki mamy do czynienia z różnymi prowokacjami. Wspomnę o Banksym i jego pociętym dziele, które po akcie zniszczenia nawet zyskało na wartości i zostało sprzedane za ponad 18 mln funtów. Przypomnę o sukcesach, które na aukcjach odnosi polska malarka Ewa Juszkiewicz. Różne namiętności targają rzeczywistością sztuki i trudno wyznaczyć jeden wektor. Trzecim tworzywem, nad którym pracują współcześnie artyści, jest szeroko rozumiana materia społeczna – zjawiska dominacji, wykluczania, eksploatacji, zniewalania i czegoś tam jeszcze. Mamy więc artystę, który ani nie rzeźbi, ani nie maluje, ani nie filmuje, ani nie fotografuje, lecz jedynie w stosunkach międzyludzkich rozpoznaje tworzywo sztuki.

Wysłuchałam niedawno wykładu kuratora związanego ze znaną instytucją kulturalną, pt. *Życie, miłość i śmierć w epoce postartystycznej. O miłości i śmierci było niewiele, padały za to hasła: „ekofeminizm”, „hydrofeminizm”, „rewilding”, „endospora”... Czy zacieranie się granic pomiędzy sztuką, ekologią, socjologią i polityką jest znakiem czasu albo swoistą modą? A jeśli tak, jakie są tego konsekwencje?*

Najpierw uwaga: o nastaniu epoki postartystycznej pisał w swoich tekstach mój niezjący już przyjaciel, wybitny teoretyk sztuki Jerzy Ludwiński, któremu tutaj chciałbym oddać hołd. Jakie są tego konsekwencje, jeszcze nie wiemy. Jak mawiał Hegel: „Sowa Minerwy wylatuje dopiero o zmierzchu epoki”. Dopóki trwają nasze czasy, trudno powiedzieć, jaki dziejowy sens one realizują. No więc, jakie będą konsekwencje zacierania granic, nie wiemy, i chcę podkreślić, że to nie wiek XXI wymy-

ślił taki rozmazany obraz rzeczywistości. Patrząc z przysłowio-
wego lotu ptaka, możemy zlokalizować to zjawisko już wcześniej.
Jeszcze 100 lat temu na pytanie, ile mamy płci, jedyna odpowiedź
brzmiała: dwie, dziś słyszymy tych odpowiedzi więcej. Granice
stają się coraz bardziej rozmyte i być może sztuka jest dzie-
dziną kultury, która jako pierwsza zwróciła na to uwagę. Wielu
filozofów kultury podkreśla, że sztuka jest swoistym barome-
trem społecznych żywiołów i rozterek. Barometr jest w tym
przypadku metaforą odwołującą się do doświadczenia cho-
roby. Osoby, które doświadczyły różnych złamań, mówią cza-
sami: „Jutro będzie padać, czuję to w kościach”. Można powie-
dzieć, że sztuka jest taką ciągle złamaną kością kultury i zapo-
wiada pewne zmiany, do których w świecie dopiero dojdzie.
Tzw. postoświeceniowa nowoczesność lubiła stawiać na twarde
podziały, ale zarazem ta sama nowoczesność wyłoniła z siebie
postać, która zadaje kłam uporządkowanemu obrazowi życia
politycznego, społecznego czy artystycznego. Przecież współ-
czesna demokracja jest wymysłem nowoczesności, a gdzie
demokracja, tam bałagan, a gdzie bałagan, tam nieostre gra-
nice. W czasach społeczeństwa feudalnego był król, byli pod-
dani i mieliśmy porządek, a teraz, w tak zwanej demokracji,
obraz jest zamazany, nie wiadomo co jest dobre, a co złe, bo to,
co jest dobre z jednej perspektywy, okazuje się fatalne z innej
i na odwrót. Większość często jest manipulowana, zmienna.
Zygmunt Bauman lubił używać metafory planktonu. Plankton
to nie jest ani wieloryb, którego można zobaczyć i zrobić mu
zdjęcie, ani rekin. Plankton przypomina wodę, której kształt

zależy od naczynia, w jakim się znajduje. W demokracji nie ma
stabilnych wartości.

**Jeśli jednak mówimy o sztuce, która zatracza granice i zaczyna
zlewać się z polityką i socjologią, to nawiążę do wypowiedzi
prof. Marii Poprzęckiej: „Ocena artystów jak i ich dzieł wedle
ich poglądów i postaw politycznych jest szczególnie groźna nie
tylko dla wartościowania dzieł sztuki. Owa tendencja potrafiła
nieść ze sobą nie tylko środowiskowe ostracyzmy, ale realne
życiowe zagrożenia i represje”.**

Polityka i sztuka... Wie pani, ja pamiętam lata stanu wojen-
nego, gdy podziały społeczno-polityczne były bardzo wyraziste
i albo się kolaborowało z komuną, albo nie. Po latach ten rady-
kalny, biało-czarny obraz się rozmywa.

A czy ten okres służył samej sztuce?

Nie wiem, czy w Polsce lata 80. służyły sztuce. Mnie się
wydaje, że lepiej jej służyły lata 60. i 70. Lata 80. były za bardzo
upolitycznione. Sztuka zaangażowana politycznie była w pew-
nym sensie odwróceniem sztuki socrealistycznej. Pewne rzeźby
papieża są tak samo nieudane jak niektóre rzeźby socreali-
styczne. Takie bezpośrednie służenie wartościom politycznym
i postawom politycznym nigdy się nie sprawdza ani w sztuce,
ani w nauce, ani w filozofii. Podejrzewam, że także i w życiu,
bo wtedy nam się wydaje, że żyjemy w biało-czarnym świecie,
gdzie jedni są dobrzy, a drudzy źli – a tak nie chce być, w każ-
dym razie jest tak bardzo rzadko. Dlatego wydaje mi się, że lata



Filozof Roman Kubicki patrzy na świat przez okulary artysty Piotra C. Kowalskiego

60. i 70. były dla sztuki ciekawsze, gdyż później artyści zaczęli się angażować politycznie. Z czymś podobnym mamy do czynienia teraz, gdy społeczeństwo jest podzielone na dwie opcje i panuje skłonność do budowania dwuwartościowego, białoczarne obrazu świata. I widać, że zawsze gdy sztuka próbuje bezpośrednio uprawomocnić władzę polityczną czy postawy polityczne, to nie wychodzi na tym dobrze. Więc sztuka nie powinna wchodzić w bezpośrednią polemikę z władzą, jak to robiła w latach 80. Może to robić w sposób pośredni. W Poznaniu takim przykładem była, moim zdaniem, w latach 80. działalność artystów skupionych wokół Mariusza Kraka, którzy tworzyli Koło Klipsa. Kiedy upolitycznieni artyści bawili się w konspirację, oni spotykali się nie po to, aby rozmawiać o polityce, ale po to, by dyskutować o sztuce. W efekcie powstały bardzo ciekawe realizacje, które w istocie także kontestowały ówczesną peerelowską rzeczywistość. Dziś sprawa jest bardziej skomplikowana. Artysta nie może ani klęczeć przed władzą polityczną, ani się z nią boksować, bo żadna z tych postaw nie służy sztuce. Z politykami muszą się boksować inni politycy. Dla artysty partnerem jest inny artysta. Do czego zmierzam: nie przeceniajmy dyskursu politycznego, on jednak jest bardzo chimeryczny i chwilowy. Sztuka daje sobie radę z polityką, bo jest od niej po prostu większa i mocniejsza. To politykom się wydaje, że są więksi od artystów. Ale polityk przeważnie jest tak długo ważny, jak długo ma realną władzę. By brzmiało to wszystko politycznie poprawnie, muszę podkreślić, że chodzi mi zarówno o artystki, jak i artystów oraz o polityków i polityczki.

A jak pan widzi wątki ekologiczne i socjologiczne w sztuce?

Sztuka ziemi rozwijała się już w latach 60. i 70. Jej pojawienie się wiąże się z tzw. kryzysem humanizmu. Człowiek, który był pępkiem refleksji, zaangażowania artystycznego, człowiek wyspecjalizowany w dyskusjach kulturowych, filozoficznych, naukowych traci swoją uprzywilejowaną pozycję. Właściwie już stracił ją dzięki Darwinowi, stając się częścią przyrody. Obecnie i sztuka, i filozofia próbują to przesłanie Darwina wyeksponować także poza biologią. Nie chodzi już o człowieka, tylko o świat. I tu mamy problem, bo okazuje się, że największym zagrożeniem dla świata jest człowiek. Troska o świat – paradoksalnie – jest sprzeczną z troską o człowieka.

Paradoksalnie można też zgubić pojedynczego człowieka, troszcząc się o człowieka w sensie globalnym.

Cywilizacja miłości propagowana przez Jana Pawła II jest przejawem myślenia anachronicznego. Ludzie nie mają się rodzić, rozmnażać, tylko mają umierać. Im mniej ludzi, tym lepiej dla świata.

W takim razie mamy do czynienia z ogłaszaną przez Jana Pawła II tzw. cywilizacją śmierci.

Tak, ale to byłaby zarazem cywilizacja życia dla świata.

Człowiek także jest częścią świata, a z pewnych narracji ekologicznych wyklucza się człowieka.

Niestety tak! I sztuka pokazuje tę sprzeczność.

Jeżeli będziemy mieli czystą ekologię, to nie będziemy mieli sztuki, bo czysty ekologicznie zubr nie będzie sztuki uprawiał. Mamy nawarstwiający się paradoks.

Antyhumanizm jednak akceptuje stawianie pytań: dlaczego punkt widzenia człowieka ma być dominujący w ocenie rzeczywistości? Poznański artysta Piotr C. Kowalski bardzo sensownie łączy w swoich realizacjach te sprzeczne emocje. Angażuje w nie zarówno kulturę, jak i naturę: ślady ludzi i przyrody.

Trudno jest jednak zdefiniować inny punkt widzenia niż ten, który wynika z naszego ludzkiego doświadczenia. Nie ma przecież innych żyjących jednostek, które mogłyby definiować swój punkt widzenia. Nawet jeśli mówimy o punkcie widzenia planety czy świata, to opieramy się na naszych, ludzkich zdolnościach poznawczych.

To, co pani mówi, to jest miód na moje filozoficzne serce, bo ja też tak uważam, a jednak antyhumanisci są przekonani, że jesteśmy takimi myślowymi staruszkami, którzy wciąż kręcą się wokół Kanta. Tymczasem trzeba wyjść dalej, zapomnieć o własnym interesie gatunkowym i wsłuchać się w interes pozagatunkowy, pozaludzki. Wtedy okazuje się jednak, że największym zagrożeniem dla świata jest, jak już wspomniałem, człowiek, który – jak pani słusznie zauważyła – jest tego świata częścią. Antyhumanisci uważają, że człowiek o tyle jest częścią świata, o ile uważa się za jego nowotwór. Sztuka lubi tony katastroficzne, coraz rzadziej jest sztuką przyjemną, coraz rzadziej czujemy się w towarzystwie jej produktów miło i sympatycznie. Nie ma byc miło – po prostu. Dostarczanie miłych podnień wzięła na siebie kultura masowa, a sztuka nie chce z nią rywalizować. Jest raczej styropianem, którym pocieramy o szybę. Od 24 lutego nie bardzo wiemy, w jakim świecie żyjemy. Do tego dnia wydawało nam się, że jest to świat już zamknięty na pewne upiorne doświadczenia. Nagle okazało się, że jest inaczej.

Z europocentrycznej perspektywy często nie dostrzegano upiornych doświadczeń, które były udziałem mieszkańców innych części świata.

Mieliśmy być społeczeństwem konsumpcyjnym, hedonistycznym, zamkniętym na pewne doświadczenia, a tu nagle stajemy się świadkami zmartwychwstania pewnych naszych tradycyjnych strachów i upiorów.

Czy istnieje współczesny „salon odrzuconych”?

Każda epoka ma zarówno swoich beneficjentów, rozpychających się w jej różnych centrach: ekonomicznych, politycznych, artystycznych, literackich, naukowych, rozrywkowych i jakichś tam jeszcze, jak i swoich outsiderów, którzy kulą się na jej licznych marginesach. Nie chce być inaczej. To przykra logika życia, zgodnie z którą zwycięzcy żyją tylko na tle przegranych, najczęściej zapomnianych. Potem jest jeszcze inaczej: przegranych już w pamięci nie ma, a zwycięzcy wciąż mają się w niej coraz lepiej. Gdzie nie ma przegranych, nie ma też zwycięzców, a gdzie są zwycięzcy, muszą być też i przegrani. Jak to się ma do Salonu Odrzuconych, czyli wystawy dzieł odrzuconych przez jury Paryskiego Salonu, zorganizowanej na polecenie Napoleona III w 1963 roku w Paryżu? Przypomnę, że Paryski Salon w XIX wieku miał monopol na wystawianie dzieł żywych w społecznej wyobraźni. Artysta, który marzył o zrobieniu kariery artystycznej, musiał wcześniej pokazać swoje obrazy w tym salonie. O jego losie decydowało jury, w połowie XIX wieku bardzo konserwatywne m.in. pod wpływem przewodniczącego, hrabiego Émiliena de Nieuwerkerke, który kierował wtedy paryską Akademią Sztuk Pięknych. W 1855 r. salon odmówił wystawienia obrazów Courbeta, który w odpowiedzi zorganizował własny pawilon wystawienniczy. W 1863 liczba dzieł nieprzyjętych przez salon sięgała kilku tysięcy. Grupa malarzy złożyła w tej sprawie do ministerstwa list protestacyjny, o którym dowiedział się Napoleon III. Cesarz osobiście obejrzał obrazy odrzucone przez salon i polecił pokazać je na odrębnej wystawie, zwanej Salonem Odrzuconych. Hrabia Émilien był szczerym, autentycznym i ztwardziałym konserwatystą. Wiedział, jakich wartości i norm w sztuce broni oraz wiedział także, czego w sztuce nie chce nigdy znaleźć. Używając modnego dziś kolokwializmu, można powiedzieć, że pan

hrabia odkleił się od świata, od swojej współczesności. „Salon odrzuconych” zakłada istnienie świata obiektywnych wartości i norm, który stawia twardy opór nowym potrzebom i wizjom artystycznym. Artyści odrzuceni przez hrabiego de Nieuwerkerke sami odwracali się od świata jego sztuki i życia. Hrabia nie chciał, by kiedykolwiek wypłynęli na powierzchnię społecznej wyobraźni. Stało się inaczej – to właśnie oni pływają w niej po dzień dzisiejszy.

Powtórzyć zatem pytanie: czy w sztuce współczesnej także znajdziemy „salon odrzuconych”?

Dzisiejsi odrzuceni artyści są chyba w trudniejszej sytuacji. Nie mogą bowiem kontestować sztuki współczesnej w imię jakiejś przyszłości odrzuconej przez uznanych, współczesnych artystów, bo takiej odrzuconej przez sztukę współczesną przyszłości po prostu już nie ma. Mogą jedynie, wypinając się na współczesność, pochylić się z nabożnym szacunkiem przed jakąś idealizowaną przez nich przeszłością sztuki. Być może jednak o salon odrzuconych przez współczesność trzeba zapytać tych artystów, którzy się za takich odrzuconych uważają. Znam kilku, każdy z nich ma żal do współcze-

snych artystów o to, że nie chcą tylko naśladować umiejętności swoich dalekich artystycznych przodków. Wróżąc z fusów przyszłości, zaryzykują jednak i naszkicują wizję sztuki, której wciąż nie ma, a która mimo to poraża nas swą bolesną aktualnością. Świat potrzebuje naprawdę innej sztuki. Chodzi o sztukę, która nauczy nas wreszcie akceptować własną śmierć, przywitać ją we własnym życiu – poprawiam, rzecz jasna, św. Franciszka z Asyżu, który rozpoznawał w śmierci swoją siostrę – jako moją Matkę Śmierć. Przynajmniej chrześcijaństwo zawiodło pod tym względem. Choć miało bowiem otumanic ludzką śmiertelną nadzieją na życie wieczne, zbudowało swoją egzystencjalną narrację na strachu przed śmiercią. Oddaję zatem głos artystom, bo to oni zawsze okazali się mądrzejsi od filozofów.

Jednak – jak mi się wydaje – w centrum chrześcijańskiej doktryny jest Zmartwychwstanie, a nie śmierć. Zazwyczaj zostawiam ostatnie zdanie swojemu rozmówcy, mamy więc może temat na kolejną rozmowę.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Książki nadesłane

Dominika RYCHEL-MANTUR, *Polityk dwóch epok. Działalność publiczna Tadeusza Matuszewicza (1765-1819)*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Magdalena HYLA, *Fotografia osobowości. Wizerunek osób o cechach ciemnej triady osobowości*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Tadeusz SŁAWEK, *Furia i szlachetniejszy rozum. Próby o „Burzy” Williama Szekspira*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Barbara ORZEŁ, *Kulturowe i społeczne konteksty pandemii COVID-19*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Anna Małgorzata KAMIŃSKA, Łukasz OPALIŃSKI, *Cykle życia publikacji naukowych warunkowane praktyką cytowania piśmiennictwa*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Małgorzata MYL, *Członkowie rodziny jako ofiary poważnych naruszeń praw człowieka. Studium z zakresu prawa międzynarodowego praw człowieka oraz międzynarodowego prawa karnego*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Gabriela ABRASOWICZ, *(Trans)pozycje idei w postjugoślawiańskim dramaturgii oraz teatrze (1990-2020). Perspektywa transkulturowa*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Bycie w terenie / Being out of the land / Estar en el terreno, red. Aleksandra KUNCE, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Franciszek KŁOSOWSKI, *Podstawy geografii usług*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Agnieszka ADAMOWICZ-POŚPIECH, *Adaptacje biografii i twórczości Josepha Conrada w kulturze współczesnej*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Lech MIODYŃSKI, *Slawistyka integralna. Naukowy kanon i erozja systemu (kontrapunktu południowo- i zachodniosłowiańskiego)*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Rafał Stanisław NAWROCKI, *Eques Polonus. Rycerski pomnik nagrobny w sztuce polskiej XVI wieku jako wyraz stanowego prestiżu szlachty*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2021.

Grażyna MAROSZCZUK, *Artykulacje traumy: Andrzej Strug, Tadeusz Konwicki*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Włodzimierz TORUŃ, *Mapa podróży i wyobraźni. Studia o Juliuszu Słowackim*, Pewne Wydawnictwo, Kielce 2021.

Maria CHEŁKOWSKA-ZACHAREWICZ, *Zagadka emocji muzycznych. Czym są, jak powstają i czy są podatne na zmiany?*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Agnieszka KRZEMIŃSKA, *Grody, garnki i uczeni. O archeologicznych tajemnicach ziem polskich*, Wyd. Literackie, Kraków 2022.

Mirosława SZOTT, *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*, Oficyna Wyd. UZ, Zielona Góra 2021.

Łukasz KUCHARCZYK, *Granty i smoki*, Pewne Wydawnictwo, Kielce 2022.

Joanna DEMBIŃSKA-PAWELEC, *Sens życia, sens wiersza. Szkice o twórczości Stanisława Barańczaka*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Agata BŁOCH, *Wolni i zniewoleni. Głosy grup podporządkowanych w historii imperium portugalskiego*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2022, seria: Monografie FNP.

Anna PIĄTEK, *Wszyscy jesteśmy Judaszami. Zdrajca i zdrada we współczesnej literaturze hebrajskiej*, Wyd. UJ, Kraków 2022, seria: Studia polsko-żydowskie.

Marcin JURCZYK, *Uwarunkowania czynów karalnych młodzieży w świetle teorii napięcia Roberta Agnew. Studium empiryczne z zakresu pedagogiki resocjalizacyjnej*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Marek JOB, *Problem antycznej teorii solarnej*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Jan SŁOMKA, *Filozofia Emmanuela Levinasa jako ancilla theologiae*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Ryszard MIKOSZ, *Wprowadzenie do prawa środowiska*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Barbara SAMBOR, *Wymowa młodych aktorów. Analiza wyników badań realizacji fonemów spółgłoskowych*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Paweł ARMADA, *Mistrzowie koncentracji. Aktualne nauki dla przyszłych humanistów*, t. I-II, Wyd. Animi2, Bielsko-Biała 2022.

Krystyna CZERNI, *Nowosielski na Śląsku. Sztuka Sakralna*, Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2022.

Modna historia sztuki

Na prace naukowe historyków sztuki (choć nie tylko) bardzo duży wpływ mają mody intelektualne, które panują wśród decydentów otaczających system akademicki. Z jednej strony związane są one z różnymi ideologiami, jakie panują wśród państwowych i niepaństwowych dystrybutorów pieniędzy i prestiżu. Z drugiej zaś system recenzencki utrwała pewne trendy i mody, gdyż odejście od nich grozi utratą grantów.

Pojęcie mody w naukach ścisłych można znacznie odbiegać od swojego odpowiednika w naukach humanistycznych zwanych niekiedy sztukami. Ale także pośród samych nauk humanistycznych historia sztuki jest szczególnie narażona na wpływy mniej lub bardziej ulotnych prądów estetycznych i gustów. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest niewątpliwie badana materia. Same zmiany stylów w dziejach artystycznej twórczości oraz upodobania odbiorców mają często charakter mody.

Historycy i krytycy sztuki poddają się owym prądom przede wszystkim z obawy przed wykazywaniem się zbyt ostrymi sędziami i ocenami. Nic dziwnego, wszyscy mamy w pamięci katastrofy, jakie przydarzyły się niewczesnym krytykom malarstwa impresjonistów, kubistów czy innych prądów artystycznych. Podobnie rzecz się ma z recepcją dawnej sztuki. Mało kto jest w stanie policzyć, ile razy sztuka barokowa była określana jako wyjątkowo fatalny czas dla artystów. Odrzucano sztukę secesji, by później – pod wpływem prominentnych badaczy – przywracać ją na nowo do łask.

Jak widać, sprawa jest trudna, ponieważ mamy do czynienia ze specyficzną dziedziną pracy intelektualnej. James Ackerman twierdził, że „(...) pisanie o sztuce samo jest sztuką; sztuką, którą można uprawiać na różne sposoby, lecz w której zawsze – jak w sztuce w ogóle – oparte na wyobraźni sformułowanie musi napęlić treścią techniczny aparat” (*Historia sztuki a problem krytyki* [w:] *Pojęcia, problemy metody współczesnej nauki o sztuce*, wybrał, przekłady przejrzał, wstępem opatrzył Jan Białostocki, Warszawa 1978).

Idąc dalej za rozważaniami wybitnego historyka i znawcy sztuki, warto przypomnieć, że chociaż jego dyscyplina jest niewątpliwie nauką historyczną, to jednak pod pewnym bardzo istotnym względem różni się od historii. Otóż zadaniem badacza dziejów, także kultury i sztuki, jest odkrywanie faktów i stwierdzanie „jak było”, ale w tym specyficznym, omawianym w niniejszym tekście, obszarze nie sposób uniknąć sądów opartych na smaku i guście. Właściwie niemożliwa jest historia sztuki, która nie pozwalałaby na dokonywanie ocen estetycznych oraz tworzenie hierarchii jakości poszczególnych dzieł sztuki. A to są już obszary, w których absolutny obiektywizm jest absolutnie niemożliwy, więc nie sposób unikać wpływu dominujących w danym momencie gustów estetycznych.

Ale nie tylko ocena estetyczna wpływa na subiektywny opis i wartościowanie poszczególnych dzieł i ich twórców. Proponuję rozważyć następujący przypadek. Jak wiadomo, w długim okresie dziejów sztuki europejskiej obowiązywała hierarchia tematów. Sceny religijne i mitologiczne były notowane wyżej niż historyczne, a te z kolei były, w oczach ówczesnych decydentów, więcej warte niż na przykład sceny rodzajowe i pejzaże. Jednakże wiek XX i XXI przyniosły ze sobą zupełnie nowe, zdecydowanie większe zasoby indywidualizmu. Dlatego też, stając wobec artysty, który odrzucał ową hierarchię i wybierał na przykład malarstwo pejzażowe, wielu z nas daje mu specyficzne „dodatkové punkty”, właśnie za indywidualizm i nonkonformizm. Czy jest to słuszne? Szalenie trudno udzielić odpowiedzi na takie pytanie.

Trudno też odpowiedzieć, na ile uleganie tak powszechnym prądom intelektualnym można jeszcze określać mianem mody. Możemy jednak przyjąć za Wiesławem Leszkiem (*Moda w nauce*, „Tribologia” nr 5/2012) pojęcie mody jako, po pierwsze: „zwyczaj, obyczaj przejściowy, zmienny, przeciwstawiający się dotychczasowej tradycji w danej dziedzinie”; po drugie: „styl ubierania się charakterystyczny dla danej epoki, dla określonego terytorium; zespół norm dotyczących zewnętrznego wyglądu człowieka, panujących, lansowanych przez pewien czas”. I w takiej sytuacji stwierdzenie, że wpływy prądów społecznych i intelektualnych na dziedzinę zwaną historią sztuki są ogromne, w najmniejszym stopniu nie będzie odbiegać od prawdy.

Dyktatorzy mody

Należy ponadto pamiętać o jeszcze jednym bardzo istotnym czynniku. Jeżeli bowiem używamy alegorii mody, to pamiętajmy, że także w nauce możemy zetknąć się ze swoistymi „dyktatorami mody”. W Polskiej historii sztuki, w drugiej połowie zeszłego wieku ogromną popularnością cieszyła się metoda ikonologiczna. I chociaż była to metoda bardzo popularna na całym świecie, co zawdzięczała temu, że pozwalała udzielać bardzo dobrych odpowiedzi na szereg pytań zadawanych przez historyków sztuki, to w Polsce swoje znaczenie zawdzięczała także (a może przede wszystkim) przemożnemu wpływowi, jakie na nasze środowisko wywierał Jan Białostocki. Czy bycie ikonologiem było modne? Z całą pewnością można było



Rys. Sławomir Makal

zastosować takie twierdzenie wobec szeregu badaczy na całym świecie.

Wreszcie – last but not least – należy pamiętać, że na prace naukowe historyków sztuki (choć nie tylko) bardzo duży wpływ mają mody intelektualne, które panują wśród rozmaitych decydentów otaczających system akademicki. Z jednej strony związane są one z różnymi ideologiami, jakie panują wśród państwowych i niepaństwowych dystrybutorów

pieniędzy i prestiżu. Z drugiej zaś system recenzencki utrwała pewne trendy i mody, gdyż odejście od nich grozi utratą grantów. Zatem, jak widać, „modna historia sztuki” jest zjawiskiem nie tylko oczywistym, ale także wynikającym z samej natury tej dyscypliny oraz systemu organizowania i finansowania nauki.

Zanim przejdziemy dalej, warto jednak zadać sobie pytanie, czy zjawisko występowania mód jest negatywne i czy należy odrzucić je z zasady? Innymi słowy, dlaczego o niektórych

metodach badawczych mówi się, że są modami, co temu określeniu nadaje charakter pejoratywny?

Zacznijmy od twierdzenia, że w gruncie rzeczy brakuje nam dobrze opracowanego pojęcia „mody”. Co zmusza nas do prowadzenia rozważań na gruncie języka popularnego. Dlatego też w użytek niniejszego tekstu proponuję cztery wyróżniki.

Pierwszym jest kategoria nowości. Moda jest czymś nowym, mającym w swym zamierzeniu odróżnić od zastanego schematu. Dlatego też zwolennicy pewnych mód są zazwyczaj dosyć radykalni w swych tezach i ocenach. Jednocześnie też nie czują się zmuszeni do opierania swych tez na dotychczasowych ustaleniach badawczych. Chociaż nie oznacza to, że odrzucają je z zasady.

Drugą cechą jest swoista zewnętrzność, mody w badaniach naukowych bardzo często opierają się na kategoriach etycznych, społecznych lub politycznych. Natomiast niekoniecznie muszą opierać się na metodologii badawczej.

Trzecią cechą jest krótkotrwałość i ulotność mody. Jeżeli jakiś system myślenia lub działania jest modą, to w miarę upływu czasu zmienia się i powoli zaczyna tracić na popularności. Na jego miejsce pojawiają się nowe, odmienne sposoby myślenia. A co więcej, przez wyznawców mód jest to uważane za wartość.

Czwartym i ostatnim wyróżnikiem jest swoista powierzchowność, mody pozwalają na szybkie i niewymagające osiągnięcie popularności i znaczenia (nie wspominając o pieniądzach), zaś nie stawiają swoich wyznawców wobec konieczności odnajdowania prawdy.

Należy jednak pamiętać, iż fakt, że jakaś metoda jest modna, nie musi z zasady jej dyskwalifikować. Moda oznacza powierzchowną popularność, a nie słabość metodologiczną sposobu postępowania. Problem z modą polega zatem na tym, że metodę wybieramy z powodu jej popularności, a nie wartości merytorycznej.

Władza, ciało, seksualność

Obecnie wśród badaczy historii sztuki możemy wyróżnić dwie najbardziej popularne mody metodologiczne. Pierwszą jest opieranie się na teoriach gender. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że gender jako metoda badania dziejów sztuki jest modą wyraźnie wypierającą feminizm, który jeszcze niedawno święcił tryumfy wśród znacznej części historyków sztuki. Zwolennicy tej mody opierają się na koncepcji głoszącej, że gender oznacza płęć kulturową, czyli zespół zachowań, norm i wartości przypisanych przez kulturę do każdej z płci. Istotnym elementem tej koncepcji jest fakt, że owe normy i wartości są – jakby z zasady – zewnętrzne w stosunku do samych osób i mogą stanowić źródło zniewolenia, dlatego też ta metoda bada kto, i w jaki sposób, manipulował tymi wizerunkami na przestrzeni dziejów. W przekonaniu dużej części badaczy badania nad historią obrazów mogą być bardzo owocne. Warto zwrócić uwagę na trzy wyróżniki teorii gender w badaniach nad dziejami sztuki.

System patriarcalny, będący kluczowym pojęciem owej koncepcji, umacniał swą dominację społeczną poprzez manipulację wizerunkiem kobiety i mężczyzny w sztuce. W jednym z opracowań pojawia się nawet pojęcie „władza estetyczna”. Chodzi o książkę Carolyn Korsmeyer *Gender w estetyce*, w której autorka stawia tezę, że znaczenie dla sztuki ma nie tylko jakość artystyczna, czyli piękno, umiejętności techniczne twórcy czy nawet stosowane materiały. Z punktu widzenia genderyzmu istotne są analizy pozwalające na rozpoznanie mechanizmów władzy, a także pozycji oraz roli społecznej. Gdziekolwiek istnieje jakakolwiek władza, tam musi dochożyć do wykształcenia społecznych nierówności, zaś sztuka jest przedsięwzięciem, w którym ciało i seksualność, płęć i pozycja

społeczna oraz władza kulturowa odgrywają zasadniczą rolę. Z przyczyn oczywistych owa „władza estetyczna” jest pomijana milczeniem i właśnie nagłośnienie istnienia tych mechanizmów oraz ich wyjaśnienie pozwoli na lepsze zrozumienie świata i sztuki, uzupełniając jej obraz o mechanizmy do tej pory zaniebdywane.

Koncepcje gender o wiele szybciej rozwijają się w ośrodkach zajmujących się sztuką najnowszą, jednakże coraz więcej opracowań dotyczy sztuki dawnej. Różnice pomiędzy teoriami feministycznymi a omawianą modą naukową opierają się na tezach niemających żadnego związku z historią sztuki, chodzi bowiem o trwałość płciowości biologicznej i jej ewentualnej dominacji nad społecznymi rolami płci.

Próby wyjaśnienia świata

Kolejną modą święcącą na świecie tryumfy, być może nawet większe od koncepcji gender, jest teoria postkolonializmu. Zasadniczą myślą tej teorii (metody, postawy?) jest przekonanie, że europocentryczna historia sztuki narzuca swoją metodologię także badaniom nad sztukami innych cywilizacji, a ponieważ nie odpowiadają one myśli europejskiej, dlatego też studia postkolonialne na obszarze sztuki mają dwa podstawowe zadania. Pierwszym jest demistyfikacja przewagi sztuki europejskiej nad sztukami innych obszarów oraz wypracowanie metody rozpoznania kolonialnej dominacji i opisanie jej mechanizmów. Pozwoli to na poszerzenie obszarów wolności także na sztuki plastyczne. Drugim celem postkolonializmu jest swoisty „rewanżyzm”. Celem tych koncepcji jest: „(...) promowanie (między innymi za pomocą postkolonialnej literatury, historii, sztuki, nauki), «postkolonialnych rodzajów wiedzy» (wiedza oporu), które kontestują europocentryczny sposób poznania z jego esencjalizmem, metanarracjami, uniwersalizmem, ideą postępu i celowości oraz myśleniem w kategoriach binarnych opozycji jako ideologię legalizującą imperialną dominację” (Ewa Domańska, *Badania postkolonialne*).

Ciekawy jest fakt, że teorie postkolonialne rozwijają się w okresie szczególnie silnego globalizmu. Dlatego też warto zadać sobie pytanie, czy są one bardziej odpowiedzią na pytania zadawane przez historię sztuki, czy też skutkiem politycznej agendy.

Jednakże w przypadku obu omówionych powyżej postaw badawczych sztuki termin „metoda badawcza” wciąż zdaje się nieco na wyrost. Obie opierają się przede wszystkim na postawie moralnej i politycznej. Nie są odpowiedziami na pytania odnoszące się do sztuki i jej dziejów, lecz próbą wyjaśnienia świata.

Cechą mody jest to, że zazwyczaj wynika z jakichś potrzeb społecznych, i popularność wynika z przekonania, że owe potrzeby zostaną za pomocą tej postawy badawczej rozwiązane. Oznacza to, że mogą one przemienić się w dobrze opracowane metody badawcze i stać się wartościowym elementem nauk, na przykład historii sztuki. Jednakże, jak się wydaje, największym utrudnieniem w ich rozwoju są zarówno teoria gender, jak i badania postkolonialne. Problem polega na tym, że ich przedstawiciele jakby z założenia odrzucają jakąkolwiek zewnętrzną krytykę, widząc w niej elementy przymusu i zniewolenia.

Jest to także cecha charakteryzująca zjawisko zwane modą: podział „my – oni” kształtuje się wedle linii demarkacyjnej „osoby modne – osoby niemodne”. Przy czym owi „niemodni” odbierani są jako wrogowie. Niestety nie wróży to zbyt dobrze przyszłości obu postaw badawczych.

Juliusz Gałkowski, historyk i krytyk sztuki, publicysta, członek zespołu miesięcznika „Nowe Książki”

Rozmowa z prof. Januszem Stankowskim z Politechniki Śląskiej

Artyści i inżynierowie

Zdecydowanie jestem zwolennikiem poglądu, że architektura jest sztuką, a pogląd ten wcale nie jest taki oczywisty.

Jak to się stało, że kierunek artystyczny, jakim jest architektura wnętrz, został utworzony na Politechnice Śląskiej?

To było po roku dwutysięcznym, kiedy w zmieniającej się rzeczywistości ministerstwo promowało inicjatywę związane z powoływaniem nowych kierunków. Akademia Sztuk Pięknych już wcześniej nawiązała kontakt z politechnikami, gdyż uruchomiliśmy w Poznaniu kierunek architektura. Był to prekursorski eksperyment w Polsce, wynikający wyłącznie z przesłanek ideowych – niepokoił nas los absolwentów. Ponieważ w tym okresie mówiło się, że „pieniądz idzie za studentem”, politechniki zaczęły przyjmować nieracjonalne ilości kandydatów na studia, także na architekturę. Po pewnym czasie na rynek pracy trafiły horrendalne liczby architektów. Aż tyle się w Polsce nie budowało i nie buduje, w związku z tym gros absolwentów architektury zaczęło przejmować pewien segment rynku dotyczący projektowania wnętrz. Sprzyjało temu nowe prawo budowlane, które wygenerowało taką sytuację, że jakakolwiek zmiana w obiekcie związana ze zmianą konstrukcji, np. wykucie drzwi, wymagała kwalifikacji i pozwoleń, których architekci wnętrz nie posiadali, pomimo świetnego przygotowania technicznego. W tym czasie dziekanem Wydziału Architektury i Wzornictwa ASP w Poznaniu został śp. prof. Zdzisław Łosiński, a ja pełniłem funkcję prodziekana. Po wielu dyskusjach podjęliśmy decyzję, aby zaproponować studentom pewną alternatywę, mianowicie studia architektury. Utworzyliśmy je w porozumieniu z ówczesnym dziekanem Wydziału Architektury Politechniki Poznańskiej prof. Wojciechem Bonenbergiem.

Zwróciliście się o kadry do politechniki?

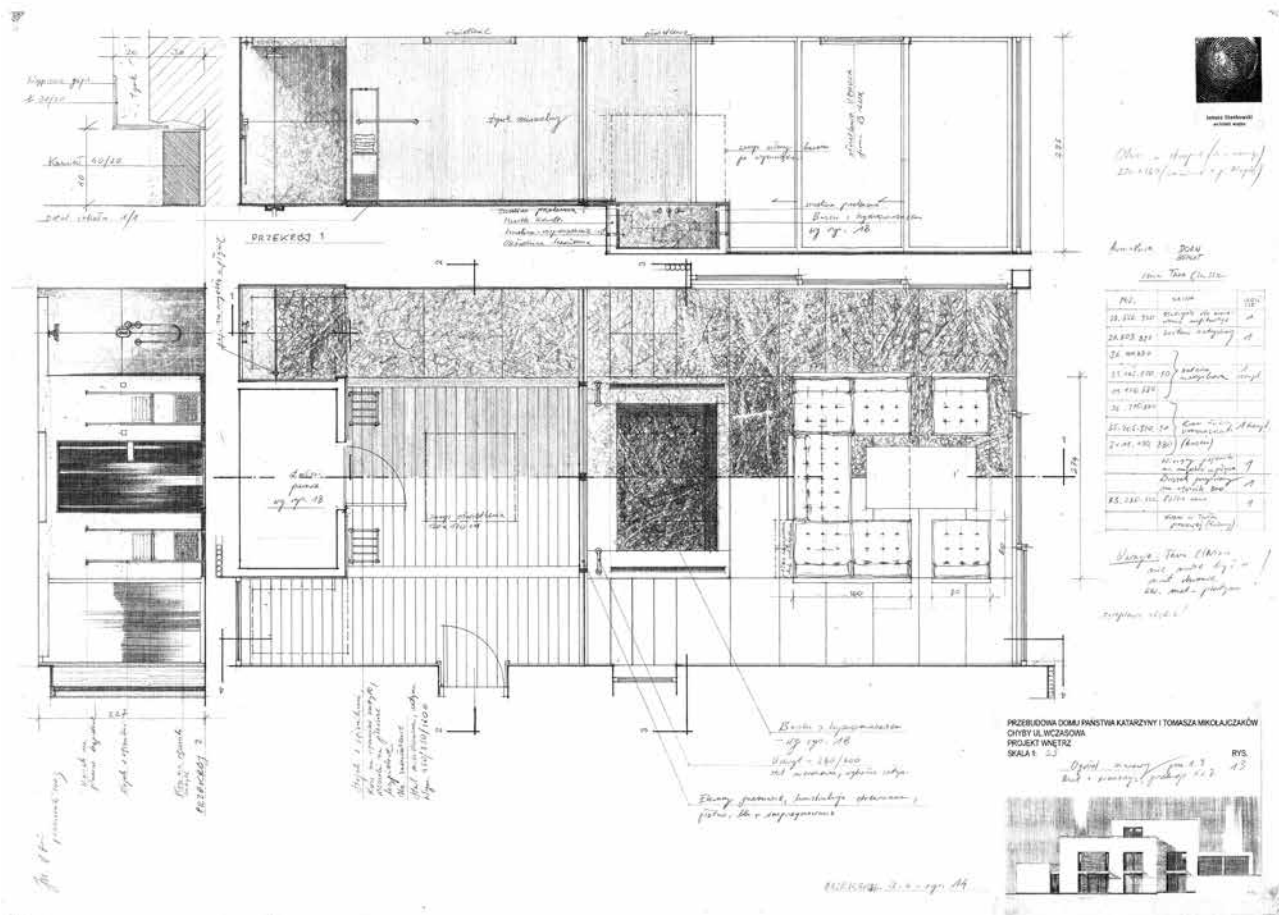
Tak.

Korzystna wymiana – wykładowcy mogli wyrwać się ze świata techniki i dotknąć spraw bliższych samej idei architektury. Pewnie dlatego nie traktowali ASP jako konkurencji.

Niemniej nasze kierunki oczywiście się różniły. Musieliśmy spełniać pensum programowe, natomiast wszystkie luki, które były w standardach kształcenia, wypełnialiśmy przedmiotami artystycznymi, z kolei politechnika wypełniała je przedmiotami technicznymi. Prof. Wojciech Bonenberg zaproponował wymianę obopólną, wykładowcy ASP zaczęli także pracować na politechnice. Ciepło wspominam ten okres, bo studenci z politechniki bardzo chętnie uczestniczyli w zajęciach, które odbywały się w pracowniach artystyczno-projektowych. Na politechnice z kolei – podpatrując, co u nas się dzieje – wprowadzono

takie przedmioty, jak projektowanie graficzne i architektura wnętrz, a na ostatnim roku studenci robili własne portfolio, co pomagało im w starcie zawodowym. Problem integracji środowisk zawsze mnie intrygował. Choć moimi mistrzami byli architekci po Politechnice Wrocławskiej: Jan Węclawski, Włodzimierz Wojciechowski, Jerzy Schmidt, nigdy nie miałem wątpliwości, że to są artyści i kształcą nas na artystów. Zmierzam jednak do tego, że po otwarciu kierunku architektura w ówczesnej poznańskiej ASP prof. Zdzisław Łosiński i ja zaczęliśmy być zapraszani do Warszawy na spotkania dziekanów reprezentujących wydziały architektury wszystkich polskich uczelni. I tak, poprzez prof. Bonenberga, absolwenta Politechniki Śląskiej, poznaliśmy dziekana ówczesnego Wydziału Architektury PŚ prof. Krzysztofa Gasidłę, który bardzo interesował się architekturą wnętrz. Otrzymałem od niego propozycję opracowania schematu programowego tego kierunku, aby wdrożyć go na Politechnice Śląskiej. Podjąłem się tego zadania.





Program został opracowany na bazie architektury wnętrzu prowadzonej w ASP?

Tak i z wykorzystaniem doświadczeń, które już miałem na Politechnice Poznańskiej, a także w Wyższej Szkole Sztuki Użytkowej w Szczecinie. Okazało się, że kierownikiem Katedry Sztuk Pięknych na Śląsku jest nasz kolega malarz, prof. Krzysztof Markowski, którego znałem i lubiłem.

Katedra Sztuk Pięknych na Politechnice Śląskiej była dedykowana studentom architektury?

Tak. Później także studentom architektury wnętrzu. To był przyrządek sztuki, niezwykle ważny, uważam, że fundamentalny. Zdecydowanie jestem zwolennikiem poglądu, że architektura jest sztuką, a pogląd ten wcale nie jest taki oczywisty.

Niestety.

Spotkałem się np. z opiniami, że architektura jest nauką w sensie teoretycznym, co można zakwestionować, bo architektura jest przede wszystkim umiejętnością, a umiejętność to przeciwieństwo sztuki. System awansów na politechnice jest inaczej skonstruowany niż w uczelniach artystycznych – tam np. nie ma instytucji asystentów. Ktoś po doktoracie może od razu wkroczyć w tryb dydaktyczny, ale zapytam: gdzie jest okres pedagogicznego terminowania? Sztuki uczy się najskuteczniej, jak mi się wydaje, w profilu mistrzowskim, warsztatowym. Dlatego w uczelniach artystycznych pracownia nadal jest podstawową jednostką, z pełną odpowiedzialnością profesora za wyniki kształcenia. Oczywiście profesor musi się wpisać organizacyjnie i programowo w katedrę, w ducha uczelni, ale jednak on nadaje pewien ton, osobowość. Moim zdaniem tego powinniśmy bronić. Poznańska uczelnia artystyczna przechodziła głębokie reformy, jednak formuła zajęć pracownianych się nie zmieniła.

Czy miał pan dużą autonomię przy tworzeniu koncepcji programowych dla architektury wnętrzu na Politechnice Śląskiej?

Tak. Przygotowałem ramy programowe dotyczące poszczególnych przedmiotów i to zostało właściwie bez zastrzeżeń przyjęte i wdrożone. Ówczesna Katedra Sztuk Pięknych (obecnie Katedra Sztuk Pięknych i Projektowych) była jednostką w znacznej mierze samodzielnie, pracowali tam wybitni twórcy. Rzeźbę prowadził prof. Stanisław Słodowy, grafikę i rysunek prof. Jacek Żurkowski, rysunek i malarstwo Adam Styrylski, z Poznania oprócz mnie zatrudniono prof. Jerzego Stillerera, a kierownictwo katedry po prof. Markowskim objęła prof. Natalia Bąba-Ciosek. Natomiast kierunek przyjął strukturę organizacyjną wydziału. Na politechnice, w przeciwieństwie do uczelni artystycznych, nie ma pracowni, prowadzi się poszczególne przedmioty.

A jak pan ocenia efekty takiego kształcenia na tle systemu pracownianego?

Zdecydowanie uważam, że system pracowniany jest lepszy, aczkolwiek poziom bardzo trudno oceniać. Z racji mego długoletniego doświadczenia jestem bardzo krytyczny w stosunku do tych wszystkich weryfikacji i akredytacji. Przez wiele lat brałem udział w egzaminach wstępnych: od asystenta, który nosił teczkę, poprzez sekretarza, do kierownika komisji. Cóż mogę stwierdzić – mimo że formuła egzaminu nieustannie się zmieniła, nie osiągnęła optymalnego kształtu. Nie jest to doskonała weryfikacja, o czym najlepiej świadczy fakt, że w pewnym momencie uruchomiliśmy w poznańskiej uczelni studia niestacjonarne, na które trafiali ci kandydaci, którzy się nie dostali na bezpłatne studia dzienne. I proszę sobie wyobrazić, że po roku pracy czasami okazywało się, że poziom jest wyższy niż na stacjonarnych.

Powstał salon odrzuconych...

Czyli nasz sposób weryfikacji był ułomny. Reforma egzaminu polegała na jego nieustannym skracaniu: ja zdawałem egzamin w ciągu dwóch tygodni, teraz trwa on trzy dni. Ale – wracam do poprzedniego wątku – wydaje mi się, że poziom absolutów architektury wewnątrz jest porównywalny, niezależnie od tego, czy studiuje na uczelni artystycznej, czy na politechnice. Te osoby opuszczają uczelnię z pewnymi predyspozycjami, otwarciem na świat i rozumieniem, że projektowanie jest procesem, że wiedzę nieustannie trzeba uzupełniać.

Jak pan jednak zauważył, w przypadku akademii sztuk pięknych, w przeciwieństwie do politechnik, studenci mają wolny wybór wielu pracowni artystycznych czy artystyczno-projektowych o zróżnicowanym programie. Możemy też mówić o pewnym genius loci...

Niestety w nauczaniu architektury na politechnikach liczbę przedmiotów artystycznych nieustannie się redukuje, coraz mniej jest zajęć z rysunku czy rzeźby, mniej też jest zajęć plenerowych, które po pierwsze integrowały studentów, a po drugie były nieocenionym doświadczeniem artystycznym. Znów podkreślę tutaj fundamentalną przynależność architektury do obszaru sztuki, jestem gotów polemizować z każdym innym stanowiskiem. Na UAP student może wybrać jedną z siedemnastu pracowni rysunku o zróżnicowanym programie, jest wiele pracowni malarskich i pracowni rzeźby, natomiast na Politechnice Śląskiej zamiast pracowni są obowiązkowe przedmioty – mamy więc kurs rysunku, malarstwa, scenografii, grafiki i plakatu, znakomicie zresztą prowadzony przez prof. Jacka Jostberenta. Student nie ma więc wyboru, ale ze względu na specyfikę uczelni trudno oczekiwać, aby powoływane były kolejne jednostki po to tylko, by studenci ten wybór mieli.

Moje doświadczenie z Politechniką Śląską jest niezwykle sympatyczne, nie tylko ze względu na dużą ilość nagród rektorskich, które otrzymałem. Jeśli mówimy o genius loci... Wie pani, zajęcia odbywają się w pięknym modernistycznym budynku, o świetnych proporcjach, który ma swój klimat, gdzie widać

dbałość o detal – prosty, ale perfekcyjny. Cały obszar, na którym zlokalizowano budynki politechniki, zmienia się na coraz piękniejszy, dba się o zieleni, powstaje mała architektura, piękne oświetlenie. Teren miasteczka akademickiego zamknięto dla ruchu samochodowego, powstały ciągi spacerowe.

A kto zajmuje się projektowaniem w tym obszarze? Lokalni projektanci?

Na Śląsku zlecenia realizują projektanci związani z uczelnią. Ja sam zostałem zaproszony do projektu, który opracowałem wspólnie z prof. Natalią Bąbą-Ciosek. Bardzo interesujące inicjatywy pojawiły się w związku z oczekiwaniami, aby uczelnie podejmowały współpracę z biznesem. Nawiązaliśmy np. kontakt z przedsiębiorstwem segregacji i utylizacji odpadów. Proszę sobie wyobrazić, że studenci weszli w ten projekt z ogromnym zaangażowaniem, gdyż młode pokolenie jest wychowywane w pewnej nawet – powiedziałbym – religii ekologicznej. Współpracowaliśmy w wielu obszarach: popularyzacja, promocja, plakat, powstawały koncepcje wystaw czasowych, instalacji artystycznych, które mogły być lokowane w różnych kontekstach i promować zachowania ekologiczne, takie jak segregacja odpadów. Robiliśmy też wnętrza, powstawały gry i zabawy dla młodzieży. Podoba mi się na Śląsku to, że koleżanki i koledzy nie trzymają się ściśle swoich specjalizacji. W pracowniach, jeśli pojawi się problem, rozwiązuje się go wielowątkowo. Jest duża otwartość i niewątpliwie także duch artystyczny. Są inicjatywy, wystawy środowiska, które jest bez porównania mniej liczne, ale zwarte. W tym środowisku, co bardzo mi się podoba, są osoby z kręgu wychowanków architektury, które zajmują się sztuką, uprawniają architekturę wewnątrz lub wzornictwo. Patronem katedry był prof. Tadeusz Pfützner, człowiek wielkiego formatu, wychowanek politechniki, ale także artysta, który zajmował się designem, witrażami. Podobnie zresztą jak prof. Stanisław Słodowy. Osoby, które w tej chwili prowadzą zajęcia na kierunku architektura wewnątrz, zetknęły się właśnie z takim wielowątkowym kształceniem. Mnie martwi jedynie to, że





przy braku systemu pracownianego nie kształci się nowych kadr dla uczelni. Zdolny absolwent, zatrudniony na godzinach zleconych, może zrezygnować z pracy, gdy wchłonie go życie projektowe. Pozytywne z kolei jest to, że wskrzeszono przedmioty, z których w Poznaniu zrezygnowano, a ja je zamieściłem w programie, jak na przykład kolorystyka w architekturze.

Biorąc pod uwagę kolorystykę wielu współczesnych osiedli, to przedmiot bardzo istotny.

Tak. Poza tym Politechnika Śląska ma klimat. Lubię tam jeździć, a ponieważ na uczelni brakuje pracowni, życie artystyczne siłą rzeczy przenosi się do kawiarni, gdzie spotykamy się z kolegami. To jest bardzo ważne, bo gdyby pani zapytała, gdzie obecnie spotyka się środowisko poznańskie, to nie umiałbym odpowiedzieć, a tam wszyscy spotykają się w Hemingwayu na kolacjach. Tam się pije piwo i wódkę, ale nie rozmawia się o byle czym, tylko naprawdę o sztuce. W Hemingwayu poznałem wspaniałego poetę Jana Strzdałę, którego wiersze ogromnie polubiłem, poznałem fotografików. Przychodzą dydaktycy, rozmawia się o problemach szkolnych.

Wspaniała sprawa. Podobnie jak dawny poznański Klub Plastyka, po którym, niestety, dziś nie ma już śladu.

Środowisku zaszkodziły także zmiany związane z organizacją szkolnictwa wyższego. Uważam, że zniesiono resztki demokracji. Dla nas fundamentem było to, że mogliśmy sami wybierać dziekana, obecnie rady wydziału zastępuje się różnymi komisjami do spraw szczegółowych, co nie sprzyja integracji środowiska i wymianie idei.

Jak zmieniło się nauczanie architektury wewnątrz od czasu, gdy kończył pan studia w pracowni prof. Jana Węclawskiego?

Mój zmarły przyjaciel Jarosław Maszewski, który był profesorem ASP i dziekanem naszego wydziału, miał takie powiedzenie: „W sztuce nie ma postępu, jest tylko rozwój”. To mądre i głębokie przesłanie, dlatego powiem tak: nauczanie się nie zmieniło. Warunki, jak ustaliliśmy przed chwilą, są różne – jest system pracowniany, albo go nie ma, ale to jest tylko kwestia organizacji. Natomiast cele i metody pozostają takie same. Pamiętam program prowadzenia pracowni opracowany przez

prof. Jana Węclawskiego, który zajmował jedną stronę, a może i mniej...

Nie było jeszcze tej strasznej biurokracji, „efektów uczenia się w odniesieniu do uniwersalnych charakterystyk PRK dla poziomu szóstego KA_AW01, 02, 03...”.

Efektory uczenia się były w głowie i przez to były bardziej uświadomione. Profesor przynosił napisany odręcznie program i mówił: „Panie Januszu, niech pan dopisze zadania na ten rok”. Zostawiał mi samodzielność, wychodząc z założenia, że jest niezbędna dla rozwoju. Starałem się zaskoczyć profesora, a także studentów, stawianiem pewnych problemów. Inaczej brzmi „projekt wnętrza kawiarni”, a inaczej „kreacja przestrzeni, która ma pachnieć kawą”. Kiedy objąłem pracownię, miałem moralny dylemat, czy nadal mogę przepisywać program profesora, bo ideowo się z nim utożsamiałem i nie widziałem żadnych przesłanek, aby go zmieniać. Przeredagowałem więc tylko ten program, ale on jest aktualny do dziś, zwłaszcza jeśli chodzi o deklarację ideową, kwintesencję poglądu na to, czym jest architektura i architektura wewnątrz. Uważam, że jedyne co można zmodyfikować, wprowadzając różne eksperymenty, to metodyka postępowania. Na Politechnice Śląskiej chętnie wprowadzamy pracę zespołową, wychodząc z założenia, że to jest pewne *signum temporis*, że wielkie, poważne opracowania wymagają większej liczby specjalistów. Widzę, że to rodzi ferment, choć studenci czasem nie zgadzają się ze sobą. Dochodziło nawet do takich sytuacji, że się rozstawiali. Jednak pewne tarcia wpisują się w doświadczenie współpracy, które samo w sobie jest cenne. Kiedyś powierzono mi zajęcia z metodyki projektowania. Przedmiot tradycyjnie był wpisany do programu, ale wychodziłem z założenia, że takiej metodyki nie ma. Wymyśliłem więc pewną formułę: przedstawiłem ze swego projektowego dorobku szereg realizacji i opowiadałem, jaka była metoda dochodzenia do końcowego rezultatu, a była ona za każdym razem inna. Oczywiście mamy pewien klucz rozpoznania sytuacji: zebranie danych, wyciągnięcie wniosków, inwentaryzacja, rozmowa, wariant koncepcji, zmiana koncepcji. To wszystko jest projektowaniem, chciałem jednak uczulić studentów na to, że każdy projekt wiąże się z odmienną drogą postępowania. Jeśli chodzi o sylwetkę absolwenta, tu też niewiele się zmieniło. Powinien opuścić uczelnię z jakąś bazową wie-

dążą praktyczną, z ogólną wiedzą na temat, czym jest architektura czy architektura wnętrz, oraz z autorefleksją, otwartością na wszystko, co niesie życie i świat, również na nowości techniczne, ale i z pewnym sceptycyzmem. Wracając do początku naszej rozmowy, mam przekonanie, że tak architektura, jak i architektura wnętrz są sztuką i wbrew temu co narzucają nam media, nie powinniśmy w tych dziedzinach zbyt łatwo ulegać modom. Inaczej będziemy projektować kościoł, inaczej mieszkanie, a inaczej dom schadzek – bo i takim tematem zainteresowała się jedna z moich studentek. Kolor np. nie powinien wynikać z mody, on ma istotne znaczenie, gdyż oddziałuje na psychikę człowieka. Np. żółty pobudza apetyt, trochę czerwieni przyda się w sali, gdzie trzeba być aktywnym, z kolei niebieska podłoga może spowodować, że zaczniemy tracić równowagę. Wiele zależy od kontekstu. Libeskind w berlińskim Muzeum Żydów świadomie zastosował krzywą, pochyloną posadzkę, ale w tym przypadku chodziło o efekt artystyczny i wymowę symboliczną. Wracając jednak do pani pytania: cel i sens kształcenia pozostają niezmiennie.

A jakie jest miejsce programów komputerowych w nauczaniu projektowania?

Przez długie lata w środowisku była kłótnia o komputery, kompletnie bzdurna. Kiedyś rysowało się rylcem, potem ołówkiem, potem wynaleziono grafion, potem grafos, potem – już za moich czasów – rapidograf, który dostawało się w prezencie na dyplom. Dziś są komputery. Oczywiście to jest tylko narzędzie, które nie wymyśli projektu mimo udogodnień i podsuwanych możliwości.

Jakie znaczenie dla projektantów ma rysunek koncepcyjny?

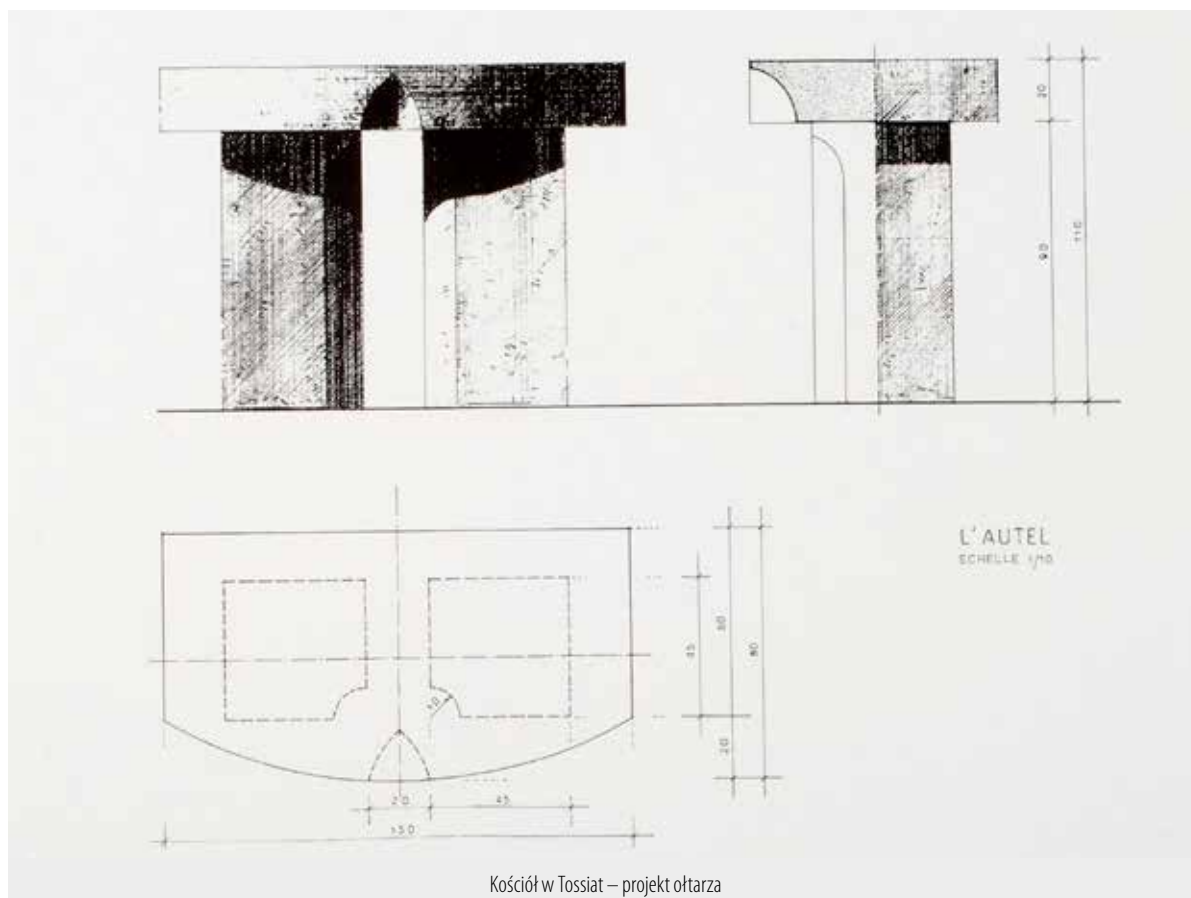
Tutaj, w środowisku śląskim, mamy pełne zrozumienie, że rysunek odręczny bezwzględnie trzeba kultywować, bo on

kształci wyobraźnię. Le Corbusier wspominał, że kiedyś kupił aparat i zaczął fotografować architekturę aż do momentu, gdy zrozumiał, że on tych zdjęć nigdy nie ogląda, w związku z tym niczego się nie uczy. Natomiast rysując, poznaje się obiekt, jego strukturę, otoczenie... Rysunek odręczny ma sens, techniczny można wykonać przy użyciu komputera. Celem pracy na komputerze stało się osiągnięcie wizualizacji, takiej jak zdjęcie z realizacji, co jednak wydaje mi się nieszczerze – wolę, gdy wizualizacja jest pewną stylizacją. Jak wiem, we Francji coraz bardziej cenione są przedstawienia odręczne, wraca się do makiet i modeli.

Pana zainteresowania naukowe koncentrują się m.in. wokół relacji sztuki i nauki.

Wbrew częstemu mniemaniu, to nie są dyscypliny, które się wzajemnie wykluczają. Uświadomił mi to zwłaszcza wielki mistrz Albert Einstein, który wyraził pogląd, że cele nauki i sztuki są tożsame. Celem tym jest odniesienie się do niepokoju związanego z egzystencją i wola poznania, mamy tylko różne instrumentarium. Nauka wiąże się z procesem wyciągania wniosków, a sztuka to jest intuicja. Ale Einstein posunął się jeszcze dalej – mimo że reprezentował dziedziny naukowe, grał także na skrzypcach i stwierdził, że jego zdaniem sztuka jest bliższa poznaniu niż nauka, a wyobraźnia cenniejsza od wiedzy, bo wiedza jest ograniczona, a wyobraźnia nie. Choć tu można polemizować, że wyobraźnia także jest ograniczona, chociażby do tego, co jesteśmy w stanie wchłonąć zmysłami. Obcowanie z dziełami sztuki daje nam jednak możliwość iluminacji, prawdziwego dotknięcia istoty rzeczy. I takie doświadczenie nie jest mi obce.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Kościół w Tossiat – projekt ołtarza

Przepis na sukces w nauce

Mody w nauce szkodliwe stają się dopiero wówczas, gdy zaczynają żyć własnym życiem, a nawet narzucać innym sposób myślenia o poprawności naukowej i marginalizować tych, którzy nie chcą lub nie potrafią im się podporządkować.

Jeśli powiedziałbym, że znam uniwersalny przepis na osiągnięcie znaczącego sukcesu w nauce, to zapewne mało kto by w to uwierzył, a już na pewno nie ci, którzy dobrze orientują się w realiach akademickiego życia. Rzecz jednak nie tyle w tym, że takiego przepisu nie znam (i być może nikt go nie zna), co w tym, że są różne drogi prowadzące do sukcesu, i ta, która sprawdza się w jednym przypadku, niekoniecznie sprawdza się w innych. A przecież są także różne miary sukcesu.

Trudne drogi

Na wykładach dla doktorantów, mówiąc o realiach akademickiego życia, czasami żartuję, że w tym środowisku najlepiej byłoby się urodzić wielkim uczonym. W ten sposób ominęliby wiele trudności, które są jeszcze przed nimi. To jednak tylko żart, bowiem nawet osoby o wyraźnych predyspozycjach do prowadzenia badań naukowych i osiągania w nich znaczących wyników, muszą do nich dołożyć jeszcze wiele wysiłku, aby nie skończyło się na tzw. dobrym zapowiedaniu się. Rzecz jasna, jeszcze więcej muszą go dołożyć ci, którzy wprawdzie mają do nauki pewne predyspozycje, ale nie są one ani tak wielkie, jak u tych pierwszych, ani też tak widoczne, aby akademickie otoczenie zdecydowało się udzielić im „kredytu” zaufania i dać szansę wykazania się – najpierw w formie doktoratu, a później ewentualnego zatrudnienia na uczelni. Tak czy inaczej kandydaci na uczonych muszą pomóc sami sobie i wykazać się czymś więcej niż tylko chęcią przedłużenia akademickiego życia poprzez studia doktoranckie. Stosunkowo niski wskaźnik kształcenia na tym poziomie pokazuje, że w wielu przypadkach chęci są, ale brakuje odpowiedniej pracy nad sobą.

Jeśli jednak już są chęci i praca, to pojawia się problem kolejnych barier do pokonania. Jedną z poważniejszych jest problematyka badawcza. Oczywiście należy mierzyć zamiary na siły. Łatwiej to jednak powiedzieć, niż zrobić. Nie tylko ze względu na faktyczne możliwości adepta badań naukowych, ale także na skalę trudności podjętej problematyki badawczej. Dotyczy to również doświadczonych uczonych – żeby tytułem przykładu przywołać Alberta Einsteina usiłującego całymi latami bezskutecznie rozwickłać problemy związane z grawitacją. Są jednak okoliczności, które jednych zachęcają, innych zniechęcają do podejmowania określonej problematyki. Należy do nich m.in. osiągnięcie w niej sukcesów przez innych, niejednokrotnie bardziej doświadczonych uczonych. W przypadku dziedzin nauki, w których standardem jest zespołowe prowadzenie badań, możliwość



popęnienia błędu w obraniu problematyki ogranicza doświadczenie wielu zaangażowanych w jej rozwikłanie uczonych (często wysokiej klasy specjalistów z różnych dyscyplin naukowych). Jednak całkowicie go nie eliminuje. Odniesiony przez jednych sukces może stanowić, i nierzadko stanowi, swoiste „koło napędowe” dla innych. Jest ono w stanie „rozpędzić” badania do tego stopnia, że stają się swoistą modą, a uczestniczący w nich uczeni starają się spełniać obowiązujące w niej standardy.

Różnego rodzaju mody w nauce nie w każdym przypadku są szkodliwe. Mogą bowiem w istotnym stopniu przyczynić się do skupienia sił i środków (w tym finansowych) na rozwiązywaniu bardzo poważnych i ważnych społecznie problemów. Szkodliwe stają się dopiero wówczas, gdy zaczynają żyć własnym życiem, a nawet narzucać innym sposób myślenia o poprawności naukowej i marginalizować tych, którzy nie chcą lub nie potrafią im się podporządkować. Mody w nauce – jak zresztą również w innych obszarach życia – przychodzą i odchodzą. Jednak zanim odejdą, potrafią nie tylko eksploatować jakiś problem badawczy jeszcze długo po tym, jak został rozwiązany przez poważnych uczonych, lecz nawet dopisywać do niego marginalne kwestie, które w batalii o pozyskiwanie środków

finansowych na badania wygrywają z istotnymi. Jeśli nawet taka wygrana dodaje im nieco powagi, to przecież nie jest w stanie uczynić ich bardzo poważnymi.

Adepci badań naukowych, jakimi są doktoranci, nie muszą tego wiedzieć. Jednak mogą im to uświadomić opiekunowie naukowci. Rzecz jednak w tym, aby chcieli i potrafili o tym mówić, nie wikłając się w grę o status modnego uczonego. Zapewne jest o to łatwiej, kiedy nie uczestniczy się w grze ani specjalnie nie ceni tych, którzy „nakręcają jej koła” albo są przez nią „wkręceni” w naukowe marginalia. W końcu przychodzi opamiętanie nawet u osób, które były swoistymi „wizytówkami” jakiejś mody w nauce. Jednak o ile dla uczonych o ugruntowanej pozycji może ono być powodem do żartów, to dla dopiero do niej aspirujących może oznaczać utratę zawodowej i życiowej szansy. Nie będę próbował wskazywać przepisu na to, jak stać się najpierw modnym w nauce, a później z honorem rozstać się z taką etykietą i przejść do rozwiązywania niemodnych, ale ważnych naukowo problemów. Sposobów zarówno na to pierwsze, jak na to drugie jest wiele i zmieniające się realia akademickiego życia odpowiedzą kolejne.



Fot. Stefan Ciechan

Drugi na skróty

Jedną z dróg na skróty jest podążanie za modą w nauce. W wielu przypadkach pozwala ona szybciej i łatwiej znaleźć zarówno aktualnie dyskutowany problem badawczy, jak i sposoby jego rozwiązywania, a także tych, którzy chcą współuczestniczyć w przedsięwzięciu i wnieść do niego coś „od siebie”. Wszystko to jednak do momentu, w którym modny problem i modne sposoby jego rozwiązywania, a nawet przedstawiania wyników badawczych, zaczynają „zjadać własny ogon” i to tak skutecznie, że w końcu staje się on „kikutem”, którym machanie już niewielu może zaimponować. Dobrym przykładem jest – moim zdaniem – dzisiejsza moda na mierzenie wartości osiągnięć naukowych wskaźnikiem wpływu (IF), określanego metodą zaproponowaną przez Hirscha. Jest coś zdumiewającego w tym, że to, co było na początku wyrazem frustracji amerykańskiego fizyka, który czuł się niedoceniany przez naukowe otoczenie i zaproponował sposób mierzenia, w którym jego osiągnięcia naukowe wypadły dobrze, stał się międzynarodowym standardem, do którego często podchodzi się bezkrytycznie, również w dziedzinach i dyscyplinach naukowych, w których wyniki raczej trudno oceniać za pomocą statystyki. Nie twierdzę, że ona niczego nie mówi. Rzecz jednak w tym, żeby więcej mówiła o wynikach niż o manipulowaniu nią, aby najpierw na listę wysoko punktowanych wydawnictw trafiły te, których wydawcy mają komercyjne interesy do załatwienia, a później przyciągały uwagę mniej lub bardziej poważnych uczonych i „gapowiczów” (bo jak można inaczej nazwać tych, którzy w nich nie publikują, ale im kibicują). Dzisiaj ta moda wprawdzie już co nieco zbladła, ale nie można powiedzieć, że została z niej jedynie „kikut”. Mam jednak nadzieję, że wskazywane obecnie niedoskonałości wskaźnika wpływu w końcu do tego doprowadzą. W każdym razie dyskusja pokazuje i przekonuje, że kto chce się liczyć w nauce, jeśli nawet obierze drogę na skróty, to powinien wiedzieć, w którym momencie z niej zejść i wejść na może niemożliwą, ale jednak dającą większe szanse na osiągnięcie bardziej wiarygodnych wskaźników.

Wiele zależy od tego, co uznaje się za ważne w życiu akademickim. Trudno byłoby obronić twierdzenie, że dla zdecydowanej większości społeczności akademickiej najważniejsze jest prowadzenie badań naukowych i osiąganie w nich znaczących wyników. Przeczą temu nie tylko rozmaite wskaźniki statystyczne, ale także widoczna tzw. gołym okiem akademicka rzeczywistość. Rzecz jasna, różnie to wygląda nie tylko w różnych krajach, ale także jednym kraju, ale na różnych uczelniach, a nawet na tej samej uczelni, ale w różnych dziedzinach i dyscyplinach naukowych. Poza wszystkim innym stanowi to potwierdzenie, że w środowisku akademickim zachowuje swoją ważność zasada Pareto, tj. 20% do 80%. Jednak te 20% osób o ponadprzeciętnych kwalifikacjach i zaangażowaniu w pracę badawczą istotnie się różni na wiodących na świecie uczelniach, od 20% na uczelniach drugo- lub trzeciorzędnych. Podobnie zresztą jest z 80 procentami. Sporą ich część stanowią osoby, których rola sprowadza się w lepszym wariantcie do kibicowania uczonym wyróżniającym się kwalifikacjami i uzyskiwanymi w pracy badawczej wynikami, a w gorszym do dawania im do zrozumienia, że jednak nie są tak dobrzy zawodowo, jak im się wydaje, a przynajmniej, że sporo im jeszcze brakuje do naukowej doskonałości.

Problem nawet nie w tym, że „kibice” nie mają zupełnie racji (do doskonałości dochodzi się w końcu całymi latami), a nawet nie w tym, że wykonują oni wyłącznie destruktywną „robotę” (niejednokrotnie dochodzeniu do doskonałości towarzyszyć musi cierpienie), lecz w tym, że potrafią wykreować bariery, których przekroczenie przez ponadprzeciętnych uczonych bywa bardzo trudne, a czasami zmusza do szukania miejsca, w którym przeciętniacy nie mają aż tak dużo do powiedzenia. Nie jest możliwa krótka odpowiedź na pytanie, w jaki sposób przecięt-

niacy zdobywają na uczelni na tyle znaczącą pozycję, że ich głos przekłada się na te utrudnienia? Sposobów na to jest bowiem wiele. Tylko jednym z nich jest uzyskanie pozycji uczelnianych decydentów, takich m.in. jak stanowisko rektora, dziekana czy dyrektora instytutu. Zgodnie z obowiązującymi w środowisku akademickim standardami i regulacjami prawnymi uzyskuje się je w demokratycznych wyborach. Już w XIX stuleciu John Stuart Mill w rozprawie *Liberalizm* wskazywał na występowanie w demokracji „mechanizmu”, który sprawia, że miernoty głosują na miernoty, co prowadzi niekiedy do powierzenia swojego losu osobom, które nazywa on „królami sępów”. Dodawał jednak, że „bez takiego króla sępów pospolite sępy wzajemnie by się zadziały”. Być może w życiu akademickim „sepm” trudniej dojść do głosu, a przynajmniej nie mają tak szerokiego pola do popisania się swoim „dziobem”. Jednak, jeśli już do niego dojdą, to niejednemu poważnemu uczonemu potrafią dać „do wiwatu”. Chcę przez to powiedzieć, że w życiu akademickim demokracja nie zawsze się sprawdza. Ważne jest przy tym nie tylko to, aby podchodzić krytycznie do demokracji, ale także to, aby nie przychodzić „na kolanach” ani do tych, którzy mogą nam w czymś pomóc, ani do tych, którzy mogą zaszkodzić.

Osobiste spostrzeżenia i doświadczenia

Dzisiaj moda na przedstawianie grupy uczonych skupionych wokół mistrza jako naukowej szkoły nieco straciła na popularności. W minionym stuleciu cieszyła się ona jednak sporym wzięciem, a nawet sprawiła, że takie grupy przeszły do historii nauki. W Polsce okresu międzywojennego jedną z nich była grupa filozofów nazywana szkołą lwowsko-warszawską. Skupiała różne osoby, w tym takie, które później udanie kontynuowały akademickie kariery w krajach zachodnich. Część pozostała w Polsce i po 1945 roku zderzyła się z przedstawicielami nowej „szkoły”, za jaką chciał uchodzić marksizm. Konfrontacja okazała się dla wielu dosyć bolesna (żeby tytułem przykładu wymienić Kazimierza Ajdukiewicza i Władysława Tatarkiewicza). Rzecz nawet nie w tym, że nie mieli oni argumentów, lecz w tym, że ich przeciwnicy posługiwali się w tej konfrontacji krytyką, którą Tadeusz Kotarbiński nazwał „policyjną”; sprowadza się ona do tego, że „szuka się tylko jakieś dziury, żeby kogoś pogrążyć”. Przypomniał ją Leszek Kołakowski (w młodości wojowniczy zwolennik marksizmu) w wykładzie wygłoszonym w 1992 roku z okazji nadania przez jego macierzystą uczelnię (Uniwersytet Łódzki) honorowego doktoratu. Przyznał przy tym, że w tamtych latach wydawało mu się – podobnie zresztą jak wielu innym marksistom – że był „wszechwiedzący”; a z kimś takim raczej nie da się poważnie polemizować w nauce.

Powiem nieskromnie, że w okresie mojej akademickiej młodości ta modna wówczas w Polsce „szkoła” nie zrobiła na mnie aż tak wielkiego wrażenia, abym chciał podążać za wskazaniem jej mistrzów i nauczycieli lub chociażby zainteresować się poważniej ich „wszechwiedzą”. Znacznie bardziej interesująca i fascynująca wydawała mi się wówczas dosyć odległa od marksizmu filozofia francuska XVII wieku, zwłaszcza tacy jej przedstawiciele jak Blaise Pascal i Kartezjusz (na temat ich poglądów opublikowałem niejedną monografię). Miałem przy tym sporo życiowego i zawodowego szczęścia, bowiem mój ówczesny bezpośredni przełożony wprawdzie był zdeklarowanym marksistą, ale z rozbijającą szczerością przyznawał, że zupełnie nie zna się na tym, czym się zajmuję, przy czym nie tylko nie utrudniał mi kontynuowania badań, ale też był głęboko przekonany o tym, że samodzielnie sobie w nich poradzę. Rzecz jasna, nie mnie oceniać, jak sobie radziłem i radzę. Mam jednak świadomość, że długa i problemowo różnicowana lista publikacji może być irytująca dla niektórych opiniodawców moich osiągnięć. Nie mogę jednak im obiecać, że nie dopiszę już do niej kolejnych pozycji.

Mariusz Karwowski

Na celowniku

Strzelectwo, kojarzone zazwyczaj z militariami, bronią, ogólnie agresją, uczy przede wszystkim opanowania, umiejętności koncentracji, pracy samemu ze sobą.

Szerzenie wiedzy proobronnej z ukierunkowaniem na naukę strzelania – taki cel postawiła przed sobą nowa organizacja studencka, która z początkiem czerwca zaczęła działać w Akademii Zamojskiej. Z bronią studenci tej uczelni mają wprowadzić do czynienia nie od dziś, choćby na zajęciach z bezpieczeństwa narodowego, ale Towarzystwo Strzeleckie zapewni im możliwość rozwoju zainteresowań także w wolnym czasie. Planowane są zawody strzeleckie i wypadki survivalowe. Chęć dołączenia zgłaszają już także pracownicy naukowci.

W Krakowie z kolei daleko zaawansowane są plany budowy wielostanowiskowej strzelnicy dla Instytutu Nauk o Bezpieczeństwie Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN. W tym między innymi celu zakupiono jeden z najcenniejszych obiektów Twierdzy Kraków – Fort „Bronowice”. Będzie służył celom edukacyjnym wzmacniającym obronność i bezpieczeństwo państwa w postaci kursów doskonalących dla nauczycieli oraz studiów podyplomowych w tym zakresie.

Już tylko te dwie inicjatywy dobrze obrazują obserwowany od pewnego czasu wzrost zainteresowania w społeczeństwie tematyką militarną. Znajduje on swoje odbicie także w środowisku akademickim, gdzie coraz więcej studentów, ale także pracowników, garnie się do strzelania. I uczelnie wychodzą temu naprzeciw. Gdańska AWF i S, jak przekazuje nam jej rzecznik Mikołaj Polak, zgodnie z zaleceniami Polskiej Komisji Akredytacyjnej otworzyła się na współpracę ze środowiskiem strzeleckim i uruchomiła stosowną specjalizację. Pilotażową edycję strzelectwa sportowego i dynamicznego ukończyło pięć studentów, ale w tym roku będzie ich cztery razy więcej. Mają 60 godzin wykładów i trzykrotnie więcej ćwiczeń, z czego 150 godzin spędzają na strzelnicy.

Na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, który swojej strzelnicy jeszcze nie ma (na wirtualną przeznaczono już miejsce w nowym gmachu Wydziału Politologii i Dziennikarstwa), studenci obcuja z bronią już od sześciu lat, gdy do programu kształcenia wprowadzono podstawy strzelectwa sportowego. Od tamtej pory zajęcia prowadzone przez praktyków, żołnierzy służby czynnej oraz zawodowej, w tym instruktorów stowarzyszenia Legia Akademicka, cieszą się niesłabnącą popularnością.

– To odpowiedź na oczekiwania naszych studentów i jednocześnie szansa na wzmocnienie praktycznego wymiaru kształcenia. Właśnie od momentu wprowadzenia modułów „praktycznych”, nie tylko strzelectwa, ale także systemów łączności i wsparcia dowodzenia czy udzielania pomocy medycznej w warunkach bojowych, obserwujemy niesłabnące zaintereso-

wanie kierunkiem bezpieczeństwo narodowe – przyznaje dr Ewelina Panas, adiunkt w Instytucie Nauk o Polityce i Administracji UMCS.

Co roku programem objętych jest ponad 120 osób, kolejnych kilkadziesiąt wybiera strzelectwo w ramach fakultetu. Zdecydowana większość, co podkreślają rozmówcy także z innych uczelni i czemu trudno się dziwić, preferuje część praktyczną. Ale podobnie jak z prawem jazdy i tu teoria jest niezbędna. Zakres materiału obejmuje: systematykę, klasyfikację broni, teorię oddania strzału, budowę oraz mechanikę działania broni, wprowadzenie do bezpiecznego strzelania. Student dowiaduje się o właściwościach bojowych broni strzeleckiej i amunicji oraz jak bezpiecznie nią się posługiwać, poznaje podstawowe pojęcia z zakresu balistyki i teorii strzału, a także działanie części i mechanizmów.

– Największy nacisk kładziemy na bezpieczeństwo obsługi broni palnej oraz oddanie celnego strzału. Chodzi o to, aby student, który w przyszłości trafi do formacji mundurowych, miał już podstawową wiedzę i umiejętności – dodaje por. Damian Duda z UMCS.

Investycyjne strzały w dziesiątkę

Na ten sam aspekt zwraca uwagę ppłk rez. mgr inż. Andrzej Podhorodecki, w ocenie którego przyszły pracodawca, czy to będzie policja, wojsko, czy straż graniczna, tylko skorzysta na tak wyszkolonych absolwentach, a i im samym ułatwi ubieganie się o etat wszędzie tam, gdzie wymagana jest zdolność prawidłowego, sprawnego i bezpiecznego posługiwania się bronią palną. To obserwowane niemal w całym kraju wzmoczenie w ogóle nie dziwi. Jego zdaniem od czasu zniesienia zasadniczej służby wojskowej z wiedzą obronną jest coraz gorzej.

– Edukacja w obszarze bezpieczeństwa u nas kuleje, tymczasem sytuacja geopolityczna wymusza zmianę podejścia. Wśród studentów rośnie świadomość potencjalnych zagrożeń. Zdają sobie sprawę, że zasadne w tej chwili jest, by mieć choćby podstawową wiedzę w tym zakresie – podkreśla Podhorodecki, który jako były zawodowy żołnierz zainspirował żaków Akademii Zamojskiej do założenia Towarzystwa Strzeleckiego.

Jego słowa najłatwiej zweryfikować na uczelnianych strzelnicach. Zwłaszcza tych właśnie na wschodzie Polski, które prawdziwe oblężenie przeżywają od czasu rosyjskiej agresji na Ukrainę, ale i wcześniej nie stały puste. W niektórych ośrodkach słusznie przewidywano, że może to być „strzał w dziesiątkę”. Już w 2013 roku w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Administracji w Rzeszowie oddano do użytku strzelnicę



for. Ihor Koliisnichenko

elektroniczną wyposażoną w wierne repliki broni Glock 17 i Beretta Px4 Storm z symulatorem odrzutu, imitującym strzał z prawdziwej broni palnej. Trener, w zależności od konfiguracji, pozwala na prowadzenie treningu przy pomocy emiterów laserowych, działających w zakresie światła niewidzialnego lub widzialnego. **Ćwiczenia treningowe** wyświetlane są na ekranie przy użyciu rzutnika multimedialnego. W zależności od oprogramowania zainstalowanego na komputerze sterującym przebiegiem ćwiczeń, może to być trening strzelecki (poprawiający celność – jak na prawdziwej strzelnicy, czas reakcji, orientację) lub interaktywna symulacja interwencji, oparta na scenariuszach filmowych, której finał uzależniony jest od postawy, działań i środków przymusu użytych przez ćwiczącego. Zajęcia na kierunku bezpieczeństwo wewnętrzne prowadzą doświadczeni trenerzy. Na uczelni powstało także Studenckie Koło Strzeleckie, którego członkowie są stałymi bywalcami strzelnicy.

– Jej mobilność pozwala także na zajęcia wyjazdowe, np. w szkołach na terenie regionu. Łącznie w semestrze korzysta z niej około pół tysiąca studentów i uczniów – szacuje Przemysław Pawlak, rzecznik WSPiA w Rzeszowie.

W 2020 roku w Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu otwarto z kolei nowoczesny obiekt z 4 stanowiskami przeznaczonymi do prowadzenia strzelań z pistoletu lub karabinka pneumatycznego na dystansie 10 metrów. Transportery tarcz sterowane są pilotem, wózek porusza się w kierunku stanowisk strzeleckich lub linii strzelań, zatrzymując się automatycznie po dotarciu do pozycji końcowej. Na ostatnim odcinku przed zatrzymaniem urządzenie zwalnia i powoli dojeżdża do miejsca docelowego. Kulochwyt wykonany jest ze specjalnego tworzywa pochłaniającego śrut, a tarcze posiadają indywidualne doświetlenie.

Być jak John Wayne

Na nic się jednak zdadzą nowinki technologiczne, jeśli nie nabędzie się odpowiednich umiejętności. Wprawdzie strzelectwo, w przeciwieństwie do wielu innych aktywności, nie stawia zbyt wielu ograniczeń – wzrost, waga, wiek nie mają znaczenia – ale, jak zauważa prof. Grzegorz Gładyszewski z Politechniki Lubelskiej, im wcześniej się zacznie, tym łatwiej. Wówczas można jeszcze skorygować błędy w przyjmowaniu postaw strzeleckich, nauczyć się pracy manualnej z bronią w celu wyro-



AMP w strzelectwie sportowym, for. A.ZS



AMP w strzelectwie sportowym, fot. A.ZS

bienia odpowiednich nawyków i pamięci mięśniowej czy szybkiego zgrywania przyrządów celowniczych. On sam strzela już blisko pół wieku. Obserwując napływ młodego narybku na strzelnice, nie ma wątpliwości, że ma to bezpośredni związek z toczącą się wojną. Nie odczuwa jednak jakiegось dyskomfortu z tego powodu, wręcz przeciwnie – uważa, że jako społeczeństwo najbardziej rozbrojone ze wszystkich wokół (1,5 sztuki broni na 100 mieszkańców) powinniśmy pozytywnie oceniać pęd Polaków do strzelania. Zapałał miłością do broni pod wpływem westernów: *W samo południe*, *Dwa złote colty* czy *Rio Bravo*. Dziś jest trenerem strzelectwa, sędzią międzynarodowym kl. A oraz... medalistą mistrzostw Polski w strzelaniu długodystansowym.

– Podczas ostatnich zawodów w Skarżysku Kamiennej, aby uzyskać srebro na dystansie 600 m, musiałem każdy z 10 strzałów ułożyć w celu wielkości dużej pomarańczy. Brąz na 800 m i srebro na 1000 jardów wymagały trafienia za każdym razem w cel wielkości średniego arbuza – opisuje kierownik Katedry Fizyki Stosowanej na Wydziale Mechanicznym PL.

Swojej pozazawodowej pasji od wielu lat przygląda się także pod naukowym kątem. Poświęcił jej już kilka publikacji, w których zajmował się m.in. tematyką wpływu temperatury na celność strzelań czy analizą fourierowską karabinu przy wykorzystaniu trenażera SCATT. Określił np. możliwość poprawy wyniku na tarczy, niezależniąc go od drgań karabinu wywołanych biciem serca już w momencie składania się do strzału. Takich podpowiedzi ma w zanadrzu więcej, ale nie wszystkie zdradza, wszak będąc jeszcze czynnym zawodnikiem, niekiedy z nich korzysta.

– Wiedza, jaką posiada fizyk, bardzo się przydaje w strzelectwie. Jest tu i statyka, i kinematyka, poza tym dynamika, teoria drgań, optyka, termodynamika, hydrodynamika i wiele innych działów. Ale ten sport to przede wszystkim walka z samym sobą, ze swoimi słabościami – zauważa.

I dodaje, że strzelectwo, kojarzone zazwyczaj z militariami, bronią, ogólnie agresją, uczy przede wszystkim opanowania, umiejętności koncentracji. Przy tętnie przekraczającym 170 uderzeń na minutę, to, według niego, cała tajemnica tej dyscypliny. Nie ma tu bezpośredniego kontaktu z drugą osobą, trzeba odizolować się od całego świata i zagospodarować stres w taki sposób, aby przełożyć go np. na lepszy czas reakcji. Dlatego, o ile

na początku ważne jest wypracowanie technicznych umiejętności, o tyle z czasem wahadło zaczyna się przechylać w stronę psychiki. U zawodników startujących na igrzyskach stanowi ona około 98% sukcesu. Wie coś o tym Andrzej Kijowski, prezes Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego, spod którego ręki wyszły m.in. medalistki olimpijskie Renata Mauer-Różańska czy Sylwia Bogacka.

– Niestety wielu trenerów zajmuje się tylko techniką, zapominając o kondycji i psychice. To trzeba wyważyć. Jeśli któryś z tych filarów się zaniedba, efektów nie będzie – zapewnia.

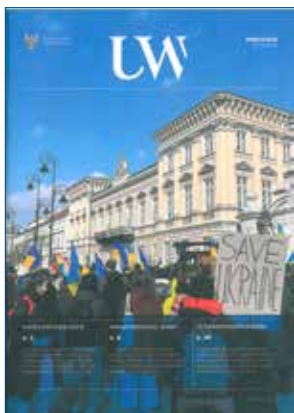
Jak mówi, to sport dla inteligentnych. W kadrze, gdy był jeszcze jej trenerem, nigdy nie brakowało osób z wyższym wykształceniem, zdarzały się i doktoraty. A i dziś większość czołowych zawodników to obecni lub byli studenci. Jak Maciej Kowalewicz z wrocławskiej AWF, który od trzech lat jest najlepszym zawodnikiem w Polsce w rankingu PZSS. Wraz ze swoją klubową koleżanką, Julią Piotrowską, zdominowali ostatnie Akademickie Mistrzostwa Polski, sięgając po złote medale we wszystkich konkurencjach karabinowych. Strzelcy ze stolicy Dolnego Śląska okazali się najlepsi w gronie 38 uczelni i po raz drugi z rzędu triumfowali w klasyfikacji generalnej.

Kijowski, który też wykłada na AWF we Wrocławiu, podkreśla, że w gruncie rzeczy strzelanie sportowe niewiele się różni od amatorskiego. Technika jest taka sama, wyczynowcy mają jedynie lepszy, profesjonalny sprzęt i oddają na treningach więcej strzałów, nawet dwieście. Hobbyści, choćby z uwagi na koszty, porzeczają na trzydziestu. Przyznaje jednak, że kiedyś talenty wyławiano niczym złoto w Klondike. Dziś o to o wiele trudniej. Wprawdzie liczba 46 tys. strzelców skupionych w ponad 300 klubach może robić wrażenie, ale wciąż brakuje narybku. Dlatego z nadzieją patrzy na renesans strzelectwa, również wśród studentów. To skrojony pod nich sport, wzięwszy pod uwagę, że najlepsze wyniki osiąga się w okolicach „trzydziestki”. Uczy samoorganizacji, rozważa, a przede wszystkim... bezpieczeństwa.

– Nic nie daje takiego poczucia bezpieczeństwa, jak umiejętność posługiwania się bronią. Sytuacja zagrożenia, gdy potrafi pan zapewnić bezpieczeństwo sobie i innym, wygląda zupełnie inaczej niż z perspektywy osoby, która tego nie opanowała – podsumowuje Andrzej Podhorodecki z Akademii Zamojskiej.

Życzliwość w praktyce

Pomagać mogą wszyscy i na wiele sposobów. Każda z metod jest dobra, o ile jej nadrzędnym celem będzie realne wspieranie osób potrzebujących. Właściwie zdiagnozowanie ich potrzeb zdaje się być tutaj kwestią kluczową. Dobrze o tym wie społeczność Uniwersytetu Warszawskiego, z której inicjatywy powstało wiele akcji skierowanych w stronę obywateli Ukrainy, których trwająca od lutego br. rosyjska agresja zmusiła do błyskawicznego opuszczenia swojej ojczyzny. Uciekający przed wojną ludzie mogli liczyć na gesty dobroci i bezinteresownego zaangażowania poszczególnych jednostek, a o tym, jak istotną rolę odegrała w tym czasie cała uczelnia, informuje pismo „Uniwersytet Warszawski” (nr 1/2022).



Wśród przytoczonych przykładów zaangażowania i troski widocznych w działaniach UW na rzecz osób poszkodowanych dostrzec można elementy dobrze przemyślanej strategii pomocy. Podejmowane aktywności obejmowały zarówno wsparcie socjalne czy zbiórki żywności, jak i pomoc prawną, psychologiczną oraz edukacyjną. W związku z licznymi przybyłymi grupą uchodźców pamiętać trzeba, że zarządzanie napływem migrantów jest sprawą niezwykle złożoną, przypomina dr hab. Maciej Duszczak, prof. uczelni, z Ośrodka Badań nad Migracjami UW. Procesem, który zawsze przebiega według trzech faz – a więc tzw. kryzysu migracyjnego, kryzysu humanitarnego i katastrofy humanitarnej – należy umiejętnie zarządzać, by za wszelką cenę zapobiec jej ostatniej fazie.

Trzeba chcieć

Każdemu zdarza się czasem taki moment, kiedy nie ma ochoty na podejmowanie kolejnych działań. Wyjściem z tego potencjalnie niebezpiecznego stanu stagnacji jest ponowne wzbudzenie w sobie właściwej motywacji do zmiany. Refleksjami o tym, jak ważny w codziennym życiu, także tym zawodowym, jest właśnie ów ożywczy impuls, sprawiający, by ciągle chciało się chcieć, dzieli się z pismem Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu „Wiadomości Akademickie” (nr 85/2022), prof. dr hab. Tomasz Drewa, kierownik Katedry Urologii i Andrologii.



W niezwykle obszernym wywiadzie przewija się wiele wątków związanych nie tylko z obszarem medycznym, ale także z osobistymi pasjami rozmówcy. Interesująco jawią się te fragmenty wywiadu, w których prof. Drewa dzieli się przemy-

śleniami dotyczącymi początków swojej wieloletniej działalności na niwie naukowej. Dowiadujemy się, że interlokutor zaczął od eksplorowania dziedziny, jaką jest inżynieria tkankowa, obecnie występująca pod nazwą medycyny regeneracyjnej, w momencie, kiedy w Polsce dopiero zaczynał się jej rozwój. Jakiś czas później do wspomnianego obszaru dołączyła urologia, będąca jedną z dwóch specjalności w naszym kraju dających możliwość zwieńczenia tytułem FEBU (Fellow of the European Board of Urology), co w praktyce oznacza, że specjalizacyjny egzamin europejski staje się równocześnie polskim egzaminem specjalizacyjnym.

W rozmowie odnaleźć można ponadto wątki dotyczące stanu rodzimej urologii i niekorzystnego, zdaniem rozmówcy, sposobu finansowania procedur medycznych. Znalazło się w niej także miejsce na wyjaśnienie specyfiki wykonywania zabiegów z wykorzystaniem robotów i podkreślenie kluczowej roli, jaką ma do odegrania w tych przypadkach chirurg, jego wykształcenie oraz posiadane umiejętności.

Utrzymanie poziomu wymaga ciągłych starań

Jakość kształcenia to obszar niezwykle istotny z punktu widzenia każdej szkoły wyższej. O tym, jakie trzeba czynić starania, aby zapewnić ciągłość tego ważnego procesu, opowiada czasopismu Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu „Więsie Akademickie” (nr 1/2022) dr inż. Jarosław Ugliś, pełnomocnik rektora ds. jakości kształcenia UPP.

W opublikowanej rozmowie poruszonych zostało wiele interesujących wątków, od precyzyjnego przytoczenia definicji opisywanego zjawiska, aż po wskazanie wszystkich jego składowych. Jak wynika z rozmowy, system jakości kształcenia odnosi się do wszystkich etapów oraz aspektów procesu dydaktycznego, obejmując m.in. takie obszary, jak analiza programu



studiów, ocena nauczyciela akademickiego oraz infrastruktury, która wykorzystywana jest do realizacji programu studiów, czy wreszcie wnioski wynikające, po pierwsze, z monitorowania kariery zawodowej absolwentów, po drugie z badania oczekiwań pracodawców. Dr Ugliś wskazuje także na dwa istotne elementy, które wchodzą w skład całego systemu jakości kształcenia. Chodzi

mianowicie o interesariuszy wewnętrznych oraz zewnętrznych. Do grona tych pierwszych zalicza się studentów, doktorantów, nauczycieli akademickich, a także pracowników administracyjnych i techniczną obsługę uczelni. Drugi natomiast zasilają pracodawcy oraz władze centralne i regionalne.

Jeśli chodzi o standardy obowiązujące w uczelni ze stolicy Wielkopolski, to, jak wspomina rozmówca, „należy podkreślić, że przede wszystkim dominuje poczucie odpowiedzialności za jakość kształcenia i poziom zajęć dydaktycznych wszystkich uczestników tego procesu”. Procesu, który aby mógł bez przeszkód zachodzić, musi być nieprzerwanie pielęgnowany.

Aneta Zawadzka

Marek Misiak

Czy jest pan Polakiem?

Wątpliwości zaczynają się przy nazwach amerykańskich uniwersytetów stanowych, ponieważ wśród pięćdziesięciu stanów USA są mające nazwy spolszczone i odmienne, spolszczone, ale nieodmienne lub nazwy niezmiennące po polsku formy, ale odmienne.

Choć od kilku lat redaguję po angielsku, a czasem także po niemiecku, nie straciłem kontaktu z pracą nad tekstem w ojczystym języku i regularnie szlifuję artykuły oraz książki naukowe po polsku. Mogłoby się wydawać, że poruszanie się w ojczystej mowie powinno być łatwiejsze, ale to mylne wrażenie. Częstsza jest bowiem pokusa działania opartego na intuicji, a ta może prowadzić na manowce, gdyż z domu lub szkoły mogliśmy wynieść głęboko zakorzenione błędne nawyki. Obcy język, nawet biegle opanowany, wymusza większą pokorę i świadomość własnych niedoskonałości. Spory, które toczą z autorami tekstów po polsku, bywają bardziej zażarte niż dyskusje wokół manuskryptów po angielsku czy w innym języku obcym.

Niektóre z pozoru dziwne postawy autorów jestem w stanie zrozumieć, tym bardziej że mnie samemu nie są one obce (tyle że w pracy muszę nad nimi panować, aby nie wpływały na moje kompetencje). Dobrym przykładem są obcojęzyczne nazwy i nazwiska. Zdarza się, że autor oczekuje, że w tekście będą one występować w oryginalnym brzmieniu (choć nie jest to uwarunkowane tematyką tekstu) i wyraża zdziwienie, że wprowadziłem poprawki. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń mogę wskazać trzy powody takich oczekiwań. Utytułowani badacze, którzy przez lata pracowali za granicą, mogą być tak przyzwyczajeni do oryginalnej pisowni, że polska może ich razić. Z kolei młodszy adepci nauki korzystają głównie z anglojęzycznych źródeł i potrafią być autentycznie nieświadomi, że w ogóle istnieją polskie odpowiedniki niektórych nazw czy pojęć (co jednak charakterystyczne, dziwi ich Neapol, ale Naples – w artykule po polsku – już nie). Wreszcie niektórzy autorzy tak obawiają się popełnienia błędu lub niezrozumiałości tekstu, że wolą wszystko przytaczać w oryginale i niczego nie odmieniać. Niestety posługiwano się spolszczonymi wersjami nazw własnych i polskimi odpowiednikami pojęć i terminów (o ile są to dokładne odpowiedniki) nie jest kwestią wyboru. Dobrym przykładem są nazwy amerykańskich stanów. W tekście po polsku jedyną prawidłową pisownią to Teksas i Kalifornia, chyba że nazwa stanu jest częścią dłuższej nazwy, która nie ma polskiej wersji (np. Texas City). Szczególnie często problem ten napotykałem przy nazwach miast: Mainz to po polsku zawsze Moguncja, Kiel – Kilonia, a Den Haag – Haga. Spolszczeń nazw geograficznych nie cechuje żadna konsekwencja. W USA jest kilka miast, które mają obowiązujące spolszczone nazwy (Nowy Jork, Filadelfia, Waszyngton), są takie, które nie zostały spolszczone, ale się odmieniają (Pittsburgh, Tampa), natomiast

większość pozostaje nieodmienna. Czasem brak polskiej wersji wynika z potrzeby odróżnienia danej nazwy własnej od innej nazwy, stąd Londyn w Wielkiej Brytanii, ale London w Kanadzie czy grecka wyspa Itaka i miasteczko Ithaca w stanie Nowy Jork (siedziba Uniwersytetu Cornella).

Uniwersytety i stany

Ostatnia przytoczona nazwa wskazuje na kolejny problem, często obecny w polskojęzycznych publikacjach naukowych – nazwy zagranicznych uczelni. W przypadku tych najbardziej znanych przyjęte jest podawanie ich w wersji spolszczonej, zatem zawsze Sorbona (a nie Sorbonne), Uniwersytet w Oksfordzie (a nie Oxford University) czy Uniwersytet Harvarda (a nie Harvard University). Ta ostatnia nazwa stanowi zresztą przykład tendencji widocznej w polskim piśmiennictwie naukowym i popularnonaukowym od okresu międzywojennego do lat sześćdziesiątych, gdy dążono do możliwie szerokiego spolszczenia i lansowano pisownię Harvard czy Newada, która – jakkolwiek poprawna – jest już bardzo rzadko spotykana. Problematyczne są natomiast dla autorów i redaktorów nazwy uczelni i innych instytucji naukowych rzadziej spotykane w polskojęzycznych źródłach. Z mojej strony mogę sformułować następujące wskazówki.

Najpierw sprawdzamy, czy istnieje już ustalona polska wersja danej nazwy. Warto pamiętać, że nie musi być ona wiernym przekładem oryginalnej, np. niemiecki odpowiednik NASA to po polsku Niemiecka Agencja Kosmiczna, ale w oryginale Deutsches Zentrum für Luft- und Raumfahrt, czyli dosłownie Niemieckie Centrum Aeronautyki i Podróży Kosmicznych. Jeśli powszechnie stosowanego polskiego odpowiednika nie ma, a nazwa daje się przetłumaczyć, robimy to, a oryginalną nazwę podajemy ewentualnie w nawiasie (Uniwersytet w Guadalajarze / Universidad de Guadalajara). Jeśli nazwa jest rozbudowana, można stworzyć skróconą nazwę, a oryginalną podać w nawiasie (np. Instytut Herdera / Herder-Institut für historische Ostmitteleuropaforschung – Institut der Leibniz-Gemeinschaft), o ile tylko nadal nie będzie wątpliwości, o którą instytucję chodzi (np. w Niemczech istnieją dwa instytuty im. Maxa Plancka). Jeśli nazwa zawiera nazwisko, a nie lokalizację, tłumaczymy (Uniwersytet Harvarda, Uniwersytet Cornella, Uniwersytet Johna Hopkina). Jeśli nazwa jest skrótowa – akronimem (pierwsze litery, np. CDC / Centers for Disease Control and Prevention), grupowcem (pierwsze sylaby, np. Caltech /

California Institute of Technology) lub skrótem innego typu (np. Virginia Tech / Virginia Polytechnic Institute and State University), można poprzestać na podaniu właśnie skrótu, a nawet go odmieniać (Caltech – na Caltechu). Rozwinięcie skrótu w nawiasie może być przydatne, jeśli nie jest on szeroko znany polskim czytelnikom, wówczas trzeba podać zarówno oryginalną pełną nazwę instytucji, jak i polski odpowiednik, jeśli istnieje (Caltech / California Institute of Technology / Kalifornijski Instytut Techniczny).

Wątpliwości zaczynają się przy nazwach amerykańskich uniwersytetów stanowych, ponieważ wśród pięćdziesięciu stanów USA są mające spolszczone i odmienne nazwy (Teksas, Kalifornia, Pensylwania, Luizjana, Nowy Meksyk, Dakota Północna i Południowa, Karolina Północna i Południowa, Wirginia, Wirginia Zachodnia, Floryda, Hawaje), nazwy spolszczone, ale nieodmienne (Kolorado, Missisipi) lub nazwy niezmiennające po polsku formy, ale odmienne (Alaska, Nevada, Arizona, Alabama, Georgia, Oregon, Minnesota, Montana, Nebraska, Oklahoma, Vermont), ale i takie, których nazwy w ogóle się nie odmieniają – albo dlatego, że z powodu końcowej głoski nie da się ich wpasować w żaden wzorzec odmiany (Idaho, Utah, Delaware, Ohio, Massachusetts, Arkansas, Kentucky, Maine, Missouri, Tennessee), albo ponieważ składają się z dwóch części, których jedna to nietłumaczony angielski człon (New Jersey, New Hampshire, Rhode Island), albo z racji sztucznego lub trudnego do wymówienia brzmienia odmienionej postaci (Kan-

sas, Connecticut, Maryland, Michigan, Wisconsin, Wyoming). Specyficznym przypadkiem są stany Nowy Jork i Waszyngton – tu zawsze obowiązuje pisownia „w stanie...” dla uniknięcia pomylenia stanu i miasta o tej samej nazwie (Nowy Jork leży w stanie Nowy Jork, choć nie jest jego stolicą; Waszyngton nie leży w stanie Waszyngton). W przypadku stanów z kierunkami świata w nazwie trzeba pamiętać o właściwym szyku: najpierw nazwa stanu, potem przymiotnik (a zatem Karolina Południowa, a nie Południowa Karolina). W wypadku uczelni zlokalizowanych w stanach o odmiennych nazwach autor ma wybór. Może zdecydować się na starszą formę z nieodmienną nazwą stanu, np. Uniwersytet Stanowy Stanu Arizona (University of Arizona) albo na krótszą wersję z odmienioną nazwą stanu, tj. Uniwersytet Arizony. Przy nieodmiennych nazwach stanów wybór jest podobny, ale nazwa stanu pozostaje niezmienna – University of Michigan to albo Uniwersytet Michigan, albo Uniwersytet Stanowy Stanu Michigan.

Mnogość uniwersytetów stanowych

Przy oddawaniu po polsku nazw amerykańskich uczelni warto uważać, aby nieświadomie nie wprowadzić czytelnika w błąd, ponieważ w tym samym stanie może być kilka uczelni o podobnych nazwach. Jeśli w nazwie instytucji jest jej lokalizacja, może to być nieprzypadkowe. Uniwersytet Teksasński w Austin (The University of Texas at Austin) to inna placówka niż Teksasński Uniwersytet Stanowy ewentualnie Uniwersytet



Fot. Stefan Ciechan

Stanowy Stanu Teksas (Texas State University), mieszczący się w San Marcos. Podobnie Uniwersytet Michigan ewentualnie Uniwersytet Stanowy Stanu Michigan (University of Michigan) w Ann Arbor to inna uczelnia niż – także państwowy – Uniwersytet Michigan w Dearborn ewentualnie Uniwersytet Stanowy Stanu Michigan w Dearborn (University of Michigan–Dearborn); niektóre stany (niekoniecznie te największe) mają więcej niż jeden uniwersytet stanowy. Uniwersytet Kalifornijski (takie tłumaczenie jest znacznie częstsze niż Uniwersytet Kalifornii) to nie jedna uczelnia, lecz system dziesięciu uniwersytetów, zatem podawanie, o który chodzi, jest konieczne, np. Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles (University of California Los Angeles – po angielsku nie ma „w”, ale po polsku należy dodać ten przyimek). Jeśli chodzi o uczelnie w stanie Nowy Jork, błędne jest tłumaczenie Columbia University jako Uniwersytetu Kolumbii, gdyż może to sugerować, że chodzi o Uniwersytet Kolumbii Brytyjskiej (University of British Columbia) w Vancouver albo wręcz o Narodowy Uniwersytet Kolumbii (Universidad Nacional de Colombia) w Bogocie. Mylące może być też tłumaczenie Uniwersytet Nowojorski, gdyż nie wiadomo, czy chodzi o New York University (NYU), Uniwersytet Stanowy Stanu Nowy Jork (State University of New York), czy o Uniwersytet Miasta Nowy Jork/Uniwersytet Miejski w Nowym Jorku/Uniwersytet Miejski Nowego Jorku/Miejski Uniwersytet Nowojorski (City University of New York – CUNY). Ten ostatni przykład jest szczególnie wymowny: cztery polskie odpowiedniki,

ale wszystkie wskazują jasno, o którą uczelnię chodzi, a jednocześnie uwidaczniają, jak w razie najmniejszych wątpliwości ważne jest podanie także oryginalnej nazwy.

Innym, ale istotnym problemem w polskojęzycznych tekstach naukowych jest odmienność nazwisk. Polszczyzna jest – podobnie jak wszystkie języki słowiańskie – silnie fleksyjna i duża część imion i nazwisk, które dają się wpasować w któryś z obecnych w naszym języku wzorców deklinacji, należy odmieniać (w pewnych, dość rzadkich przypadkach odmienność jest fakultatywna). Prawdopodobnie pod wpływem znacznie słabiej fleksyjnych (zwłaszcza jeśli chodzi o deklinację) języków germańskich coraz silniejsza jest jednak tendencja do pozostawiania nazw własnych i nazwisk w niezmienionej formie, w niektórych transnarodowych firmach jest to oficjalna polityka przedsiębiorstwa. Coraz częściej napotykam zatem na autorów wyraźnie zdziwionych, że obcojęzyczne imiona i nazwiska – także blisko- i dalekowschodnie – często także są odmienne po polsku; co więcej – odmiana taka może prowadzić do modyfikacji tematu wyrazu (Joyce – o Joysie) albo pojawienia się tzw. ruchomego „e” (Wrabec – dla Wrabca; to czeskie nazwisko, a w czeszczyźnie ruchome „e” nie występuje). Trzeba jednak wspomnieć, że w polszczyźnie nie odmieniamy za wszelką cenę. Dobrym przykładem są imiona i nazwiska japońskie. Te zakończone na –o teoretycznie można by odmieniać (Hashimoto – choroba *Hashimoty), ale po pierwsze taka forma raziłaby wielu Polaków, a po drugie utrudniałaby ustalenie postaci mianownika bez wiedzy pozajęzykowej (Hashimoty to dopełniacz zarówno od Hashimoto, jak i Hashimota). Nieodmienne są nazwiska kończące się na głoski niewystępujące w polszczyźnie (np. wiele nazwisk francuskich: Malraux, Camus) albo występujące, ale niepozwalające na dopasowanie wzorca deklinacji (np. rumuńskie imiona i nazwiska zakończone na –u: Radu, Ceaușescu).

Nie mam natomiast dobrych wieści dla osób noszących odmienne w naszym języku nazwiska, które deklarują, że „moje nazwisko się nie odmienia” albo bardziej subiektywnie, że „nie odmieniam mojego nazwiska”. Odmienność nazwiska nie zależy od decyzji jego posiadacza. Rozumiem, że jest to sprzeczne z wewnętrznym poczuciem, bo mało jest tak intymnych kwestii, jak własne imię i nazwisko, ale takie są reguły nie tylko w polszczyźnie, lecz także po czesku, rosyjsku czy ukraińsku. Nieodmienienie nazwiska, które w danym kontekście da się i należałoby odmienić, jest rażącym błędem językowym. Noszący dane nazwisko może natomiast decydować, jak ma być ono odmieniane, jeśli jest kilka możliwości. Dotyczy to szczególnie niektórych nazwisk z ruchomym „e” (poprawna jest odmiana zarówno Engela, jak i Engla, Gocela, jak i Gocla) oraz stanowiących rzeczownik pospolity odmieniany z przegłosem (Dąb – Dęba lub Dąba, Gołąb – Gołębia lub Gołąba). Argumentem przeciw odmianie – i to ważkim – jest wspomniana już wyżej trudność w ustaleniu postaci mianownika. W takiej sytuacji należy jednak tak przeformułować zdania, w których występuje dane nazwisko, aby zawsze występowało ono w mianowniku – nawet usterki stylistyczne są lepsze niż rażące błędy. Nie bez powodu niektóre formularze urzędowe lub bankowe są układane w taki sposób, by wymuszać wpisywanie wszystkich imion i nazwisk zawsze w mianowniku.

Pytanie z tytułu artykułu usłyszałem kiedyś od jednego ze zleceniodawców, który był tak mocno przekonany o swojej racji w kilku spornych kwestiach, że doszedł do wniosku, iż moje obstawanie przy innych rozwiązaniach wynika z tego, że polszczyzna jest dla mnie językiem obcym. Kilka razy w życiu zostałem wzięty za Rosjanina, Niemca, Hiszpana, a nawet izraelskiego Żyda, ale to temat na osobną opowieść. Zapewniam, że jestem Polakiem.



Inteligentna siła kolektywu

Zaangażowanie obywatelskie z wykorzystaniem Internetu tworzy więcej możliwości, przełamuje skostniałość czy wręcz bezwład istniejących struktur.

„Proponuję pozostawienie zasady zagwarantowania każdej z dzielnic realizacji projektu do 150 tys. zł” – napisał jeden z mieszkańców Lublina. „Należy uszczelnić system głosowania, np. poprzez limit głosów z jednego komputera do maksymalnie pięciu” – dodał drugi. „Powinny być dodatkowe punkty za zgłaszanie projektów wpisujących się w strategię rozwoju miasta” – dorzucił jeszcze inny. Zapewne niewielu autorów tych propozycji zdawało sobie sprawę, że konstruując ramy nowego budżetu obywatelskiego, stali się częścią zbiorowej inteligencji. Tej samej, dzięki której powstała Wikipedia, oprogramowanie Linux czy, niewdrożona ostatecznie, konstytucja Islandii.

Efektowna zwinność

Pojęcie „inteligencji kolektywnej” ukuł jeszcze w erze przed-internetowej francuski filozof Pierre Levy, definiując w ten sposób proces zbiorowego podejmowania decyzji. Efekt końcowy poprzedzony jest dyskusją, wymianą informacji, w trakcie której wiedzę się przyswaja, grupuje, wyjaśnia i porównuje. W myśl zasady „Nikt nie wie wszystkiego, każdy wie coś”, zdolność takiej zbiorowości do znalezienia rozwiązania danego problemu jest lepsza niż pojedynczych jej członków, pracujących niezależnie od siebie. Co więcej, ich poczucie odpowiedzialności za wytworzone treści sprzyja poprawie jakości tej wiedzy: prawdopodobieństwo wykrycia błędów, brakujących informacji czy niepoprawnych danych jest bowiem o wiele większe. Początkowo wizja ta miała charakter czysto teoretyczny. Nowe życie dał jej rozwój sieci internetowej.

– Kiedy rozproszone zespoły ludzi, którzy się nie znali ze sobą, zaczęły bez motywacji finansowej tworzyć oprogramowanie czy encyklopedię internetową, nikt nie dawał temu większych szans, a już na pewno nie spodziewał się, że przyniesie to takie efekty. Tymczasem dowiedzieliśmy się czegoś nowego o tym, jak ludzie myślą, jak pracują i jak można tworzyć pewne wartości. Bez komunikacji internetowej te projekty nie byłyby możliwe – przekonuje dr Rafał Olszowski z Katedry Technologii Informacyjnych i Mediów Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Wskazuje jednocześnie, by nie utożsamiać inteligencji kolektywnej z często używanym w podobnym kontekście terminem

„mądrość tłumu”. Podstawą tej ostatniej nie jest bowiem intencjonalność, świadome zaangażowanie, to bardziej uśrednione dane zagregowane z danej zbiorowości. W przypadku inteli-



gencji zbiorowej, która wiąże się z rozwiązywaniem specyficznych kwestii, wymagających wiedzy dziedzinowej, czy zaangażowaniem ludzi wokół określonej idei, chodzi nie tyle o ilość, co o jakość. I to zarówno tych, którzy partycypują, jak i wytwarzanych przez nich treści.

Sama partycypacja to jednak nie wszystko. O ile w niej liczy się samo uczestnictwo, o tyle efekt końcowy najważniejszy jest w popularnym w ostatnich latach crowdsourcingu. Tak jak dawniej outsourcing wydzieliał pewne procesy poza strukturę danej organizacji, tak teraz można je zlecać społecznościom rozproszonym. Ludzie, których nawet nie trzeba rekrutować do pracy, angażują się, czy to z powodów finansowych, prestiżowych, czy po prostu z poczucia misji, w konkretne projekty. W zbiorowej inteligencji oba te pojęcia – i partycypacja, i crowdsourcing – w różnym stopniu funkcjonują.

– Dawniej procesy zarządzania czy podejmowania decyzji oparte były na tzw. modelu kaskadowym, w którym kolejne etapy wynikały z poprzednich. Obecnie stosowane są modele zwinne – w trakcie tworzenia wynikają niespodziewane wcześniej rezultaty, mogące nawet zmienić cel, kierunek, ale przy umiejętnym doborze ludzi, którzy nie tylko mechanicznie wykonują swoją pracę, lecz robią to z pasją i zaangażowaniem, możemy uzyskać znacznie lepsze efekty niż przy schemacie działania hierarchicznego – tłumaczy dr Olszowski, który zajmuje się badaniem kolektywnej inteligencji w sferze publicznej.

Zwraca uwagę, że zachodząca rewolucja technologiczna nie pozostała bez wpływu także na ten obszar. Już w 2015 roku pytał w jednej z publikacji, czy możliwa jest elektroniczna republika? Pisał o zmieniającej się funkcji państwa, które przestaje

być monopolistą w realizacji zadań publicznych. Zamiast, jak dotąd, pełnić rolę autorytatywnego ośrodka rozwiązywania problemów, przyjmuje funkcję arbitra, który zaprasza obywateli, organizacje pozarządowe i przedsiębiorstwa do wspólnego poszukiwania najlepszych rozwiązań. W ten sposób podmioty te w aktywny sposób przejmują niektóre obowiązki państwa, korzystając ze znacznie większej niż dotychczas ilości danych. „Możliwości techniczne, jakie pojawiły się w związku z rozpo- wszechnieniem narzędzi e-governance, przekształcają sferę publiczną i relacje pomiędzy państwem i obywatelem w ten sposób, że dochodzi do strukturalnej transformacji systemu politycznego, ale przede wszystkim do redefiniowania roli obywatela w państwie i wzmocnienia cech aktywnie partycypującego, współtworzącego państwo uczestnika procesów decyzyjnych” – dowodził naukowiec z AGH, uznając za szczególnie ważne w tym kontekście badanie udziału społeczeństwa w procesach decyzyjnych. Ten właśnie aspekt wziął sobie na celownik.

– Analiza procesów elektronicznej partycypacji i zbiorowego podejmowania decyzji za pośrednictwem Internetu jest obecnie jednym z najważniejszych wyzwań, jakie stoją przed naukami politycznymi, a szczególnie przed naukami o polityce publicznej. W pionierskim na polskim gruncie projekcie interesowało mnie to, żeby zbadać możliwości wdrożenia tych zjawisk w administracji publicznej – wyjaśnia.

Ułomna pamięć zbiorowa

Kiedyś ów wpływ obywateli na rządzenie ograniczony był jedynie do wyborczej urny i ujawniał się raz na kilka lat. Teraz ma charakter ciągły, a obszar nim objęty znacznie się poszerzył.



Rys. Sławomir Makal

Taka e-partycypacja to m.in. elektroniczny przepływ informacji, elektroniczne konsultacje czy elektroniczne podejmowanie decyzji. Na Zachodzie najbardziej chyba znanym jej przejawem była konstytucja Islandii, którą obywatele tego kraju napisali właśnie przez... Internet. Powodowani brakiem zaufania do władz, zrodzonym w wyniku kryzysu ekonomicznego, sami postanowili stworzyć katalog propozycji i postulatów do nowej ustawy zasadniczej. Na tej podstawie grupa ekspertów opracowała projekt, a następnie umieszczono go w sieci, by każdy mógł się z nim zapoznać. Wszelkie sugestie zgłaszano przez Facebook. Cały proces zakończył się w połowie 2011 roku. Choć ostatecznie konstytucja nie weszła w życie, pokazała siłę inteligencji kolektywnej. Również w Finlandii próbowano wprowadzać akty prawne w wyniku ściśle zorganizowanej komunikacji. W Nowej Zelandii z kolei powstała aplikacja do zbiorowego podejmowania decyzji. Im bardziej Internet staje się kreatorem naszego życia, tym podobnych pomysłów będzie przybywać.

W Polsce elektroniczna partycypacja jak dotąd przyjmuje najczęściej formułę budżetu obywatelskiego. Szczególny wymiar zyskała w trakcie pandemii, kiedy kontakty na linii obywatel – urząd niemal w całości zostały przeniesione do Internetu. Nie zmniejszyło to jednak zaangażowania lokalnych społeczności w sprawy najbliższego otoczenia. Każda z tych zbiorowości, zauważa dr Olszowski, ogniskuje się wokół wykreowanego w ten czy inny sposób lidera – bez niego nie powstanie żaden projekt. Naukowiec dowodzi, że tym, z czym najczęściej zmagają się takie grupy, jest pamięć zbiorowa. Gdy w wyniku kolektywnej pracy pojawia się jakiś jej efekt, rozwiązanie, to rzadko kiedy zostaje on utrwalony. Dochodzi do tego, że w kolejnych latach osobom zaangażowanym w budżety obywatelskie przychodzi się mierzyć z podobnymi problemami. Brakuje komunikacji z ludźmi, którzy wcześniej brali w tym udział, nie ma dostępu do wiedzy, którą wypracowali. Zdaniem mojego rozmówcy wynika to z nieuporządkowania pozyskiwanych treści. Informacje zdobyte dzięki komunikacji online, np. na czatach czy forach dyskusyjnych, wymagają selekcji, bez której nie da się realnie działać. Z pomocą może tu przyjść sztuczna inteligencja, która uporządkuje komunikaty, a argumenty odpowiednio posegreguje. Jednym ze sposobów jest „drzewo argumentów”. Metodę tę stosują m.in. w Centrum Zbiorowej Inteligencji, działającym w Massachusetts Institute of Technology. Chodzi w skrócie o to, by na takim „drzewie” właściwie umiejscowić pojawiające się treści. Jeżeli zastanawiamy się, jak rozwiązać dany problem społeczny, np. obowiązek szczepień, to zestawienie argumentów „za” i „przeciw” daje obraz toczącej się dyskusji. Pomaga to w podejmowaniu lepszych decyzji.

Niezależnie od tego, czy będzie to robiła zbiorowość poprzez głosowanie, urzędnik administracji czy polityk wybrany w wyborach, najistotniejsze z punktu widzenia inteligencji są informacje umożliwiające podjęcie decyzji. To właśnie na gromadzeniu wiedzy na temat możliwych rozwiązań, krótko- i długoterminowych skutków, polega rola zbiorowości. Dzięki temu ostatni etap procesu, czyli podejmowanie, jest już znacznie prostszy. Przy czym, jak zauważa naukowiec z AGH, nie chodzi tu o prostą syntezę danych, lecz o to, co wynika z naturalnej, spontanicznej komunikacji w ramach grupy. W zbiorowej inteligencji, inaczej niż w „internetowych bańkach”, liczy się różnorodność kognitywna, a więc wielorakie punkty widzenia. Bez tego trudno o dobrą decyzję. I nie zawsze musi być ona oparta na konsensusie. Zdarza się, że zderzenie przeciwstawnych stanowisk, a nawet pewnego rodzaju rywalizacja na argumenty, ale z zachowaniem szacunku dla drugiej strony, przynosi lepsze rozwiązania.

– Ważne, by myśleć w kategoriach projektowych. Zatem mamy pewną pracę do wykonania, zasoby i zespół ludzi. Nie

ma większego znaczenia, czy wypracowanie efektów będzie polegać na współpracy czy konkurowaniu, to już zależy od specyfiki projektu.

Zabawa zamiast dobra wspólnego

Niezwykle istotnym aspektem kolektywnej inteligencji, widocznym choćby przy budżetach obywatelskich, jest jej sprawczość. Kiedy tego typu projekty zaczęły się pojawiać w polskich miastach, niektórym wydawało się, że to partycypacja dla samej partycypacji. Stąd być może wzięły się początkowe porażki. Tymczasem badacze, patrząc na to zjawisko choćby przez pryzmat „arabskiej wiosny” albo ruchu Occupy, zastanawiają się coraz głębiej nad tym, czy wykorzystując komunikację internetową, można przebudować system polityczny.

– Dla mnie kluczowe jest myślenie w kategoriach republikańskich, tzn. takich, w których jesteśmy współgospodarzami, współwłaścicielami, współuczestnikami zbiorowości. Ale żeby tak było, potrzeba zaangażowania. Dopiero wówczas możemy mówić o obywatelstwie w pełnym tego słowa znaczeniu. Konsumenci, którzy jedynie korzystają z rozwiązań dostarczanych przez administrację, niczego nie zmienią – podkreśla badacz.

I dodaje, że zaangażowanie z wykorzystaniem Internetu tworzy więcej możliwości, przełamuje skostniałość czy wręcz bezwład istniejących struktur, które za swój cel, co poniektąd zrozumiałe, uznają zachowanie status quo. Jednocześnie zwraca uwagę, że już teraz zaangażowane obywatelstwo bywa w Internecie wypierane przez obywatelstwo okazjonalne, epizodyczne, zorientowane nie na dobro wspólne, lecz autoprezentację i wspólną zabawę. To niejedyne zagrożenia dla kolektywnej inteligencji. Anonimowość i brak odpowiedzialności sprzyjają wielu negatywnym zjawiskom. Jak pokazują choćby media społecznościowe, bez dyscypliny, narzuconych reguł, zarówno pojedynczy człowiek, jak i większe społeczności instynktownie „idą na łatwiznę” i tracą tym samym swoją inteligencję.

– Widząc ten komunikacyjny chaos, jeszcze bardziej przekonują się, jak ważne są badania nad zbiorowością i nad czynnikami, które wpływają na jej inteligentne myślenie – konstatuje dr Olszowski.

Kreśląc możliwe kierunki rozwoju, badacz nie ma wątpliwości, że kolektywna inteligencja będzie raczej możliwa w mniejszych społecznościach. Wskazuje na wykorzystanie jej przy konkretnych zadaniach zleczanych przez administrację. Całkiem realną widzi możliwość tworzenia polityki publicznych w określonych obszarach. W USA podejmowane są np. próby tworzenia systemów współpracy zbiorowej dla pracowników administracji federalnej. Chodzi o to, by połączyć ludzi mających specjalistyczną wiedzę na dany temat do rozwiązywania konkretnych problemów. Jednak chyba najbardziej interesujący nurt to w tej chwili połączenie sztucznej inteligencji i zbiorowej inteligencji. Ma pokazać, w jaki sposób algorytmy, które pomagają w porządkowaniu wiedzy, mogą współdziałać ze zbiorowościami i je wspierać.

– O samą istotę inteligencji pytamy jako humaniści, ale informatyków też to interesuje, bo oni szukają metod na rozwiązywanie problemów. To duże pole do obustronnej współpracy – zwraca uwagę dr Olszowski, który teraz zajmuje się badaniami komunikacji na Twitterze, a więc w nieco większej skali.

Chce z dużej ilości danych wyprowadzić wnioski, które nie są widoczne na pierwszy rzut oka. Bez narzędzi technicznych nie byłoby to możliwe. Multidyscyplinarność wpisana w strukturę Wydziału Humanistycznego AGH, gdzie pracują zarówno badacze procesów społecznych, jak i specjaliści techniczni, daje odpowiednią perspektywę.

Justyna M. Bugaj

Czym jest jakość kształcenia akademickiego?

Każdy z nas jakość kształcenia będzie rozumiał inaczej. Jest to pojęcie wielowymiarowe, często subiektywne i zdecydowanie zależy od indywidualnego punktu widzenia.

Pewnego słonecznego dnia, na spotkaniu przy kawie na kampusie, rozmawiałam o jakości kształcenia. Rozważałam, dlaczego wiąże się z nią tyle emocji. Rzeczywiście część z nas, pracowników różnych uczelni, łączy jakość kształcenia z nadmiarem obowiązków dydaktycznych oraz pracą administracyjną. Innym kojarzy się ona z ciągłymi zmianami w prowadzeniu zajęć. Jednak nie z tymi wynikającymi z aktualizowania sylabusów, a raczej z „dziwnymi procedurami”, których sens jest zrozumiały dla niewielu z nas. Początków chaosu w tym obszarze można doszukiwać się w wydarzeniach z końca lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy to europejscy ministrowie, w tym reprezentant Polski, w ramach procesu bolońskiego zgodzili się na rozpoczęcie gruntownego reformowania narodowego systemu szkolnictwa wyższego. Opis tych wydarzeń i ich konsekwencji w negatywnym i pozytywnym świetle można znaleźć w licznych publikacjach naukowych i tekstach publicystycznych. W ich konsekwencji między innymi pojawiła się konieczność sformalizowania wewnętrznego systemu jakości kształcenia, umożliwiającego monitorowanie procesu kształcenia; przygotowania opisu prowadzonych kierunków kształcenia, które podlegają akredytacji zewnętrznej według ustalonych kryteriów oraz posiadania sylabusów (kart przedmiotów lub opisów przedmiotów), obecnie podkreślających uzyskanie konkretnych efektów uczenia się przez studentów i które w trakcie zajęć da się potwierdzić.

Reguły czy brak reguł

Spotkanie przy kawie było inspirujące. Mając na uwadze autonomię nauczycieli akademickich, spierałam się, że pozostawienie im swobody w organizacji i prowadzeniu zajęć będzie miało więcej korzyści niż określenie szczegółowych reguł postępowania. Czy rzeczywiście jest to właściwa postawa? Jakość kształcenia jest inaczej rozumiana przez przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych, obszarów badawczych i w końcu

różnych uczelni. Inaczej rozumieją ją studenci, nauczyciele akademicy, pracownicy wspierający, a inaczej dziekani i rektorzy. Co prawda w rozdziale pierwszym monografii *Jakość kształcenia akademickiego*, którą tu omawiam, przedstawione są tylko dwa i to skrajne podejścia: subiektywne (interpretatywne) i obiektywne (normatywne, instrukcyjne), to i tak mogą stanowić one inspirację do przygotowania i przeprowadzenia zmian w pracy dla każdego nauczyciela akademickiego. Podejścia te skłaniają do poszukiwania odpowiedzi na pytania: czego oczekują od studentów i od siebie? Co jest ważniejsze, swobodne podejście do ocen i oceniania czy ustanawianie standardów i wskaźników (w tym minimalnych wymagań), dotyczących zaliczenia przedmiotu... Dziękuję Annie Sajdak-Burskiej za przygotowanie tej części.

Określanie jakości kształcenia

Na początku mojej pracy w funkcji prodziekana zadałam sobie pytanie, czym dla mnie jest jakość kształcenia. I nie udało mi się znaleźć prostej odpowiedzi. Sięgnęłam po literaturę przedmiotu (w tym z zarządzania jakością) po to, aby stwierdzić, że rzeczywiście każdy z nas jakość kształcenia będzie rozumiał inaczej. Jest to pojęcie wielowymiarowe, często subiektywne i zdecydowanie zależy od indywidualnego punktu widzenia. Na jakość kształcenia wpływają rozliczne czynniki, zarówno zewnętrzne (np. związane z otoczeniem, z finansowaniem działania uczelni), jak i wewnętrzne (wśród których są nie tylko te znamienne dla konkretnej uczelni, ale też związane z dyscypliną naukową czy prowadzonymi badaniami). Z drugiej strony bez jej wyjaśnienia i określenia ram trudno wymagać jej spełnienia. Niemożliwe będzie określenie, że konkretne zajęcia lub kierunki kształcenia mają wysoką lub niską jakość. Przebieg procesu kształcenia wymaga uwzględnienia przynajmniej perspektywy uczelni, programu/kierunku kształcenia czy przedmiotu, ale także stanowiska interesariuszy wewnętrznych (np. studen-

tów, pracowników wspierających proces oraz nauczycieli akademickich) i zewnętrznych (np. społeczności lokalnej i regionalnej, pracodawców, absolwentów). Ta niejednoznaczność definicyjna oraz subiektywne podejście zostały opisane szerzej w drugim rozdziale monografii mojego autorstwa.

Przypadki jakości kształcenia

Do wyjaśnienia złożoności jakości kształcenia i pokazania jej niuansów najlepiej wykorzystać metodę studium przypadku, która ułatwia zrozumienie rzeczywistości i znaczenia działań w określonym kontekście. Jednak jej wykorzystanie wymaga uwzględnienia konkretnych kroków postępowania. Dlatego niezbędne okazało się przygotowanie części stanowiącej metodyczne wprowadzenie do kolejnych rozdziałów. Części, która pozwalać będzie na dokładną analizę elementów procesów jakości kształcenia na uniwersytecie, w tym tych specyficznych dla określonych kierunków kształcenia. W rozdziale trzecim można znaleźć wiele wskazówek i schematów ułatwiających wykorzystanie metody studium przypadku, nie tylko do analizy procesu jakości kształcenia, ale także do przygotowania prac badawczych i awansowych. Prezentowane schematy ukazują etapy postępowania w takim procesie badawczym, uwzględniające rygor metodyczny. Ta część akcentuje studiowanie przypadku jako metody budującej teorię lub pokazującej praktyczne rozwiązania danego problemu, opisuje źródła danych, które można do niej wykorzystać oraz sposoby analizy tych danych. Jest jedną z metod wspomagania zarządzaniem jakością kształcenia i służy do implementacji dobrych praktyk w instytucjach akademickich. Dziękuję Małgorzacie Budzanowskiej-Drzewieckiej za przedstawienie tych złożonych metodycznych aspektów metody studium przypadku w prosty i zrozumiały sposób. Dziękuję również za pomoc w redagowaniu całej monografii.

Międzynarodowa współpraca

Od początku dyskusji było jasne, że powinnam zwrócić także uwagę na międzynarodowe praktyki związane z jakością kształcenia. Doskonalenie procesu jakości kształcenia na uczelni nie byłoby możliwe bez obopólnie korzystnej współpracy między nauczycielami akademickimi z różnych krajów. Możliwość uczenia się nawzajem od siebie jest bezcenna i nie tak kosztowna, jak uczenie się na własnych błędach. Co prawda jako lekcję takiego uczenia się wybrano proces uzyskania akredytacji międzynarodowej, ale zwrócono uwagę, że jest to niewątpliwie możliwość wymiany praktyk i doświadczeń, dyskusja równorzędnych partnerów na temat adaptacji możliwych rozwiązań, usprawnień i innowacji w obszarze dydaktycznym, inspiracja do podjęcia całkiem nowych działań i doskonalenia kompetencji dydaktycznych nauczycieli akademickich. To zresztą jest szczególnie ciekawe, bo praktyki opisane z perspektywy chemiczki mogą zdecydowanie zostać wykorzystywane także w innych dyscyplinach, nie tylko związanych z naukami ścisłymi i przyrodniczymi. Tutaj warto podziękować Iwonie Maciejowskiej za przygotowanie tej części z perspektywy osoby nadal nieprzekonanej o konieczności brania udziału w globalnej konkurencji uczelni.

A może jednak biznes

Akredytacje zewnętrzne, nie tylko zagraniczne, mogą być inspiracją do testowania nowych praktyk w procesie kształcenia, ale również mogą zachęcać do nawiązywania wartościowych kontaktów z pracodawcami. Najlepiej rezultaty tej współpracy można ocenić podczas organizacji praktyk zawodowych i sprawdzenia efektów uczenia się po ich odbyciu. To wtedy studenci mogą zweryfikować praktyczne umiejętności nabyte

w trakcie procesu kształcenia i wtedy może dokonać się proces weryfikacji efektów uczenia się w zakresie umiejętności i kompetencji społecznych. Nie jest to proces łatwy dla obu stron. Zarówno pracodawcy, jak i studenci powinni być otwarci na wzajemne uczenie się. Opisany w tej części przykład jest przygotowany z perspektywy studentów dziennikarstwa, jednak konkluzje z niego wynikające mogą być wykorzystane do weryfikacji efektów uczenia się na innych praktycznych kierunkach kształcenia. Ta część również jest bardzo dobrze przygotowana i bardzo za nią dziękuję Małgorzacie Winiarskiej-Brodowskiej.

Struktura systemu jakości

Jedno spotkanie przy kawie nie wystarczyło, gdyż nadal pozostało kilka kwestii nierozstrzygniętych. Wewnętrzny uczelniany system jakości kształcenia może być bardziej lub mniej sformalizowany. Może zawierać procedury postępowania obowiązujące wszystkich pracowników i studentów lub tylko te, które są niezbędne do monitorowania działań jakościowych. Trudno znaleźć punkt równowagi. Standardy obowią-



zujące w różnych systemach szkolnictwa wyższego (np. ENQA) ułatwiają weryfikację skuteczności działania systemu jakości kształcenia, choć część ekspertów zwraca uwagę, że kryteriów do oceny programowej jest za dużo (obecnie 10). W tym kontekście warto wrócić do treści z dwóch pierwszych rozdziałów omawianej monografii, zwracających uwagę na to, że taki system może być inny z perspektywy całej uczelni i inny z perspektywy poszczególnych wydziałów, i w związku z tym może podlegać ocenie z różnymi kryteriami jakości kształcenia na różnych poziomach. Ja zdecydowanie nie zalecam tworzenia ksiąg jakości na uczelniach. Jednak w rozdziale szóstym, za co pięknie dziękuję Marcie Tutko, wskazane zostały zalety posiadania dobrze opisanego wewnętrznego systemu jakości kształcenia.

Jakość w laboratorium

Różnorodność form kształcenia mobilizuje do podjęcia jeszcze innej dyskusji, dotyczącej praktycznych efektów uczenia się nabywanych podczas zajęć laboratoryjnych. Jest pewna grupa efektów, które w inny sposób są niemożliwe do osią-

gnięcia. Tylko niektóre formy i metody dydaktyczne można w laboratorium wykorzystać i tylko część z nich jest skuteczna podczas oceny efektów uczenia się uzyskanych w ten sposób. Uczenie się na podstawie eksperymentów laboratoryjnych ma długą tradycję. Równie długa jest dyskusja nad procesem jakości kształcenia w tym obszarze. Sprowadza się nie tylko do podkreślenia konieczności opracowania na nowo celów kształcenia laboratoryjnego studentów czy wyznaczenia standardów jakościowych w nauczaniu laboratoryjnym. Dziękuję Weronice Krzeszowiec-Jeleń za podkreślenie konieczności opracowania takich standardów jakości pracy w laboratorium, które będą pomocne zarówno w przygotowaniu studentów do pracy badawczej, kształceniu innych, jak też także w podjęciu zatrudnienia w komercyjnych laboratoriach różnego typu.

Jednak współpraca

Dyskusja dotycząca nabywania efektów uczenia się podczas procesu kształcenia sprowadziła się „pod koniec dnia” do określenia zbioru kompetencji niezbędnych dla wszystkich



Fot. Stefan Ciechan

studentów, bez względu na kierunek studiów. Do takich ogólnie obowiązujących kompetencji należy praca grupowa, przy okazji której studenci uczą się rozwiązywania złożonych problemów, modelowania czy analizy danych, osiągnięcia kompromisu, obrony własnego zdania oraz udzielania informacji zwrotnej. Co prawda rozdział ósmy przedstawia rolę pracy zespołowej z perspektywy kursów fizyki i biofizyki, nie zmienia to jednak założenia, że studenci ci są chętnie zatrudniani w innych sektorach gospodarki, począwszy od biologii, a na finansach i ekonomii skończywszy. W tej części podkreślony został dodatkowo głos doktorantów i dlatego bardzo dziękuję Dagmarze Sokołowskiej za jej przygotowanie. Postawa doktorantów służy budowaniu pomostu pomiędzy utartymi schematami kształcenia a potrzebami i percepcją procesu edukacji wyrażanymi przez pokolenie obecnych studentów.

Zaangażowanie w jakość kształcenia

Z moich obserwacji pracy nauczycieli akademickich wynika, że ważne dla nich są głównie dwie kwestie. Pierwsza dotyczy poczucia sensu i tym samym wiary, że praca, którą wykonują, ma sens. Druga związana jest z poczuciem sprawczości, czyli wiary, że to, co robią, przyniesie określony skutek. Dodatkowo należy założyć, że aby wymagać określonych zachowań od nauczycieli czy studentów, należy w obu tych grupach zapewnić minimalne, choć dość proste do określenia, warunki pracy i warunki studiowania. Wtedy też można od nich wymagać zaangażowania, związanego z wykorzystaniem nowoczesnych i aktywnych form kształcenia i uczenia się. I dodatkowo wtedy można oczekiwać od nich określonych zachowań związanych z poszukiwaniem nowych i kreatywnych form współpracy. Olga Mastela, autorka dziesiątego rozdziału, świetnie przedstawiła założenia dydaktyki zaangażowanej z perspektywy przekładoznawstwa, za co również jej dziękuję. W rozdziale tym każdy może znaleźć inspirację do zmiany swoich nawyków dydaktycznych. Zaangażowana dydaktyka może być sposobem na kształtowanie postaw i wartości pozwalających na przygotowanie studentów do życia i pracy we współczesnym świecie.

Pomocne narzędzia

Monitorowanie jakości kształcenia podczas zajęć zdalnych nadal stanowi przedmiot burzliwych dyskusji wśród nauczycieli akademickich. W jaki sposób najpierw określić, a następnie sprawdzić skuteczność i efektywność takiej formy zajęć? Czy studenci zawsze mogą osiągnąć założone efekty uczenia się? Czy mogą być nadal aktywni? Jak taką aktywność budować i jakie narzędzia cyfrowe mogą pomóc przy jej kreowaniu? Można się tutaj pokusić o przedstawienie licznych dobrych i złych prak-

tyk w prowadzeniu zajęć synchronicznych i asynchronicznych. Jednak należy zwrócić szczególną uwagę na obecne doświadczenia nauczycieli języków obcych. Od lat wykorzystują oni aktywne metody kształcenia i angażowania nawet mało zaangażowanych studentów. Dziękując za ten rozdział Katarzynie Machale, zgadzam się, że narzędzia online stosowane przed i w trakcie pandemii, mogą okazać się niezwykle użyteczne także obecnie, podczas tradycyjnej pracy ze studentami w salach dydaktycznych i to bez względu na dyscyplinę, w której mogą być wykorzystane.

Jakość kształcenia inaczej

Jakość kształcenia nie musi się negatywnie kojarzyć. Przygotowana publikacja przedstawia stanowiska osób z bardzo różnym doświadczeniem. Osoby te często były i nadal są zaangażowane w działania na rzecz doskonalenia jakości kształcenia na różnych wydziałach Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Stąd w monografii można się doszukać wielu przykładów, opisu praktyk i rekomendacji, które w zależności od kontekstu i uwarunkowań mogą być wykorzystane w procesie doskonalenia

jakości kształcenia w różnych uczelniach i na różnych kierunkach. Warto w tym miejscu podkreślić pracę recenzentów opisanej monografii: Radosława Mąćka oraz Tomasza Papaja, których cenne komentarze i uwagi wpłynęły na ostateczną treść wszystkich rozdziałów.

Postrzeganie jakości kształcenia przez uczestników procesu w uczelniach zmienia się w ostatnim czasie. Mimo to rosnąca liczba badań w tym obszarze, nie tylko w Polsce, ale i za granicą, nie jest w stanie sprostać zmieniającym się oczekiwaniom osób uczestniczących w procesie jakości kształcenia. Złożoność problemu wymaga dalszych dyskusji i pogłębionych badań. Konieczne zatem jest uzupełnianie i porządkowanie wiedzy oraz doświadczeń, szczególnie uwzględniających tę problematykę w odniesieniu do specyfiki różnych dyscyplin i różnych stanowisk badawczych. To skłoniło nas do przygotowania tak zróżnicowanej wewnętrznie publikacji, w której znalazło się miejsce na prezentację poglądów różnych nauczycieli akademickich prowadzących zajęcia w różnych dyscyplinach oraz posiadających różne poglądy na ten temat. To wszystko stanowi o jej unikatowości i wartości. W imieniu swoim i współautorów zachęcam do lektury, dzielenia się komentarzami i również inspirujących spotkań przy kawie.

Autorka artykułu jest współredaktorką książki *Jakość kształcenia akademickiego*, wydanej przez Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Dr hab. inż. Justyna M. Bugaj, prof. UJ, Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie



Aleksandra Rzyska

Uniwersytet jaki jest, każdy widzi... po swojemu

Badany dyskurs prasowy, dla którego kontekst stanowi polityka wobec szkolnictwa wyższego i uniwersytetu, odczytać można jako spór pomiędzy dwiema wspólnotami interpretacyjnymi: grupą twórców i zwolenników zmian oraz grupą przeciwników zmian. Grupy te formułują dwie, główne ramy interpretacyjne: ramę wyścigu oraz krytyczną wobec niej ramę konfliktu.

„Nie istnieje ludzki świat w takim sensie, w jakim można mówić o świecie psa lub świecie konia. Mimo pewnych możliwości indywidualnego uczenia się i akumulacji, pojedynczy pies albo pojedynczy koń ma w znacznym stopniu ustalony stosunek do środowiska, które dzieli z innymi członkami swego gatunku”.

(P.L. Berger, T. Luckmann)

W dobrze znanym nie tylko socjologom *Traktacie z socjologii wiedzy* Peter L. Berger i Thomas Luckmann ukazują rzeczywistość ludzką jako rzeczywistość tworzoną społecznie i – jako taką – wymagającą swoistego traktowania przez badaczy, ludzi nauki. Choć od pierwszego wydania (1966) tej klasycznej dla socjologii XX wieku pracy minęło już ponad pięć i pół dekady (od wydania polskiego cztery dekady), a o konstrukcjach społecznych napisano w tym czasie wiele prac, problematyka społecznego konstruowania rzeczywistości wydaje się wciąż niewystarczająco rozpoznana i uwzględniana w codziennych praktykach komunikacji.

Z zainteresowania fenomenem społecznego konstruowania świata wyrosła potrzeba badań, które dotykałyby specyfiki owych konstrukcji oraz umożliwiały głębszą refleksję nad edukacyjnymi konsekwencjami wytwarzania znaczeń i potrzebami edukacji w tym zakresie. Współczesny „ludzki świat” szybko się zmienia, a przeobrażeniom tym towarzyszą coraz bardziej jaskrawe przejawy konsekwencji procesu wielowymiarowej mediatyzacji. Aktualne dynamiczne przemiany kulturowe wyjątkowo m.in. problemy kreowania w mediach tożsamości, relacji oraz granic między tym, co realne, a tym, co wirtualne, oddzielania świata od jego reprezentacji. Głębokie przenikanie mediów do społecznych światów, medialne wytwarzanie rzeczywistości – wszystko to prowokuje poważne edu-

kacyjne zadanie świadomego odbioru przekazów medialnych, a także formułowania własnych przekazów.

A co ze światem instytucji? W kontekście zmian szczególnie interesujący stał się dla mnie byt i status jednej z instytucji „długiego trwania”, jak określany jest uniwersytet. Instytucji niejako tak oczywistej, jak trwale wpisanej w kulturowy pejzaż świata. W książce pt. *Reprezentacje uniwersytetu w dyskursie prasowym* pytam o to, jaki „jest” uniwersytet, stawiam z perspektywy konstruktywistycznej. Interesują mnie więc sposoby postrzegania i dyskursywnego reprezentowania uniwersytetu. Myśląc o uniwersytecie w kontekście przemian, kieruję uwagę w stronę aktualnej reformy nauki i szkolnictwa wyższego, wprowadzanej przez ministra Jarosława Gowina pod nazwą Ustawa 2.0 i toczonych w tym kontekście dyskusji na temat uniwersytetu. Za Heleną Ostrowicką traktuję uniwersytet jako ten, który znajduje się w obrębie praktyk znaczeniowych, co pozwala dostrzec jego swoistą dyskursywność.

Jerzy Brzeziński w rozważaniach o *Etosie akademickim – między tradycją i wyzwaniem współczesności* przekonuje, że uniwersytet to ludzie, nie mury, i że to właśnie o ludziach, o ich wartościach warto dyskutować. Gdy okazuje się, że owe wartości, leżące u podstaw wyrażanych poglądów, opinii i przekonań, są zróżnicowane, otrzymujemy tym samym różne oblicza uniwersytetu. Istotne jest zatem, kto patrzy. W *Zaproszeniu do socjologii* Peter Berger pyta m.in. o to, jak się ma instytucja wobec działań jednostek w nią uwikłanych? Interesujące mnie działania, związane ze społecznym nadawaniem znaczenia za pomocą języka, rozumem pod pojęciem dyskursu. Bez wątpienia istotne są sposoby rozpoznawania zmieniającego się świata akademii przez jego uczestników i twórców, zawarte w dyskursie naukowym. Dyskursy dostępne w mediach posiadają inny

zasięg i grupę odbiorców. Przyglądanie się dyskursowi prasowemu pozwala na przekroczenie granic akademickiego świata i uzyskanie innej perspektywy.

Zgromadzony do własnych analiz materiał pochodził z dwóch najbardziej opiniotwórczych (według Instytutu Monitorowania Mediów) dzienników: „Gazety Wyborczej” oraz „Rzeczpospolitej” i obejmował trzy lata akademickie: od 01.10.2015 r. do 30.09.2018 r. W badaniach reprezentacji uniwersytetu w dyskursie prasowym wykorzystałam perspektywę analizy ramowania (framing analysis), która pozwala na identyfikację i rekonstrukcję zawartych w przekazach medialnych ram (frames), a więc schematów interpretacyjnych, używanych w mediach do stawiania-przed innymi wybranymi elementami rzeczywistości i przed-stawiania ich w określony sposób, kreując swoiste reprezentacje tej rzeczywistości.

Praca ta, choć o proveniencji pedagogicznej, ze względu na swój przedmiot ma charakter interdyscyplinarny. Korzystam

w niej przede wszystkim z dorobku naukowego wypracowanego w zakresie dwóch obszarów: studiów nad komunikowaniem publicznym oraz studiów z obszaru szkolnictwa wyższego. Pedagogika traktowana jest tu jako metadyscyplina, przez pryzmat której rozpatrywana jest problematyka badawcza i prowadzone są badania.

Kilka słów o dyskursach i komunikacji medialnej

W konsekwencji zmian w modelu wytwarzania wiedzy pedagogicznej dyskurs (edukacyjny) stał się kategorią przedmiotową dla pedagogiki w rozumieniu współczesnym. Modelowy pedagog-badacz z prawodawcy przeistoczył się w tłumacza, którego zajmują praktyki komunikacji związane z nowym przedmiotem badań.

Za Markiem Czyżewskim można powiedzieć, iż współczesna polska przestrzeń dyskursywna stanowi złożoną i zmieniającą się sieć tekstów/dyskursów oraz typów dyskursów, którą



Foto: Sławomir Makiel

w toku praktyk komunikacyjnych tworzą różne podmioty. Dyskursy medialne (inaczej: dyskursy środków masowego przekazu) wysuwają się w tej przestrzeni stopniowo na pierwszy plan. Posługując się kategorią dyskursu prasowego jako jednego ze sposobów funkcjonowania dyskursu medialnego, chcę podkreślić specyfikę medium, w którym jest on wytwarzany. W związku z procesami konsolidacji i konwergencji – coraz bardziej postępującego łączenia się różnych mediów i udostępniania tych samych treści różnymi kanałami, prasa wciąż zachowuje popularność, a dzięki wykorzystaniu nowych możliwości technologicznych może nawet na popularności zyskuje.

Chociaż współczesne media wraz z upowszechnieniem internetu wydają się tworzyć dyskursywną relację z odbiorcą, który z czytelnika staje się użytkownikiem, uczestnikiem dyskusji, nie należy zapominać, że może ona mieć charakter pozorny. Aktywne uczestnictwo w komunikacji medialnej być może wzmacnia zaangażowanie i wywołuje poczucie sprawstwa, jednak komunikacja ta zawsze jest uwarunkowana specyfiką danego medium. Tomasz Szkuclarek w medialnym *Szkicu z filozofii i pedagogiki dystansu* przekonuje, że media są czymś więcej niż po prostu prasą, radiem, telewizją, są niemal zasadniczymi dla kondycji ludzkiej instytucjami zapośredniczenia. Tak oto docieramy do przyjętej w mojej pracy jako kluczowej z perspektywy edukacyjnej – i wzmacnianej za sprawą praktyk dyskursywnych – cechy mediów, jaką jest medialne zapośredniczenie.

Ramowanie w badaniach o szkolnictwie wyższym

Teoretyczno-metodologiczną odpowiedzią na zainteresowanie kwestią formułowania przekazów medialnych jest analiza ramowania (framing analysis). Podstawowym pojęciem jest tutaj rama, którą określić można jako schemat interpretacji danego zjawiska czy wydarzenia, dokonującej się poprzez ukazanie i uwydatnienie tylko niektórych jego elementów. Choć framing analysis dostarcza przydatnych kategorii analizy i interpretacji dyskursu medialnego, nie jest wprost powiązana z głównymi nurtami analizy dyskursu. Ta interdyscyplinarna perspektywa, związana z obszarem studiów nad komunikowaniem publicznym, rozwija się szczególnie w badaniach medioznawczych, socjologicznych i politologicznych. W polskich badaniach pedagogicznych i badaniach z obszaru szkolnictwa wyższego nie jest popularna, natomiast zainteresowanie framingiem wśród badaczy szkolnictwa wyższego na świecie wyraźnie wzrasta.

W tomie z 2020 roku pt. *Theory and Method in Higher Education Research* pojawił się tekst Queenie K.H. Lam, przedstawiający framing jako teorię o potencjale aplikacyjnym dla badań z obszaru szkolnictwa wyższego. W celu rozpoznania, w jaki sposób koncepcja ramowania jest obecna w badaniach prowadzonych w tym obszarze, dokonałam przeglądu wyróżnionych w literaturze przedmiotu międzynarodowych periodyków naukowych, które podejmują zagadnienia związane z tematyką szkolnictwa wyższego. Koncepcja framingu jest na tym polu używana szczególnie w badaniach skupionych na zagadnieniach związanych z polityką publiczną. Wyodrębnione w toku przeglądu i poddane analizie artykuły badawcze, ze względu na podejmowane w nich problemy, odnieść można do najważniejszych międzynarodowych dyskusji wokół przyszłości szkolnictwa wyższego oraz uniwersytetów. Ogólne wątki tych dyskusji przedstawia Marek Kwiek (2014) w tekście *Przyszłość uniwersytetów w Europie: motywy dyskusji i ich polskie konteksty*, a są to: zarządzanie i ustrój uczelni, finansowanie, jakość kształcenia i badań naukowych, dostęp do edukacji, związków szkolnictwa wyższego z rynkiem pracy, a także internacjonalizacja oraz globalizacja szkolnictwa wyższego. Wnioski z przeglądu literatury i analizy artykułów uwypuklają nie tylko problemy

ramowania jako obiecującej perspektywy w badaniach szkolnictwa wyższego, ale także pozwalają dostrzec potencjał framingu w kontekście szerszego dyskursu na temat zmian szkolnictwa wyższego i uniwersytetu.

Spór o uniwersytet w dyskursie naukowym

Podróż poznawcza w przestrzeń naukowych dyskursów o szkolnictwie wyższym, nazywana też przeglądem literatury, doprowadziła mnie do identyfikacji sporów związanych tematycznie z uniwersytetem. Efekt ten nie budzi zaskoczenia, gdyż od początków istnienia akademii znaleźć można w piśmiennictwie naukowym ślady sporów o uniwersytet. We współczesnych polskich tekstach z obszaru nauk humanistycznych i społecznych wyróżnić można wiele sporów, które dają się porządkować na różne sposoby. Ujmując rzecz temporalnie, można sformułować tezę, że wyraźny konflikt perspektyw (oraz interesów za nimi stojących) staje się niejako ontologiczną zasadą dyskursu o sprawie. Spór o uniwersytet związany jest z szerokim kontekstem przemian świata społecznego, dotyczy zatem współczesnych uwikłań tej instytucji długiego trwania oraz jej przyszłości w różnych wymiarach, przy czym przeszłość w tym szczególnym dyskursie-sporze jest ciągle żywa.

Konstruowany dyskursywnie fenomen uniwersytetu, jak pokazały wyniki przeprowadzonego przeglądu, daje się rozpoznawać w przeciwstawnych kategoriach, często w sposób metaforyczny, np. z jednej strony jako: świątynia mądrości, świątynia wiedzy, koinonia (wspólnota wartości i celów), miejsce odkrywania prawdy; a z drugiej: przedsiębiorstwo, organizacja, korporacja, firma czy przedmiot argumentacji rynkowej. Uniwersytet bardzo często ujmowany jest także poprzez odniesienie wprost do określonych tradycji historycznych i modeli: do średniowiecznej idei *universitas*, a także do powstałych i rozwijających się w XIX w. poszczególnych modeli uniwersytetu, z których najbardziej uwidaczniają się odniesienia do modelu niemieckiego. Wykorzystanie w dyskursie określonych tropów oddaje jego specyfikę, która ukazuje, że droga do myślenia o uniwersytecie konstytuuje się na opozycjach semantycznych.

W związku z tym, że przedstawiciele akademickiego świata biorą udział także w medialnych dyskusjach o szkolnictwie wyższym, interesujące stało się dla mnie m.in. pytanie o to, czy ślady zidentyfikowanego w dyskursie naukowym sporu będą widoczne także w tej odsłonie dyskursu publicznego, jaką stanowi dyskurs toczony na łamach prasy, a jeśli tak, to w jaki sposób.

Podmiot i obiekt zmian, czyli uniwersytet w dyskursie prasowym

Badany dyskurs prasowy, dla którego kontekst stanowi polityka wobec szkolnictwa wyższego i uniwersytetu, odczytać można jako spór pomiędzy dwiema wspólnotami interpretacyjnymi: grupą twórców i zwolenników zmian oraz grupą przeciwników zmian. Grupy te formułują dwie, główne ramy interpretacyjne: ramę wyścigu oraz krytyczną wobec niej ramę konfliktu, z których wyłaniają się reprezentacje uniwersytetu jako obiektu i podmiotu zmian.

Nie należy zapominać o fundamentalnej roli mediów i dziennikarzy w procesie ramowania, którzy ów dychotomiczny podział przedstawiają i utrwalają. Analiza przekazów zawartych w dwóch dziennikach pokazała, że media te opowiadają uniwersytet i jego problemy z innych perspektyw.

Proces ramowania rozpoczynają w analizowanym dyskursie politycy. W pochodzącej od decydentów ramie wyścigu, opartej na kryterium konkurencji, formułowana jest krytyczna ocena kondycji polskiego szkolnictwa wyższego i uniwersytetów, a odniesieniem dla formułowania negatywnych ocen jest

kontekst globalny. Nawet najlepsze polskie uniwersytety przedstawiane są jako słabe na tle świata, ten ponury obraz kreowany jest przez porównania, których dostarczają światowe rankingi. W ramie wyciągu dominuje nastawienie na rozwiązania i zyski: co należy zmienić, w jaki sposób uniwersytet powinien się zmienić, aby stał się podmiotem, liczącym się w światowej rywalizacji. Uniwersytet traktowany jest więc jako obiekt zmian, a właściwa postawa przedstawicieli akademickiego świata to adaptacja do zmian podyktowanych ustawą. Rama ta uwidaczniała się najczęściej w przekazach „Rzeczpospolitej”. Rama konfliktu, oparta na kryterium sprawiedliwości, podnosi problem zagrożonej autonomii i wyraża sprzeciw wobec kierunku zmian, który zakłada dzielenie uczelni na lepsze i gorsze. W ten sposób podkreślane są przewidywane koszty reformy i straty związane z jej wprowadzeniem. Dominuje lokalna perspektywa odniesienia w stosunku do uniwersytetu i postawa emancypacyjna: opór wobec ministerialnych rozwiązań, wyrażony przez strajk. Tak reprezentowany uniwersytet ukazuje swoje podmiotowe oblicze. Rama konfliktu jest uwypuklana w „Gazecie Wyborczej”.

Ramowanie zysków i/lub strat symbolizuje obecną w dyskursie metarameę ekonomiczną. Dominacja w dyskursie retoryki ekonomicznej związana jest z jego osadzeniem w kontekście zmian oraz paradygmacie, w którym kształtowana jest reforma szkolnictwa wyższego i nauki, a także narracje jej twórców. Charakterystyczny dla nich język przenika także do narracji oponentów, organizując całą dyskusję i określając jej ramową specyfikę.

Artykułowany w dyskursie naukowym spór o uniwersytet w swojej osiowej strukturze obecny jest także w dyskursie prasowym, lecz w sposób bardziej uproszczony. Podstawowa różnica pomiędzy oboma dyskursami związana jest ze specyfiką

wiedzy, na której są one formowane i która łączy się z rolą tych, którzy ową wiedzę wytwarzają.

Co z tego wynika i dla kogo?

Uniwersytet jaki jest, każdy widzi. Uniwersytet daje się więc poznawać w pewnych kategoriach, przy pomocy których jest dyskursywnie konstruowany przez tych, którzy zabierają w sprawie głos. Uniwersytet tworzy społeczność akademicka, ale również poglądy, opinie, przekonania oraz wiedza wykraczająca poza mury akademii i pole dyskursywne tworzone przez jej społeczność dla siebie samej. Rozpoznanie znaczeń nadawanych uniwersytetowi jest istotne ze względu na ważną rolę mediów, którą można widzieć dwojako. Po pierwsze: jako kształtowanie opinii publicznej, co znajduje wyraz m.in. w podejmowanych wyborach edukacyjnych. Po drugie: jako narzędzie legitymizacji i/lub delegitymizacji współczesnej polityki edukacyjnej i naukowej.

Sposoby myślenia o uniwersytecie, widoczne w rekonstruowanych sporach na poziomie dyskursu i używanego języka, przekładają się na konkretne decyzje dotyczące jego funkcjonowania, m.in. uruchamianych kierunków studiów. Po przyjęciu sposobu myślenia opartego na kryterium rynkowej konkurencji – wyrażanego przez charakterystyczne metafory uniwersytetu jako biznesu, korporacji – kierunki, które nie generują dochodów, okazują się nierentowne w rozumieniu bilansu ekonomicznego. Z drugiej strony mamy do czynienia z myśleniem ukorzenionym w tradycyjnym akademickim etosie i wyrażanym często przez odniesienie do klasycznej idei *universitas*. To optyka myślenia o uniwersytecie jako świątyni mądrości oraz wiedzy, miejscu odkrywania prawdy, w którym pewne dyscypliny (np. filozofia) są konstytutywne dla jego tożsamości.

W obliczu radykalnych przemian świata społecznego, obejmujących wszystkie dziedziny kultury i przekształcających dotychczasowe funkcje uniwersytetu w kulturze, niezbędna jest ciągła, merytoryczna dyskusja, angażująca wszystkich przedstawicieli akademickiego świata, świata polityki oraz innych uczestników i obserwatorów tych zmian. O znaczeniu tego zadania przypominać ma pośrednio też moja książka.

Biorąc pod uwagę zasadniczą dla zrealizowanych badań cechę mediów, jaką jest zapośredniczenie oraz niebanalne konsekwencje z tego wynikające, publikacja powstała z intencją prowokowania refleksji nad praktykami społecznego, medialnego konstruowania znaczeń w dyskursach. Ujawniony warsztat metodologiczny i opis metodyki analiz pozwalają, na przykładach z badań, rozpoznać strategie ramowania i narzędzia argumentacyjne wykorzystywane w mediach, co może być przydatne dla badaczy z różnych dyscyplin naukowych, a także dla każdego uczestnika życia publicznego.

Ze względu na swą problematykę praca ta nie zamyka się zatem w polu zainteresowań pedagogicznych. Poza naturalnym kręgiem odbiorców zainteresowanych perspektywą pedagogicznych badań i edukacyjnej praktyki, publikacja jest adresowana do czytelników zainteresowanych problematyką szkolnictwa wyższego, mediów i komunikowania publicznego. Niektóre rozdziały i fragmenty zostały rozwinięte z myślą o studentach. Może być więc traktowana również jako materiał edukacyjny. Polecam ją także wszystkim tym, którzy zechcą w niej po prostu znaleźć coś dla siebie.

Artykuł powstał na podstawie książki A. Rzykiej pt. *Reprezentacje uniwersytetu w dyskursie prasowym*, Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2021.

Dr Aleksandra Rzycka, Katedra Metodologii Badań i Studiów nad Dyskursem, Wydział Pedagogiki Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy



Piotr Hübner

Postscriptum

Systemowy charakter encyklopedii wynika z idealnych założeń. W praktyce autorskich dokonań każda encyklopedia daleka jest od doskonałości, nie jest też „ostatnim słowem”. Już sama metoda pracy, oparta na ciągłych doskonaleniach encyklopedycznego tekstu oraz uzupełnieniach haseł, prowadzi do wniosku, że „praca nie ma końca”. Trwa więc nawet po wydrukowaniu. W przypadku tej encyklopedii autor dostrzega też inną cechę – niezupełność, która uwidacznia się w efekcie ujęcia systemowego, a nie alfabetycznego.

Komentarze i wyjaśnienia wypada zacząć od prezentacji genezy i metody. Od roku 1999 ukazuje się w miesięczniku „Forum Akademickie” cykl niewielkich objętościowo „Kartek z dziejów nauki w Polsce”. Są adresowane, podobnie jak inne teksty, do środowiska akademickiego. Mają nadane przez red. Grzegorza Filipa – każda z osobna – tytuły redakcyjne. O kolejności przygotowania „Kartek” decydował niemal przypadek: czas dotarcia do źródłowych publikacji, wyjaśniających dany problem. Po dziesięciu latach przyszła pora na pogłębione usystematyzowanie – ciągle uzupełniając, przekształciłem je w artykuły encyklopedyczne. Wszystkie razem wymagały uporządkowania, by nie pozostały „nieciągłymi znaczeniami ciągłej rzeczywistości” (Roland Barthes, *La Bruyère: od mitu do literatury*, tłum. z jęz. franc. Anna Tatarkiewicz, 1965), właściwsze okazało się ujęcie systemowe, a nie alfabetyczne. Przemawiała za tym tradycja oraz istota nauki.

Systemowy charakter encyklopedii wynika z idealnych założeń. W praktyce autorskich dokonań każda encyklopedia daleka jest od doskonałości, nie jest też „ostatnim słowem”. Już sama metoda pracy, oparta na ciągłych doskonaleniach encyklopedycznego tekstu oraz uzupełnieniach haseł (ucierpiał przy tym, przepisując wielokrotnie tekst, moje dzieci, Mateusz i Milena), prowadzi do wniosku, że „praca nie ma końca”. Trwa więc nawet po wydrukowaniu. W przypadku tej encyklopedii autor dostrzega też inną cechę – niezupełność, która uwidacznia się w efekcie ujęcia systemowego, a nie alfabetycznego. Hasła-artykuły tworzą tylko „wierzchołek piramidy”. Jej rozbudowa, zmierzająca do ukazania podstawy, wymagała podjęcia problemów biograficznych oraz analizy dorobku dyscyplin nauki, zwłaszcza nauk humanistycznych.

Zasięg zmian i ich dogłębność, dokonane przez autora w kolejnym dziesięcioleciu po wydaniu – dzięki dr Ricie Majkowskiej i prof. Jerzemu Wyrozumskiemu – *Zwierciadła nauki. Małej encyklopedii polskiej nauki akademickiej* (PAU, Kraków 2013), uzasadniają obecnie rezygnację w tytule z określnika „mała”, potrójna objętość zaś przejście na układ wielotomowy. Mając matrycę opublikowanych haseł-artykułów, można było łatwiej dostrzegać konieczność rekompozycji ich układu, uzupełniania luk tematycznych. Ujęcia problemów uległy pogłębieniu i rozbudowie. Kilkaset szczegółowych uzupełnień dawno

napisanych haseł wynikało z kolejnych odkryć źródłowych. *Encyklopedia polskiej nauki akademickiej* osiągnęła wyższy poziom strukturyzacji przedstawianej rzeczywistości. Nadal dominuje – mimo podziałów na hasła-artykuły – perspektywa holistyczna. Osoby, a właściwie osobowości, wpisane są w kontekst społeczny i ideowy, z którego wynika kryterium doboru biografii osób znaczących. Wyrazisty stał się podział na segmenty – pogrupowane tematycznie zestawy haseł artykułów. Są to kolejno: ogólne problemy nauki, personalia, normy i wartości, struktury uczelniane, studia, portrety uczelni, szczeble awansu, towarzystwa naukowe, publikacje, dyscypliny nauki, mecenas i polityka naukowa, fundacje i zasoby nauki, organizacje i życie studenckie, studia i badania na obczyźnie. Do tych segmentów dodane zostały biografie uczonych-organizatorów, ukazujące spersonalizowany obraz nauki akademickiej.

Mimo wyodrębnienia tych segmentów nadal dominuje układ linearny całości, podobnie jak chronologiczne porządkowanie każdego z haseł-artykułów. Większość haseł-artykułów – jeśli ujmują problem rozwojowo – dobiega do przełomu lat czterdziestych/pięćdziesiątych XX wieku, kiedy to władze komunistyczne systemowo zlikwidowały naukę akademicką w Polsce. Obraz tej dekapitacji należy, choć tego byśmy nie chcieli, do zakresu encyklopedii nauki – taka była rzeczywistość. W ideowym i historycznym wymiarze nauka akademicka w Polsce nie ma jednak końca.

Wiązanie rozmaitych rodzajów wiedzy

W tym kształcie encyklopedia ukazuje przede wszystkim kulturę akademicką umiejscowioną w historycznych realiach polskiego „życia nauki”. Tekst każdego artykułu encyklopedycznego był rozbudowywany stopniowo, poprzez wielokrotne uzupełnienia, wprowadzane w miarę odkryć źródłowych i odnajdywania w domowej bibliotece odpowiednich fragmentów dawnych opracowań. Bez stałego obcowania z każdym z haseł-artykułów i wielokrotnego sięgania po książki z parotysięcznej kolekcji tematycznej (z zakresu historii nauki, zwłaszcza z historii organizacji nauki polskiej), opracowanej dzięki Jaczowi Nijakowi, nie byłoby możliwe powstanie autorskiego dzieła tak bardzo „źródłowego”. Szczególną wagę źródłową mają zobjektywizowane zapisy normatywne ustaw i statu-

tów uniwersyteckich. Podobną wagę miały oficjalne wystąpienia, zwłaszcza inauguracyjne, rektorów. Tą drogą wyznaczano tożsamość nauki akademickiej. Przywołania źródłowe występują z konieczności w najbardziej lakonicznej formie (w nawiasach), nie są to pełne przypisy bibliograficzne, ale odesłania respektujące prawa autorskie osób, które stały się mimowolnymi „współpracownikami” encyklopedii, bądź wskazania źródłowe prowadzące do tekstów normatywnych, dokumentów, autobiografii, wspomnień czy artykułów. Nie mają odesłania źródłowego notoria – fakty czy zdarzenia powszechnie znane bądź dostępne wieloźródłowo. Autor nie stosuje też odesłań do literatury przedmiotu.

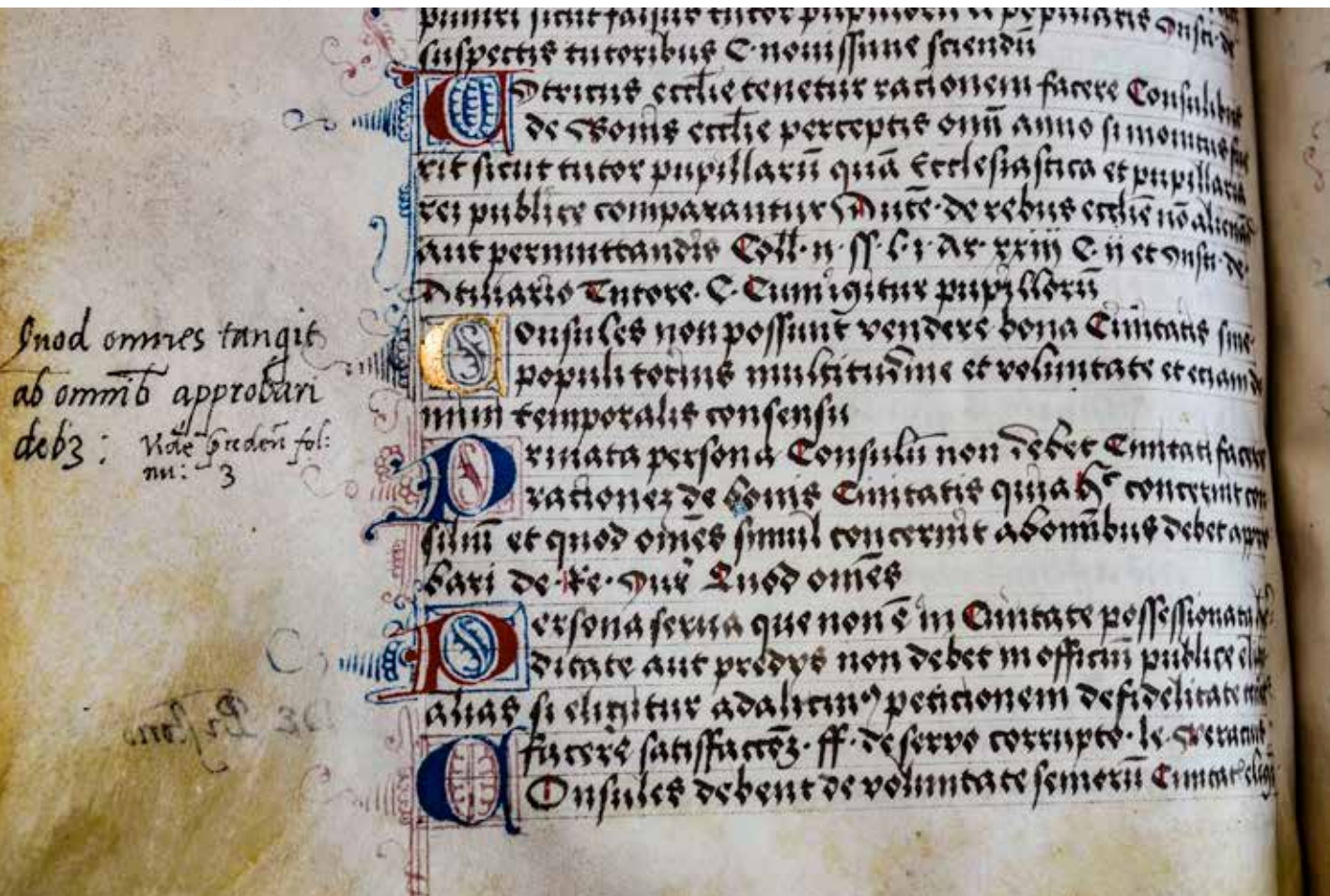
Historia nauki powinna być uprawiana systemowo, wynika to z natury nauki. Czynnikiem systematyzującym naukę nie są uczeni, choćby teoretycy czy metodolodzy, nie są dzieła, teoretyczne czy opisowe, czynnikiem tym są działania organizatorskie. Nie tylko uczeni organizują swój warsztat i dyscyplinę. W roli „organizatora” występują też instytucje i towarzystwa naukowe, a nawet ujęte matrycowo dyscypliny. Gdy w XVII wieku filozofia przybrała postać „filozofii naukowej”, a zarazem „podstawy badań naukowych”, okazało się, że występuje „jako system pojęć służących organizacji badań naukowych” (Alfred North Whitehead, *Science and the Modern World*, 1925, tłum. z jęz. ang. Sławomir Magala). Do tego „wszystkie uniwersytety świata są zorganizowane zgodnie z jej wskazówkami. Nie zaplanowano jeszcze żadnego innego systemu organizacji poszukiwań prawdy naukowej”. Zabiegi organizatorskie są podstawą procesu instytucjonalizacji wiedzy, procesu przekształcania jej w naukę, z czasem akademicką. Michel Foucault stwierdził (*Trzeba bronić społeczeństwa: wykłady w Collège de France*, 1976, tłum. z jęz. franc. Małgorzata Kowalska): „Nauka nie istniała

przed XVIII wiekiem. Istniały nauki, rozmaite rodzaje wiedzy, istniała też (...) filozofia. Filozofia była właśnie systemem organizowania, a raczej wiązania ze sobą rozmaitych rodzajów wiedzy – i w tej mierze mogła odgrywać faktyczną, rzeczywistą, operacyjną rolę w rozwoju wiedzy (...). Nauka jako dziedzina ogólna, jako dyscyplinarna policja wiedzy, zajęła miejsce jednocześnie filozofii i *mathesis*” (projekt „uniwersalnej nauki”). Pojawiła się nowa rola uniwersytetu („napoleońskiego”): „pełni przede wszystkim funkcję selekcji, nie tyle ludzi (...), ile rodzajów wiedzy”. W następstwie uformowania nauki akademickiej (tej nazwy Foucault nie stosuje) pozostała „wiedza w stanie dzielim (...), zostaje jeśli nie całkowicie wykluczona, to przynajmniej *a priori* zdyskwalifikowana”. Efektem jest „zanik uczonego-amatora”, a także „ortodoksi wypowiedzi”, wynikającej z uprzedniego „kościelnego sposobu kontroli wiedzy”.

Prawda i wolność

Tradycyjnie uprawiana historia nauki nie mogła uporać się z nadmiarem opisu wydarzeń ani z dominacją chronologicznych przedstawień biograficzno-bibliograficznych. W układzie: idee – uczeni – dzieła – instytucje, te ostatnio wymienione wyznaczają wzory działania i kierunek rozwoju nauki. Niezmienne idee akademickie pozwalają natomiast ustalić tożsamość nauki – są fundamentem nauki, a nie jej przeszłością. Uczonymi i dziełami usiłowała manipulować kościelna, a następnie państwowa cenzura. Polityczna ingerencja narastała zwłaszcza w sferze idei, także idei akademickich. Rozrastał się etatyzm, prowadzący do tego, że uczeni stali się „pracownikami nauki”, a dzieła „produkcją wydawniczą”. Biurokratyczny aparat administracji rządowej od czasu reform absolutyzmu oświeconego w coraz większym stopniu okre-

Fot. Stefan Ciechan



ślał kształt struktur organizacyjnych instytucji nauki, a nawet fundacji i towarzystw naukowych. Mimo tego procesu, podstawą kultury akademickiej pozostają symbole i wartości, a nie – jak to bywa ujęte w monografiach instytucji nauki czy biografiach uczonych – uwarunkowania materialne. Najwyższą wartością w kręgu kultury akademickiej mają prawda i wolność. Prawda wymaga bezkompromisowości poszukiwań poznawczych. Jest to proces twórczy, tylko wtedy powstaje dzieło, które wytrzyma próbę czasu. To poprzez dzieła, a nie uzyskane stopnie, tytuły, godności czy funkcje, przechodzą uczeni do historii nauki. Twórczość to nie upowszechnienie czy popularyzacja wyników badań (też przydatne). Wolność na terenie akademickim wyraża się w swobodzie przemyśleń i wypowiedzi, w wolności nauki i nauczania. To także autonomia organizacyjna uniwersytetów. W ujęciu pragmatycznym akademickie wartości – i odpowiednie działania – ująć można w przykazaniu SALUS SCIENTIAE SUPREMA LEX. Wartości są fundamentem, na którym umocowany jest depozyt tradycji akademickiej, jej trwałe dziedzictwo. Nie ma równości w nauce, ani między uczonymi, ani między dziełami, ani między uniwersytetami i akademiami. Obowiązuje – ze względu na tradycję – prawo pierwszeństwa, wyrażające się także w stopniu nabytej swobody działania i dostojności. Nie ma też równości wśród dyscyplin, pierwszą była, i powinna pozostać, filozofia, będąca macierzą wszystkich dyscyplin nauki.

Historia nauki powinna odzwierciedlać rzeczywistość także w najbardziej złożonych wymiarach: tradycji, symboli, wartości. W celebrze akademickiej tkwić powinny głębokie odniesienia. Powinien ukazać się złożony obraz struktur organizacyjnych i ludzi, ich charakter, osobowość, droga do nauki, marzenia, poszukiwania, także błędne, a nawet dzień powszedni. Nie może być historia nauki rejestrem odkryć i wynalazków czy zbiorem biobibliografii.

Królestwo słów i pojęć

Tytułowe zwierciadło nauki wiąże się z kształtem i nazwą wielu dawnych encyklopedii (speculum), ale i z tradycją literacką (Mikołaja Reja *Żywierciadło albo kształt w którym każdy stan snadnie się może swym sprawom, iako w zwierciadle, przypatrzeć*, 1567, wznowienie 1904). Środowisko ludzi nauki i każdy z osobna, po swojemu, może ocenić przeszłość i teraźniejszy stan nauki. Jest też głębsze uzasadnienie potrzeby odzwierciedlenia: *speculatio* to „wyszukiwanie, badanie” prowadzące do obiektywizmu, a nie tylko spekulatywne teoretyzowanie. Nauka, poprzez badania i namysły, odzwierciedla z kolei rzeczywistość społeczno-kulturową i przyrodniczą. Nauka akademicka była uniwersalna, tak ją budowano, ale i charakterystyczna dla poszczególnych krajów ze względu na język i kulturę, a od czasu odzyskania niepodległości także ze względu na ramy organizacyjne. Nie miała jednak granic terytorialnych, choć znacząco oddziaływało kryterium usytuowania badanych zasobów kulturowych i przyrodniczych. Nauka akademicka „polska” była taką ze względu na własną tradycję, mocno powiązaną z cywilizacją rzymską i wartościami chrześcijańskimi, a także z kontekstem historii Polski.

Problemem szczególnym, mogącym sprzyjać błędom odczytu, jest konieczna werbalizacja rzeczywistości, przekładanie jej na słowa. Historia wiedzy wskazuje, że „królestwo słów i pojęć przeminęło, dziś pragnie się kontaktu z rzeczami, ustanawia się zrozumiałe zasady i kieruje się nimi, dzięki czemu idzie się naprzód. Autorytet przestał ważyć więcej niż rozum; to, co przyjmowano bez sprzeciwu jako uznane od dawna, obecnie jest badane, a często odrzucane” (Bernard Fontenelle, *Préface à l'Histoire de l'Académie des Sciences de 1666 à 1699*, w: *Oeuvres* tom I, 1758, tłum. z jęz. franc. Krzysztof Pomian, 2010). Jed-

nak słowa i pojęcia przetrwały kryzys racjonalizmu, widocznego zwłaszcza w epoce oświecenia, dzięki wydzieleniu literatury pięknej. Ta nadal sąsiaduje z literaturą naukową, mimo iż od czasu romantyzmu podąża odrębnym traktem. Obie literatury wiąże sfera idei, ujawniana metaforycznie. Hans Christian Andersen wyjaśniał (1858, tłum. z jęz. duń. Bogusława Sochańska): „W najdawniejszych czasach sztuka słowa oddziaływała najsilniej poprzez baśń. Nawet Biblia ubrała prawdę i mądrość w to, co nazywamy przenośniami i porównaniami (...) porównania nie należy odczytywać wedle słów, lecz wedle znaczenia, które w nim leży (...). W ten oto sposób sztuka słowa staje u boku nauki i otwiera nasze oczy na piękno, prawdę i dobro”.

Wedle dewizy The Royal Society „Nullius in verba” („Słowa nic nie znaczą”). Jest to błąd wynikający z wyłączenia „human and arts” z zakresu „science”. Idee i wartości, a także rzeczy, wyrażane są poprzez szczególne słowa – pojęcia. Te znaczą więcej od zwykłych słów, mają szczególne zespoły desygnatów umiejscowionych w nauce. Według Jędrzeja Śniadeckiego: „W naukach do ich dokładności, jasności i postępu, nic się tyle nie przyczynia jak dokładność używanego w nich języka i czyste oznaczenie każdego naukowego wyrazu”. Władysław Mieczysław Kozłowski ustalił (*Podstawy logiki czyli zasady nauk*, 1916): „Pojęcie (*conceptus*) nie odpowiada zwykle jednemu przedmiotowi, lecz całej gromadzie (klase) desygnatów. Jak ujmował Kozłowski: „Pojęcie jest symbolem (...) licznych wyobrażeń”. Pojęciem (terminem) nazywa „połączenie wyrazu z myślą o rzeczy”. Przy tym pojęcie jest „uboższem w cechy od wyobrażeń, którym odpowiada”. Już scholastycy podkreślali wagę *associatie idearum*, wzajemnego kojarzenia pojęć. Według Ludwika Flecka (*Entstehung und Entwicklung einer wissenschaftlichen Tatsache*, 1935, tłum. z jęz. niem. Maria Tuszkievicz, 1986): „Im bardziej opracowana jest jakaś sfera myślowa, im bardziej zróżnicowana, tym jej pojęcia stają się bardziej zawile, współzależne, bardziej się nawzajem definiujące. Stają się spłotem logicznie nie do rozdzielenia”. W pracy doktorskiej Władysław Tatarkiewicz zapisał (1910) na początku: „Historia filozofii jest historią odkrywania pojęć”. W przedmowie do zbioru *Droga przez estetykę* (1972) wnioskował, że „rzeczą najbardziej stałą i powszechną w świecie sztuki są pojęcia i nazwy. Zastępują one w myślach naszych nie tylko poszczególne dzieła, ale też pozwalają wyodrębnić i uwydatnić ich własności, a także wytyczyć granice sztuki, przeprowadzić w nich podziały, segregacje, rozróżnienia”. Można odnieść tę refleksję także do świata nauki. Antoni Bolesław Dobrowolski głosił (*Mój życiorys naukowy*, 1958): „taka jest nauka, jaki jest system jej pojęć kardynalnych”.

Pojęcia odnoszą się do rzeczywistości: *Si res velis percipere, voces ipsas primum scire debes* (Jeśli chcesz pojąć rzeczy, musisz najpierw znać same słowa). Uporządkowane zbiory słów tworzą słowniki (*lexicon*) danego języka. Słowa ujęte sensownie budują zdania – wypowiedzi artykułowane, w ramach których dominują pojęcia-nazwy. Pismo jest zapisem słów, słowa zaś artykulacją myśli. Ta podlega, dzięki słowom, porządkowaniu i analizie teoretycznej. Słowa, a wśród nich znaczące pojęcia, prowadzą do dydaktyki akademickiej. Bez wykładów, ćwiczeń, podobnie jak bez syntez i monografii, a także podręczników, nie byłoby nauki, byłby chaos. Jednak sama dydaktyka w szkołach wyższych – jak chcieli decydenci ministerialni, odłączona od badań – prowadzi do zatraty intelektualnej. Podobnie jak badania, przez decydentów pozbawiane idei i systemu wartości akademickich. Choć uczeni wymierają, choć dzieła idą w zapomnienie, choć struktury instytucjonalne nauki podlegają biurokratyzmowi reformowaniu, idee akademickie i ustalone pojęcia pozostają trwałym fundamentem. Przenosi je tradycja, utrwała – poprzez publikacje, celebrę i symbole – w dziedzictwo.

Uniwersytet, polityka i gra w kości

Przypadek Joshuy Katza

Wydaje się dosyć oczywiste, że prawdziwym powodem wznowienia sprawy był fakt, że Katz nie podpisał „antyrasistowskiego” listu i publicznie sprzeciwił się konformizmowi swojego środowiska akademickiego.

Poznałem Joshuę Katza niemal 10 lat temu. W maju 2013 roku wygłosił wykład w Instytucie Filologii Klasycznej UAM, w samo południe, a potem wraz z kilkoma osobami wybraliśmy się na wspólny obiad. Byłem wtedy adiunktem kończącym monografię habilitacyjną. Jeszcze przed wizytą Katza słyszałem wiele pochwał na jego temat, więc byłem ciekaw wykładu oraz zgłosiłem chęć pójścia później z gościem na obiad. Samo wystąpienie przeszło jednak wszelkie moje oczekiwania. Określenie, które przychodzi mi na myśl, to „wirtuozeria” i to w najlepszym tego słowa znaczeniu. Myślę, że słyszałem kilka takich wykładów akademickich w życiu, ale też nie miałem nigdy szczęścia uczestniczyć częściej w wykładach Katza. Nie studiowałem przecież w Princeton, jednej z najlepszych uczelni na świecie. Pamiętam dość dobrze tego cichego, niepozornego człowieka, który w sposób absolutnie fascynujący opowiadał o pewnym epizodzie rozpoczynającym ostatnią, 24 księgę *Iliady*.

„Już zakończono igrzyska i między lotne okręty porozchodziły się tłumy; każdy chciał się do wieczery i o sen troszczył się słodki. Achilles tylko samotnie płakał, o przyjacielu wciąż myśląc. Sen go wszechwładny objąć nie zdołał. Bezsenny to tu, to tam znów się miotał, pełen tęsknoty za męstwem i za dzielnością Patrokla. Ileż to oni zdziałali, jak wiele trudów przeżyli, zmagają z mężami i przygód na fali morza wzburzonej — o tym wspominał tak żywo i leż wylewał strumienie. Albo przewracał się na bok, lub padał na wznak, na plecy, albo na twarz znów się rzucał. A wreszcie snem nie objęty wstał i nad morzem zgnębiony błędził po brzegu”.

(ww. 1-12, tłum. K. Jeżewska)

Wykład miał intrygujący tytuł: *Dice in Iliad 24: Geometry, Fate, and Sex*. Katz z robiącą ogromne wrażenie wszechstronnością opowiadał o antycznej grze w kości, prezentując starożytne wizerunki używanych w niej przedmiotów czy cytując artykuły poświęcone matematycznym i statystycznym aspektom tej gry. Z równą swobodą zagłębiał się w grecki tekst *Iliady* (jest przede wszystkim językoznawcą), analizując szczegółowo pro-

blematykę słownictwa pojawiającego się w urywku z Homera. Zasadniczą tezę wykładu było to, że opis rzucającego się na łóżku Achillesa, pogrążonego w żalobie po zmarłym przyjacielu, stanowi aluzję do gry w kości, bo greckie słowa określające Achillesa przewracającego się na bok, padającego na wznak i na twarz, a wreszcie wstającego z łóżka, odpowiadają nazwom czterech ścian antycznych kości.

Katz nie tylko zaprezentował i udowodnił zaskakującą tezę, że wielki bohater, miotający się bezsennie na łóżku, przypomina kości rzucane przez gracza, ale pokazał przede wszystkim, jak wiele treści kryje się w tym poetyckim zabiegu. Z erudycją odniósł się do literatury wskazującej na to, że nazwy pozycji seksualnych nawiązywały do różnych ścian kości. Grecy rzucaли czterema czterościenne kośćmi i różne możliwe do wyrzucenia kombinacje nosiły imiona bóstw, bohaterów czy poetów. Jeden ze szczęśliwych rzutów nazywany był imieniem Afrodyty, bogini miłości, i Katz pokazał, że sposób, w jaki Achilles rzuca się na łóżku na początku 24 księgi *Iliady*, dokładnie odpowiada właśnie tej kombinacji, której patronowała Afrodyta, co przemawia z kolei za interpretacją miłości Achillesa i Patroklosa w *Iliadzie* jako związku erotycznego (jak sądzili niektórzy już w starożytności), a nie tylko przyjaźni.

Ale kości to przecież także los, przypadek, traf. Decyzja Achillesa, który pozwala Patroklosowi włożyć jego zbroję i tak iść do bitwy, bo on sam wciąż nie potrafi wybaczyć Agamemnonowi zniewagi i nie chce pomóc Grekom w walce, to coś w rodzaju rzutu kośćmi. Mogła doprowadzić do sukcesu, ale zakończyła się tragicznie. Heraklit z Efezu, żyjący ponad dwieście lat po autorze *Iliady*, powiedział, że kosmos przypomina zabawę dzieci, które na plaży budują zamki z piasku i je niszczą. Już w starożytności wielu zmagano się z tym, jaką rolę odgrywa w naszym życiu przypadek, jeszcze zanim Einstein zastanawiał się, czy Bóg gra w kości, czy nie. Już w pierwszym poemacie zachodniej cywilizacji, *Iliadzie*, nad ludzkim losem, nad cudem miłości i smutkiem jej utraty, nad blaskiem bohaterstwa i niepotrzebną brawurą, nad pragnieniem ochrony własnego domu

rodzinnego i odczłowieczającym okrucieństwem wojny zawiśło pytanie o sens tego, co nas spotyka.

Miejsce na przebaczenie

A 1200 lat później Boecjusz, rzymski arystokrata i minister gockiego władcy Italii, Teodoryka, czekał na śmierć w więzieniu, oskarżony o zdradę stanu i spiskowanie na rzecz obcego mocarstwa, i pisał *O pocieszeniu, jakie daje filozofia*, ostatnie wielkie dzieło antyku i pierwsze wielkie dzieło średniowiecza. Nadal zresztą nie wiemy, czy rzeczywiście zdradził, czy został niewinnie oskarżony. To jemu zawdzięczamy słynny obraz Fortuny, obracającej nieustannie kołem i wynoszącej w ten sposób na szczyty lub strącającej na dno, i pięknych, i szpetnych, i dobrych, i złych, i mądrych, i głupich, bez żadnej różnicy.

Gra w kości pojawia się w *Iliadzie* także w innym miejscu, w księdze 23, gdzie duch zmarłego Patroklosa ukazuje się Achillesowi we śnie i wypowiada do niego to przejmujące, przeciągłe „kai moi dos tēn cheir”, „podaj mi rękę!” Prosi, by ich kości po śmierci Achillesa leżały obok siebie:

„Razem niech będą, jak kiedyś w waszym domostwie,
gdymy wspólnie
rosliśmy, gdy Menoitijos sprowadził mnie z Opoentu,
wiodąc do domu waszego po moim czynie morderczym,
w dniu, gdy zabiłem niechcący syna Amfidamanta,
w gniewie, przy błażej grze w kostki,
dziecinną złością porwany.

Wtedy mnie Peleus, jeździec wyborny, zaprosił do siebie
i najtroskliwiej wychował i towarzyszem zwał twój”.

(ww. 75-90)

Czasem popełniamy w życiu błąd, tragiczny w skutkach, jak Patroklos, który w chłopięcej bójce po przegranej grze doprowadził niechcący do śmierci towarzysza. Niechcący, ale jednak rozpoczął bójkę, więc nie był bez winy. Kolejny nieudany rzut kośćmi. Koło Fortuny znowu się obraca i ktoś spada ze szczytu powodzenia na dno niedoli. Patroklos mówi jednak Achillesowi, że w przedziwny sposób los się do niego uśmiechnął, tam, na dole, gdy z powodu nieszczęśliwego wypadku musiał opuścić swój dom rodzinny. Został przygnięty przez życzliwego człowieka, Peleusa, ojca Achillesa, który wychował go razem z własnym synem. Musimy ponieść konsekwencje naszych czynów, również tych, które być może bardziej zależą od rzutu kośćmi niż naszych kalkulacji. Ale powinno być w życiu też miejsce na coś innego, czyli na przebaczenie. Na jakichś Peleusów, tych jeźdźców wybornych, którzy nas zaproszą do siebie nawet wtedy, kiedy inni się od nas odwracają.

Kiedy dzisiaj o tym piszę, mam żywo w pamięci tamten wykład Katza sprzed lat. To był pokaz tego, co najlepsze w naszej dyscyplinie i w ogóle w naukach humanistycznych. Od szczegółowego badania kwestii, wydawałoby się, zupełnie hermetycznych, zwłaszcza dla laika, od słów sprzed tysięcy lat, których niemal nikt już na naszej planecie nie rozumie, od znalezisk archeologicznych, porozrzucanych śladów dawnej cywilizacji Katz dochodził do tego, o co ostatecznie toczy się gra, którą nazywamy humanistyką – do uniwersalnych doświadczeń i pytań ludzkiej egzystencji. Do miłości i śmierci, przyjaźni i seksualności, dumy i gniewu, do przypadku, który skazuje nas, nieraz jednym rzutem kości, na utratę tego, co jest nam tak bardzo drogie. Kiedy Katz mówił, każdy słuchacz mógł (nie musiał) przejrzeć się w Homerze, jak w lustrze, które nam ukazuje filologia klasyczna, ta miłość do słów martwego języka.

Przyznam, że byłem trochę onieśmielony, kiedy szliśmy w gronie kilku osób na obiad. Rozumiałem już, dlaczego Katz był najpopularniejszym nauczycielem w Princeton, wielokrotnie nagradzonym, na którego wykładach brakowało miejsc



Joshua Katz

Zdjęcie: colorado.edu

dla studentów, a wyniki jego ankiet studenckich były wszystkie rekordy. Nie wiedziałem wtedy, że był również nauczycielem, który wspierał studentów, pomagał im bezinteresownie w problemach życiowych, kilka osób w zasadzie uratował. W każdym razie moje onieśmielenie szybko minęło, ponieważ światowej sławy profesor z Princeton okazał się osobą tak bezpretensjonalną, naturalną i skromną, że po kilku minutach spaceru poznańskimi ulicami miałem wrażenie, że rozmawiam ze znajomym.

Przypominam sobie wrażenie, że Katz był całkowicie skupiony na rozmowie i na rozmówcy – coś nieuchwytnego, ale zarazem wyraźnie wyczuwalnego. Pamiętam, że w którymś momencie rozmawialiśmy o politycznym zaangażowaniu uczonych i o ryzyku z tym związanym. Mój rozmówca wydawał się dość sceptyczny co do tego, czy naukowcy powinni się angażować w życie publiczne. On sam był od tego daleki. Kiedy powiedziałem mu, że jestem pod wrażeniem jego pracowitości, ponieważ przekopanie się („digging through”) przez taki ogrom literatury przedmiotu, żeby uargumentować tezę, którą wysunął w swoim wykładzie, wymagało mnóstwa czasu i wysiłku. Katz uśmiechnął się i odpowiedział: „Well, I’m a digger!”. Mając do wyboru ciche „przekopywanie się” w bibliotece i polityczne spory na agorze, Katz nie wydawał się mieć wątpliwości, gdzie jest jego miejsce.

Katz odmówił podpisania listu

Przez wiele lat nie miałem z nim kontaktu, słysząc o nim raz po raz od znajomych. Aż 8 lipca 2020, kilka miesięcy po rozpoczęciu się pandemii COVID-19, w czasopiśmie internetowym „Quillette” ukazał się tekst Katza *A Declaration of Independence by a Princeton Professor*. Opisał w nim list, podpisany przez 350 profesorów swojego wydziału, w którym deklarowali oni poparcie dla działań określanych jako „antyrasistowskie”. Katz listu nie podpisał, ale też wyraził zaniepokojenie pewnymi rzeczami, które w liście się znalazły oraz tym, jak wielu akademików z Princeton podpisało ten list nie dlatego, że się

z nim zgadzało, ale pod wpływem presji i strachu przed konsekwencjami, jeśli go nie podpiszą. Był to czas demonstracji Black Lives Matter w Ameryce.

Katz odmówił podpisania listu, ponieważ kilka rzeczy mu się w nim nie podobało. Dokument zaczynał się od stwierdzenia: „Anti-Blackness is foundational to America”. Katz wierzył, że nawet jeśli rasizm w Ameryce istniał od początku, był on w sprzeczności z Deklaracją Niepodległości i Konstytucją. Z pokolenia na pokolenie Amerykanie (i nie tylko oni) byli uczeni, że fundamentem Stanów Zjednoczonych jest Jeffersonskie stwierdzenie, oczywiste dla nas dzisiaj, lecz przecież nie wtedy: „Wszyscy ludzie zostali stworzeni równi sobie”. Dlaczego nagle się okazuje, że fundamentem Ameryki, czy nawet całej cywilizacji zachodniej, jest rasizm? Katzowi nie podobały się też szczegółowe postulaty, takie jak powołanie specjalnej komisji, która miała kontrolować wykładowców, ich badania naukowe, konspekty zajęć i wypowiedzi w salach wykładowych, sprawdzając, czy nie ma tam przejawów rasizmu. Rasizm nie został zdefiniowany – to komisja miała sama ustalać, co jest rasizmem, a co nie jest.

W jednym tylko momencie wyważony język artykułu się zmienia, kiedy w reakcji na pomysł, żeby uniwersytet wystosował oficjalne przeprosiny wobec organizacji Black Justice League, Katz nazywa tę studencką organizację „small local terrorist organization”, pisząc, że był świadkiem jej opresyjnych działań nie tylko wobec białych, ale i czarnych studentów, którzy nie chcieli się podporządkować jej żądaniom. To jedno określenie stało się pretekstem zdumiewającego w swej sile publicznego ataku na Katza. Rektor Princeton, Christopher Eisgruber, zagroził ogólnikowo, że uniwersytet „zajmie się” sprawą wypowiedzi Katza („will look into the matter”).

W zasadzie wszyscy jego koledzy i koleżanki z wydziału przestali z Katzem rozmawiać czy nawet kłaniać mu się na ulicy. Wielu z nich uważał za przyjaciół, dał z nimi regularnie obiady, rozmawiał o sprawach prywatnych. Teraz nie chcieli mu podać ręki.

Jednym z nich był Dan-el Padilla Peralta, czarnoskóry historyk starożytności pochodzący z Dominikany, który był studentem Katza przed laty. Na fali „antyrasistowskich” protestów ostatnich lat Peralta zasłynął w gronie klasyków swoimi



Zródło: Wikipedia

Achilles i Ajaks grają w kości, malarstwo wazowe, ok.540 p.n.e.

postulatami, żeby spalić doszczętnie całą dyscyplinę badań nad antykiem („burn it down!”) i stworzyć ją na nowo. Podczas konferencji amerykańskiego Society for Classical Studies Peralta powiedział również, że system recenzji „double blind peer review” jest do głębi rasistowski, a dowodem tego jest, że tak mało czarnoskórych badaczy publikuje w najważniejszych międzynarodowych czasopismach naszej dyscypliny. Zasygnalizował również rozwiązanie problemu, czyli odejście od „ślepego” charakteru recenzji, na rzecz brania pod uwagę przy decyzjach redakcyjnych koloru skóry autorów tekstów. Nie wyjaśnił jednak, jak sobie wyobraża w szczegółach nowy proces publikacji artykułów naukowych, po tym jak stary zostanie już zniszczony.

Peralta był jedną z osób, które zaatakowały Katza, nazywając go rasistą, co jest o tyle znaczące, że lata wcześniej Katz okazał mu życzliwość i pomoc, kiedy ten był studentem i nielegalnym imigrantem. Jak Peralta sam wspomina w swojej opublikowanej autobiografii pt. *Undocumented*, Katz nie osądził go za prawnie nieuregulowany (undocumented właśnie) status, nie mówiąc już o jakichkolwiek formach rasistowskiej nie-

chęci. Raczej oferował pomoc i radę, zachęcał do zalegalizowania pobytu w Stanach, co zmobilizowało Peraltę do uporządkowania statusu prawnego. To z kolei otworzyło mu drogę do tego, żeby zostać obywatelem rzekomo rasistowskiej Ameryki i profesorem zatrudnionym na prestiżowym Uniwersytecie Princeton, uczelni, która sama uznała się w lipcu 2020 za do gruntu rasistowską, ale zarazem – entuzjastycznie antyrasistowską.

Ktoś słyszał, że ktoś coś powiedział

Gdy ukazała się „deklaracja niepodległości” Katza, a potem i jego artykuł w „Wall Street Journal”, ten skromny filolog, który spędzał godziny w bibliotece na „przekopywaniu się” przez literaturę naukową, stał się postacią publiczną w Ameryce i świecie anglosaskim w ogóle. Krótco po tym uniwersyteckie pismo „Daily Princetonian” również zaczęło się przekopywać, tyle że przez biografię Katza. Studenci-dziennikarze „dotarli”, jak to się dziś mówi, do dyscyplinarnej sprawy, którą Katz miał kilka lat wcześniej, z powodu związku romantycznego ze swoją ówczesną studentką. Związek ten miał miejsce ok. roku 2005. Miał charakter w pełni „konsensualny” i nie naruszał prawa, natomiast Katz naruszył wewnętrzne regulacje uniwersytetu, który w tamtym czasie zabraniał relacji seksualnych między wykładowcami a studentami pozostającymi ze sobą w relacji pedagogicznej.

Romans został ujawniony po ponad dziesięciu latach, w roku 2017, na fali ruchu „MeToo”, przy czym zrobiła to nie biorąca w nim udziału kobieta, ale zupełnie inna osoba. Była studentka Katza była przeciwna wszczynaniu przeciw niemu postępowania dyscyplinarnego. Odbłyło się ono jednak i w 2018 roku Katz został ukarany zawieszeniem na okres roku. W tym czasie związał się również z Solveig Lucią Gold, swoją byłą studentką i obecną doktorantką na Uniwersytecie w Cambridge, która jest jednocześnie zatrudniona w Princeton. Solveig wspomina, że to ona zainicjowała związek i zdecydowała się go kontynuować nawet wtedy, gdy Katz zwierzył jej się, że toczy się przeciw niemu postępowanie i prosił, żeby się nie angażowała, bo chciał jej oszczędzić problemów.

W lutym 2021 „Daily Princetonian” opublikował artykuł na temat dawnego romansu Katza ze studentką, domagając się wznowienia zamkniętej już sprawy. Przeczytałem wtedy ten tekst ze zdumieniem. „Dziennikarskie śledztwo” opierało się bowiem na informacjach typu, że ktoś widział, jak Katz z kimś się spotkał na obiedzie albo ktoś słyszał, jak ktoś mówił, że Katz z kimś się spotkał na obiedzie i do tego zapłacił rachunek. Albo na zdaniach z maili wyrwanych z kontekstu. Konkluzja tego wszystkiego była taka, że Katz molestuje nagminnie swoje studentki. Wierzę Katzowi, kiedy mówi, że oskarżenia są niedorzeczne i że nigdy nikogo nie molestował.

Władze Princeton zareagowały kolejnym dochodzeniem, choć Katz został przecież już ukarany zgodnie z przepisami uniwersyteckimi. Wydaje się dosyć oczywiste, że prawdziwym powodem wznowienia sprawy był fakt, że Katz nie podpisał „antyrasistowskiego” listu i publicznie sprzeciwił się konformizmowi swojego środowiska akademickiego. Zakazano mu prowadzenia zajęć ze studentami, sugerując, że jest dla nich zagrożeniem. Wielokrotnie przesłuchiowano go przed uniwersyteckimi komisjami bez obecności prawnika, nie informując go w ogóle, jakie konkretnie zarzuty są mu stawiane. W lipcu 2021 Katz i Solveig wzięli ślub i z zaskiwieniem czytałem komentarze na ten temat ze strony środowiska filologów klasycznych w Ameryce i Wielkiej Brytanii, sugerujące, że Solveig jest ofiarą Katza, zmanipulowaną, uwiedzioną i wykorzystaną. Tego typu komentarze mogą wywołać jedynie śmiech u kogoś, kto choć przez chwilę widział tych dwoje razem. W ich związku niewiele jest z patriarchy.



Cancel culture

W toku całej sprawy wielu publicznych intelektualistów (co istotne – nikt z Princeton) wzięło w obronę Katza. W sierpniu 2021 w „The Atlantic” ukazał się np. obszerny esej Anne Applebaum, w którym krytykowała ona to, co się określa mianem cancel culture, czyli rozprzestrzeniający się w Ameryce zwyczaj poddawania ostracyzmowi ludzi, którzy wyrażą poglądy odmienne od dominującej, lewicowej ortodoksji politycznej i obyczajowej. Pamiętam, że jeszcze w 2020 wielu prominentnych intelektualistów amerykańskich wyśmiewało ten termin, twierdząc, że to wymysł skrajnej prawicy i zwolenników Donalda Trumpa. Applebaum (której daleko do prawicy czy konserwatyizmu) w swoim esej, przedrukowanym zresztą pod koniec kwietnia tego roku w „Gazecie Wyborczej”, wspomina o sprawie Katza oraz o wielu innych, podobnych przypadkach prześladowania. Pokazuje, jak uniwersytety anglosaskie, które mają być miejscem swobodnej wymiany myśli i racjonalnej dyskusji, zostały opanowane przez strach przed ujawnianiem poglądów, które nie są zgodne z najnowszymi, postępowymi dogmatami, aktualizowanymi zresztą niemal z miesiąca na miesiąc. Notabene niedawno widziałem wyniki badań, pokazujących, że 63,5% studentów amerykańskich boi się wyrażać swoje poglądy na uniwersytecie (podczas gdy w roku 2019 było to 54,7%).

W październiku 2021 w czasopiśmie „First Things” Katz opublikował tekst zatytułowany *My Confessions*. Przyznaje się tam publicznie do romansu ze studentką sprzed lat, pisząc o wyrzutach sumienia, jakie mu towarzyszyły z tego powodu przez wiele lat. Opowiada też o tym, jak niedawno wrócił do lektury *Wyznań* św. Augustyna. Pamiętam, że wymieniając z Katzem maile w lecie 2020, wysłałem mu mój artykuł poświęcony właśnie *Wyznaniom*, zdziwiłem się, kiedy odpisał, że intensywnie studiuje to dzieło. Okazało się, że doświadczenia prześladowania ze strony własnego uniwersytetu i dawnych „przyjaciół”, ale też i doświadczenia życzliwości i wsparcia ze strony przyjaciół nowych, czyli ludzi dobrej woli, którzy stanęli po jego stronie, doprowadziły Katza do nawrócenia i przyjęcia chrztu w czerwcu 2021 roku.

W swoim „konfesyjnym” eseju wspomina on, że nie bez znaczenia był tu fakt, iż większość nowych przyjaciół (choć nie wszyscy), którzy próbowali mu pomóc, to byli chrześcijanie lub religijni żydzi. Według niego, to nie przypadek, że pomagali mu ludzie, którzy wierzą nie tylko w istnienie grzechu, ale też w możliwość przebaczenia. Radykalna lewica zachodnia, tzw. „woke” („przebudzeni”), która uznaje Katza za rasistę i seksualnego oprawcę, wierzy żarliwie w grzech, ale zupełnie nie uznaje przebaczenia. Jak pisze Ann Applebaum we wspomnianym esej – każdy czyn, każda wypowiedź, każdy email czy post w mediach społecznościowych, każdy żart na uniwersyteckim przyjęciu zostaną wytropione i potępione, bez próby zrozumienia i bez możliwości przebaczenia. Naciska się na ludzi, żeby przepaszali, ale gdy tylko to zrobią, są jeszcze gwałtowniej atakowani: „przeprosił, więc jest winny”. Znam osobiście kilku nauczycieli akademickich i szkolnych z krajów anglosaskich, którzy w ciągu minionych dwóch lat odczuli to na własnej skórze.

Bez przebaczenia

To paradoks, że chrześcijaństwo, które przez ostatnie dekady było oskarżane o wpędzanie swoich wyznawców w poczucie winy, dla takiego „bezbożnego filologa klasycznego”, jak Katz sam się określa w swoim tekście, okazało się depozytariuszem tego, o co w naszym świecie coraz trudniej – wybaczenia. Wybaczania, które nie unieważnia zła przez kogoś popełnionego, ale oferuje możliwość jego naprawienia. A to jest prze-

cież już u Homera, u samych początków naszej cywilizacji, w tej opowieści Patroklosa o tym, jak został przyjęty w domu Achillesa po spowodowaniu nieszczęśliwego wypadku. Czytając piękny i osobisty esej Katza w „First Things”, próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio słyszałem jakąś osobę publiczną, która została oskarżona o zrobienie czegoś złego, udowodniono jej to, a ona przyznała się do winy, bez tłumaczenia się i usprawiedliwiania. Próbowałem i próbowałem, ale sobie nie przypominałem.

Politycy, dziennikarze, profesorowie, biskupi, aktywiści prawicowi i lewicowi, nawet jeśli ich wina staje się oczywista, z reguły wypierają się wszystkiego i to do końca. Św. Augustyn napisał *Wyznania* zaraz po objęciu urzędu biskupa Hippo. Wobec swojej kongregacji przyznaje się w nich nie tylko do wszystkich złych rzeczy, które robił w życiu, ale – jak niektórzy badacze sądzą – również do wielu takich, których wcale nie zrobił. Katz, na o wiele mniejszą skalę, również się przyznał – nie do rasizmu czy molestowania seksualnego, bo nie był i nie jest winny żadnej z tych rzeczy, ale do tego, co w swoim tekście nazywa „grzechem”, czyli do związku ze studentką wbrew regułom obowiązującym na jego uniwersytecie.

O ile lepiej wyglądałoby nasze życie publiczne, gdyby więcej osób inspirowało się postawą Augustyna czy Katza. Tymczasem jak epidemia rozprzestrzenia się, zupełnie moim zdaniem kuriozalny, zwyczaj przeprosin w trybie warunkowym (w łacińskim modus potentialis): „Jeśli kogokolwiek obraziłem, najmocniej przepraszam”. Albo uznaję, że zrobiłem coś złego i wtedy przepraszam, albo nie uznaję, że zrobiłem coś złego, i nie przepraszam. Nie było dotąd żadnego przeproszenia „jeśli”.

Czy Bóg gra w kości? Czy światem rządzi przypadek, jak chciał Demokryt, czy rozumny porządek, jak wierzył Augustyn? Czy naszym zadaniem jest jedynie przekazanie „samolubnych genów”, jak twierdzi słynny profesor biologii z Oksfordu, czy może naszym powołaniem jest stać się bogami, jak pisał Boecjusz, czekając na śmierć w więzieniu w Pawii? Zapewne czytelnicy tego tekstu mają różne zdania na ten temat. I dobrze! Co więcej, to właśnie uniwersytet powinien być miejscem, gdzie te różne zdania mogą być głośno wypowiedzane w dyskusji, bez strachu czy autocenzury, z wiarą, że możemy współpracować i chodzić na kawę z ludźmi, którzy uważają, że się całkowicie mylimy, podczas gdy my uważamy, że to oni tkwią po uszy w błędzie. Co nie oznacza, że uważamy się nawzajem za złych ludzi.

Uniwersytet nie pojawił się wszędzie, w każdej kulturze, w każdym miejscu tej planety, w każdej epoce. Nie jest czymś powszechnie spotykanym w historii ludzkości, jak uprawa roli, ceremonie pogrzebowe czy tabu kazirodztwa. Uniwersytet pojawił się w zachodniej Europie w rzekomo mrocznych wiekach średniowiecza, dzięki stuleciom wysiłków ludzi, którzy chcieli myśleć, chcieli rozumieć rzeczywistość, w której żyli, i chcieli rozmawiać o tym z innymi i wspólnie poszukiwać prawdy w tym krótkim życiu, jakie spędzamy na naszej targanej wciąż wojnami i epidemiami ziemi. Takie rzeczy jak uniwersytet buduje się przez setki lat, wysiłkiem i poświęceniem wielu ludzi. Takie rzeczy jak uniwersytet psuje się, korumpuje czy demoralizuje bardzo szybko, zorganizowanym aktywizmem ludzi niewiele. Losy uniwersytetu nie powinny zależeć od rzutu kośćmi. Nawet jeśli Bóg gra czasem w kości, my, ludzie uniwersytetu, nie robmy tego, mając w naszej pieczy coś tak cennego i ważnego.

W maju bieżącego roku Joshua Katz został zwolniony przez Uniwersytet Princeton.

*Dr hab. Mateusz Strzyżewski, filolog klasyczny,
dyrektor Instytutu Filologii Klasycznej UAM w Poznaniu*

Piotr Tryjanowski, Sławomir Murawiec, Ramon Grimalt

Przyroda i zdrowie psychiczne

Ptasiarstwo to sprawdzone rozwiązanie

Przebywanie w środowisku naturalnym i związana z tym aktywność fizyczna, kontakt z zielenią, zapachami lasu, zwiększona synteza witaminy D w związku z wystawieniem na działanie promieni słonecznych mają ogromne pozytywne znaczenie dla zdrowia psychicznego. Każdy może z tych dobrodziejstw skorzystać, wystarczy, że wyruszy z laboratorium czy gabinetu do lasu, parku, nad jezioro.

Lekarstwem na smutek jest ruch. Receptą na siłę – działanie.
Elbert Hubbard

Praca w laboratoriach naukowych, salach wykładowych, gabinetach lekarskich i szpitalach, a nawet w zaciszu uniwersyteckich bibliotek, nie jest wolna od stresu i pesymistycznych informacji napływających z otaczającego świata. Problem ten przestał być dyskutowany wśród naukowców wyłącznie podczas spotkań przy porannej kawie lub w mediach społecznościowych, rozmowy o nim przedostają się do działalności instytucjonalnej. Stąd też ostatnio coraz więcej organizacji i stowarzyszeń naukowych łączy wprost kwestie zdrowia psychicznego z komfortem pracy akademickiej. Problem został nawet szeroko skomentowany w prestiżowym „Nature Ecology and Evolution”. Aktualna wiedza pozwala dość dobrze rozpoznawać przyczyny zwiększonej liczby zaburzeń psychicznych w społeczeństwie, chociaż w zależności od płci, wieku, wykonywanego zawodu i statusu społecznego, mogą być one nieco inne. Obecnie czynniki ryzyka zaburzeń psychicznych, opisane w czasach przed pandemią COVID-19 i wybuchem konfliktu zbrojnego w Europie, są gwałtownie uzupełniane przez nową listę zagrożeń dla zdrowia psychicznego. U pracowników akademickich zajmujących się naukami o życiu i przyrodzie wyróżniają się stany depresyjne oraz lęki związane ze świadomością dramatycznego stanu środowiska naturalnego, przede wszystkim z pogłębioną wiedzą na temat zmian klimatu, znaczenia dewastacji ekosystemów i powszechnego spadku bioróżnorodności. Na tę świadomość, podminowującą dobre samopoczucie, nałożyły się jeszcze nowe obawy, przede wszystkim wyżej wspomniane COVID-19 i współczesne konflikty zbrojne. Wymienione zjawiska mocno wpływają na dyskomfort naszego funkcjonowania, powodują trudności adaptacyjne, pogarszają sen i funk-

cjonowanie w ciągu dnia, a mogą w konsekwencji prowadzić do powstawania zaburzeń lękowych i długotrwałych spadków nastroju.

W rzeczy samej, badacze środowiska naturalnego pracujący w terenie nie tylko najwcześniej zauważają zachodzące globalnie zmiany, ale też potrafią poprawnie zinterpretować ich przyczyny. To często przekłada się na niezwykle pesymistyczne wizje przyszłości. Z drugiej jednakże strony, to właśnie przyrodniczy pracujący w terenie jako pierwsi mają szansę dostrzec pewne optymistyczne sygnały, choćby wzrost populacji wcześniej niemalże wymarłych gatunków czy też skuteczne akcje ratowania całych ekosystemów. Tych jednak jest wciąż za mało, tak więc nawet ważenie pozytywów i negatywów, zwłaszcza dokonywane w szerszym kontekście ekonomicznym i społecznym, także może wywoływać negatywne stany emocjonalne. Oczywiście percepcja zarysowanych problemów jest bardzo zróżnicowana na poziomie indywidualnym, ale i tak wiemy, że ogólne tendencje są bardzo pesymistyczne. Co więcej, pandemia COVID-19 uwypukliła problemy związane ze zdrowiem psychicznym populacji. Jest źle – to, w olbrzymim uproszczeniu, diagnoza stawiana przez lekarzy psychiatrów, jak też obecna we współczesnych dyskusjach naukowych. Choć staramy się na sprawę spoglądać z odpowiedniego dystansu, to jednak ostatecznie i tak przyznajemy rację pesymistom. Zalecenia sugerowane przez doradców pracujących na rzecz poprawy zdrowia psychicznego wśród pracowników akademickich można sprowadzić do kilku prostych wskazówek. Przede wszystkim należy starać się o redukcję negatywnych bodźców docierających ze środowiska, dążyć do poprawy refleksji i uważności oraz skupić się na budowaniu elastyczności wewnętrznej. W trudniejszych przypadkach konieczne jest zaś sięgnięcie po specjalistyczną pomoc zewnętrzną: psychologiczną czy psychiatryczną.



Fot. Stefan Czerhan

N jak Natura

W kontekście przedstawionych diagnoz, podkreślanych zresztą w manifestach wielu organizacji naukowych i ekologicznych, niestety giną relatywnie proste metody przeciwdziałania kryzysowi zdrowia psychicznego. Po pierwsze, uważamy, że osoby pracujące w badaniach ekologicznych powinny więcej korzystać z dobrodziejstw kontaktu z przyrodą. Sporo prac naukowych podkreśla, że „witamina N” (N jak Natura) to współcześnie najbardziej zapomniany, a jednocześnie potrzebny kompleks witaminowy. Praca terenowa nie może być tylko zimnym, niemalże automatycznym pobieraniem prób badawczych, powinna być także połączona z zachwytem nad pięknem przyrody i czasem na refleksje. Przygotowania do życia akademickiego, szczególnie do dziedzin związanych z badaniami terenowymi – geologią, ekologią, zoologią czy botaniką – nie mogą dotyczyć wyłącznie kursów zaawansowanych statystyk w środowisku R, obsługi

specjalistycznego sprzętu laboratoryjnego, reżimu poboru prób i twórczego pisania artykułów naukowych. Zdecydowanie warto podkreślać znaczenie czasu poświęconego na kontakt z przyrodą. Możliwość tego kontaktu wręcz może stanowić swoistą wartość dodaną, rekompensującą mniej prestiżowy status dyscyplin terenowych, przynajmniej w szerokim odbiorze społecznym, na przykład w porównaniu z biologią molekularną czy medycyną. Samo przebywanie w środowisku naturalnym i związana z tym aktywność fizyczna, kontakt z zielenią, zapachami lasu, zwiększona synteza witaminy D w związku z wystawieniem na działanie promieni słonecznych mają ogromne pozytywne znaczenie dla zdrowia psychicznego. Każdy może z tych dobrodziejstw skorzystać, wystarczy, że wyruszy z laboratorium czy gabinetu do lasu, parku, nad jezioro. Jednak w przypadkach szczególnych, jak zmęczenie, słaba pogoda, zły stan zdrowia, takie proste spacery są zbyt mało pociągające i wymagają dodatkowego argumentu, bodźca pozytywnego.



Ornitologia terapeutyczna

Z naszych osobistych obserwacji, ale i opublikowanych prac, wynika, że argumentem na rzecz wyjścia na zewnątrz, są obserwacje ptaków. Ptasiarstwo, często z angielskiego nazywane birdwatchingiem, to jedno z najdynamiczniej rozwijających się hobby związanych z aktywnością zewnętrzną, a samo podpatrywanie ptaków to jeden z najsilniejszych współczesnych związków człowieka z przyrodą. Z ptakami wiążemy się emocjonalnie, uczymy się ich cech diagnostycznych, staramy się je oznaczyć i nazwać, poświęcamy czas na zobaczenie nowych gatunków i tworzenie tzw. list życia. W obserwacjach ptaków widoczny jest efekt niespodzianki (nigdy w pełni nie potrafimy przewidzieć, jaki gatunek zobaczymy), wpływający na wydzielanie oksytocyny i sprawniejszą pracę naszego mózgu. Jeszcze nie wiemy, które gatunki mają szczególne funkcje terapeutyczne, ale zróżnicowanie gatunków ptaków pod względem kolorów, miejsc występowania i zachowań jest olbrzymie. Wśród pra-

wie 11 tysięcy gatunków ptaków zapewne każdy z nas może znaleźć swój ulubiony, w zależności od własnych potrzeb emocjonalnych, płci, wieku, doświadczenia życiowego, a nawet preferencji chronobiologicznych (skowronek vs. sowa). W ptasich obserwacjach wcale nie musi już chodzić o zbieranie profesjonalnych danych ornitologicznych czy uczestnictwo w coraz popularniejszych projektach nauki obywatelskiej. Ich zwyczajne, wykonywane wyłącznie dla przyjemności obserwacje mają potwierdzone klinicznie znaczenie terapeutyczne. Wycieczki z lornetką, obserwacje przy karmniku, słuchanie ptasich głosów, także tych na nagraniach z muzyką relaksacyjną, pozytywnie wpływają na uważność, mikrobiom, poprawę samopoczucia w depresji, funkcjonowanie osób z chorobą Alzheimera (otępieniami), a nawet w rekonwalescencji po zabiegach kardiologicznych i onkologicznych. Oczywiście ptasiarstwo nie zastąpi profesjonalnej, czasami przecież niezbędnej pomocy farmakologicznej czy psychoterapeutycznej, ale stanowi jej cenne uzupełnienie.

Nawet jednak gdy jesteśmy zmuszeni skorzystać z profesjonalnej pomocy psychiatrów, neurologów, ale też dermatologów i lekarzy innych specjalizacji, które mają związek ze zdrowiem psychicznym (prawdę mówiąc, dziś wiemy, że to dotyczy niemal wszystkich!), potrzebujemy lekarzy wypoczętych, bez efektu wypalenia zawodowego i własnych problemów psychicznych. Niestety negatywne problemy dotyczące zdrowia psychicznego zauważalne są także i w tym środowisku. Można by to nawet skomentować, odwołując się do znanego powiedzenia „Lekarzu, ulecz najpierw samego siebie!” (Łk 4,23). I tutaj raz jeszcze z pomocą przychodzi ptasiarstwo. Spacerory ornitologiczne, poszukiwania rzadkich gatunków i nauka ich cech rozpoznawczych znakomicie poprawiają zdrowie psychiczne lekarzy różnych specjalności, m.in. psychiatrów i dermatologów, ale – jak wykazano w USA – również

pielęgniarek. Co więcej, obserwowanie ptaków umożliwia ciekawe nawiązanie na linii pacjent – terapeuta, ponieważ przekazywanie wiedzy ornitologicznej może być cennym sposobem na powstawanie więzi społecznych i transfer wartości. Tak więc ptasiarstwo ma szeroką medyczną przyszłość.

Konkludując, zgadzamy się z diagnozą stawianą przez organizacje akademickie, ale rozmowy o problemie zdrowia psychicznego to za mało. Warto zacząć działać. Czasem zwykły spacer, najlepiej z lornetką na piersi, naprawdę działa cuda, a przynajmniej jest pierwszym krokiem we właściwym kierunku. Nazwaliśmy to ornitologią terapeutyczną.

Prof. dr hab. Piotr Tryjanowski, Wydział Medycyny Weterynaryjnej i Nauk o Zwierzętach, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu

Dr hab. n. med. Sławomir Murawiec, Klinika Terapii Allenort, Warszawa

Prof. dr Ramon Grimalt, Klinika Dermatologii, Wydział Medycyny i Nauk o Zdrowiu, Universitat Internacional de Catalunya, Sant Cugat del Vallès, Hiszpania

Na emeryturę, czyli do likwidacji

Ten felieton tylko pozornie jest osobisty. O napisanie go prosiło mnie około dwudziestu naukowców i nauczycieli akademickich. A dziś, kiedy wreszcie to piszę, doszły jeszcze dwie osoby. Ba, wspaniałe postaci! Są to ludzie „wyrzuceni na emeryturę” między innymi z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Uniwersytetu Opolskiego, Wojskowej Akademii Technicznej, „mojego” Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego i kilku innych.

Parę lat temu, trzy dni po wizycie w kadrach, gdzie wręczono mi dokument przejścia na emeryturę, wysłałem na swój uczelniany adres mailowy (xxx@uksw.edu.pl; ikxy oznaczają nazwę konta) list-notatkę, w którym dla pamięci umieściłem program pożegnane spotkanie z Wydziałem Nauk Humanistycznych, pracownikami, doktorantami, studentami. Bynajmniej nie z uczelnią. Od niej odchodzić nie miałem najmniejszego zamiaru, bo plany naukowe i życiowe zakładały dalszą ścisłą więź z tą wspaniałą (jak mi się wówczas wydawało) instytucją.

Ale e-mail został odesłany przez automat z adnotacją (kopiuje): „Dostarczenie do wymienionych adresatów lub grup nie powiodło się: xxx@uksw.edu.pl. Nie można znaleźć wprowadzonego adresu e-mail (...). Jeśli problem będzie nadal występował, skontaktuj się z administratorem poczty e-mail”.

Skontaktowałem się. Powiedział, że tak się stało, ponieważ mojego loginu ani hasła w bazie użytkowników już nie ma, gdyż przeszedłem w stan spoczynku. „Tak się postępuje ze wszystkimi osobami, które zrywają kontakt z instytucją”. Niczego nie zrywałem i chciałem temu określeniu stanowczo zaprzeczyć, ale po drugiej stronie już odłożono słuchawkę. Wykonanie kilku innych połączeń z przedstawicielami uczelni dało rezultat co prawda mniej przykry, ale z efektem takim samym – zostałem odcięty. Wyrzucony na śmietnik. Panie z dziekanatu, z którymi zawsze byłem w przyjaźni, ze smutkiem stwierdziły, że to nic nowego.

Rozumiem odseparowanie od pełnego nazwisk i innych danych osobowych systemu obsługi studentów i dydaktyki USOS, od działu zatrudnienia i bazy pracowników, bo jest to wymagane przez RODO (rozporządzenie o ochronie danych osobowych z 2016 r.), ale odebranie mi kontaktu naukowego, koleżeńkiego i afiliacyjnego, a także z doktorantami, pocztą, biblioteką i jej zakontraktowanymi zasobami zagranicznymi, również z systemem Windows (abonamenty różnych aplikacji), komunikatorem wewnątrzuczelnianym i kalendarzem uniwersyteckim, rychło okazało się karą za to, że byłem pracownikiem.

To bynajmniej nie powinno wynikać z RODO, a jednak wręcz potęguje jego przeraźliwie antykulturową i antyspołeczną moc, nadaną przez urzędników Unii Europejskiej. Podobnie jak w Stowarzyszeniu Autorów ZAiKS (mającym m.in. obsługiwać twórczość aż do 70 lat po śmierci autorów, w Europie do 100) nic nie można załatwić, bo rzekomo RODO zakazuje podawania nazwisk spadkobierców zmarłych artystów, a łamanie tej

zasady jest podobno bardzo surowo karane. RODO jest więc na skutek działania takich instytucji jak UKSW, UMCS, UO, WAT czy ZAiKS i tak dalej zdecydowanie mechanizmem niszczącym opartą na nazwiskach komunikację społeczną i uniemożliwiającą bycie osobą znaną i potrzebną. A może o to ma chodzić?

Po tym wszystkim przez pięć bitych lat różne instytucje polskie i zagraniczne, zdezorientowane nieistnieniem mojego adresu e-mailowego, często w przekonaniu, że nie żyję, poskroślały mnie ze swoich wykazów, usunęły z członkostwa, odebrały uprawnienia, zrezygnowały ze współpracy, wycofały moje prace z obiegu i zlikwidowały zapraszanie oraz planowanie dotacji do badań naukowych i pisania wcześniej ustalonych tekstów, recenzji, opinii.

Poniosłem znaczne straty materialne, ale przede wszystkim moralne. Koledzy, pozostawieni na UKSW jako nadal jego pracownicy, próbowali pocieszać. Przygotowana przez nich w tajemnicy solidna książka o moim dorobku artystyczno-literackim, a następnie wspaniała impreza pożegnana, częściowo kompensowały poczucie wyrzucenia na bruk (dziękuję za te cudne zdarzenia przede wszystkim dziekanowi, profesorowi Tomaszowi Chachulskiemu).

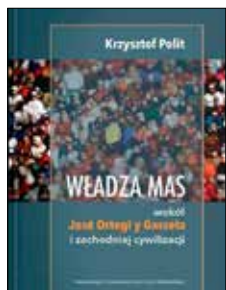
Ale straty rosły nieprzerwanie. Do dziś na skutek zaniechań uczelni nie mogę zainstalować własnego systemu MS Office, za który zresztą zapłaciłem. Były też i takie drobne przykrości, jak fakt, że wydawnictwo uczelniane przed paru laty oferowało patronat nad moimi książkami naukowymi i nagle, nie zapoznając się z nowymi tekstami, z tego się wycofało.

Z biegiem czasu nauczyłem się z tym żyć, ale niedawno znowu się okazało, że ktoś z mojej branży nie mógł się ze mną porozumieć, bo „nie odpowiadam na mejle”. Radio chciało przeprowadzić ze mną wywiad, Finowie z Uniwersytetu Medycznego w Turku chcieli się porozumieć w ważnej sprawie... I tak ciągle. O tym dowiadywałem się zawsze po czasie.

Jakaż była moja radość, kiedy przed Wielkanocą 2022 otrzymałem od księdza Rektora UKSW list z zapowiedzią zmian dotychczasowego obyczaju „wycinania emerytów”. Miało nastąpić przynajmniej wznowienie zapraszania ich na uczelniane imprezy. Od razu usiadłem do napisania odpowiedzi, w której grzecznymi słowami opowiedziałem, jak nas traktowano dotychczas. Uważałem, że moim obowiązkiem jest zwrócenie uwagi na tajemnice techniki gnębienia całkiem sprawnych umysłowo i fizycznie ludzi, którzy w swoich dziedzinach niezłe znają się na różnych rzeczach. Widocznie jednak zostało to źle odebrane, bo ani nie dostałem odpowiedzi, ani nie zaproszono mnie na żadną z licznych imprez w kwietniu, maju i czerwcu 2022. Szczególnie przykre było niezawiedzenie o uroczystości nadania stopnia doktora honoris causa mojemu młodszemu koledze i lekarzowi, profesorowi Henrykowi Skarżyńskiemu, na nowo powstałym Wydziale Lekarskim. Żal.

e-mail: lpj@lpj.pl

Tylko rzeczywistość jest ciekawa



Lektura pism myślicieli z dawniejszych epok – a z punktu widzenia historii ludzkiej myśli okres międzywojenny wydaje się często zamierzchną erą – pozwala oderwać się od dominujących prądów myślowych. Jednym z takich prądów jest współcześnie odrzucanie a priori wielkich narracji jako z definicji dyskryminujących czy wręcz totalitarnych, i koncentracja na doświadczeniu indywidualnym lub niewielkiej grupy. Celem nie jest jednak

pełniejsze poznanie rzeczywistości jako takiej, ale dowartościowanie poszczególnych uczestników dyskursu, stąd współczesną zachodnią kulturę określa się czasem mianem terapeutycznej. Taka tendencja sprzyja wyostreniu prostej dychotomii między poznaniem czy to subiektywnym (opartym na intuicji i emocjach) a rzekomo obiektywnym poznaniem racjonalnym. Krzysztof Polit w książce o myśli Ortegi y Gasset przypomina i wyjaśnia argumenty, za pomocą których hiszpański filozof krytykował oświeceniowy racjonalizm i poglądy te mają wyzwalający charakter, gdyż pozwalają na wyjście poza proste opozycje. Ortega y Gasset umieścił takie frapujące refleksje w całym szeregu dzieł eseistycznych, nie wszystkich dostępnych po polsku, a po angielsku czy francusku rozsianych w licznych wyborach. Polit korzystał z wzorcowego hiszpańskiego wydania dzieł zebranych autora *Buntu mas* i jego książka daje znakomitą orientację w dorobku tego myśliciela jako takim.

Polski autor od razu wprowadza kluczowe pojęcie racjonalizmu i wyczerpująco je wyjaśnia. Właśnie wyjaśnia, a nie definiuje, gdyż jego zdaniem próby zdefiniowania wielu pojęć w obszarze szeroko rozumianej humanistyki (w tym filozofii) prowadzą tylko do zaciemnienia ich znaczenia. Polit pokazuje to na przykładzie pojęć „kultury” i „cywilizacji”, i sam ten szkic zasługiwałby na osobną publikację. Wyjaśnienie i opis pozwalają przybliżyć się do rozumienia bez próby uchwycenia istoty zagadnienia, gdyż tę każdy czytelnik musi w swoim umyśle odtworzyć sam na własny użytek. Na tym właśnie polega racjonalizm – racjonalne myślenie jest tu narzędziem, a nie punktem dojścia rozumienia. Nie polega na nałożeniu na rzeczywistość siatki pojęć i zależności między nimi, a następnie na dostosowywaniu dalszego rozumienia tej rzeczywistości do raz stworzonego systemu. Brzmi to jak definicja oglądu rzeczywistości przez komunistycznych doktrynerów, ale Polit sprawdza w praktyce, czy Ortega y Gasset nadal może być przewodnikiem po współczesności, podając racjonalistycznej krytyce neoliberalną ekonomię. Co istotne, krytyka ta nie prowadzi do jej odrzucenia en bloc, ale do wskazania na jej dogmatyzm, na bycie przejawem tego, co hiszpański myśliciel nazwał „umysłem czystym”. Umysłem, który patrzy już na rzeczywistość z tak dużej odległości, że dostrzega wyłącznie podobieństwa, i na ich podstawie konstruuje ogólne reguły. Jeśli nie znajdują one w jakiejś sytuacji zastosowania, przyczyna leży gdzieś poza racjonalnie skonstruowanym systemem, gdyż ten jest przecież „racjonalny” – czyli obiektywny – a zatem doskonały.

Jednocześnie Polit jest wobec wybranego przewodnika więcej niż krytyczny. Słusznie zauważa, że Ortega y Gasset trafnie uchwycił rosnącą rolę i cechy „człowieka masowego” w nowoczesnych demokracjach, a jednocześnie nie był w stanie ani włączyć w znaczący sposób do swoich refleksji doświadczenia I i II wojny światowej, ani bliżej przyjrzeć się funkcjonowaniu ZSRR. Krytycyzm ten jednak świadczy o tym, że uważnie czyta swojego mistrza. Hiszpański filozof zwracał bowiem uwagę, że racjonalizm polega na dążeniu do prawdy, ale ta pozostanie zawsze nieuchwytna, poznawalna jedynie w sposób niepełny i subiektywny, a nawet częściowo poznana – w znacznej mierze nieprzekazywalna. Racjonalizm to nie idea ani ideał, to postawa.

Marek Misiak

Krzysztof POLIT, *Władza mas. Wokół José Ortegi y Gasset i zachodniej cywilizacji*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2022.

Rozgrzać marmur ciepłem dłoni



Tablice z precyzyjnie wykaligrafowanymi nazwiskami, okazałe pomniki lub pomniejsze popiersia, a także wielotomowe biografie, to znane metody upamiętniania ludzi zasłużonych dla polskiej nauki. Nikt nie kwestionuje tego rodzaju sposobów kultywowania pamięci, czasem jednak można odnieść wrażenie, że wraz z chęcią uwiecznienia zamyka się owe osobistości wyłącznie w sferze episteme. Taki model może być nieco onieśmielający dla

zwykłego obserwatora, który chciałby dostrzec w znanych postaciach nie tylko dostojne sylwetki, ale przede wszystkim ludzi na co dzień zmagających się, jak każdy, z trudami własnej egzystencji. Doskonałą okazją, by przełamać ten schemat, jest lektura wydanej z okazji 70-lecia Polskiej Akademii Nauk antologii *W poszukiwaniu lepszego świata. 20 opowieści o postaciach nauki*.

Na czym polega unikatowość tej książki? Otóż na tym, że wielkich traktuje się tutaj bez zbędnego patosu, chroniącego postać niczym werniks warstwę farby na obrazie. To zupełnie inne spojrzenie na ludzi nauki zawdzięczamy z pewnością wyobraźni autorów, którymi są w tym przypadku współcześni polscy pisarze i pisarki. W ich gronie znajdziemy m.in. Stefana Chwina, Macieją Heną, Łukasza Orbitowskiego, Inge Iwasiów, Joannę Bator czy Izabelę Morską. To oni nakreślili słowem, a zilustrowała graficznie Agata „Endo” Nowicka, portrety wybranych i związanych z naszym krajem ludzi reprezentujących różne dyscypliny naukowe. Listę otwiera Mikołaj Kopernik, tuż za nim znajdziemy Jana Heweliusza, a potem jeszcze m.in. Marię Skłodowską-Curie, Józefę Joteyko, a także Floriana Znanieckiego, Ludwika Hirszfelda, Marię Zakrzewską i Zofię Kielan-Jaworowską. Mistrzowie pióra dokonali własnych interpretacji poszczególnych postaci, każdy inaczej, w swoim własnym stylu, przy użyciu wybranej przez siebie metody. Orbitowski np. posłużył się bajką, Hen wykorzystał formę eseju, a Inga Iwasiów poprowadziła ze swoim bohaterem osobisty dialog. W ten sposób odślonili przed nami pełen rozterek świat naukowców, niebędących w ich wersji wyalienowanymi i zamkniętymi w dusznych laboratoriach badaczami, skupionymi wyłącznie na swojej pracy, ale pełnymi pasji, uczuć i namiętności ludźmi, u których ratio często kapituluje pod wpływem emocji. Jesteśmy więc świadkami żarliwej miłości ogarniającej Ignacego Domeykę, patrzymy, jak chęć ulżenia ciału, rozpalonemu od panującego skwaru, spowodowała Mariana Smoluchowskiego do zażywania niebezpiecznej kąpieli w rzece w czasie trwania epidemii czerwonki i podziwiamy upodobanie Bronisława Malinowskiego do noszenia czerwonych tenisówek, do których skarpetki doбираła mu mama.

Oddając się lekturze stworzonych na potrzeby książki, jakże zróżnicowanych form narracyjnych zanurzamy się w wykreowanej przez ich twórców rzeczywistości. Udane przełamanie powszechnie obowiązującego, klasycznego w swej formie, sposobu traktowania wszystkich zasłużonych dla nauki, jest dowodem na to, że o ludziach wielkich można mówić inaczej. Nadanie żywotności skostniałym czasem wizerunkom, powoduje, że możemy ich dotknąć, a ich spiżowe monumenty mają szansę rozgrzać się pod wpływem ciepła naszych dłoni, zaś zimno materii obowiązujących schematów może zacząć kruszeć właśnie za sprawą imaginacyjnych i warsztatowych zdolności pisarzy. Ich słowa bowiem, niczym dłuta rzeźbiarza, potrafią wydobyć z twardego marmuru całkiem nowy kształt postaci. To uzmysławia nam jeszcze jedną rzecz, a mianowicie, że wszelkie przejawy twórczej kreatywności mogą mieć różne odcienie, ale wszystkie je łączy nieustanne pragnienie przekraczania granic. Czy to w nauce, czy w pisarstwie rzecz przecież polega na wiecznym dążeniu do eksplorowania kolejnych obszarów. Nic to, że czasem przychodzi za to zapłacić bardzo wysoką cenę, o czym przekonało się wielu ze sportretowanych bohaterów.

Aneta Zawadzka

W poszukiwaniu lepszego świata. 20 opowieści o postaciach nauki, red. Jerzy DUSZYŃSKI, Anna PLATER-ZYBERK, Eliza KAĆKA, Polska Akademia Nauk, Warszawa 2022.

W labiryncie Boga



Pomimo faktu, iż w czasach współczesnych (choć zapewne zawsze tak było) poezja nie cieszy się masową popularnością, wydaje się jednak, że twórczość Bolesława Leśmiana przeżywa jakiś rodzaj renesansu, nowych interpretacji, nieodkrytych dotąd zachwyty i głębi. Wyrwany z piekła zapomnienia Leśmian może nie trafił do czytelniczego nieba, ale w najgorszym wypadku znajduje się teraz w poetyckim czyścisku i metafora ta nie wydaje mi się wcale bezcelowa, zwłaszcza na tematkę omawianej pozycji.

Bóg Leśmiana ma wiele twarzy albo raczej wiele objawień i nie sposób znaleźć prostą odpowiedź na to, jaki jest. Z przytoczonych cytatów możemy wnioskować pewien rodzaj dychotomii w podejściu do tego bytu najwyższego. Leśmiana bez wątplenia nie interesuje średniowieczne bałwochwalstwo ani oświeceniowa negacja, szuka drogi pomiędzy. Egzemplifikując swe tezy, Rafał Milan szczerze wyposaża czytelnika w narzędzia poznawcze w postaci licznych cytatów i fragmentów utworów oraz odwołań do filozofii, religii i poetyki. Udowadnia, że Bóg Leśmiana nie jest tylko powiązany z sielwokością, przyrodą i apoteozą otaczającego świata i nie sposób za pomocą panteizmu wyjaśnić niezwykle skomplikowanych relacji na linii Stwórca-Człowiek. Leśmian wcale nie pyta: „Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary?”, ale raczej próbuje dociekać, dlaczego Bóg po stworzeniu świata osierocił ludzkość. Kochanowski wyrażał bezkrytyczny zachwyt stworzeniem i bezmierną wdzięczność za otrzymane bogactwo świata; autor *Dusiołka* widzi niedoskonałość owego aktu stworzenia. W lirycznej teologii Leśmiana Bóg bynajmniej nie umarł, on po prostu zrobił swoje i odszedł, pozostawiając nas samotnych i zagubionych w niedoskonałym świecie. Ten Bóg wcale nie jest wszechmocny, nie panuje nad swoim stworzeniem, nie stanął na wysokości zadania, bo niejako zapomniał o najważniejszym, o człowieku, który teraz bezradnie próbuje zapęłnić pustkę po jego odejściu, zwracając się w stronę metafizyki, przyrody, kościoła czy teologii. Leśmian nie buntuje się przeciw stwórcy, raczej widzi jego nieporadność i niedoskonałość, chyba nawet uważa się nad Bogiem a może powinienem napisać „bogiem”. Jednocześnie jest w tej poezji jakaś zastanawiająca niemożność odejścia od Boga, zaprzeczenia jego istnienia, agresywnej negacji bądź kojącego przystania na fakt, że jesteśmy i byliśmy tylko dziełem przypadku. Bóg jest, ale daleki i niedoskonały, bo pozwolił nieporadnemu człowiekowi rządzić światem, a przynajmniej pozostawił ludzkość w takim przeświadczeniu. Poetyckie teofanie, jeżeli można o nich mówić w tej poezji, to teofanie przygodne, pośrednie, niejako z przypadku i niedosłowne, wyrażane raczej poprzez sytuacje i obrazy, a nie bezpośrednie uwielbienie.

Książka Rafała Milana jest niezwykle wnikliwą analizą tytułowego tematu, bogata w poetyckie, filozoficzne i religijne odniesienia, pozwala nam spojrzeć na liryczną teologię Leśmiana na wielu płaszczyznach. Nie zamyka się na wielość odczytań, nie narzuca ich, ale raczej wskazuje czytelnikowi pewne drogi, którymi może udać się nasza interpretacyjna ciekawość. Jednocześnie uświadamia nam głębokie teologiczno-metafizyczne rozdarcie, jakim charakteryzuje się ta poezja i jeżeli mamy w pamięci jedynie obraz malinowego chruśniaka, to Milan bez wątplenia dokonuje rewizji tych jednostronnych poglądów. Mieliśmy już Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba, w książce Rafała Milana poznajemy Boga Leśmiana. Badacz na koniec cytując odnoszący się do Leśmiana wiersz Tadeusza Różewicza *Labirynty*: „przez drążenie zaświatów / nadmiar i roztargnienie / został poetą i wpadł / w labirynt Boga”. Nie znajduje jednak wyjścia z owego labiryntu, więc „czeka na koniec świata / na koniec historii / i na koniec końca”. Wydaje mi się, że równie trafny w kontekście omawianej poezji może być inny cytat Różewicza: „życie bez boga jest możliwe / życie bez boga jest niemożliwe”.

Jacek Hnidiuk

Rafał MILAN, *Pieśń o Bogu. Poetycka teologia Bolesława Leśmiana*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021.

Kliodynamika



Inspiracją dla Petera Turchina, profesora na Wydziale Ekologii i Biologii Ewolucyjnej Uniwersytetu Connecticut, do napisania książki była oczywiście *Wojna i pokój* Lwa Tołstoja. *Wojna i pokój, i wojna to rzecz o imperiach*. Składa się z trzech części. W pierwszej, zatytułowanej *Imperiogeneza*, autor objaśnia przyczyny zaistnienia imperiów: Cesarstwa Rzymskiego, arabskiego, karolińskiego, rosyjskiego, monarchii Habsburgów czy imperium amerykańskiego. Szkoda, że nie wspomniał o Chinach. Część druga, *Imperiopatoza*, dotyczy upadków poszczególnych imperiów i towarzyszących

zwykle temu zawirowań ekonomicznych i kulturowych. W trzeciej części – *Kliodynamice* – autor snuje namysł, w jaki sposób wojna i pokój są w stanie kształtować imperia i gdzie ostatecznie leży czynnik powodujący ich trwałość.

Turchin, podobnie jak Tołstoj, zastanawia się nad tym, czy można zaprogramować historię. Próbuje umatematyczyć historię, odkryć prawa rządzące dziejami. Tołstojowi pomysł taki podsunęły triumfy fizyki klasycznej: odkrycia rachunku różniczkowego i całkowitego, które pozwoliły Newtonowi i innym sformułować równania ruchów planet, oraz mechanika statystyczna, w myśl której Laplace widział wszechświat jako zbiór ciał i cząstek podlegających prawom ruchu Newtona. Chodziło o to, że gdybyśmy potrafili określić położenie i prędkość obiektów w określonym czasie, to dałoby się wyliczyć ich trajektorie w odległej nawet przyszłości. Motywacją działania Tołstoja była chęć zbudowania trwałego pokoju. Był wizjonerem świata bez przemocy i głęboko zastanawiał się, czy jest możliwe takie porozkładanie parametrów rzeczywistości, by osiągnąć niekończący się pokój i czy to nie zrodziłoby z kolei determinizmu, w którym na wolną wolę nie zostanie już miejsca. Idee pisarza wydają się marzycielstwem, nie poszły jednak na marne, stając się podniętą działaniom Martina Lutera Kinga i Mahatmy Gandhiego. I chociaż koncepcja historii, pojmowanej przez Tołstoja jako składowa woli poszczególnych ludzi, jest zbyt uproszczona (nauka XIX wieku nie znała jeszcze wrażliwej zależności ani teorii chaosu), to Turchin korzysta z pomysłu rosyjskiego pisarza – filozofa. Pracuje nad systemem połączenia modeli matematycznych z teoriami behawioralnymi, dochodząc do wniosku, iż historia podlega cyklom. Te cykle właśnie nazywa kliodynamiką.

Turchin próbuje uzasadnić swoją teorię powtarzalności w historii, rozpatrując kwestię imperiów, szukając czynników ich rozwoju, rozkwitu i rozpadu. Czynniki są proste: korzystne położenie geograficzne, klimat, dostęp do żywności, sprawne zarządzanie, bitne wojsko, nieduże obciążenia fiskalne, dążenia do samodoskonalenia się społeczeństw i dbałość państwa o wykształcenie nie tylko elit, ale i szerszych rzesz... Do całej tej wyliczanki dorzuca Turchin nowy termin – asabijja. Cóż to takiego?

Czternastowieczny myśliciel, poeta, podróżnik arabski Ibn Chaldun, odkryty w Europie dopiero w XIX wieku, al asabijja nazwał solidarność społeczną opartą na pokrewieństwie (por. Józef Bielawski, *Ibn Chaldun*, Wiedza Powszechna, Warszawa 2000, s. 96–100). Turchina definicja asabijji jest szeroka, aż za bardzo, i trochę – odnoszę wrażenie – na siłę przeszczepiona z innego kręgu cywilizacyjnego do naszego. Ostateczny wniosek brzmi: te imperia trwały najdłużej, których społeczeństwa wykazywały się dążnością współpracy i obrony przed obcymi. W sumie nic nowego. Wiele mówi się dziś o kapitale społecznym. Francis Fukuyama w *Końcu historii* zwracał uwagę na zależność pomiędzy zaufaniem społecznym a rozwojem gospodarczym.

Książka nie jest wolna od błędów. Autor miewa trudności z geografiami. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że obecna granica między Europą a Azją na Uralu wytyczona została dopiero w czasach Katarzyny II, która w tej sprawie interweniowała nawet u francuskich encyklopedystów.

Z dużą dozą czujności i krytycyzmu można przeczytać książkę Turchina. To dość erudycyjne dzieło.

Bogdan Bernat

Peter TURCHIN, *Wojna i pokój, i wojna. Jak powstają i upadają imperia*, tłum. Witold Falkowski, Wydawnictwo WEI, Warszawa 2022.

O Nowosielskim wiemy coraz więcej



Z roku na rok wiemy coraz więcej o malarstwie Jerzego Nowosielskiego. Powyższe zdanie powinno być napisane, ponieważ Jerzy Nowosielski jest – jak mało który ze współczesnych malarzy – bardzo dobrze i szczegółowo opracowany. A osobą, która nie tylko wykonuje mrówczą pracę badawczą, ale także prezentuje jej wyniki, pisząc elegancką polszczyzną, jest polska wybitna historyk sztuki, doktor Krystyna Czerni.

Obecnie czytelnicy otrzymali do rąk kolejny tom monumentalnej serii, czyli *Korpusek sztuki sakralnej* Jerzego Nowosielskiego, wydany przez Muzeum Miejskie w Tychach. Tym razem prezentowane są dzieła znajdujące się na terenie Śląska. Autorka zaczyna od wyjaśnienia kontekstu, czyli przyczyn faktu, że ziemie położone na zachodzie europejskiego i chrześcijańskiego Wschodu. Podstawową przyczyną umieszczenia ważnych dzieł ortodoksyjnej sztuki sakralnej na tych obszarach były przesiedlenia prawosławnych i grekokatolickich mieszkańców Polski na tzw. Ziemię Odzyskaną. Z czasem, w miarę rozluźniania represji stosowanych przez komunistyczny reżym, budowano nowe cerkwie oraz przejmowano świątynie wybudowane dla dawniejszych mieszkańców regionu. Dało to Jerzemu Nowosielskiemu możliwość tworzenia także na tym obszarze.

Tym bardziej że był on otoczony estymą również w środowiskach intelektualnych Śląska (zarówno Górnego, jak i Dolnego), czego dowodem jest obecność jego dzieł w zbiorach muzealnych, jak również w prywatnych kolekcjach. Zatem gdy zamawiano wystroje malarskie do świątyń na tym terenie, nie sposób było pominąć Nowosielskiego, uważanego powszechnie za jedną z najważniejszych postaci polskiego parnasu.

Najnowszy tom *Korpusek* omawia kilka ważnych dekoracji monumentalnych w świątyniach Dolnego i Górnego Śląska, Jeleniej Górze, Wrocławiu i Tychach. Należy przede wszystkim zwrócić uwagę na fakt, że twórca stanął wobec jednego z trudniejszych zadań, to jest dostosowania programów ikonograficznych do architektury zupełnie do nich niedostosowanej. Przypomina to w pewien sposób fundacje jagiellońskie z XV stulecia, gdy artyści sprowadzeni z obszarów kultury bizantyjskiej tworzyli swe dzieła w gotyckich świątyniach. Kościół w Jeleniej Górze jest barokowy, świątynie we Wrocławiu gotyckie, zaś katolicki kościół w Tychach, chociaż współczesny, nie był budowany wedle zasad architektury cerkiewnej. Dlatego też każdy program stworzony przez Nowosielskiego jest zupełnie odmienny, a zarazem nosi jego indywidualne cechy. Jednakże nie powoduje to, aby można było mówić o odejściu od zasad sztuki Wschodu, będącej dla malarza podstawową zasadą tworzonej przez niego sakralnych rozwiązań.

Ciekawym dodatkiem zasadniczej treści książki jest informacja o niezrealizowanych projektach malarza. Znając szkice, można jedynie wyobrazić sobie te założenia. I muszę przyznać, że rezygnacja z jego pracy w Piekarach Śląskich jest niewątpliwą stratą dla polskiej sztuki sakralnej, jak i całej polskiej kultury.

W ostatnim rozdziale Krystyna Czerni prezentuje śląskie środowiska związane nie tylko z samym Nowosielskim, a chodzi o jego uczniów, ale także z szeroko pojmowaną tradycją wschodnią w sztuce. Postacie Dłużewskiego, Molendy, Rykały i innych pokazują, jak jest ona trwała i żywotna.

Publikacja, podobnie jak i poprzednie książki z tej serii, jest bardzo starannie i elegancko opracowana graficznie, co pozwala na doskonale zbalansowanie ilustracji i treści. Materiał fotograficzny jest oczywiście niezbędny, a jego bogactwo pozwala nam na poznanie sztuki tego wybitnego artysty. Jednakże wysoki poziom edytorski powoduje, że czytelnik bez problemu zapoznaje się z tekstem, który łączy erudycję i merytoryczną wiedzę z prawdziwie wyszukany stylem pisarskim.

Juliusz Gałkowski

Krystyna CZERNI, *Nowosielski na Śląsku. Sztuka Sakralna*, Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2022.

Słowacki czytany w XIX wieku



W 2014 r. ukazała się monografia autorstwa Małgorzaty Rowickiej pt. *Wydawnicze i cenzuralne losy twórczości Adama Mickiewicza w okresie zaborów*. Recenzowana książka jest naturalną kontynuacją badań prowadzonych przez uznaną badaczkę specjalizującą się w XIX-wiecznym ruchu wydawniczym, ze szczególnym uwzględnieniem cenzury.

Opracowanie składa się z pięciu rozdziałów, dwóch obszernych aneksów i dwóch indeksów (nazwisk i tytułów utworów Słowackiego).

Rozważania dotyczące polskojęzycznych edycji są prowadzone na podstawie różnego typu bibliografii, katalogów, opracowań historycznoliterackich i bibliologicznych, wykazów i oczywiście poszczególnych wydań dzieł poety.

W obchodzonej właśnie Roku Romantyzmu Polskiego warto zadać jedno z fundamentalnych pytań, które rzadko pojawia się w badaniach i – według moich obserwacji – jest w zasadzie nieobecne w powszechnym obiegu. Brzmi ono podobnie do tytułu znakomitego studium Teresy Winek *Jakiego Mickiewicza czytano w XIX wieku?*, tzn. jakich – ściślej: w jakich wydaniach – romantyków polskich czytano w XIX stuleciu?

Małgorzata Rowicka daje nam rzeczową, wnikliwą i interesującą odpowiedź na pytanie o dostępność utworów Słowackiego wśród mieszkańców ziem polskich w latach 1830–1914. Dzięki monografii możemy lepiej poznać zarówno XIX-wieczny rynek wydawniczo-księgarski, jak i edytorską oraz czytelniczną recepcję twórczości autora *Balladyny*, oczywiście w warunkach obowiązywania cenzury.

Zdaniem badaczki w omawianym okresie utwory Słowackiego ukazywały się na wszystkich ziemiach polskich i poza ich granicami (łącznie ok. 300 wydań). Jeśli chodzi o ziemie pod zaborami, to większość edycji opublikowano w prowincjach austriackich (159), nieco mniej na terenie zaboru rosyjskiego (95), a najmniej w prowincjach pruskich (7). Na emigracji wydano 35 edycji. Publikacje te przygotowywali zarówno wydawcy profesjonalni (księgarnie, drukarnie, wydawnictwa), jak i nieprofesjonalni (m.in. organizacje, towarzystwa, osoby prywatne).

Autorka skrupulatnie analizuje stosunek cenzury do poszczególnych utworów Słowackiego. Badania pokazują, że jednym z dzieł mających największe problemy z cenzurą wszystkich państw zaborczych, nie tylko Rosji, był poemat *Anhelli*, ukazujący wędrowkę po Syberii. Warto podkreślić, że nawet cenzor na służbie pruskiej dostrzegł w tym poemacie „szkodliwą polityczną tendencję” (s. 135). Nawet jeśli już dopuszczano utwór do druku, to usuwano wybrane zdania. Przywołuje je w swojej pracy Rowicka. Jeszcze dłużej zaborca rosyjski nie pozwalał drukować dzieła *Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa*. Zaskakujący może wydać się fakt niekwestionowania przez cenzurę carską kilkudziesięciu tekstów literackich i nieliterackich, m.in.: *Do autora trzech „Psalmów”*, *Samuel Zborowski*, *Zawisza Czarny*, *Złota Czaszka*, *Genezis z Ducha*, *Modlitwa do matki*, *O poezjach Bohdana Zaleskiego*.

Monografia ukazuje także praktyki obronne wydawców dzieł Słowackiego, które były reakcją na ograniczenia i zakazy cenzorskie zaborców. Najpopularniejszym zabiegiem wydawców było preparowanie edycji. Praktyka ta miała uprzedzić działania cenzorów, wycinających lub zamalowujących czarną farbą wybrane fragmenty tekstu i zniechęcających w ten sposób do kupna książki. Po prostu wydawcy sami usuwali te zdania, które mogłyby budzić zastrzeżenia cenzury, „przy czym opuszczenia te bądź maskowali, bądź – przeciwnie – eksponowali graficznie” (s. 199).

Na zakończenie warto podkreślić, że mimo dokumentacyjnego charakteru publikacji jest ona przyjemna i przystępna w lekturze ze względu na bardzo logiczny układ treści i klarowny styl tekstu oraz staranną redakcję i odpowiedni projekt graficzny.

Marcin Lutomiński

Małgorzata ROWICKA, *Wydawnicze i cenzuralne losy twórczości Juliusza Słowackiego w okresie zaborów*, red. nauk. Janusz Kostecki, Wydawnictwo Nieoczywiste, Warszawa 2022.



Fot. Stefan Ciechan

Leszek Szaruga

Cywilizowane życie w dżicy

Z przyjemnością doprawioną dozą zazdrości oglądam reporterski serial o ludziach wybierających życie w „dżicy”, czyli w ostępach północnych krain Ameryki, z dala od „cywilizacji”, skazanych – przynajmniej w dużej mierze – na siebie samych. Jedni z nich to doświadczeni samotnicy, inni znów to młodzi ludzie, którzy dopiero się sprawdzają w tych dość surowych okolicznościach przyrody. Wszyscy oni muszą zadbać o siebie, o swój minimalny komfort, o wyżywienie, a są przy tym zależni od rytmu natury i jej kaprysów.

Oczywiście naiwny nie jestem i wiem, że skoro oglądam kolejne odcinki relacjonujące ich historie, to przecież zdaję sobie sprawę z faktu, że samo to wszystko się nie filmuje i że towarzyszy temu doświadczona ekipa fachowców, co pozwala nie tylko na pozyskiwanie obrazów „z życia”, lecz także na pokazywanie za pośrednictwem dronów szerszych planów czy pokazywanie ujęć podwodnych i raczej mogę mieć pewność, że nawet dramatyczne sytuacje tu odtwarzane mają w końcu swój happy end, a całość reportażu jest wynikiem pracowitej obróbki technicznej i montażu, dokonywanych już po zakończeniu prac. Wiem zatem, że mam do czynienia ze swego rodzaju „manipulacją”, która, pokazując pozornie „realistyczny” obraz, jest w gruncie rzeczy rodzajem iluzji sprzedawanej szerokiej publiczności przez producentów. Nie ulega też wątpliwości, że spora ilość pokazywanych obrazów „z życia” – choć zapewne nie wszystkie, część bowiem nagrywa się spontanicznie, niejako przy okazji – to scenki kunsztownie zaplanowane i wyreżyserowane. Kulisy świata przedstawionego oczywiście nie widzimy, a najczęściej po prostu nie mamy o nich pojęcia.

Nie znaczy to jednak, że to, co oglądam, nie jest prawdziwe. Ci ludzie przecież rzeczywiście żyją w surowych warunkach, w dodatku czynią to z własnego wyboru, na który wpływ ma między innymi chęć wyizolowania się z życia „w tłumie”, dążenie do spowolnienia tempa i wyciszenia. To właśnie czyni z nich obiekty dla reporterów atrakcyjne, ci bowiem wiedzą, że rzecz się dobrze sprzedaje wśród tych, którzy nie są, dla wielu przecież przyczyn, skłonni do porzucenia tapczanu z widokiem na telewizor, a przecież jakos tam tęsknią do natury.

Jest natomiast w tych reportażach wątek, który wydał mi się szczególnie interesujący. Otóż poza tym, że ich bohaterowie to ludzie, którzy muszą, by przeżyć w tych warunkach, posiadać wiele umiejętności – nauczyć się drwalki, myślistwa, w tym tropienia, rybołówstwa, budowy różnych pomieszczeń gospodarskich, ale też stawiania kominów – dość dobrze znają

prawo i, przynajmniej w obecności kamery i mikrofonów, demonstrują jego przestrzeganie: wiedzą co i kiedy wolno im ścinać, ale też kiedy i na jakie zwierzęta polować. Część z nich zresztą, będąc potomkami ludów zamieszkujących kontynent przed opanowaniem go przez Europejczyków, pragnie przez ten sposób życia utrwać swe tradycje, które zresztą przekazują następcom choćby wtedy, gdy ściągają dzieci i wnuki w okresach wakacyjnych z miast, w których one na co dzień przebywają. I znów: jak dalece jest to jedynie gra dla widzów telewizyjnych spektakli, na ile zaś autentyczna troska o kulturowanie niszowego wszak już dzisiaj stylu bycia w świecie? Nie sposób tego rozstrzygnąć, ale jednocześnie właśnie te reportaże dokumentują coś, co wcześniej nie było szczególnym przedmiotem uwagi.

A jednocześnie widzami tych dokumentów stają się ludzie, dla których ich oglądanie jest rodzajem rozrywki, sposobem spędzania wolnego czasu i którzy w życiu swoim, poza ogrodem zoologicznym, nie mieli okazji zetknąć się z dziką zwierzęcą, nie mówiąc już o jej zabijaniu i sprawianiu, i dla których też – zanurzonych w informacjach o zmianie trendów artystycznych, śledzących coraz gęściej napływające informacje z kosmosu czy, by przy tym pozostać, oddających się spekulacjom ze sfery logiki – ten świat jest swoistą egzotyką. I fascynuje mnie możliwość takiego – innego niż przed stu laty, gdy źródłem takiej wiedzy były jedynie literatura i gazety – przenikania się różnych światów, ich specyficznego współistnienia, co sprawia, że żyjąc, jak w Polsce, w wysoce rozwiniętym cywilizacyjnie obszarze, mogą jednocześnie doświadczać tego, co jest udziałem ludzi żyjących w przestrzeni dzikiej, nieuporządkowanej na ludzki sposób natury, która wszak owej cywilizacji była kolebką.

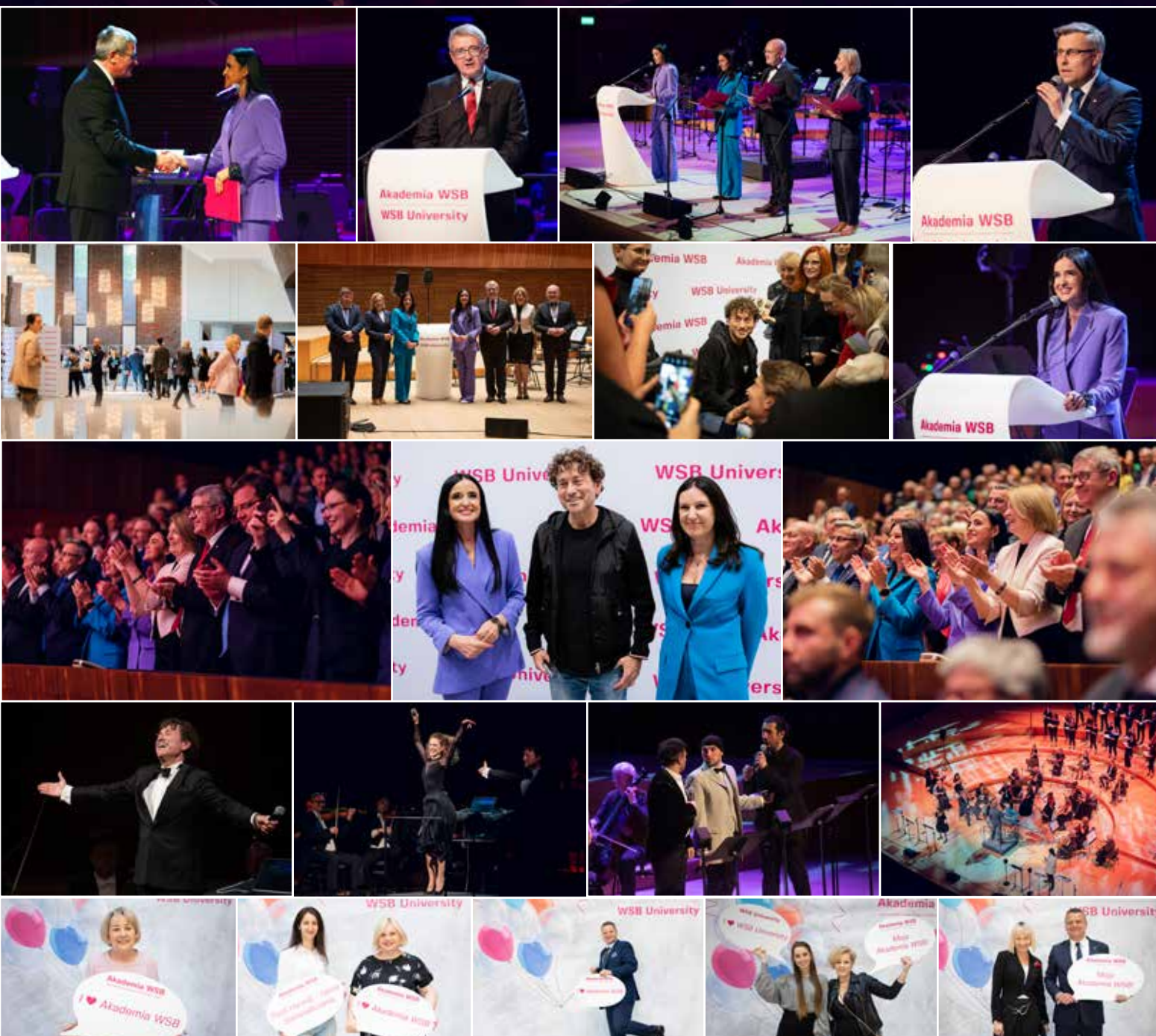
Autorzy tych reportaży fundują swym odbiorcom podróż w czasie, nieco inną od tej, jaką proponują twórcy filmów historycznych – ale i fantastycznonaukowych – których bohaterowie, przebrani w kostiumy aktorzy, grają postaci, którymi nie są. Tutaj mamy do czynienia z postaciami autentycznymi, żyjącymi obok nas, świadomymi swego oddalenia od naszego świata, z którego dobrodziejstw, gdy zachodzi potrzeba, jednak korzystają, kupując najpotrzebniejsze narzędzia czy lecąc się w miejskich szpitalach, ale jednocześnie starając się wobec niego zachować jak największy dystans. Być może te reportaże to lekcje przetrwania w warunkach braku otaczającego nas niszczącego cywilizację nadmiaru komfortu.

Akademia WSB 25+2

Dąbrowa Górnicza, Cieszyn, Olkusz, Żywiec, Kraków

Gala jubileuszowa w siedzibie Narodowej Orkiestry Symfonicznej
Polskiego Radia w Katowicach
28 maja 2022

Zdjęcia: AWSB
Radostaw Kaźmierczak
Więcej na temat Akademii WSB na str. 23.



Akademia WSB

Dąbrowa Górnicza, Cieszyn, Olkusz, Żywiec, Kraków

25+2

Zdjęcia: AWSB
Więcej na temat Akademii WSB na str. 23.

